BOHDAN ZALESKI NA TUŁACTWIE

CZĘŚĆ I.

JÓZEF TRETIAK

BOHDAN ZALESKI

NA TUŁACTWIE

1831—1838

ŻYCIE I POEZYA

KARTA Z DZIEJÓW EMIGRACYI POLSKIEJ

Z 4-MA PORTRETAMI

KRAKÓW
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1913.

Drukarnia Uniw. Jagiell. pod zarządem Józefa Filipowskiego.

PRZEDMOWA.

Praca niniejsza jest dalszym ciągiem monografii wydanej przed dwoma laty p. t. *Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego*. Jak tamta szeroko uwzględniała tło życia literackiego w kraju, w szczególności walkę prądu romantycznego z pseudoklasycyzmem warszawskim, tak obecna stara się obraz dalszego życia i poezyi autora *Rusałek*, wyrzuconego wypadkami politycznemi z kraju, przedstawić na szerokiem tle życia emigracyjnego, które, dzięki odrębnym warunkom swego rozwoju, stanowi rażący kontrast z tą ciszą cmentarną, jaka w pierwszych latach po powstaniu 1831 r. zapanowała w kraju.

Część pierwsza niniejszej pracy obejmuje pierwszych siedem lat tułaczego życia poety, od końca 1831 do końca 1838 r., i rozważa poezyę jego z tego okresu. Jest tu przedstawiona rola poety w organizacyjnych usiłowaniach emigracyi polskiej, jego stosunek do rozmaitych stronnictw emigracyjnych, w szczególności do Towarzystwa Demokratycznego, jego przejmowanie się prądem religijnym, który wyszedł od Mickiewicza, jego próby wyrwania się z jałowości

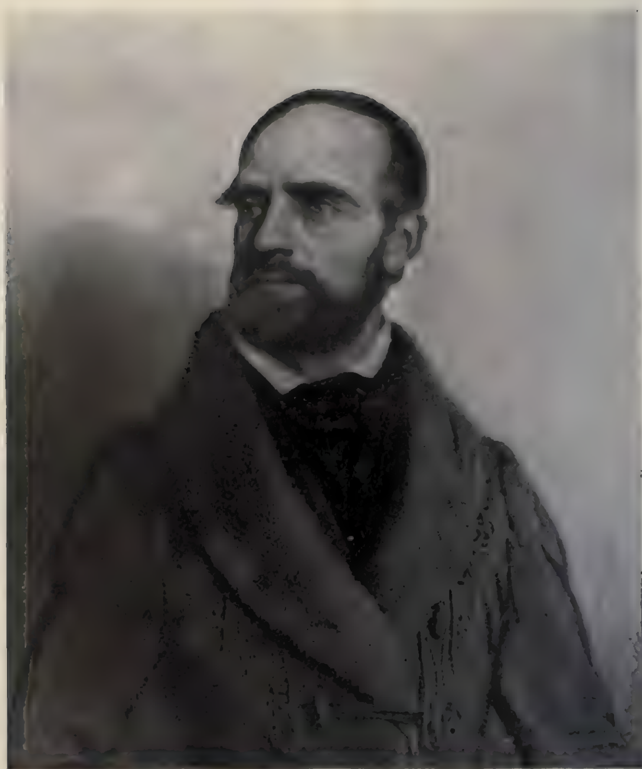
poetyckiej, w którą go w pierwszych latach wychodźtwa wprawiła politykomania, wreszcie geneza jego nowej twórczości, w której rolę pierwszorzędną, nieuwydatnioną dotychczas przez biografów i krytyków poety, odgrywa niezmiernie piękna i zajmująca postać pani Dyonizyi Poniatowskiej, prawdziwej Beatryczy ukraińskiej naszego poety. W rozdziale p. t. *Beatrix Ukraińska* i *Pod niebem Włoch i Prowancyi* podany jest szczegółowy rozbiór poezyi Bohdana, która narodziła się w ciągu dwu lat po poznaniu się poety z panią Dyonizyą (1836—1838) i pod niewątpliwym wpływem tej znajomości.

Część następna tej pracy, która jest już na ukończeniu i ukaże się, o ile jakieś nieprzewidziane nie zajdą przeszkody, około połowy roku przyszłego, będzie zamknięciem całości monograficznej.

Materyał do obu części stanowi przedewszystkiem: z jednej strony współczesna publicystyka emigracyjna, bardzo obfita i ożywiona, z drugiej — korespondencya poety, po części drukowana już przez syna jego, p. Dyonizego Zaleskiego, po części niewydana jeszcze, ale dostarczona mi przez niego z jego archiwum rodzinnego. Dlatego miło mi raz jeszcze wyrazić Mu publiczne podziękowanie za uprzejmość, z jaką pozwolił mi czerpać z tego archiwum. Poczuwam się także do obowiązku wyrażenia szczególnej wdzięczności hrabiemu Kazimierzowi Stadnickiemu ze Starej Sieniawy na Podolu, za przysłanie mi fotografii z portretu pani Dyonizyi Poniatowskiej, który jest obecnie jego własnością. Portret, malowany przez sławnego malarza

berlińskiego, Karola Begasa, pochodzi z r. 1836, to jest z tego, w którym Bohdan poznał panią Poniatowską, ma więc szczególne znaczenie biograficzne. Warto też zanotować, że w chwili ukazania się jego mówiono w Berlinie (Listy Dyon. Poniatowskiej T. I, str. 39), że »Begas prześcignął w nim sam siebie« i donoszono pani Poniatowskiej, że »cały Berlin zbiega się do jego pracowni« dla oglądania jej portretu.

W Krakowie, 12 września 1913.



Bohdan Zaleski

ROZDZIAŁ I.

Początki tułactwa

(1831—1833).

Przejście granicy. — Pobyt Bohdana we Lwowie. — Stosunek z Wacławem Zaleskim. — »Fantazya« Gosławskiego. — Wyjazd do Paryża. — Wycieczka w Tatry. — Podróż przez Niemcy. — Wrażenia szwajcarskie. — Pierwsze komitety emigracyjne w Paryżu. — Stosunek z Mickiewiczem. — Krytyczny pogląd na emigracyę. — Obrady sejmowe. — Myśli o sejmie polskim Mickiewicza. — »Żart tatarski« Bohdana.

Smutne było usposobienie naszego poety, kiedy po przekroczeniu wraz z wojskiem granicy pruskiej znalazł się w Brodnicy, gdzie trzeba było broń składać i, z powodu srożącej się jeszcze cholery, odbywać kwarantannę. W dziewięć lat potem opowiadał on swemu najlepszemu druhowi, majorowi Zaleskiemu, jak przeszedłszy granicę, uczuł, że już nigdy do Polski nie wróci i jak mu serce pękało z żalu, kiedy mu jakiś chłop chciał wydrzeć pałasz, który on łamał. Chłop mówił do niego: »Na co to Pan łamie, ja schowam, to się jeszcze zda. Ej, co też to panowie najlepszego zrobili, żeście tu przyszli. Przepadła Polska«.

Ale to usposobienie nie wszyscy towarzysze niedoli Bohdana podzielali. »Nasze oficerstwo, opowiadał Bohdan przyjacielowi, bynajmniej tego nie czuło, pili i w karty

grali w najlepsze. Pamiętam, kiedyśmy kilką brykami jechali, szlachta zastępowała nam drogę i zapraszała do siebie. Wszystko się waliło do dworu, a ja wtenczas zeskakiwałem z bryki i szedłem w las albo w pole i błąkając się samotny, płakałem, jak dziecię, kiedy mnie zaleciał szum hucznej hulanki i nuta pieśni: »Jeszcze Polska nie zginęła«[1]).

Tę ochoczość oficerów polskich do śpiewania pieśni patryotycznych w tak nieodpowiednią porę, po przejściu granicy i złożeniu broni w ręce obce, zaznacza we wspomnieniach swoich i pułkownik Mikołaj Kamieński, który także pod Brodnicą przeszedł z pułkiem swoim granicę. Ale on objaśnia zarazem, skąd ta ochoczość pochodziła. »Pieśni takie, jak »Hop, hop, koniku do Litwy«, lub ta zuchowata a nawet zuchwała pieśń Krakusów (lubelskiej jazdy) »U Krakusa nie pomoże i t. d.«, śpiewane [były] w obozie jeśli nie rozbitych, bo rozbitymiśmy nie byli, ale co gorzej składających broń na obcem już, politycznie przynajmniej, terytoryum; nie byłoż śpiewanie pieśni takich dowodem albo niesłychanej lekkomyślności naszej, albo obojętności na losy ojczyzny, albo też, coby jeszcze było straszliwszem, urąganiem nie tylko z nieszczęść kraju i potyranej chwały, ale z własnych naszych błędów; bo jużciż jeśliśmy do Litwy nie poszli, to z własnej winy. Nie, czytelniku! nie lekkomyślność, to jest, nie zapomnienie się, nie obojętność, a tem mniej bluźnierczy popęd ku urąganiu nastrajały do tak wesołego chóru zbolałe zkądinąd piersi nasze. Trudno dziś uwierzyć, do jakiego stopnia wówczas pełni byliśmy wiary, że to nasze ustąpienie z pola boju było tylko jednym z krótkich epizodów wojny; że nim rok minie, wrócimy tryumfujący w towarzystwie francuskich legii... Łudziliśmy się, łudzili w sposób może dziś już nawet do pojęcia trudny; aleśmy

---

[1]) Z pamiętnika Majora Józefa Zaleskiego. Rkps.

się łudzili w dobrej wierze, i to nas w części uniewinnia, tłumaczy przynajmniej... Gdyby nie to opłakane łudzenie się, najważniejsze może wypadki inną byłyby poszły koleją« [1])...

Bohdan Zaleski, pomimo wrodzonego optymizmu, nie ulegał tym dziwnym złudzeniom, ktore świadczyły o niezmiernej naiwności, jeżeli już nie lekkomyślności, wychodźców.

Z Prus, skierowawszy się do Szląska, przejechał wzdłuż całą tę prowincyą, po części znaną już sobie z dawniejszych podróży (przypominam, jak silnych wzruszeń doznawał przed kilku laty w kościołach wrocławskich przy odgłosie tamtejszych organów) i dojechał aż do Oświęcimia, gdzie się zaczynała Galicya. Jednym z towarzyszy jego w podróży do Lwowa był Stanisław Worcell, kolega sejmowy, poseł z Wołynia, podobnie improwizowany, jak był nim Bohdan z Ukrainy. Zdaje się, że w Oświęcimiu władze polityczne austryackie robiły trudności tym podróżnym w dostaniu się do Galicyi i że dopiero interwencya listowna Wacława Zaleskiego, znanego dobrze Wacława z Oleska, który w wyższych sferach urzędniczych, pomimo patryotyzmu polskiego, cieszył się uznaniem, ułatwiła Bohdanowi, a zarazem zapewne i jego towarzyszowi, przejazd do Lwowa. Tak można wnosić z pewnej notatki własnoręcznej poety [2]).

---

[1]) Mikołaj Kamieński: Kilka wspomnień starego żołnierza. Rocznik Towarzystwa Historyczno-literackiego w Paryżu 1870—1872. Poznań 1872, str. 69—70.

[2]) Notatka ma tytuł: »Treść listu do Br. Z. o zaraniu Emigracyi (od wejścia do Prus aż do wyjazdu mego z Paryża do Alzacyi)«, a pod tytułem zawiera co następuje:

»Wkroczenie do Starych Prus i kwarantanna w Brodnicy z powodu cholery. Wyjazd z Bernatowiczami, z Popielem Pawłem, z Worcelem, Sadowskim, Pilchowskim Sewerynem, Podolanami NN. NN. NN. (których nazwiska na razie zatarły się w pamięci). Popas

Zresztą w tych czasach, bezpośrednio po upadku powstania, usposobienie rządu austryackiego dla emigrantów polskich w Galicyi było bardzo życzliwe. »Wolno nam było — powiada Aleksander Jełowicki, który wówczas także przepędził zimę we Lwowie — zwijać się po Galicyi, jak się nam podobało; a uprzejmy i ludzki Lobkowicz, ówczasowy rządca Galicyi, przyjmował nas w domu swoim i nawet na uczty uroczyste zapraszał« [1]. Na imieniny cesarza Lobkowicz przyjmując powinszowania obywateli galicyjskich, zgodził się na to, aby obok tych ostatnich zjawili się i przedstawiciele emigracyi z podziękowaniem za życzliwe traktowanie i z prośbą o dalszą opiekę, i »osobno odpowiadał jednym i drugim«, zaręczając o najlepszych chęciach cesarza. Przy takim stosunku do władz politycznych, przy patryotycznem usposobieniu galicyjskiego obywatelstwa, które śpieszyło do Lwowa, aby powitać tam i zbliżyć się do uczęstników ledwie przebrzmiałej walki narodowej, przy właściwej stolicy nadpełtwiańskiej ochoczości do zabaw, wreszcie już nie przy lwowskiej, ani galicyjskiej, ale ogólnie polskiej łatwości zapominania o klęskach a łudzenia się nadziejami, które żadnego gruntu nie miały, bardzo wesoło potoczyło się emigrantom, szczególnie zamożniejszym, życie we Lwowie w zimie z r. 1831 na 1832. »Tułacze — powiada

---

we wsi należącej do Lekszyckich. Al. Potocki w Frankfurcie nad Odrą. Przejazd przez Szląsk do Oświęcimia. Rozmowa ze starostą miejscowym. Korespondencya z Wacławem Z. Wyjazd do Lwowa. Kilkomiesięczny mój pobyt tam z Worcelem i stosunki z rodakami. Bielowski, Krechowiecki i t. d. Knowania polityczne. Stary Krasicki i Komitet galicyjski; różne przygody moje we Lwowie. Uzyskanie pasportu przez Wącława. Rusini. Borkowscy. Wyjazd z Worcelem ku Krakowowi. Zamek Ankwiczów. Tarnów i Walenty Zwierkowski. Tetmajery. Podróż z Goszczyńskim w Tatrach«. Na tem się notatka kończy.

[1]) Moje Wspomnienia II 254.

Jełowicki — przechadzali się po Lwowie w mundurach, a powstańcy na dzielnych koniach swoich roztrącali po ulicach austryackich piechurów, jeszcześmy mieli nasze powozy, naszych Kozaków, dostatek był w kieszeni, nadzieja w sercu, a więc wesołość, jak w obozie: nie zaznaliśmy bolu tułactwa — a owszem doznawaliśmy niemałej uciechy, odbierając dowody szacunku od obcych, a tem bardziej od swoich; rozpływały się nam serca na uśmiech, z jakim nas spotykały piękne i uprzejme Galicyanki«... »Na polskiej ziemi, między swoimi, blizko domu (Jełowicki ma na myśli rodzinne Podole), zdawało się nam, żeśmy z domu wyjechali na zimę do Lwowa, a jak się wspomniało na upłynione lato, to też cieszyło się nadzieją, że na przyszłe lato znów przyjdzie do wojny«[1]).

Bohdan Zaleski nie należał do tych, którzy mieli swoje powozy, swoich kozaków i dostatek w kieszeni i przyjmowani byli na salonach Lobkowitza, ale i on ten kilkomiesięczny okres pobytu we Lwowie — od listopada 1831 do maja 1832 — przeżył wesoło i przyjemnie, a jako poetę głośnego, młodego i przystojnego, tem chętniej go zapewne »piękne i uprzejme« Galicyanki darzyły uśmiechem, »od którego się serce rozpływało«. Mamy kilka śladów tego w późniejszej korespondencyi poety. Jak miłe wspomnienia wywiózł ze Lwowa, świadczy o tem choćby to wyrażenie w liście do Nabielaka, uczęstnika owych chwil przyjemnych: »Z lubą, drogą mi na zawsze Galicyą koresponduję często i obszernie« i podana w tymże liście wiadomość, że otrzymał »długi, miły list od kochanej naszej Muszyńskiej«[2]). Ta pani Muszyńska, o której

---

[1]) Tamże 252—255. Rzecz dziwna, że Jełowicki, mówiąc o kilku innych posłach sejmowych, którzy bawili wówczas we Lwowie, nie wymienia w ich liczbie Bohdana. Przemilczenie to świadczy, że stosunek między tymi dwoma posłami nie musiał być blizki i przyjacielski.

[2]) Kor. J. B. Z. I 41.

zresztą poza paru wzmiankami nic więcej nie wiemy, należała widocznie do najserdeczniejszych znajomości zawiązanych przez Bohdana we Lwowie. Dla niej to był głównie przeznaczony opis wrażeń z podróży do Francyi, który poeta w lipcu 1832 przesyłał w liście do jej męża (z Zurichu i Strassburga), a z listu tego pada promień światła na serdeczny stosunek Bohdana z domem Muszyńskich podczas pobytu jego we Lwowie. »W gościnnym domu Jego, pisał tam, w gronie zacnej Małżonki i licznych przyjaciół, przez ciąg zanadto może długiego pobytu mojego we Lwowie, doznawałem prawdziwie braterskiego przyjęcia: i jak w kole rodzinnem zapomniałem smutnego tułactwa; owszem nieraz, chociaż przez łzy, uśmiechałem się do własnej i powszechnej niedoli. Błogo mi wyznać! — chwilki te złote pociechy śnią się ciągle mej duszy, i wszędzie i zawsze nie przestaną być obecnemi mojej pamięci«[1]. I w parę lat potem, w liście już do samej pani Muszyńskiej pisanym, wspominał o tych »lubych chwilkach, któreśmy kiedyś razem przeżyli« i skarżąc się na obecne smutne usposobienie swoje dodawał: »ani śladu owej wesołości, która z ostatniem słońcem mojej wiosny zaiskrzała i zaszła we Lwowie«[2]. Z innych domów, z którymi go wiązał wówczas ściślejszy stosunek we Lwowie, wiemy tylko o domie państwa Zardzińskich.

Wiele do uprzyjemnienia Bohdanowi tego pobytu we Lwowie przyczyniało się i to, że znajdował tu wielu kolegów po piórze, poetów i literatów, po części już da-

---

[1]) Gaz. Lwowska 1907 r. Nr. 180. Wydawca listu, który jest obecnie własnością Biblioteki Ossolińskich, nie podaje, do kogo list był adresowany; widocznie zachował się bez koperty. Wszakże na podstawie tego, co wiemy z innych listów poety o jego stosunkach lwowskich, możemy uznać za rzecz pewną, że pisany był do męża pani Muszyńskiej.

[2]) Kor. J. B. Z. I 68.

wniej sobie znanych, jak Krechowiecki, Kamiński, Gosławski, Nabielak, Bielowski, po części tutaj dopiero poznanych, jak Borkowscy Józef i Aleksander i inni. Wszyscy oni oddani byli nowemu kierunkowi poetycznemu i żywili cześć dla głównych przedstawicieli polskiej poezyi romantycznej. W r. 1831 nie mieli swego organu, ale w r. 1830 organem ich był *Haliczanin*, pismo zbiorowe, kwartalne, wydawane przez Walentego Chłędowskiego, gdzie sam wydawca umieszczał rozprawę: *Arystoteles sędzia romantyczności*, w której dowodził, że estetyk klasyczny wyparłby się dzisiejszych klasyków a pochwalił romantyków, a mało dziś znany poeta Bronisław Szołajski w wierszu p. t. *Elizium*, porównywał zmianę, jaka zaszła w poezyi polskiej, do przemienienia Pańskiego:

...Adam uderzył w lutnię... zamilkli poeci...
Zdeptany dawny Parnas z drżeniem się rozpierzcha;
Tylko Bohdan, Goszczyński stoją blisko niego,
Patrząc, jak apostoły, w przemienienie Pańskie.

Zapewne jednak najbardziej interesującą ze wszystkich znajomości literackich, nowozawiązanych we Lwowie, była dla Bohdana znajomość z imiennikiem jego, Wacławem Zaleskim, z którym już, jak wiemy, przed przyjazdem do Lwowa porozumiewał się listownie. Wszak to Wacław z Oleska, podobnie jak Bohdan, przejęty był głębokiem uwielbieniem dla wdzięku i szczerości pieśni ludowej, w szczególności ruskiej, był niestrudzonym zbieraczem pieśni ludowych na gruncie galicyjskim i w chwili przyjazdu Bohdana do Lwowa miał już przygotowany do wydania obfity, blizko półtoratysięczny zbiór *Pieśni ludu galicyjskiego*, który w rok potem wyszedł z druku, poprzedzony obszerną, gruntowną rozprawą wydawcy. Rozprawa ta świadczyła i o szerokiem jego wykształceniu i o głębokiem zamiłowaniu w poezyi ludowej [1]).

---

[1]) »Urodzony na wsi, trawiąc pierwsze życia lata w ustronnem

W myśl »wielkiego Herdera«, o którym pisał, że »imienia jego bez czci wymawiać się nie godzi«, podnosił ogromne znaczenie ludowej pieśni dla rozwoju poezyi narodowej i przy tej sposobności składał hołd Mickiewiczowi i Zaleskiemu. »Tak zwana mowa wyższa, wygładzona, przysposobiona, wygodna do codziennego użycia zastosowaniem ogólnych trybów w całej niemal Europie upowszechnionych, właśnie tem codziennem użyciem zużywała się, podstarzała, że tak rzekę, zbrukała; czasby ją odnowić, wyprać w nigdy nieustającem źródle przyrodzenia, które z równą zawsze mocą wytryska z piersi człowieka, nieodłączającego się od natury... Smak dobry na tem nie straci, owszem zyska zapewne. Silnym tego dowodem są utwory tegoczesnych poetów, jak u nas Mickiewicza, Zaleskiego etc. Poezye ich, bez względu na myśli, zachwycają nas świeżością języka i czemś nowem w sposobie wysłowienia się, czego odrazu pojąć nie możemy, a co przy dokładniejszem zastanowieniu objawia nam się, jako sposób wyrażania się ściśle do natury za-

---

zaciszu, pokochałem te pieśni, które tak przyjemnie wiek mój dziecięcy kołysały, i jako pierwsze pobudki rozwijającego się uczucia w rannej pamięci utkwiły. Przywiązanie to wyssane z mlekiem, wciągnięte z powietrzem, i nadal się utrzymało. Gdy przyszło z powołania udać się do miasta i tam pozostać, zatęskniłem za wsią, za owym rodzinnym dworem, za owemi lipami, pod któremi, będąc chłopcem, tak się swobodnie bawiło. Przychodziły na pamięć i gaje i łąki i owe rozłożyste łany i ten staw blizko dworu: wszystko to było przedmiotem żałoby, nawet i owe błota, po których się krzykliwe rozpłaszało czajki. Następowało rozrzewnienie, które tylko pieśni w dzieciństwie słyszane ukoić zdołały. Komu się kiedy wydarzyło w obcej, odległej krainie usłyszyć nagle dźwięk narodowej piosneczki, którą może w pierwszej młodości śród krewnych i przyjaciół i sam nieraz zanucił, jeżeli zważał na rzewność uczuć swoich, ten mię łatwo pojmie«. (Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego, Lwów 1833. str. IV).

stosowany i od ludu, zwłaszcza w pieśniach jego, zwykle używany« [1]).

Rozprawa ta prawie w całości wydrukowana była na rok przed wydaniem *Pieśni ludu galicyjskiego* i pojawiała się w listopadzie 1831 r. w *Rozmaitościach* lwowskich, jakby umyślnie na powitanie Bohdana. Jak była przyjętą przez niego, jak musiała pociągać ku jej autorowi naszego poetę, domyślić się łatwo. Wszakże w szczegółach stosunek Bohdana z Wacławem z Oleska nie jest nam znany; wiemy tylko, że jemu zawdzięczał Bohdan uzyskanie paszportu, gdy na wiosnę 1832 wypadło mu opuścić Galicyę i udać się do Francyi, przypuszczamy też, że z jego zbioru pieśni, w późniejszych czasach, zasięgnął treści do niejednej ze swoich dumek. Możnaby się też domyślać ze wspomnianej już własnoręcznej notatki poety, że za pośrednictwem Wacława z Oleska wchodził on wtedy w jakieś stosunki z Rusinami lwowskimi, w notatce tej bowiem wzmianka o Rusinach następuje bezpośrednio po wzmiance o uzyskaniu paszportu »przez Wacława«.

Jednym z zaszczytów, jakie spotykały Bohdana we Lwowie, był wiersz napisany na cześć jego przez Maurycego Gosławskiego. Nosi on tytuł: *Wieszcz Ukrainy, Fantazya z koncertu Karola Lipińskiego.* Data położona pod tym wierszem: »23 marca 1832«, pozwala domyślać się, że była to jakaś improwizacya, utworzona bezpośrednio po koncercie znakomitego skrzypka, wiemy bowiem skądinąd, że w istocie w dniu tym odbył się koncert Lipińskiego. Można się i więcej domyślać, że ta improwizacya powstała na uczcie, po koncercie na cześć mistrza wydanej, na której był także i Bohdan Zaleski. Jeżeli tak było, to *Fantazya*, pod wpływem toastów i świeżych wrażeń koncertowych, musiała sprawiać o wiele

[1]) Pieśni ludu galicyjskiego str. XX i XXI.

silniejsze wrażenie, niż dziś, czytana na zimno, bez dokładnej znajomości stosunków, wśród których powstała. Dziś razi nas ona trochę deklamacyjnością tonu, choć ani polotu fantazyi, ani bardzo śpiewnej formy nie można jej odmówić. Dla nas najgodniejszą jest uwagi z tego oto względu: są w niej jakby alluzye do jakiegoś szczególnie serdecznego stosunku Bohdana z jakąś przedstawicielką płci pięknej we Lwowie, jedną z tych »pięknych i uprzejmych« Galicyanek, o których wspominał Jełowicki, a zarazem i do sytuacyi Bohdana, który niebawem miał opuścić Galicyę i udać się w daleki świat na życie tułacze. Jest tam bowiem ciągle mowa o załzawionej gwiazdce na niebie, która wpatruje się w posębny obłok i pragnęłaby go zatrzymać, kiedy tymczasem on, nabrzmiały cierpieniem ojczyzny, musi płynąć dalej.

Widzisz gwiazdkę nad obłokiem?
    Osłoniona lekką mgłą,
Patrzy w niego łzawem okiem,
    Cała zda się łzą.
A on czarną kiru chmurą,
Jak sęp, odział pierś ponurą,
Nieruchomy, niedostępny,
Zawisł u jej stóp posępny,
    Jak rozpaczy tło.

Odwróć oczy, Jutrznio świtu!
Jasna na rodzinnem niebie!
Tułacz, syn ziemskiego bytu,
Nie dla ciebie, nie dla ciebie

. . . .

Gwiazdo świtu! Z Ukrainy
Przypłynął ten obłok luby,
Bez ojczyzny, bez rodziny,
Po szerokim, pustym świecie
Płynie, gdzie go wicher miecie,
Pędzony tchnieniem zaguby.

. . .   .

Nie patrz w niego, gwiazdo blada!
Niech się własnym ogniem trawi,
Jasność, co od ciebie pada,
Szczęścia jego dniom nie nada,
Tylko silniej pierś zakrwawi.
. . . .
Wieńców szczęścia mu nie wolno
Na męczeńską przywdziać skroń,
Pokąd śmiercią tam powolną
Kona Matka Ukraina.
Odwróć oczy od jej syna
I łzy gorzkie nad nią roń i t. d.

Kto był tą gwiazdą, pragnącą zatrzymać wędrowny obłok ukraiński na horyzoncie lwowskim? czy też może była ona tylko usymbolizowaniem zbiorowego uwielbienia czułych na głos poezyi Lwowianek dla młodego poety? tych wątpliwości dzisiaj rozstrzygnąć nie mamy sposobu. W każdym razie fantazya ta świadczy, że były żywe pragnienia we Lwowie, aby powstrzymać Bohdana od wyjazdu w daleki świat obcy i skłonić go do pozostania na miejscu, co jednak spełnić się nie mogło, i że ta sytuacya poety w gronie przyjaciół jego była dobrze znaną.

Cóż zmuszało Bohdana do opuszczenia Lwowa i udania się w daleką podróż do Paryża? Przy ówczesnem usposobieniu władz politycznych galicyjskich dla emigrantów, którzy jeszcze nie mieli czasu rozwinąć konspiratorskiej działalności w Galicyi, niewątpliwie mógł Bohdan sądzić, że udałoby mu się znacznie przedłużyć swój pobyt w tej prowincyi, i że możeby nawet znalazł sposoby stałego w niej osiedlenia się. Ale był on członkiem sejmu polskiego, poczuwał się do pewnych obowiązków, które na niego ta godność nakładała i zdaje się, że do tego poczucia odnosiły się pewne alluzye w wierszu Gosławskiego. Otoż sejm, który tak niedołężną

rolę odegrał w powstaniu [1]), po wyjściu z kraju nie sądził bynajmniej (przynajmniej w większości swoich członków), ażeby się rola jego skończyła, chciał funkcyonować dalej *in partibus infidelium*, i łudzić się pozorami własnego znaczenia w grze interesów europejskich. Do przedłużania swej roli znajdował upoważnienie w uchwale sejmowej, która zapadła jeszcze w lutym 1831, pod wrażeniem trwogi po bitwie grochowskiej, a która stanowiła, że nawet za granicą sejm może prawomocnie obradować i wydawać postanowienia, jeżeli tylko 33 posłów zbierze się w jednem miejscu [2]). Spieszno więc było wielu posłom skorzystać z tej uchwały i kiedy już w styczniu 1832 znalazło się dziewiętnastu posłów w Paryżu, zebrali się oni, aby uznać potrzebę co najprędszego zgromadzenia w tem mieście upoważniającej do funkcyonowania sejmu ilości jego członków i zobowiązali się do zwoływania kolegów do Paryża. Z bliższych znajomych Bohdana w tem gronie 19 stu byli: Lelewel, Pietkiewicz i Żwierkowski i od nich to, a przynajmniej od jednego z nich, musiał otrzymać i Bohdan wezwanie, aby co prędzej przybywał do Paryża i umożliwił zebranie się kompletu.

Co ten sejm mógł sprawić, jaką korzyść przynieść sprawie narodowej, wyrzucony za granicę, niewiele zapewne zastanawiał się nad tem nasz poeta, ale wierzył tym, którzy domagali się jego zebrania w Paryżu i utrzymywali, że to jest rzecz niezmiernie ważna dla przyszłości narodu. Wraz z nim otrzymali podobne wezwanie i inni posłowie, którzy przebywali wówczas we Lwowie,

---

[1]) Zob. charakterystykę sejmu w dziele Gadona, Emigracya Polska. T. II, str. 186—190.

[2]) »Uchwała ta, powiada dowcipnie Gadon (l. c. str. 190), stała się powodem, że przez długie jeszcze lata Sejm stał się istnym obrazem owych legendowych potępieńców, którzy za ciężkie grzechy w śmierci nawet spokoju nie znajdują i od czasu do czasu się zrywają, by bladem swem widmem żyjących ludzi trapić«.

i oni także byli temu wezwaniu posłuszni. Między nimi był i Worcel, z którym nasz poeta przyjechał do Lwowa, i z którym teraz, zapewne w końcu kwietnia 1832, wyruszył w drogę do Paryża.

Po drodze zajechali do domu Tetmajerów w Mikołajowicach pod Tarnowem, tak serdecznie opisanego w *Podróży do Tatrów* Goszczyńskiego, gdzie gospodarował wraz z matką młodszy Tetmajer, Józef. Ten, wracając z powstania do domu, zabrał był z sobą Goszczyńskiego i Goszczyński przepędził tu w Mikołajowicach, w ciepłej atmosferze grona rodzinnego Tetmajerów, kilka miesięcy zimowych, dzieląc czas swój pomiędzy dwa bardzo różne zajęcia: tłómaczenie Pieśni Ossyana, którego właśnie wówczas dokonał w ciągu dwóch miesięcy, i pierwszą bardzo naiwną, ale też i bardzo jeszcze niewinną w skutkach próbę konspiracyi na gruncie galicyjskim [1]). Ale Goszczyńskiego, dla którego głównie zjeżdżał Bohdan z drogi, nie zastali już nasi podróżni w Mikołajowicach; z początkiem wiosennej pory pojechał ze starszym Tetmajerem, Leonem, do jego majątku w górach, do Łopusznej, aby tam z blizka przypatrzeć się Tatrom. Więc i oni

[1]) O tej próbie, podjętej w porozumieniu z Józefem Tetmajerem, pisze Goszczyński w *Zapiskach do moich pamiętników* (Teka VII): »Pamiętam główną myśl tego projektu: zasada demokratyczna, główna rola dla szlachty, najwyższa władza przy Kole, przez pamięć Koła sejmowego dawnej Rzpltej Polskiej, podrzędne władze składały się z Wojewodów, Kasztelanów, Starostów i cała Polska związkowa podzielona stosownie do tych władz, zgoła stara Rzeczpospolita tajemnie żyjąca. Na dzień umówiony pojechaliśmy do Poca (bardzo wziętego w okolicy adwokata w Tarnowie, na którego udział Goszczyński i Tetmajer wiele liczyli). Znaleźliśmy u niego jednego czy dwóch Bohuszów z Rzemienia, zamordowanych w 1846 i jeszcze kogoś, nie pamiętam. Wysłuchali, co im przeczytałem, pokazali się dobrymi patryotami, ale widziałem, że nie wiem, dla jakich powodów, rzecz cała na nich nie zrobiła wrażenia — i na tem się skończyła pierwsza moja próba konspiracyi w Galicyi«.

puścili się za nim do Łopusznej i skorzystali z tej wycieczki, aby choć z brzegu coś zachwycić z uroczystej piękności Tatr.

Jak był rad Goszczyński z tego, zapewne niespodziewanego, przyjazdu przyjaciela, łatwo sobie wyobrazić. W *Podróży do Tatrów* opisał pokrótce wycieczkę razem z nim odbytą do Zakopanego i doliny Kościeliskiej. »Jeden z moich najstarszych przyjaciół, powiada on tam, mający przed sobą daleką i pilną podróż, raczył zboczyć z drogi z towarzyszem podróży dla odwiedzenia mię w moim podhalskim zakącie. Świat góralski był mu równie, jak mnie, nieznany: miał ciekawość, równie jak ja, zajrzeć mu w oczy choć pod zasłonę«. Było to w pierwszej połowie maja, słotna pora nie sprzyjała wycieczce, a jednak, powiada Goszczyński, »mimo ścieżek rozmokłych, mimo mgły gęstej, ćmiącej najbliższe nawet przedmioty, a leżącej na miejscach dalszych i na wyższej części gór otaczających dolinę, byliśmy nieraz wzruszeni, zadziwieni, upojeni, porwani urokiem miejsca, którego nie mogła zagasić sama niepogoda«. Poraz pierwszy stawali tu przed obliczem górskiej przyrody, z którą ani na stepach Ukrainy, ani na piaskach Mazowsza spotkać się nie mogli.

Niepogoda nie pozwoliła im dalej zapuścić się jak do Smereczyńskiego stawu; stamtąd wprost pojechali do Nowego Targu, gdzie nastąpiło pożegnanie. »Była to chwila jedna z najrzewniejszych dla mnie w moim tu pobycie, mówi Goszczyński w *Podróży do Tatrów*. Rozstawałem się z najdawniejszym moim przyjacielem, abyśmy wkrótce znaleźli się o kilkaset mil od siebie i Bóg wie, na jak długo. Z tem rzewnem uczuciem, nie bez łez zobopólnych, pożegnaliśmy się i w kilka minut byliśmy już na naszych drogach — on ku zachodowi, a ja ku

wschodowi«[1]. Rozjeżdżali się w różne strony, aby pełnić to, co im w ich przekonaniu obowiązek narodowy nakazywał: jeden przez kilka lat miał konspirować w Galicyi, popierając takie wyprawy, jak Zaliwskiego i Konarskiego, które nieobliczone klęski ściągnęły na naród, drugi trochę krócej, ale zawsze dość długo, miał brać żywy udział w sejmikowaniu mrowiska emigracyjnego, wytwarzającem atmosferę

Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów.

Przejeżdżając przez Kraków, Bohdan i jego towarzysz zatrzymali się dzień jeden, aby złożyć hołd prochom królewskim na Wawelu[2]). Tu było ostatnie jego pożegnanie z krajem. O dalszej jego podróży do Francyi wiemy tylko tyle, ile nam przynosi list jego do p. Muszyńskiego, zaczęty w Zurichu 14 lipca, dokończony w Strasburgu 19 lipca 1832, a także kilka wyjątków z innych listów współczesnych, które podały *Rozmaitości lwowskie* z tego roku (Nr. 34). W liście do Muszyńskiego usprawiedliwiał się naprzód Bohdan (a usprawiedliwienie, jak się domyślam, głównie było zwrócone do pani Muszyńskiej), że tak długo — zapewne wbrew naleganiom i przyrzeczeniom — nie pisał do nich po wyjeździe ze Lwowa. »Wierzaj mi, zacny i kochany Panie! nie jestem niewdzięczny — i długie milczenie moje nie wynika z opieszałości lub złej woli, ale z samejże podróży. Nigdy tym sposobem nie śmiałbym się tłumaczyć przed kobietą — ale piszę do mężczyzny, a wyrozumiałość (mówię to bez samochwalstwa) właściwszą jest płci naszej. Wiesz, Panie, najlepiej, co to jest podróż daleka pod pięknem a nie

---

[1]) Dziennik podróży do Tatrów. Petersb. 1853, 65—68.
[2]) Dr. A. Okińczyc. Kilka dat i szczegółów z życia J. B. Zaleskiego. Rps.

swojem niebem. Nieustanna ruchoma rozmaitość przedmiotów żywego i nieżywego świata — coraz to nowe widoki, obyczaje, stosunki, trzymając myśl ciągle w pracy i natężeniu, a uczucie, wyobraźnię, fantazyę, wiecznie to w grze, to w rozstrojeniu, czynią człowieka niezdolnym do zdania sprawy, nawet przed sobą samym, ze wszystkiego, co widzi — co czuje. Wtenczas to w dziwnem zadumaniu najsprawiedliwiej mógłby zawołać: nie przeszkadzajcie mi! nie mam — o nie mam czasu! I dla tej to przyczyny listy wędrowników z najsławniejszych okolic są pospolicie zimne, suche i krótkie. Dzieje się tak w zwyczajnej podróży — a cóż dopiero w niezwyczajnej, w podróży tułaczów polskich, którym tu najświatlejsi, najszlachetniejsi ludzie Szwajcaryi i Niemiec, z pociechą, radą i pomocą wzięli się wydrzeć resztę czasu przeznaczonego na wytchnienie i spoczynek. Nie należy się tedy dziwić, jeżeli nie tak często pisujemy, jakośmy powinni«.

List, w taki sposób rozpoczęty przed samym wyjazdem z Zurichu, powiózł z sobą w dalszą drogę, ażeby go, przy pierwszem nieco dłuższem zatrzymaniu się w drodze, dokończyć, ale takiem pierwszem miejscem była Szafuza, a tu »przy wspaniałym, odurzającym wodospadzie Renu... nie można było myśleć o listach«. Miał przytem za towarzysza podróży, jakiegoś Anglika, który »wbrew zwyczajowi swojego narodu na popasach i noclegach dowcipnem opowiadaniem mnogich, dziwnych przygód i miłostek z dziewięcioletniej po wszystkich częściach świata wędrówki« — pokradł mu »długie i najspokojniejsze godziny«. Dojechał tedy z niedokończonym listem aż do Strasburga, i tu już miał czas na jego dokończenie, ale kiedy się zabrał do tego, tyle miał do opowiedzenia, że nie wiedział, jak sobie dać radę z tą obfitością szczegółów, które się cisnęły w nieładzie pod pióro.

Więc zapytywał siebie: »od czegóż zacznę? co na-

przód opiszę?« i tak pisał dalej: »Gdybym chcąc przyjaciołom dać jakiekolwiek wyobrażenie o mojej podróży, opisał dzień jeden — jedną godzinę, z pełnością uczucia i rozmaitemi wrażeniami, jakich doznawałem — musiałbym potrzebować kilku najmniej arkuszy; takie są bogactwo, świeżość i interes przedmiotów. Długo o długo — bez końca byłoby pisać, aby zlepić można choć suchą treść niezliczonych wydarzeń kilkumiesięcznej wędrówki. Cóż więc będzie? nie wiem. O jednej części podróży mojej przez Karpaty, Kraków, Ołomuniec aż do Wiednia i do granicy bawarskiej, roztropność doradza zamilczeć. Oprócz tego są albo będą w Galicyi osoby, jako to Tetmajer, Sartyni, F. Żardziński etc., które chociaż w części opowiedzieć są w stanie o wszystkich nieprzyjemnych próbach, jakie przebyłem. O pobycie moim w Bawaryi, Wirtembergii i kilku kantonach szwajcarskich posłałem do Lwowa chociaż niedokładną wiadomość w dwóch długich listach z Lucerny — do Krechowieckiego i do państwa Żardzińskich, z prośbą aby też komunikowane były domowi twemu, zacny i kochany Panie! Zresztą umyśliłem, jak się cokolwiek ustalę w Paryżu, w Brukseli lub gdzieindziej, wygotować obszerne pismo o całej mojej podróży i takowe na wieczory zimowe posłać lwowskim przyjaciołom moim. Będzie tam wiele rzeczy ciekawych i zajmujących; będzie pełno śmiechu i płaczu, i płacz dwojaki i śmiech dwojaki: śmiech wesołości lub wzgardy, — płacz radości lub tęsknoty. Słowem wszystko będzie tak oryginalne i rzewne, jak jest rzewne i oryginalne położenie tułacza polskiego«.

Spostrzegając, że »wylał morze słów bez treści i związku«, a właściwie nic wyraźnego o podróży swojej nie powiedział, chciał na zakończenie listu, przynajmniej w ogólnych rysach, dać obraz tego entuzyazmu, z jakim Niemcy witali wszędzie i przyjmowali dążących do Francyi emigrantów polskich. O tym entuzyazmie, jeszcze za pobytu Zaleskiego we Lwowie, dochodziły do Galicyi li-

stowne wiadomości, ale Polakom galicyjskim, którzy znali tylko Niemców austryackich, wydawały się tak dziwnemi, że podejrzewano je o przesadę. Otóż Bohdan pisał: »W domu twoim, kochany Panie! zdarzyło mi się czytać prosty, szczery, nieuczony list kolegi mego Radziejowskiego... Wszystko, co Radziejowski pisał o przyjęciu u Niemców, jest najrzetelniejszą prawdą. Galicya nie może mieć o tem ani wyobrażenia. Mimo ciągłego od kilku miesięcy przychodu Polaków, różnych światłem i wychowaniem, nie oziębły ani na chwilę serca poczciwych Niemców. Zawsze ten sam zapał, toż samo spółczucie i toż samo poświęcenie się dla pielgrzymów naszych. Wciąż u bram swoich miast czatują na Polaków, porywają do swoich rodzin, karmią, odziewają, opłakują i wyprawiają, jak synów lub braci. Oberżyści i kupcy są w zmowie i za nic nie przyjmują od nas pieniędzy. Słowem — najszczersza prawda, co opisywał Radziejowski — aż do całusów pięknych i dobrych niemieckich kobiet. Mogę o tem zaświadczyć najlepiej, bo sam takich całusów nie jeden, nie dziesięć dostałem. Jest to niejako uroczysty obrzęd przyznania Polaka za brata. Dzieje się to publicznie, zwykle w ogrodzie lub w domu — wobec mnóstwa krewnych, przyjaciół, kochanków i znajomych. Młode mężatki i panny zbliżają się po kolei do naszych, całują ich najserdeczniej w usta, dodając słowa: »Drogi bracie! nadzieja! wytrwałość!« — Na nieszczęście całują dopiero na pożegnanie, kiedy są niemal pewne, że ich i nasze serca nigdy się do siebie więcej na ziemi nie zbliżą. Otóż kobiety! wszędzie jednakie, zawsze pełne wybiegów! Zemszczę się kiedyś zato straszliwie sentymentalną satyrą. Znam atoli wielu młodszych koleżków, którym te niewinne upominki dobrych dziewcząt ciężko pozawracały głowy: ale i dla starszych nie są bardzo bezpieczne«.

»W takiej rozkosznej atmosferze, śród braterskich uczuć i rodzinnego przyjęcia — nie dziw, jeśli dusza Po-

laka roztkliwia się aż do rozpaczy; strata ojczyzny i narażenie sprawy ludów, nasza sława i niedola, rozdzierają i trawią serca, co biły niegdyś tak żywo dla wszystkiego, co wielkie, piękne, szlachetne. Istotnie, — wolałbym stokroć z niepożegnaną bracią i dawnymi towarzyszami broni spoczywać gdzieś w grochowskim gaju olszowym pod wspólną mogiłą: niż być na godach niemieckich z okropnem przekonaniem, żeśmy nie zrobili tyle... ile mogli i powinni byli zrobić. Przekleństwo niech ściga wielu naszych wodzów i obskurantów!!! Ziomek nasz Kosiński w tem rozpaczliwem uczuciu, po najserdeczniejszem przyjęciu w Ulmie, w łeb sobie wypalił. Zrozumieli szlachetni Niemcy powód samobójstwa... Katolicy i Lutrzy z największą uroczystością i najtkliwszem poszanowaniem spólnie go grzebali, a kapłani obudwu wyznań łącząc modły i mowy na jego grobowcu, błogosławili razem pięknej duszy młodzieńca«.

Przez to miasto, gdzie tak serdecznie przyjmowano wychodźców polskich, że ta serdeczność doprowadzała aż do tragicznych wybuchów żalu, i Bohdanowi Zaleskiemu wypadło przejeżdżać i doznać na sobie entuzyazmu ulmskich Niemców dla sprawy polskiej. Dowiadujemy się o tem z *Rozmaitości lwowskich* z r. 1832 (Nr. 34), gdzie jakiś korespondent strasburski donosił naprzód o rozrzewniającej niespodziance, jaką Mickiewiczowi urządziły panienki strasburskie, zaśpiewawszy wobec niego w pewnym salonie po polsku: »Wilija naszych strumieni rodzica«, a następnie pisał: »Podobne rozrzewnienie zrobiła rodzina Sattlerów Bogdanowi Zaleskiemu w Ulmie dumką o Kosińskim. Pan Sattler czyta chętnie polskie książki i tłumaczy poetów [polskich] na język niemiecki. Tamże w Ulmie litografowano popiersie tego sławnego poety, Bogdana Zaleskiego, a niejaki pan Hochbach przysłał mu do Zürich wykonany przez siebie niemiecki przekład trzech

jego kawałków, to jest »Śpiew poety«, »Jezioro spiewające«, i »Pielgrzym w obcym kraju«.

Przy ówczesnem entuzyastycznem usposobieniu Niemców dla sprawy polskiej łatwo zrozumieć, jakim urokiem otoczoną była w ich oczach postać Bohdana Zaleskiego, w którym widziano i sławnego poetę, i żołnierza wolności.

Z tego samego źródła dowiadujemy się, jak wielkie wrażenie wywarła na Bohdanie przyroda Szwajcaryi i jak podniecająco na niego oddziałała; co więcej znajdujemy przy tej sposobności podany urywek z wiersza jego, skądinąd zupełnie nieznanego. »Piękne okolice Szwajcaryi pisze korespondent strasburski, wzbudziły ducha poety i natchnęły mu niejedną myśl, którą w przyszłych swoich utworach rozwinie. W liście swoim do jednego z przyjaciół tak się sam wyraża. »Szczególniejszej tu na sobie doświadczyłem odmiany, zmartwychwstania wszystkich dawno minionych lub w głębi serca utłumionych uczuć i odrodzenia się na duchu poetyckim i moralnym. Jestem, jakim byłem przed laty. Znowu miłość i pieśń jest, jak powietrze, potrzebą mego żywota«. W późniejszym swoim liście tak mówi: »Wszystko, com w pięknej mojej podróży po Szwajcaryi widział, czuł, doświadczył, zaginęło już w rzeczywistości i tylko fantastyckie, ruchome, skrzydlate obrazy, rozjaśnione łzą poetycką, uwijają się wciąż po myśli i igrają przed oczyma duszy. Nie zginą dla mnie cuda natury, bo natura, jak miłość, jest pamięcią serca poety. Zupełnie stanie się tak, jak w jednej mojej niedrukowanej fantazyi powiedziałem:

I na lasy, góry, niwy,
W dźwięku moich słów,
Jak w jeziorze
Niebios zorze,
Blask, woń, barwa, wszystkie dziwy,
Swiat i żywy i nieżywy,
Odbiją się znów;

Co wam śni się i co nie śni,
Jawą, jaśnią jest w mej pieśni«[1]).

Ta strofa jest jakby rozwinięciem w nader kunsztownej formie rytmicznej tych krótkich wyrażeń ze *Śpiewu poety*: „Świat odbija moja dusza — Jak zielony brzeg krynica«, a to, co w przytoczonych urywkach z listów mówi Zaleski o zmartwychwstaniu dawno minionych uczuć, o odrodzeniu się na duchu poetyckim i moralnym, prowadzi nas do następujących refleksyi. Spiskowe roboty, rewolucya, wojna, udział w sejmie, pobyt we Lwowie pod ciągłem wrażeniem ledwie przebrzmiałej burzy rewolucyjnej, wszystko to utrzymywało duszę poety w stanie jakiegoś rozerwania, czy może lepiej powiedzieć napięcia, przy którem krynice jego natchnienia uciekały gdzieś głęboko w czeluści serca, przy którem niezdolny był nic tworzyć. W Szwajcaryi, pod wpływem majestatycznej przyrody, z jaką się dotychczas nie spotykał, pod wpływem spokoju, jakim ta przyroda tchnęła, dusza jego przynajmniej na chwilę, otrząsła się z wrażeń, które ją przez dwa lata blisko przygniatały, rozprostowała się, otwarła się na przyjęcie cudów, dotąd sobie nieznanych, a na które tak była wrażliwą, i poczuła znowu w sobie zdolność i chęć tworzenia. Pod wpływem rozbudzonej nagle poetyczności w duszy, poeta zaraz zaczął snuć plany literackie i nawet je wykonywać. W cytowanym już liście strasburskim do *Rozmaitości* lwowskich znajdujemy wiadomość, że »w Szwajcaryi zaczął pisać dziwnie fantastyczny romans pod napisem »Miłość i poemat« z dziejów swojej młodości; ma on służyć za wstęp do powie-

---

[1]) Reminiscencyę ostatnich wierszy znajdujemy w jednej strofie »Pieśni Bukata« (ze Złotej Dumy),

Co nam śni się i co nie śni,
Wszystkie naszych dziejów dziwy,
Świat i żywy i nieżywy,
Wnet, jak jawa, zabrzmią w pieśni!

ści »Wieczornice«, które tenże autor stanąwszy u celu swojej podróży, drukiem ogłosić zamyśla«. Dowiadujemy się wreszcie stamtąd, że w Szwajcaryi napisał jakiś »piękny wiersz do pewnej Polki« [1]).

Ale to »odrodzenie się na duchu poetyckim i moralnym« nie mogło trwać długo, wrażenia z obcowania z przyrodą szwajcarską zatarły się prędko po przybyciu do gwarnego Paryża i pod wpływem rozmaitych spraw emigracyjnych, które naszego poetę zaraz po przyjeździe zaczęły oplątywać.

Francya wogóle, a Paryż w szczególności stał się głównem zlewiskiem emigracyi polskiej. Tutaj, nie mówiąc już o ciekawości poznania najświetniejszej stolicy europejskiej, ciągnęło ją wiele różnych względów, a w szczególności nadzieja, że tu znajdzie ona najżywsze tradycyjne współczucie dla losów Polski, że stąd najłatwiej będzie mogła objąć okiem horyzont polityczny i najprędzej dopatrzyć jakiegoś ruchu europejskiego, który sprawę narodową polską podniesie i dręczonym myślą o świeżej klęsce pozwoli wkrótce, przy obcej pomocy, nanowo a szczęśliwiej walczyć z wrogiem. Kto tylko więc miał własne fundusze, spieszył do Paryża, inni, pozbawieni środków pieniężnych, przybywając do Francyi, musieli jechać do tak zwanych Zakładów, to jest do miast, wyznaczonych im przez rząd, gdzie otrzymywali żołd, ale zostawali pod władzą prefektów.

Do Paryża spieszyli przedewszystkiem ci, którzy wybitniejszą rolę odgrywali w powstaniu, a między nimi jednym z pierwszych był Lelewel. Jeszcze przed końcem 1831 r., zanim większa fala emigracyjna napłynęła do Francyi, zaczęły się próby utworzenia w Paryżu jakiegoś komitetu narodowego, któryby reprezentował emigracyę i roztaczał opiekę nad nią. W listopadzie, w nielicznem

---

[1]) Rozmaitości lwowskie 1832 nr. 34.

gronie wychodźców, obrano taki komitet z pięciu posłów złożony, między którymi był i Lelewel, pod prezydencyą ostatniego prezesa rządu rewolucyjnego, Bonawentury Niemojowskiego; w grudniu na żądanie napływającej emigracyi, w liczniejszem, ale także niezbyt licznem gronie (przeszło ośmdziesięciu), powtórzono wybory i wybrano innych, niż przedtem, członków komitetu, z wyjątkiem Lelewela, który nietylko pozostał w nowym komitecie, ale i został teraz jego prezesem [1].

Już te pierwsze wybory rozbudziły ambicye i wywołały niechęci; przy napływie większej ilości emigrantów zaczęto zarzucać komitetowi narodowemu, iż przemawiając w imieniu narodu, przywłaszcza sobie rolę niewłaściwą, która powinna przysługiwać tylko sejmowi, i wtedy to poczęto czynić starania o ściągnięcie takiej liczby posłów do Paryża, któraby umożliwiła, według uchwał dawniejszych, legalne otwarcie sejmu. Z drugiej strony, emigranci usposobieni radykalniej, bardziej ulegający wpływom francuskiego otoczenia z jego najrozmaitszemi teoryami społecznemi, nie uważali komitetu narodowego za dosyć demokratyczny i 17 marca 1832 założyli osobne Towarzystwo Demokratyczne Polskie, które jednak w początkach swego istnienia słabo się rozwijało. Wreszcie bardzo liczni emigranci, rozmieszczeni po tak zwanych Zakładach na prowincyi, nie chcieli uważać komitetu paryskiego, czyli tak zwanego lelewelowskiego, za swoje przedstawicielstwo, za swoją władzę naczelną, ponieważ obrany był bez ich udziału w wyborach, i to przez nieliczne grono wychodźców. Powstał więc ruch nietylko na prowincyi, ale i w samym Paryżu, dążący do tego, ażeby utworzyć nowy komitet, oparty na powszechnych wyborach emigracyi.

---

[1] Walenty Źwierkowski. O sejmie w emigracyi. Poitiers 1839, str. 8—9.

Wówczas to wśród Polonii paryskiej wypłynęła na wierzch, jako najbardziej popularna, postać generała Dwernickiego. Wprawdzie on to pierwszy z generałów dał zły przykład przechodzenia z wojskiem za granicę, ale świetne zwycięstwo pod Stoczkiem taką mu wyjednało sławę, że uważano go za najwaleczniejszego z generałów polskich. A przytem niemałą tu zapewne odegrała rolę i ujmująca powierzchowność jego: »mile wyglądała z twarzy, z żołnierskiego obejścia się jakaś prostota, szczerość, polskość, serdeczność«, powiada o nim Domejko [1]).

Uczta, urządzona na cześć jego w Paryżu (7 sierpnia 1832), szczegółowo opisana w Pamiętniku emigracyi Podczaszyńskiego, była już wymownym objawem tej jego popularności, była jakby wstępem do zaszczytnego wyboru, jaki go miał niebawem spotkać, a godna jest uwagi jeszcze z tego względu, że zdawała się zapowiadać jak najlepszą harmonię wśród emigracyi polskiej na bruku paryskim. Było w niej coś sielankowego. »Obrano lokal w obszernym ogrodzie Pól Elizejskich, na ustroniu, w skromnym domku otoczonym zewsząd drzewami: było to zupełnie, jak na wsi, a my tak wieś kochamy!« pisał sprawozdawca w Pamiętniku emigracyi. W nieskończonym szeregu przemówień wznoszono toasty na cześć jenerałów: Dwernickiego i Umińskiego, na cześć »nieśmiertelnego« sejmu, Ledóchowskiego i Sołtyka, jako tych, którzy się dzielili zaszczytem autorstwa projektu detronizacyi Mikołaja, wojewody Ostrowskiego, wreszcie Lelewela, »jako literata i profesora, który naukami swemi zawsze usposabiał młodzież do rewolucyi«. Po mowcach, między którymi nie brakowało i Franciszka Grzymały, nie omijającego żadnej sposobności do oratorskich występów [2]),

---

[1]) Pamiętniki Ignacego Domejki (1831—1838), Kraków 1908, str. 112.

[2]) Mikołaj Kamieński we *Wspomnieniach* swoich opowiada:

wystąpili z oddaniem czci bohaterowi z pod Stoczka »bardowie«, między innymi młody oficer, ułan z korpusu Dwernickiego, Kajsiewicz, i weteran Napoleończyk, Antoni Gorecki, wreszcie świeżo przybyły do Paryża, a obecny na tej uczcie autor *Konrada Wallenroda*, który wywołany różnymi głosami biesiadników, »wystąpiwszy na środek sali, z zwykłym sobie talentem i łatwością improwizował przez kwadrans prawie, nie zatrzymując się, piękny wiersz na cześć Dwernickiego, oświadczając mu zgodne wszystkich rodaków uczucia«. Wiemy, też, że na tej uczcie znajdował się i Słowacki, i że Mickiewicz w bardzo przyjacielski sposób odnowił z nim wtedy znajomość, sięgającą jeszcze czasów wileńskich [1]).

Uczta ciągnęła się aż do nocy; »wszyscy się rozeszli — pisała Kronika Podczaszyńskiego — z radością na twarzy, żegnali się, jak bracia, i wszystkie opinie były zgodne, nieprzyjazne nawet osoby podawały sobie dłonie. Zapomniano nawet prawie na chwilę w obecności bohatera, że jesteśmy na obcej ziemi; każdemu się zdawało, że jest w Ojczyźnie, że tam okrytego laurami wojownika czułem powitaniem spotyka; młodzież zaś, patrząc na ten włos siwy, na tę twarz poważną i pełną dobroci, uważała Dwernickiego, jak ojca swego, którego po długiem niewidzeniu, po niebezpiecznie odbytej podróży, przyjmowała z synowską czułością, rzucając się w jego objęcia« [2]).

»W samej już chwili przechodzenia na pruską stronę, przypominam sobie p. Franciszka Grzymałę, wstępującego na kopiec graniczny i poczynającego piękną jakąś dla sprawy naszej pogrzebową mowę. Jakkolwiek znaną jest swada p. Grzymały, okoliczności nie były po temu. Są boleści, które wyjawiania nie znoszą. Słuchać mowy tej nie chciałem, kazałem maszerować«. Rocznik Tow. Hist.-lit. 1870—1872, str. 68.

[1]) Listy Jul. Słowackiego, wyd. L. Méyet, Lwów 1899, T. I, str. 128—129.

[2]) Kronika emigracyi. Broszura z d. 18 sierpnia 1832 p. t. Mieczysław II, str. 24.

Ale ta sielankowa harmonia emigracyjna, która się objawiła na uczcie na cześć Dwernickiego, rozwiała się razem z nastrojem bankietowym i stała się najmniej odpowiednią przegrywką do hałaśliwych i zaciętych sporów, jakie w dalszym ciągu podejmowano na wiecach emigracyjnych w Paryżu w najrozmaitszych sprawach, a przedewszystkiem w sprawie komitetowej. Te wiece odbywały się albo w pewnym domu przy ulicy Taranne (nr. 12), gdzie rej wodził Lelewel i jego komitet, albo w hotelu Vauban przy ulicy St. Honoré, gdzie zbierali się zwolennicy wybrania nowego komitetu. Ci ostatni doprowadzili swój zamiar do skutku i w październiku 1832 r. przeciwko komitetowi Lelewelowskiemu stanął komitet z ogólnych wyborów, do którego prócz innych obrano kilku generałów i kilku posłów, a w tej liczbie samegoż Lelewela, ale godność prezesa dostała się nie jemu, tylko generałowi Dwernickiemu. Lelewel widocznie czuł się dotkniętym, bo do komitetu nowego nie chciał należeć, a za nim poszło paru innych komitetowych posłów, zbliżonych do niego (Źwierkowski, Worcell).

Bohdan przyjechał do Paryża jeszcze przed utworzeniem komitetu Dwernickiego, pod koniec lipca, na kilka dni przed ucztą na cześć generała, a w kilka tygodni po rozruchach ulicznych (5 i 6 czerwca) wywołanych pogrzebem bardzo popularnego w massach paryskich gen. Lamarque. Rozruchy te były tylko dalszym ciągiem stale powtarzających się w Paryżu od czasów rewolucyi lipcowej zaburzeń i świadczyły, jak ciągle jeszcze rewolucyjnie nastrojonym był tłum stołeczny, a ponieważ brali udział w tych rozrucbach i Polacy, ponieważ tym rozruchom towarzyszyły objawy sympatyi tłumu dla emigracyi polskiej [1]), rząd francuski coraz podejrzliwiej zaczął traktować tę ostatnią.

---

[1]) W wyjątkach z dziennika hr. Rudolfa Apponyi'ego, członka

Co się tyczy sejmu, liczba posłów zebranych w Paryżu daleką jeszcze była od 34, to jest od liczby potrzebnej do legalnego otwarcia sejmu, mimo to jednak toczyły się już obrady poselskie, tak zwane familijne, to jest bez urzędowej formy, a główną w nich rolę obok Lelewela odgrywał wojewoda Ostrowski, brat marszałka sejmu [1]), niefortunny naczelnik warszawskiej gwardyi narodowej, a najgorliwszy zwolennik sejmowania *in partibus infidelium*. Te obrady odrazu chwyciły Bohdana w swój wir i zamęt; podpis jego znajdujemy już na adresie tułaczów polskich do parlamentu angielskiego, przedłożonym przez Lelewela jeszcze w czerwcu 1832 na jednem z takich familijnych posiedzeń sejmowych [2]).

W kilka dni po przyjeździe Bohdana, zjawił się i Mickiewicz w Paryżu i natychmiast między dwoma tymi poetami, przodującymi ówczesnej poezyi polskiej, którzy się dotychczas znali i byli zaprzyjaźnieni z sobą tylko pośrednio, przez listy i utwory poetyckie, zawiązał się nadzwyczaj ścisły stosunek przyjacielski, bezpośredni, oso-

---

ambasady austryackiej z tych czasów w Paryżu i naocznego świadka wielu ówczesnych zaburzeń ulicznych paryskich, znajdujemy wiadomość, że pomiędzy chorągwiami, któremi wóz pogrzebowy był okryty, znajdowała się i polska, i że w ataku na straż wojskową przy Banku przewodniczył jakiś półkownik polski. (La ville et la cour sous le règne de Louis-Philippe, extraits du journal du comte Rodolphe Apponyi. Revue des deux mondes z 15 maja 1913 r., str. 344—346).

[1]) Sam marszałek, więziony przez władze austryackie, nie mógł przybyć do Paryża.

[2]) Źwierkowski l. c. str. 12. Na podstawie świadectwa Zwierkowskiego, że na adresie do parlamentu angielskiego, umieszczony był i podpis Bohdana, możnaby mniemać, że B. już w czerwcu przyjechał do Paryża; prawdopodobnie jednak podpisy jego i Worcella, położone na samym końcu, dodane były nieco później, wiemy bowiem z *Listów* Słowackiego (T. I, 117), że Bohdan przyjechał do Paryża dopiero pod koniec lipca.

bisty, który w życiu i twórczości Bohdana odegrał niezmiernie doniosłą rolę. Wiemy, jak różne były natury artystyczne tych dwóch poetów, jak byli różni także pod względem siły temperamentu i rozległości horyzontu umysłowego. Wyższość odrazu bijąca w oczy była po stronie litewskiego wieszcza i uznawał ją już oddawna ukraiński śpiewak bez najmniejszego odcienia zazdrości, uznawał ją jeszcze wtedy, kiedy Mickiewicz nie był autorem najwspanialszych swoich arcydzieł; cóż dopiero teraz, kiedy przywoził do Paryżą gotową do druku trzecią część *Dziadów* i inne urywki poetyckie, które świeciły blaskiem genialnych natchnień. Mickiewicz, jak świadczy Bohdan, zaraz tegoż dnia, w którym przyjechał, zapragnął poznać swego młodszego brata w Apollinie, z którym oddawna sympatyzował i przyszedł do niego, przyprowadzony przez wspólnego znajomego, który dla obu był, albo raczej chciał być mentorem politycznym, Lelewela. »Od razu, pisał Bohdan we dwadzieścia kilka lat potem do syna Adama, stanęliśmy na stopie przyjacielskiej. W dniu zaznajomienia się czytał mi do późna w nocy świeżo napisaną w Dreźnie przecudowną swoją trzecią część *Dziadów*« [1]). Jakie wrażenie na Zaleskim wywarła nowa poezya Mickiewicza, jakie wrażenie on sam wywarł w osobistym stosunku na autorze *Rusałek*, mamy o tem najlepsze świadectwo w liście Bohdana do Nabielaka z datą 3 lipca 1832 r., a więc pochodzące bezpośrednio z pierwszych, miodowych miesięcy tej przyjaźni. »Wieczory przepędzam sam na sam z Adamem Mickiewiczem. Kochamy się, jak rodzeni bracia, którzyby poznali się dopiero na wygnaniu, w nieszczęściu i sieroctwie. Drogi, nieoszacowany nasz Adam! Jak świat wielki, cudowny poeta i człowiek. Mam u siebie jego rękopisma, które na kilka grubych tomów wystarczą. Jaki skarb dla literatury polskiej! Wy-

---

[1]) Korr. Ad. Mickiewicza, Paryż-Lwów 1880, T. I. str. 170.

drukował świeżo 4-ty tom do edycyi swojej paryskiej, ale nie puścił dotychczas w handel. W 280 stronnicach zawarł kawałek tylko 3-ciej części *Dziadów*. *Dziady* będzie to olbrzymie, oryginalne i narodowe poema, coś na kształt *Divina Comedia* nasza. Ogromne ramy, które konanie narodu polskiego i wszystkie światy poezyi i filozofii obejmą. Ani się domyślisz treści, ani podobna dać o niej wyobrażenia. Jakiemi słowy odmalować złotą nić, która przechodzi przez środek tylu różnych zdarzeń i uczuć. Bohaterami poematu są Bóg i sam poeta. Na klęczkach czytałem drukowane i niedrukowane części poematu. Genialne Szekspirowskie sceny« [1]). Entuzyazm, jak widzimy, nie znajdował słów dla siebie, aby się dostatecznie wyrazić.

Ciągły stosunek Zaleskiego z człowiekiem, dla którego był z takim zachwytem, a który tak mało podobny był do dawniejszych jego przewodników politycznych, nie mógł pozostać bez wpływu na wyobrażenia polityczne naszego poety i wogóle na jego oryentacyę duchową. Do Paryża przyjechał on z takim mniej więcej horyzontem uczuć, wyobrażeń i pojęć, jaki wyniósł był z zamętu rewolucyjnego, jaki wytworzył się w nim w stosunkach z gronem najbliższych jego przyjaciół i przewodników w życiu politycznem, z Maurycym Mochnackim, Bolesławem Ostrowskim i zmarłym podczas rewolucyi Ludwikiem Żukowskim, wreszcie w stosunkach z posłami takimi jak Lelewel, Źwierkowski, dla których czuł najwięcej uszanowania. Religia na tym horyzoncie bardzo podrzędną odgrywała rolę, tylko jako obrzędowość, służąca za dekoracyę dla patryotyzmu, natomiast bardzo silnie się uwydatniały uczucia i teorye polityczne i społeczne w kierunku patryotyczno-liberalnym i demokratycznym. Tymczasem w Mickiewiczu, jak wiadomo, w ciągu dwu-

[1]) Korr. J. B. Zaleskiego T. I. str. 41—42.

letniego okresu przed przyjazdem do Paryża (1830—1832) dokonał się pod rozmaitymi wpływami głęboki przewrot wewnętrzny, którego główną cechą było obudzenie się ducha religijnego, a który wyraził się wówczas w takich utworach jak *Rozum i wiara*, *Arcymistrz*, *Mędrcy*, wreszcie w ogólnej idei trzeciej części *Dziadów* i w *Księgach narodu i pielgrzymstwa*, z których pomysłem, a może i częściowem wykonaniem przyjeżdżał już do Paryża. Wszak jeszcze w liście pisanym z Drezna do Lelewela (23 marca 1832) [1], traktując oba stronnictwa francuskie, tak rządowe jak i opozycyjne, z którem Lelewel chętnie szukał porozumienia, jako »zgraję egoistów zdemoralizowanych«, na którą liczyć nie można, wyrażał Mickiewicz myśl, »że naszemu dążeniu należałoby nadawać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów i że na katolicyzmie trzeba grunt położyć«. I dodawał słowa, w których się wypowiadała główna idea *Ksiąg pielgrzymstwa*: »Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom Ewangelią narodowości, moralności i religii, wzgardy dla budżetów, jedynej zasady teraźniejszej polityki prawdziwie celniczej«.

Jak przyjął Lelewel tę ideę, jakie w ogóle na nim sprawił wrażenie list Mickiewicza, wyraźnej na to odpowiedzi nie mamy, ale mamy prawo domyślać się z wszelkiem prawdopodobieństwem, że nie obudził w nim sympatycznego echa. Doktryner do głębi duszy, liczący przedewszystkiem na rewolucyjne ruchy Europy, w szczegolności Francyi, dla idei religijnych był najzupełniej obojętnym. Wiemy też, że nie odpisał na ten list Mickiewicza [2], on, taki skory do szerokiej korespondencyi, i że stosunek Mickiewicza z dawnym mistrzem, od czasu spotkania

---

[1]) Korr. Ad. Mick. I. 94.

[2]) Trzeba tak wnioskować z następnego listu Mickiewicza z d. 20 maja Korr. I. 97.

się w Paryżu, coraz stawał się obojętniejszym, aż doszło do tego, że dawny uczeń, który przedtem w listach nazywał Lelewela »Szanownym«, »Kochanym«, albo »Drogim panem Joachimem«, w dziesięć lat potem tytułował go »Jaśnie Wielmożnym Mości Dobrodziejem«, jego, który w porewolucyjnej korespondencyi swojej najchętniej używał tytułu »obywatel« [1]).

Jak prędko przejął się Bohdan wyobrażeniami nowego przyjaciela, jak w świetle tych wyobrażeń i pod wpływem serdecznego stosunku z Mickiewiczem, inaczej spoglądał teraz na dawniejszych swoich kierowników politycznych, najlepsze o tem świadectwo dają inne ustępy z cytowanego już listu do Nabielaka, ustępy, które i skądinąd są ważne, jako w jaskrawych barwach malujące rozpaczliwy stan wychodźtwa. Nabielak pragnął mieć listy od Ostrowskiego i Mochnackiego, i to życzenie polecił Bohdanowi wyrazić tym przyjaciołom z warszawskiego bruku. Mochnacki obiecał kiedyś napisać, Ostrowski wymówił się brakiem czasu. »Istotnie bardzo są zatrudnieni, objaśniał Bohdan, zatrudnieni najobrzydliwszemi głupstwami, kłócą się, paszkwilują, wichrzą tułactwem, ten na prawo, ten na lewo, a bez potrzeby, bez celu i tak się zaciekli w nienawiści wzajemnej, że jak ogień z wodą na całe życie między sobą zostaną w wojnie. Oddaję cześć talentom obydwóch, ale ich moralny charakter prze-

---

[1]) Por. Korr. A. Mickiewicza T. III. 293, 294, 296 i T. I. 93, 97 i 257. W r. 1843 Mickiewicz, opanowany towianizmem, jeździł do Bruxelli dla spotkania się z mistrzem i widział się wtedy z Lelewelem. O tem widzeniu się, tak opowiadał Witwicki: »Mickiewicz był raz u Lelewela, ale mówił o rzeczach prawie obojętnych, wspomniał tylko, aby duszę trzymać spokojną, lecz prędko zamilkł, gdy mu Lelewel konceptem odparł, że dusza dosyć spokojna, tylko ciało czasem głodne. Rozpowiadał mi to sam Lelewel«. List Witwickiego (niewiadomo do kogo) z d. 26 sierpnia 1843. Zob. Smolikowski, Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, T. IV. str. 133.

stałem szacować. Jakoż jestem z obydwoma dobrze, ale widuję się bardzo rzadko, najczęściej na ulicy. Toż samo się dzieje z innymi twymi znajomymi i z całą emigracyą. Pojedynki, swary, hałasy, aż bolą uszy, a jeszcze więcej serce. Drobne, różnobarwne stronnictwa, które się już zarysowywały w Warszawie, jak pocięty padalec, dziś w drobniejsze, w coraz liczniejsze krające się pierścienie, skaczą na różne strony, a wszystkie syczą i buchają na siebie jadem. Pułaski i demokraci [1]) na Lelewela, Czartoryski i arystokraci na Lelewela i demokratów, wojskowi na wszystkich, wszyscy na wojskowych, słowem cała emigracya wydaje się światu jak piekielna, stujęzyczna żmija. Każdy chce swój kształt rządu zaprowadzić w Polsce, której niema, która się jeszcze nie urodziła, a w dawnej Polsce, którą opłakujemy, nikt nic dobrego nie wymyślił. Niewiele rokuję sobie po dzisiejszem pokoleniu braci naszych«.

Zaleski objaśniał mnogość partyi emigracyjnych i namiętność ich walki tem, że emigracya znalazła się »na samym kraterze wulkanu rewolucyjnego Europy« i to »w epoce przesilenia form społeczeńskich« i ubolewał nad polskim *furor imitationis*, nad tem, że przyswajała ona sobie lekkomyślnie cudze opinie z zapomnieniem tradycyi narodowych, a następnie wypowiadał myśli, na których najwyraźniej odciśnięty był stempel Mickiewiczowskiego ducha. »Mnie się zdaje, żeśmy dotychczas nie zrozumieli naszej wielkiej politycznej roli. Męczeńska Polska, dająca się krzyżować dla odkupienia wolności europejskiej, śród zbestwionej cywilizacyi materyalnej wieku naszego, tak bezinteresownie poświęcająca się za ludy, gnijące w egoizmie i upodleniu — wielka, największa od czasów Chry-

---

[1]) Mowa tu o Tow. Demokratycznem, które w tym właśnie czasie zupełnie się wyodrębniło od ogółu emigracyi. Ob. Gadon, Emigracya polska, II. 241.

stusa idea! Sympatya powszechna narodów dla sprawy naszej jest to natchnienie, niewyrozumowane poczucie ogromnej misyi Polaków w nowej Europie. Dlaczego te masy wykrzykują wciąż: Niech żyje Polska! — a milczą o Belgach, Włochach i Grekach. Bo masy widzą lepiej i dalej niż politycy, niż mędrcy, zasklepieni w drobnych i ciasnych systemach eklektycznej filozofii swojej. *Vox populi, vox Dei!!...* Tułacze polscy powinni być orężnym zakonem, zgodnie opowiadającym po Europie nową wiarę, grzechy i zbrodnie królów i t. d. W grubej żałobie, w owdowieniu naszem i sieroctwie, taka tylko rola godną jest Polaka! — Mniejsze podrzędne swary o kształt rządu, o elekcye i t. p. żadną miarą nie przystają do poważnego charakteru polskiej emigracyi. Co w kraju potem zrobimy, niepodobna przewidzieć i nie warto myśleć« [1]).

Wszystko to były poglądy, na gorąco wzięte od Mickiewicza, świeżo złożone w niewydanych jeszcze *Księgach Pielgrzymstwa* i stąd nieznane jeszcze światu. Ale choć za przewodem nowego mistrza krytycznie spoglądał Bohdan na szamotanie się emigracyi, od jej walk i sporów nie odsuwał się, po części nawet, jako poseł, z urzędu musiał w nich brać udział. Zresztą wybuchały one niespodziewanie przy pierwszej lepszej sposobności, tryskały jadem nienawiści nawet przy takiej uroczystości publicznej, jaką był doroczny obchód rocznicy 29-go listopada, w którym, oprócz Polaków z różnych stronnictw, brali udział Francuzi, przyjaciele Polski, między nimi tak znakomici, jak sławny na obu półkulach generał Lafayette.

Właśnie niedługo po owym liście do Nabielaka, kiedy jeszcze *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* znajdowały się pod prasą, odbył się drugi już obchód rocznicy listopadowej, urządzony przez emigracyę polską

[1]) Korr. J. B. Z., I. 39—41.

w Paryżu, a bardzo plastycznie i z ognistem oburzeniem odmalowany w *Pamiętnikach* jednego z najbliższych przyjaciół Mickiewicza, Ignacego Domejki. Z początku były polskie przemówienia, które »choć ostre i obraźliwe dla wodzów i naczelników rewolucyi naszej, poszły na wiatr, jako niezrozumiałe od cudzoziemców. Kosooki przechrzta Czyński z niewypowiedzianą pogardą i dumą ujmował sławie i dobremu imieniowi wszystkich naszych patryotów, co kierowali ostatnią wojną naszą i rządem. Nikomu nie przebaczył, a za każdy złośliwy przycinek odbierał oklaski. Głupi, szyderczy uśmiech przebiegał od ławy do ławy; bawiono się własnem nieszczęściem. Wogóle osoby, do których wymierzone były owe szkalowania, nie były obecne«. Pod koniec obchodu zjawił się Lafayette i zajął krzesło prezesowskie. »Poważny, sławne, wielkie imię, bo wielką była jego cnota... Jego widok powinien był nas pogodzić, powiązać, zjednoczyć, gdybyśmy nauczeni nieszczęściami, pamiętni na to, co kraj nasz ucierpiał i cierpi, sposobni już byli do zgody, jedności i wzajemnego szacunku...«

Lafayette przemawiał. »Im szersze, umiarkowańsze i bardziej urocze były słowa Lafayette'a, tem srożej ubodły nas nierozważne, dzikie i rażące od żółci, jaką przesiąkłe były, mowy francuskie naszych deklamatorów, co zaraz po nim głos zabierali. Odznaczył się między nimi niejakiś Krempowiecki... Miałem ja od dzieciństwa, nie taję się, chętkę do demagogicznych uniesień, nie lubiłem niemieckich baronów i dyplomacyi, wzdychałem do równości w obliczu prawa i do polepszenia bytu chłopów; a jednak gdy wobec tysiąca cudzoziemców słyszałem Polaka, w czarnych kolorach malującego kraj nasz dla miłości niby chłopów, których mieszczanin Krempowiecki ledwo kiedy widział, a nigdy nie żył z nimi; kiedym słyszał, jak ten dumny, zuchwały przechrzta malował Polskę naszą ciemiężącą lud i jak oskarżał rewolucye nasze o de-

spotyzm, okrucieństwa i egoizm, — wszystko to niby dla zdemokratyzowania Polski — kiedym obaczył, jak na te wszystkie niedorzeczności i zuchwałe szkalowania poklaskiwali nasi, jakby na piekielnej uczcie; krew ścinała się we mnie, zimny pot wystąpił na lica, a wielu naszych uciekło«[1]).

Podobne wrażenie wywarł ten nieszczęsny obchód na wielu emigrantach; wystosowano adres do Lafayette'a z protestem przeciw przemówieniom, czerniącym Polskę wobec Francuzów, pisma emigracyjne, (*Pamiętnik emigracyi* Podczaszyńskiego i *Pielgrzym polski* Januszkiewicza) protestowały także. Mickiewicz pisał w owym czasie ulotne wiersze satyryczne na Krempowieckiego, Czyńskiego i ich przyjaciół politycznych, mówiąc w nich o pierwszym, że

Związanej od Moskali Polsce dał policzek
I związał na nią zdjęty ze swej szyi stryczek[2]).

Bohdan zaś w kilka dni potem (4 grudnia) pisał do Nabielaka: »Wojna i wzajemna tu między nami nienawiść wzmaga się coraz żywiej i żywiej. Opisać tego niepodobna, co się tu dzieje. Mickiewicz występuje do walki z demokratami, t. j. z Gurowskim, Krępowieckim etc., którzy w szale francuskim chcieliby pomagać Mikołajowi w wytępieniu szlachty polskiej. W rocznicę rewolucyi naszej zrobili skandal, który zgorszył Lafayett'a i samych(!) Francuzów. Długo trzebaby pisać, a już mi obrzydły powszednie possy«[3]).

Jeżeli zwrócimy na to uwagę, że właśnie w czasach tego skandalu wychodziły z pod prasy *Księgi pielgrzymstwa*, to kontrast między rzeczywistym stanem emigracyi

---

[1]) Pamiętniki Ignacego Domejki (1831—1838) str. 134—135.

[2]) Wiersze te odnalazł w pośmiertnych papierach ojca p. Władysław Mickiewicz i wydrukował w II. tomie Żywota Ad. Mickiewicza, str. 198—204.

[3]) Korr. J. B. Z., I. 43—44.

a jej idealizacyą, w tej biblii emigracyjnej zawartą, wydać się musi rozpaczliwie rażącym. Wszakże to tutaj (rozdz. X) zapewniał Mickiewicz pielgrzymów polskich, o ich nieporównanej wyższości nad cudzoziemcami, utrzymując, że wprawdzie nie wszyscy są równie dobrzy, »ale gorszy z was lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec, bo każdy z was ma ducha poświęcenia się«. Te słowa były już niewątpliwie odbite w chwili owego skandalu; czyby Mickiewicz ich nie zmodyfikował, czyby wogóle nie oczyścił *Ksiąg pielgrzymstwa* z rozmaitej przesady, która bujnie w nich kwitnie, gdyby miały czas choć trochę się odleżeć w rękopisie, a nie szły na gorąco wprost z pod pióra do druku? Zdaje się, że to co napisał niegdyś w liście do Odyńca z powodu *Wallenroda:* »obyśmy nie tak prędko drukowali«, nigdzie lepszego, jak do *Ksiąg pielgrzymstwa*, nie znalazłoby zastosowania.

Obrady sejmowe, w których Zaleski z urzędu swego brał udział, nie miały form skandalicznych, jak tylko co przedstawiony obchód, ale także pełne były kwasów, niechęci, a przedewszystkiem jałowej gadaniny. Bardzo długo, aż do stycznia 1833, czekano na zebranie się w Paryżu liczby posłów, dostatecznej do legalnego otwarcia sejmu, ale ten brak legalnej liczby nie przeszkadzał zamiłowanym w sejmowaniu do obradowania w sposób familijny, to jest do wymiany myśli o potrzebie sejmu na emigracyi i o różnych sprawach, obchodzących emigracyę, wymiany, która nikogo do niczego nie zobowiązywała. »Chwała Bogu, pisał Bohdan do Nabielaka w przytoczonym już liście z 4 grudnia, sesye moje sejmowe zawieszone na dni kilka, wypocznie więc nieco dusza w świecie piękniejszym. Nie uwierzysz, jak się kłócimy, gryziem, a wciąż po sześć lub siedem godzin co dzień«. Nareszcie w początkach stycznia 1833 znalazł się upragniony komplet, prawem przepisany, zebrało się 34 posłów i senatorów, i można było przystąpić do otwarcia sejmu, ale tu dopiero okazało

się, że wśród owego kompletu jest grupa członków sejmowych, nie podzielająca przekonania o potrzebie — przynajmniej na razie — wskrzeszania sejmu na emigracyi. Na czele tej grupy stał Adam Czartoryski, z rodu, z imienia, z przeszłości swej politycznej i ze stosunków w świecie dyplomatycznym najpoważniejszy członek sejmu i emigracyi.

Czartoryski już przedtem, czy to w naradach, które się u niego odbywały, czy w listach do głównego zwolennika sejmowania, do wojewody Ostrowskiego, oświadczał, że sejm na emigracyi w obecnych warunkach uważa za przedwczesny, bezowocny, a nawet szkodliwy. I teraz na zgromadzenie przybył z tem przekonaniem. Rozdwoiły się zdania. Jedni utrzymywali, że sejm jest potrzebny na to, aby wydał manifest od narodu, wybrał komisyę sejmową dla działania i przemawiania w imieniu narodu i protestowania przeciw wszelkim gwałtom na narodzie popełnianym, wreszcie stworzył władzę emigracyjną, któraby się losem wychodźców zajęła i zapobiegała kłótniom emigracyjnym, przyczem powoływali się na dochodzące zewsząd głosy rodaków, tak z kraju, jak z emigracyi, które usilnie dopominały się o akcyę sejmową. Drudzy, do których należał Czartoryski, zwracali uwagę, że rząd francuski niechętnieby na sejm spoglądał, mógłby zabronić sejmowania, a nawet sejm rozpędzić i sądzili, »że będąc pod przemocą, nie możemy obradować wolno, a tu praw stanowić dla Polski nie wolno nam, bo bez wykonania by pozostały — że emigracya cała jest najlepszym manifestem, bo żywą protestacyą« [1]).

Członkowie sejmu, grupujący się koło Czartoryskiego, nie poprzestali na ustnych oświadczeniach, ale wydali deklaracyę na piśmie, z podpisami jedenastu członków, stąd zwaną *Aktem jedynastu,* w której motywowali, dla

[1]) Żwierkowski l. c. str. 21.

czego w obecnej chwili nie chcą sejmować i oświadczali, że na żadne odtąd posiedzenia kolegów nie przybędą. Ten akt wywołał dwa inne oświadczenia posłów, zwane aktem 25-ciu i aktem 9-ciu. Pierwszy z nich podpisany był przez wszystkich zwolenników zebrania się sejmu, drugi był tylko rozwleklejszą formą pierwszego, w fałdach swoich ukrywającą różne ostrza, wymierzone przeciw Czartoryskiemu i innym wybitnym osobom. Ten drugi akt z bliższych znajomych Bohdana podpisali: Źwierkowski, Worcell i Lelewel. Bohdan umieścił swój podpis tylko na akcie 25-ciu.

Wiemy, że zostawał on wówczas pod silnym wpływem Mickiewicza, że olśniony był ideami *Ksiąg pielgrzymstwa*, które się w tych dniach właśnie, w początkach stycznia 1833, ukazywały na półkach księgarskich. Z drugiej strony, Mickiewicz wtajemniczony był przez Zaleskiego lepiej niż przez kogo innego we wszystkie spory sejmowe, we wszystkie argumenta *pro* i *contra* sejmowania, widział też, że główną przeszkodą do wskrzeszenia sejmu polskiego jest X. Czartoryski. I oto, jako produkt ich ówczesnego stosunku, powstaje myśl zwrócenia się do księcia z krótkim memoryałem, wygotowanym przez Mickiewicza, memoryałem, który jest znany pod tytułem: »Myśli moje o sejmie polskim« [1]).

O cóż chodziło Mickiewiczowi? Jeżeli jego *Księgi pielgrzymstwa* miały wpływ wywrzeć na emigracyę, to sejm, który był jej czołem, powinien był naprzód ulec temu wpływowi; jeżeli emigracya miała spełnić to wzniosłe zadanie, jakie na nią wkładał poeta, i usprawiedliwić wysokie jego o niej mniemanie, to sejm powinien był jej na tej drodze przyświecić przykładem. Ni mniej, ni wię-

---

[1]) Memoryał, przechowany w papierach Bohdana Zaleskiego, wydrukowany został w VI tomie *Dzieł Mickiewicza*. Lwów — Paryż 1880.

cej, chodziło o natychmiastowe wcielenie idei *Ksiąg* w życie i to w sposób, któryby emigracyę polską, a przynajmniej jej sejmowe przedstawicielstwo, odrazu wyniósł na idealną wyżynę, ku której dążył duch poety, i oczy całego świata zwrócił na Polskę.

W jaki sposób miał sejm polski wcielić idee *Ksiąg pielgrzymstwa* w życie? Oto powinien uznać podwójny swój charakter: »naprzód władzy prawej narodu polskiego, powtóre władzy moralnej europejskiej, i w dwojakim tym charakterze przemawiać«. Głównie o ten drugi charakter chodziło autorowi memoryału. Sejm, podług niego, »powinien ukonstytuować się jako Consilium europejskie, powinien śmiało wyrzec zasady swoje, zasady, mające służyć za podstawę wolności ludów. Uważając rządy za nieprzyjaciół swoich, uważając, że żadna Izba europejska nie jest wyrazem woli narodowej, bo te Izby obrane pod wpływem dawnych przesądów, bo jeszcze tchną egoizmem i trwożliwością, sejm polski niech obwieści, że będzie reprezentował wolę ludów i niech wyda swój protokół przeciwko protokołom londyńskim« [1]). Jeżeli go będą prześladować we Francyi, przeniesie się do Anglii, jeżeli i tam nie pozwolą mu działać, założy siedzibę w Ameryce i stamtąd będzie wzywał wszystkie narody, które się na wolność wybiją, do naradzania się o sprawie wolności.

Był to piękny poemat, była to *Oda do młodości* przerobiona na prozę polityczną, i jak w *Odzie* przyznawał się poeta do »szału«, ale w tym szale widział najwyższy rozum, tak i tu przewidywał, że go obwinią o szaleństwo, ale nie cofał się przed tym zarzutem i przypominał pierwsze koncylia, które »zgromadzały się w lochach i spokojnie układały symbolum, które potem świat przyjął«.

---

[1]) T. j. przeciw protokołom konferencyi pięciu mocarstw, która się w r. 1831 w Londynie w sprawie uznania niepodległości Belgii odbywała.

Zapał Mickiewicza był najszlachetniejszy i najszczerszy; nieszczęście w tem tkwiło, że zasłaniał mu widok rzeczywisty, wskutek czego wymagał on od ludzi cudownego przeobrażenia, do którego oni niezdolni byli, o czem, jako człowiek dojrzały, powinien był wiedzieć, o czem przez kilka miesięcy pobytu wśród emigracyi powinien się był przekonać.

Był to mistyk urodzony, który w chwilach równowagi umysłowej umiał bystro i trzeźwo patrzeć na sprawy ludzkie, ale w chwilach podniecenia uczucia wierzył w cuda, pragnął cudów, czekał cudu, i tragedyą jego życia było, że go się doczekać nie mógł.

Bohdan Zaleski miał pewne skłonności mistyczne, ale w stopniu tak słabym, że mu nie mąciły obrazu rzeczywistego świata. Jednakże zostawał on wówczas pod takim urokiem serdecznego stosunku z Mickiewiczem, tak był olśniony jego najnowszymi utworami, a zapewne i pięknością jego myśli o sejmie polskim, że pomimo nieprawdopodobieństwa wprowadzenia ich w życie, gotów je był popierać. Udano się z niemi po cichu, w małem gronie, do Czartoryskiego, który je ocenił okiem dyplomaty, wprawdzie niepozbawionego rozmaitych złudzeń ani szlachetnego zapału, ale zbyt doświadczonego, aby mu się ów pomysł nie wydał marzeniem niewykonalnem [1]).

Skoro mniejszość, grupująca się koło Czartoryskiego, oświadczyła się przeciw sejmowaniu, zabrakło znowu kompletu. Narady familijne nawet najzagorzalszym sejmikowiczom już się przejadły; nie było zresztą z kim się spierać, gdy opozycya ustąpiła. Postanowiono więc odroczyć je aż do zebrania się kompletu, i wybrać deputacyą, któraby

---

[1]) O tej deputacyi do Czartoryskiego wiemy tylko tyle, ile podał o niej p. Wład. Mickiewicz w przypisku do *„Myśli"*. Z tego przypisku nie można nawet wywnioskować, że Bohdan należał do deputacyi, ale z tej okoliczności, że *„Myśli"* w jego papierach pozostały, można sądzę wnosić, że gotów był go popierać.

się zajęła zbieraniem podpisów na akcie 25, aby je doprowadzić do 33. Do tej deputacyi, złożonej z trzech osób, obok Platera, Cezarego i Worcela, obrany został i Bohdan Zaleski.

Przybywał mu nowy zaszczyt i nowy kłopot. Na szczęście jeden i drugi nie trwał długo. W niespełna trzy miesiące potem, w początkach kwietnia, deputacya zwołała posiedzenie posłów, zdała sprawę ze swych czynności i »wykazawszy powody niemożności pełnienia włożonych na nią obowiązków, rozwiązała się« [1]. Z tem rozwiązaniem się i sprawa sejmu na lat parę popadła w zapomnienie, co stało się tem łatwiej, że na horyzoncie emigracyi pojawiły się tak ważne wypadki, jak nieszczęsna wyprawa Zaliwskiego i mniej fatalna, ale także smutnie świadcząca o lekkomyślności polskiej, wyprawa frankfurcka albo raczej szwajcarska, (wywołana niejasną pogłoską o rewolucyi we Frankfurcie) i uwagę wychodźtwa w swoją zwracały stronę.

Czy wśród tych zatargów i hałasów emigracyjnych można było oddawać się twórczości poetyckiej? Zajęty jedyną myślą zdobycia sławy, Słowacki mógł pisać i skończyć swojego *Lambra;* Mickiewicza te hałasy odrywały ciągle od ulubionego *Pana Tadeusza*, którego zaczął pisać zaraz, gdy przyjechał, naładowany natchnieniem, do Paryża. Zaleski, którego fantazya o wiele mniej twórcza, ożywiła się nieco na widok pięknej przyrody szwajcarskiej, zabrał się również w jesieni 1832 do pisania, kiedy jeszcze familijne narady sejmowe nie były tak gorące. I był z początku zadowolony z tego, co pisze, przynajmniej o tyle, że nie ukrywał się z tą nową poezyą przed Nabielakiem, któremu w pierwszym z cytowanych listów donosił, że pisze wiele, i że pieśni jego, »jak wody strumiemienia, w miarę swego łożyska płytkie, to głębsze, mętne,

---

[1]) Walenty Zwierkowski l. c. str. 29.

to jasne, odbijają atoli coś z blasku i barwy nieba i okolic, przez którą płyną i dźwięczą«. Czy opracowywał wtedy pomysły, powzięte jeszcze w Szwajcaryi? na to odpowiedzi nie mamy, wiemy tylko, że szkicował większy rapsod, p. t. *Żart tatarski*, który miał służyć za wstęp do poematu *Jassyr*, i że napisał dumę o Karolu Różyckim.

Żart tatarski przechował się w pośmiertnych papierach poety, jako niewykończony fragment, liczący około półtysiąca wierszy, przechował się w bardzo mętnym brulionie z rozmaitymi dopiskami po bokach, które wyglądają, jak wskazówki do przyszłych zmian tekstu. Na karcie tytułowej położona data: Paryż, 23 października 1832. Na kopercie, w której brulion się zawierał, poeta położył napis: »do spalenia«, jednakże nie spalił brulionu.

Fragment ten godny uwagi z dwóch względów: jako świadectwo, gdzie szukała materyału dla siebie wyobraźnia poety i jako dowód, że natchnienie poetyckie wśród gwarów emigracyjnych i roztargnień stołecznych nie dopisywało Bohdanowi. Bohaterem poematu, o ile się można domyślać z fragmentu, miał być Bohdan Chmielnicki, jako poturczeniec i ulubieniec chana, rzecz dzieje się w Bagczysaraju lub pod tem miastem, gdzie rozłożył się taborem jassyr. Jeżeli sobie przypomnimy, co pisał Zaleski do Witwickiego na wiosnę 1829: »piszę poema, którego zapewne nigdy nie dokończę, działają w niem wielki Konaszewicz, sławny Daniłowicz i sturczony B. Chmielnicki, przytem wiele innych jeszcze historycznych osób, a między niemi trzy ładne siostry w haremie Giraja«, to pokrewieństwo treści *Żartu tatarskiego* z treścią dawniejszego poematu okaże się widocznem. Tak więc zapewne znalazłszy jakąś spokojniejszą chwilę w Paryżu, może zachęcony przykładem Mickiewicza, który już we wrześniu zaczął »kropić« swego *Pana Tadeusza*, zapragnął i Bohdan coś tworzyć i sięgnął po przedmiot do magazynu pamięci z czasów przedrewolucyjnych, obiera-

jąc temat, poza który w swoich próbach epicznych nigdy prawie nie wybiegał, który występuje w *Januszu Bieniawskim*, w *Damianie*, i miał później podjętym być w *Złotej Dumie* i *Potrzebie Zbaraskiej*, — temat napadów tatarskich na Ukrainę i walki z Tatarami.

Co się tyczy natchnienia, widać z fragmentu, że się poeta z rozpędem fantazyi zabrał do pisania, malując scenę, gdzie na rozkaz młodego Chmielnickiego w obozie tatarskim jakiś chłopak tnie kozaka, a sam Chmielnicki, jak gdyby pobudzony tym tańcem, porywa za torban i zaczyna przegrywać na nim. W istocie krótka scena tańca, opowiedziana z przymieszką małoruskiego języka, odznacza się wielką plastyką ruchu, tak właściwą poezyi Zaleskiego[1]), ale to, co dalej następuje, mianowicie obraz przedstawiający Chmielnickiego, w natchnieniu przegrywającego na torbanie, nie kleił się poecie i rzucił on zaraz temat rozpoczęty, aby w inny sposób rozpocząć swój poemat. Tym nowym początkiem jest obraz Bagczysaraju, dość rozwinięty, po którym następuje obraz jassyru rozłożonego w jarze pod tem miastem. W obu ustępach jest wiele wierszy niewykończonych, zostawionycb do poźniej-

---

[1]) Chłopcze mały, puść się w tany,
Skaczy wraże — bo Pan każe,
I ot bieży — i ot staje,
Kozak mały zahulaje.
Po junacku gładzi boki,
Mruga w lewo, mruga w prawo,
Tnie nogami drobno, żwawo,
A czy wstąpił czart w chłopaka,
Jak wysoki, sadzi skoki,
Siudy, tudy — na prysiudy,
Jak wjun wjetsia — w piaty bjetsia
I taràchnuu tropakà.

Ustęp ten z pewnemi drobnemi zmianami wprowadził poeta potem do *Złotej Dumy*. Ob. Bohdana Zaleskiego Dzieła pośmiertne. Kraków 1891. T. I, str. 368.

szego przerobienia, tak, że całość jest rudą i to taka, z której czystego złota poezyi niewiele dałoby się wytopić. Do najlepszych ustępów należą obrazy przyrody, np. wschód słońca, znikanie mgły, modlitwa jeńców, ale i tym ustępom brak wykończenia. Na probę przytaczam kilka ustępów bardziej wykończonych i udatniejszych:

Bakczy-Saraj lśni w pomroce
Mrugających gwiazd światełkiem;
Lecz na jutrzni wrzawą — zgiełkiem
Cały długi gród klekoce;
Huczy hałas różnogwary,
Ku meczetom setne drogi,
Setne rynki i bazary
Lud zalewa wiernych mnogi.
I rozgłośnie na niziny
Mośleminom wszego stanu
Z minaretów muezziny
Dzień zwiastują Ramazanu;
A niezmierny tłum w pokorze,
Jak ruchome w falach morze,
Na rozstrzeni popiętrzony
Gnie pokłonów miliony;
I jak ciężkie wód bałwany,
Szumi modłów szmer zmieszany,
Allah, allah! . . . .
. . . .
. . . .
A na wschodzie, w rannym brzasku,
Stróż niebieski, słońce letnie,
Jak bohater w pysze, w blasku,
Pod czerwonym z chmur namiotem,
Przerabianym srebrem, złotem,
Wstało . . . . świetnie.
Rozjaśniły się błękity,
Rozstrzelony przez niebiosa
Blask jarzący, źwierciadlany,
Stopił ziemską śniedź, tumany.
Pomrok nocny w ziemię wbity,
I jak w jasną noc niebiosa,
Zaiskrzała w gwiazdach rosa.

Wnet doliny, gaje, wody,
Krągłe wzgórki, nagie skały,
Kształty ciemne, różnowzore,
Letni dzienny strój przywdziały,
Zieleniały, błękitniały . . . .
. . . .
Jassyr — droga niedaleka,
Jednak wzdłuż i wszerz równina
Coraz jaśniej się rozświeca,
I niknąca mgła pół sina,
Wydaje się jak dziewica,
Gdy spłoszona od kąpieli,
W przeźroczystym rąbku, w bieli,
Pusta, lekka swawolnica
W pląsach, skokach precz ucieka.
. . . .
Trwa modlitwa nieprzerwana
W ukorzeniu serca, ducha,
Lud upada na kolana,
Och, jak rzewny żal i skrucha!
Z wysokości Pan ich słucha,
Cud obwieści moc Pana *(sic)*.
I ockniony wietrzyk świeży,
Z kwiecistego gdzieś posłania
Może Anioł stróż to bieży,
Po jassyrze się przegania.
Ku prawicy, ku lewicy,
Z niewidzialnej kadzielnicy.
Bucha wonią i podzwania.
Strzelistego skarb pacierza
Niesie w niebo stróż skrzydlaty,
U nóg Maryi łasce zwierza,
I powtarza po kolei:
Ave Maria, Mater Dei,
Preczystaja Diwo Maty.

Poeta widocznie prędko się zniechęcił oporem muzy i zaniechał pisania *Żartu tatarskiego*.

Drugi utwór Zaleskiego z tych czasów nie dochował się i znany nam jest tylko ze wzmianki w liście do Nabielaka, a ta wzmianka objaśnia zarazem i genezę dumy o Karolu Różyckim. »Tysiące tu, pisał Bohdan, wychodzi

broszurek o Rewolucyi po polsku i po francusku. Mnie się najwięcej podobał pamiętnik Karola Różyckiego. Żywa tradycya dawnej Polski, pisany z czuciem i ogniem wojaka i Ukraińca, a prosty, piękny i malowniczy, jak pieśń jakiego poematu, bez pretensyi autorskiej, a nawet bez ortografii i punktacyi. Płakaliśmy, czytając go z Mickiewiczem. Mickiewicz napisał piękną bardzo recenzyą tego pamiętnika w tonie i stylu samegoż oryginału, a ja napisałem dumę o Karolu Różyckim«[1]).

Recenzya Mickiewicza, umieszczona w pierwszym numerze *Pielgrzyma* (4 listopada 1832) była w istocie piękną i bardzo charakterystyczną dla ówczesnego usposobienia jej autora[2]). Co się tyczy dumy Zaleskiego, natchnionej *Pamiętnikiem pułku jazdy wołyńskiej*, trzeba przypuszczać, że nie urodziła się w szczęśliwą chwilę i nie świeciła zaletami poetycznemi, skoro poeta nigdy jej nie wydrukował i nawet nie zachował w papierach pośmiertnych. Życie paryskie wśród ruchu stołecznego i gwaru emigracyjnego było stanowczo zabójczem dla jego muzy, która potrzebowała głębokiej ciszy i spokoju dla szczęśliwego tworzenia. Ale jeżeli wrażenie wywołane *Pamiętnikiem* Różyckiego, nie zostawiło śladu w puściźnie poetyckiej Zaleskiego, zato w życiu przyniosło mu jeden z najserdeczniejszych stosunków, bo poprowadziło do zbliżenia z jego autorem, który niebawem stał się jednym z najbliższych przyjaciół Bohdana i przymknął do grona emigrantów skupiających się przy Mickiewiczu, a ściśle związanych z sobą wspólnym nastrojem patryotyczno-religijnym.

---

[1]) Korr. J. B. Z. str. 43.

[2]) Wł. Mickiewicz nie przedrukował jej w VI tomie *Dzieł* swego ojca obok innych artykułów z *Pielgrzyma* wyjętych. Dlaczego? nie wiemy. Może wtedy jeszcze (1880) nie wiedział, że wyszła z pod pióra ojca. W *Żywocie Ad. Mick.* T. II (1892), jest już o niej mowa. Podaję ją, jako mało znaną, w Dodatkach.

ROZDZIAŁ II.

Między polityką a religią.

1833—1835.

Podróż do Avignon. — Pierwsze spotkanie się z morzem. — Na grobie Kamila Mochnackiego. — Stosunek z Józefem Zaleskim. — Konspiracye polityczne w Galicyi. — Mickiewicza odezwa *Do przyjaciół galicyjskich*. — Obserwatoryum polityczne w Paryżu. — Czasy pisania *Pana Tadeusza*. — Udział Bohdana w życiu publicznem emigracyi. — Akt nieufności dla księcia Czartoryskiego. — Akt Braci Zjednoczonych. — Bohdan w Towarzystwie Demokratycznem; sekcya batiniolska. — Założenie Towarzystwa Słowiańskiego. — Budzenie sejmu z letargu. — Bohdan usuwa się od polityki.

Na wiosnę 1833 wyniósł się Bohdan Zaleski z Paryża do Sèvres, leżącego tuż za stolicą, zapewne w myśli, że znajdzie tu spokój, ciszę i natchnienie. Położenie jego materyalne polepszyło się o tyle, że rząd francuski, który w początkach immigracyi opiekował się tylko wojskowymi emigrantami polskimi, a posłom sejmowym wsparcia nie dawał, od kwietnia 1833 i tym wyznaczył stałe wsparcie, 200 franków miesięcznie dla żonatych, 150 dla bezżennych. Dotychczas posłowie, którzy nie wynieśli z sobą własnych pieniędzy, utrzymywali się z resztek jakichś funduszów narodowych; zapewne też i Zaleski stamtąd czerpał, ale była obawa, że to źródło lada chwila odmówi pomocy. Teraz, pobierając 150 fr. miesięcznie, miał Bohdan

zapewnione utrzymanie, wprawdzie skromne, ale dostateczne, mógł więc spokojnie oddawać się poezyi. Ale muza nie przybywała; zanadto blizki był Paryż ze swemi hałasami, zanadto rozstrzelona uwaga poety na różne sprawy emigracyjne.

Mickiewicz był w gorszych warunkach, mieszkając w Paryżu, pisując artykuły do *Pielgrzyma*, zajmując się wydaniem i korektą poezyi Garczyńskiego, tłómacząc i drukując »nudnika« *Giaura*, a jednak pomimo tego wszystkiego, pomimo iż »wypadki chwilowe«, jak pisał, rozbijały mu duszę na części i »trzeba ją było potem w samotności sztukować i kleić« — popęd twórczy był w nim tak silny, że jego ulubione dziecko »Pan Tadeusz«, rosło ciągle, choć z ciągłemi przerwami we wzroście, i już pod koniec maja 1833 cztery pieśni były napisane. Ale wtedy nastąpiła przerwa najdłuższa, wywołana gorącą przyjaźnią dla Stefana Garczyńskiego. Mickiewicz dowiedział się, że chory już od dłuższego czasu Garczyński ma się gorzej i że go lekarze drezdeńscy wyprawili do Szwajcaryi, więc niespokojny o jego zdrowie, pokonawszy trudności finansowe i paszportowe, pojechał tam także, aby go otoczyć opieką przyjacielską. Znalazł go w Bex, stamtąd powiózł do Genewy, z Genewy do Avignonu, z Avignonu miał jechać do Marsylii i Włoch, bo chorego przyjaciela doktorzy coraz dalej na południe wyprawiali, ale te dalsze plany okazały się zbytecznemi, bo Garczyński (20 września) umarł w Avignonie.

Jak Mickiewicz z całkowitem zapomnieniem o sobie pojechał do Szwajcaryi, aby czuwać nad zdrowiem przyjaciela, tak znów paryscy najbliżsi przyjaciele Mickiewicza, do których należał Domejko, Witwicki i Bohdan, dowiadując się z niektórych krótkich wzmianek w jego listach, na ile jest utrapień wystawiony, jak jest »z nóg zwalony«, zaczęli być niespokojni o jego zdrowie i Bohdan, po pewnych naradach z nowym przyjacielem, Domejką, a może

i z dawnym, Witwickim, postanowił pojechać do Awinionu, aby podzielić się z Mickiewiczem ciężarem opieki nad chorym.

W jaki sposób zapadło w nim to szlachetne postanowienie, malowniczo opowiedział sam w liście do Domejki z Sèvres (7 września 1833). »La nuit porte conseil! pisał. Otóż, kochany mój bracie Żegoto, całą noc nie zmrużyłem oczu! A wiesz ty, co to jest bezsenność! a jeszcze bezsenność poety? W sercu, jak w dzwonnicy na dzień zaduszny, wciąż przeciągłe, roznośne jęczenia. A po przestrzeniach duszy, jak po kościele, jak po cmentarzu, snują się w nieprzerwanym, uroczystym liku nierozwiewne widma z lat milszych, minionych... Wtedy to człowiek staje się dobry, tkliwy, pobożny, bo żyje przestronniej, żyje z myślami i z Bogiem. Taki to właśnie lik, czyli procesya przeciągnęła przed moją pamięcią w dzisiejszej nocy. I myśl po myśli samopas [puszczając], jak brat, koń tabunowy, harcowałem daleko... I ciemna, wązka, kamienista i coraz węższa i coraz ciemniejsza była droga mego żywota, a tylko kiedy niekiedy wybite pod nogami iskry przypominały coś o pogasłych gwiazdach na niebie... Hop, hop, a dalej! aż w cwale i tentencie wykrzyknąłem jakoś: Stój! jadę do Avignon«!

»Tym sposobem ulżyłem sercu od razu, a mary, jak ptaszki, rozleciały się gdzieś po lasach, po gniazdkach. Nie wdając się więc dłużej w żadne targi z sumieniem, jadę do Avignon, skoro tylko odbierzem wiadomość, że męczennicy nasi stanęli na miejscu. Istotnie, w drużynie Adama jam najmożniejszy i mnie najłatwiej postarać się o paszport, a zatem na mnie to przypada braterska kolej na mnie cięży chrześcijański obowiązek. Mam jeszcze skądinąd więcej do tej podróży pobudek. Z natury mojej kozackiej czuję w sobie powołanie na pocieszyciela.. Darmo! nie łudźmy się naszą modlitwą! nie ma rady! Gar-

czyński musi skończyć, jak Kamil [1]). Wiesz, jaką zawieruchę i rozstrojenie sprawi to nieubłagane fatum w całej organizacyi Adama, tak zbytnie czułej i drażliwej. Należy nieustannie czuwać nad nim i pielęgnować jak najstaranniej« [2]).

Taki był szlachetny zamiar Bohdana, nim jednak przyszło do wykonania, zanim przyjechał do Avignon, już Garczyński nie żył, a Mickiewicz, pogrzebawszy przyjaciela, ale nie pokończywszy jeszcze w tem mieście spraw ze śmiercią jego związanych, wyjechał dla rozerwania myśli do Nimes, czy też do Lyonu. Bohdan nie zastawszy Mickiewicza w Avignonie, puścił się za nim do Lyonu, ale traf psotny zrządził, że się rozminęli pod tem miastem i Bohdan, straciwszy nadzieję znalezienia Mickiewicza, zapragnął przynajmniej w ten sposób skorzystać z nieudanej podróży, żeby dojechać do morza i przypatrzeć się jego widokom. Dla tego, który miał duszę tak czułą na piękno przyrody, a dotychczas z głównych jej form znał tylko stepy i góry, morza zaś nigdy nie widział, bardzo ponętnym musiał być projekt takiej wycieczki; przyszło mu też na myśl, że tam, nad brzegiem tego morza w Hyères, spoczął niedawno snem wiecznym jeden z jego przyjaciół warszawskich, Mochnacki Kamil, brat Maurycego i przy nowych, nurtujących w nim poglądach religijnych przyszła mu ochota jego grób nawiedzić. W tym celu pojechał do Marsylii, aby tu naprzód spotkać się z morzem i tu obmyślić dalszą marszrutę wycieczki, i zaraz po przyjeździe do tego miasta napisał do Domejki list (z datą 1 października), w którym mu na prędce, urywanym stylem, swoje przygody, wrażenia i projekta opowiadał.

»Dziś przed kilku godzinami — pisał w tym liście —

---

[1]) Mochnacki.

[2]) Korr. I. B. Z. I, 47.

przybyłem do Marsylii. Obiegłem już port, przypatrzyłem się oko w oko morzu, narobiłem mnóstwo znajomości, a w nocy mam się namyśleć, czy popłynę do Korsyki lub też morzem do Cette, a potem kanałem do Tuluzy, stamtąd do Bordeaux i do Paryża. Wszystkim atoli projektom stoją na zawadzie naprzód nierozwiewna melancholia, która mię trapić poczyna, a powtóre tutejsze nieznośne gorąco. W dzień i w nocy rozebrany do koszuli, 50 godzin już nie zmrużyłem oczu, w dyliżansie i na ulicy pocę się jak w łaźni. Bierz djabeł oliwy, pomarańcze, migdały i wszystkie karłowate drzewa Prowancyi! Wszystko to piękne, mianowicie niebo i morze, ale wolę Sèvres i mój szlafrok przy kominie. Wolę w palce chuchać, niż wędzić się na wolnem powietrzu i nie sypiać po całych dniach i nocach. W klimacie takim chybabym musiał kochać się i wiersze pisać, bo co lepszego robić niepodobna« [1]).

Takie to wrażenie odniósł nasz poeta przy pierwszem spotkaniu z tą nadmorską okolicą, która w kilka lat potem miała stać się jego najulubieńszą siedzibą i kolebką jego najpiękniejszej liryki i która w pamięci jego takim się osnuła urokiem, że pod tym względem tylko step rodzinny ją przewyższał. Ostatnie zaś słowa przytoczonego ustępu — o kochaniu się i pisaniu wierszy — miały w sobie, jak to później obaczymy, prorocze znaczenie, choć stawiąc je poeta, ani się domyślał tego.

Do Korsyki nie pojechał, bo trzeba było oszczędzać pieniądze, ale zwiedził wybrzeże Prowancyi aż do Nicei i zatrzymał się w Hyères dla odwiedzenia grobu przyjaciela.

»W Hyères, pisał do Nabielaka [2]), na mogile Kamila modliłem się w imieniu wszystkich przyjaciół, a zatem i w imieniu twojem. Błogo mu i cicho spoczywać w raj-

---

[1]) Korr. I. B. Z. I, 49.

[2]) Tamże I. 53.

skiej okolicy«. Ta chwila, jak się mamy prawo domyślać z poezyi Bohdana, wprawiła go w głębokie rozrzewnienie religijne i zostawiła niezatarty ślad w jego pamięci. Na to rozrzewnienie złożyły się zapewne rozmaite czynniki: cisza cmentarna, widok i błogi oddech błękitnego morza i żywo rozbudzone wspomnienia z warszawskich czasów, tak niedawnych, a tak przez wypadki rewolucyjne daleko odsuniętych, z czasów, kiedy ten, co tu pogrążony w piasku na wieki spoczywał, był młodzieńcem pełnym życia, energii i nadziei; wreszcie nie najmniejszą odegrał tu rolę i stosunek z Mickiewiczem, którego nastrój religijny przez całoroczne obcowanie przesiąkał powoli w Bohdana i był jakby przygotowaniem jego do tej chwili wewnętrznego poruszenia religijnego.

Skądże wiemy o tem poruszeniu? Ślad drobny, ale wyraźny, niezaprzeczony, zachował się w »*Duchu od stepu*«, w tym poemacie, który miał być syntezą uczuć i myśli poety z pierwszych lat emigracyjnych, a zawierał także jak najkrócej podaną, z uwydatnieniem najważniejszych momentów, poetycką autobiografię autora. Przedstawiwszy stan uczuć swoich podczas burzy rewolucyjnej, kiedy to »świat poczynał coś bez Boga«, a on sam »pijany młodzian — w zgiełku, zawierusze za innymi się szamotał«, i zaznaczywszy późniejsze — w początkach tułactwa — usposobienie swoje, także dalekie od religijności, opowiada — we właściwy sobie sposób — zbudzenie się reakcyi religijnej w sercu:

Młodzian śni raz — jakoś milej,
Jak puścizna ducha święta,
Zalatuje wieść o niebie...

. . . .

Rozwiewają się tumany,
Z pod omamień grubych płótna,
Widzi świat swój — świat kochany —
Jak grób pusty, pobielany;
Mądrość wieku bałamutna

Syczy w pleśniach [1]) jak gadzina...
Młodzian — coś — jak przypomina!
Bije w ziemię dumnem czołem
. . . .
W głos *ślubuje — gdzieś — na grobie* —
Nie zagniewać Pana w sobie:
Wiara — matka niewyrodna,
Roztkliwiona w płacz pokorą,
Oto czule, coraz czulej
Do swych piersi dziecię tuli.

To *ślubowanie na grobie* odnosić się może tylko do owej chwili modlitwy na mogile Kamila Mochnackiego, a to, że poeta podniósł ten moment w swoim uroczystym poemacie, jako akt nowego przymierza z Bogiem, dowodzi, że religijne wzruszenie, jakiego wtedy doznał, silniejsze było, niż jakiekolwiek przedtem.

Z Prowancyi powrócił Bohdan inną drogą, niż zamyślał, do Paryża, i w tej drodze, nie szukając tym razem Mickiewicza, znalazł go niespodzianie w Lyonie, całkowicie zagłębionego w *Panu Tadeuszu*. Pojechali stąd zaraz razem do Paryża, jeden, aby oddać się z całą duszą tworzeniu epopei, która bardzo wiele zyskała na przerwie, drugi — aby daremnie wyczekiwać natchnienia. Mickiewicz od początku pisania swojej powieści szlacheckiej dzielił się z Bohdanem, równie jak z kilku innymi, bliższymi przyjaciółmi, tem, co przybywało do niej, i Bohdan naturalnie bardzo wysoko cenił ten przywilej, ale bodaj czy się to nie przyczyniało w pewnej mierze do ówczesnej jałowości autora *Rusałek*, rozrywając jego uwagę i onieśmielając muzę. Ten epicki spokój, jaki tchnął

---

[1]) Nie śmiem poprawić wyrazu »w pleśniach« na »w pieśniach«, który byłby daleko właściwszym, nie śmiem, bo tak jest we wszystkich wydaniach poezyi Bohdana, mam jednak silne podejrzenie, że to pierwotna mylka druku tak się mocno usadowiła w tekście, że przeszła potem nienaruszona do dalszych wydań. Przykłady takiego uwieczniania się błędów drukarskich w poezyi Zaleskiego znajdziemy później.

z *Pana Tadeusza*, a którego nie mógł nie podziwiać nasz poeta, jakże był trudnym, ba, nawet niepodobnym do osiągnięcia dla niego.

Niedługo po powrocie Bohdana z wycieczki nad morze, w listopadzie 1833, zjawił się w Paryżu nowy emigrant, od paru miesięcy oczekiwany, a który miał odegrać w życiu poety jedyną w swoim rodzaju rolę. Był to Józef Zaleski. Daleki krewny Bohdana [1]), brat przyrodni owego Juliana (podchorążego w pułku gwardyi strzelców konnych), którego śmierć samobójczą w r. 1825 tak głęboko odczuwał Bohdan, był o lat 13 starszy od naszego poety. Świadek rzezi Pragi w czwartym roku życia, miał za sobą

---

[1]) O rodzicach i rodzinie Józefa znajdujemy ciekawą wiadomość w Helleniusza (Ant. Iwanowskiego) *Wspomnieniach polskich czasów* T. II, str. 184—185. »Major wojsk polskich Feliks Zaleski, dziedzic dóbr Piatki, mieszkał w Warszawie, narobił długów. Otwarty, szczery, ostry był... Ożenił się z Katerlanką, córką warszawskiego obywatela, miał syna Józefa szanowanego, wielbionego z cnót w całej emigracyi...« Pierwsza żona, umierając, oddała mu w opiekę młodszą siostrę, młodziutką... sierotę. Oddał ją Feliks do brata, marszałka skwirskiego, ożenionego z Sosnowską, która prowadziła dom na stopę pańską, »sroga dla ludu, męża za nos wodziła«. »Pani marszałkowa... do cudzoziemskich imion wstręt miała, umieściła ją w garderobie, w najwyższem była zaniedbaniu. Gdy do braterstwa przybył major, nieszczęśliwa panienka rzuciła mu się do nóg, prosząc, aby ją z tego piekła wyrwał. Major Feliks wyjechał, w rychłym czasie wrócił z indultem gotowym, ksiądz zaraz przybył, wniesiono stół, postawiono krzyż, zapalono świece, wtedy oświadczył braterstwu, że z Katerlanką ślub bierze. Marszałkowa zaczęła spazmować, pomimo jej płaczu i oburzenia na partyę nierówną, ślub wziął major, z żoną zaraz wyjechał, nieprędko go już widziano. Z tego małżeństwa miał syna Juliana, pięknie ukształconego, w Warszawie skończył edukacyę, po śmierci ojca był pod opieką stryjów. Surowość ich, namiętności młodzieńcze, były powodem samobójstwa, nieszczęścia, które się często trafiały dla braku religii i pobożności. Cały majątek marszałka i podkomorzego przeszedł na jedyną córkę majora. Felicyę Iwanowską, matkę słynnej z cnót i piękności Dyonizyi Poniatowskiej« (str. 184—185).



Józef Zaleski

kilkoletnią karyerę wojskową w wojnach napoleońskich od 1809 do 1814, potem przez dwa lata jeszcze służył w wojsku Królestwa Kongresowego, a od r. 1817 aż do powstania gospodarował na Ukrainie, z początku jako dzierżawca, potem jako dziedzic pewnej wsi pod Kijowem. Powstanie oderwało go od pługa i rzuciło, jak tylu innych, w świat, daleko od żony i rodziny, którą zostawił na Ukrainie. Zanim jednak znalazł się na bruku paryskim, parę lat przesiedział w Galicyi i stamtąd teraz przybywał.

Bohdana poznał jeszcze jako ucznia szkół humańskich, ale była to, jak się zdaje, znajomość przelotna, bez znaczenia. W bliższy stosunek wszedł z nim, gdy w r. 1830, niedługo przed wybuchem powstania, przyjechał do Warszawy i tu zasięgnął wieści o gotującym się ruchu. Ale największe, serdeczne zbliżenie nastąpiło dopiero po upadku powstania, we Lwowie, gdzie się razem znaleźli i spędzili razem kilka miesięcy. Dalekie pokrewieństwo było tylko zewnętrznym węzłem, który ich wiązał; więcej od niego znaczyło to, że obaj się czuli Ukraińcami, tęskniącymi do stron rodzinnych, obaj obdarzeni byli czułym temperamentem; to zaś, czem się różnili, jeszcze ich silniej ku sobie wzajem pociągało. Młody poeta i z łaski poezyi poseł sejmowy, rzucony rewolucyą na niepewne drogi tułactwa, był w oczach starszego istotą wyższą, wybraną, ale też dlatego potrzebującą czułej opieki. Starszy, żołnierz z pod znaków księcia Józefa, uczestnik epopei Napoleońskiej, szczera, gorąca natura żołnierska, był dla młodszego typem owych walecznych i czułych rycerzy, których muza tego ostatniego, przebrawszy w strój kozacki, lubiła opiewać. Więc już we Lwowie tak silnie byli pociągnięci ku sobie, że postanowili żyć razem i wzajem się krzepić i wspierać, gdy się znajdą na dalekiej obczyźnie.

Bohdan wcześniej odjechał ze Lwowa do Paryża, bo go powoływały obowiązki sejmowe; Józef pozostał dłużej w Galicyi, aby urządzić interesa domowe, t. j. aby porozumieć się z żoną, która pozostając wraz z małym synem na Ukrainie, w swoim majątku, miała zastępować męża w czuwaniu i nad majątkiem i nad wychowaniem syna, i jak wiele innych żon, sióstr i matek wychodźców, przesyłać tułaczowi tajemnemi drogami pomoc pieniężną. Zanim to porozumienie nastąpiło, nawinęły się inne sprawy, natury politycznej, konspiratorskiej, do których rycerski animusz Józefa dał się łatwo wciągnąć, a które pobyt jego w Galicyi znacznie przedłużyły.

Galicya ówczesna była bardzo podatnym gruntem dla krzewienia się konspiracyi politycznych, nb. takich, które były wymierzone nie przeciw Austryi, ale przeciw Rosyi, a była taką naprzód dlatego, że rząd austryacki bardzo pobłażliwie spoglądał z początku na uwijanie się po kraju emigracyi, a powtóre, że mieszkańcy Galicyi nie odczuwali bezpośrednio na sobie tych strasznych klęsk, jakie sprowadziło powstanie na Królestwo, Litwę i Ruś polską i stąd przystępni byli złudzeniom, że jakieś nowe eksperymenta powstańcze mogą mieć warunki powodzenia. Wiemy już, że Goszczyński, w pierwszych miesiącach pobytu w Galicyi, próbował (wraz z Józefem Tetmajerem) zawiązać spisek polityczny, ale naiwna ta próba nie miała żadnych skutków. Ważniejszą była — choć także nie doprowadziła do ruchu zbrojnego — nieco późniejsza konspiracya, zawiązana latem 1832 r. we Lwowie przez niejakiego Ignacego Kulczyńskiego, emigranta z Wołynia, który wciągnął do niej pomiędzy innymi i Goszczyńskiego, umyślnie na to sprowadzonego do Lwowa i Józefa Zaleskiego.

»Mnie, powiada Goszczyński w swoich notatach [1]), po-

[1]) Zapiski do moich Pamiętników, Teka VII.

wierzono napisanie organizacyi Związku — wykonałem to bardzo prędko. Całe dzieło składało się z dwudziestu kilku artykułów, jak najzwięźlejszych, tak, że wszystko to mieściło się na jednej ćwiartce w ósemce. Zebraliśmy się w mieszkaniu Kulczyńskiego. Odczytałem moje pismo, które było zarazem aktem Związku i organizacyą, przyjęto każdy artykuł pojedyńczo i ogół, odczytałem w końcu przysięgę uroczystą, bardzo groźną, w duchu religijnym, na którą wszyscy się zgodzili (pamiętam, była w niej ta myśl, aby wnętrzności wypłynęły, jak z Judasza, z tego, kto zdradzi związek lub go porzuci bez przyzwolenia ogółu.

Ale i ten związek, nazwany związkiem 21, bo z tylu się składał uczestników, a do którego z wybitnych literatów, oprócz Goszczyńskiego, należeli Bielowski August i Pol Wincenty, nie miał dość określonych i wytkniętych na bliską metę celów rewolucyjnych, kierował się na drogę propagandy literackiej, chciał wydawać pismo [1]), przygotowujące ogół do przyszłego powstania, zresztą bardzo prędko ustąpił miejsca innemu związkowi, którego pomysł wylągł się we Francyi w szalonej głowie Zaliwskiego, a znalazł uświęcenie i poparcie w nieszczęsnej politykomanii i doktrynerstwie chciwego popularności Lelewela.

---

[1]) Ciekawe o tem wiadomości podaje Goszczyński w swoich *Zapiskach*: »My z Bielowskim, Jabłonowskim, Polem itd. postanowiliśmy poprzeć tę robotę pismem czasowem. Spodziewaliśmy się pomocy pieniężnej od szlachty; wniesiono myśl naszą na posiedzenie komitetu złożonego ze szlachty pod naczelnictwem Krasickiego, a którego sekretarzem był Podolecki Jan Kanty. Znaleziono projekt niezłym, ale Fredro Aleksander żądał, aby artykuły przed ogłoszeniem przechodziły przez cenzurę komitetu, a to jak się wyraził, dlatego. aby nie drukowano czegoś, coby było w duchu *Uczty Zemsty*. Tego warunku nie przyjąłem, powiedziałem Podoleckiemu: »Szlachta wasza myśli, że artykuły to są woły i chce próbować ich wartość, jak się wołom maca za... — tak nie jest«. — Przez to upadł projekt Dziennika, a ja straciłem dla Fredry szacunek i okazałem to jemu kilka lat później w Rozprawie: Nowa epoka poezyi polskiej«.

Chodziło ni mniej, ni więcej, jak o to, aby kilka drobnych oddziałów partyzanckich, które razem wzięte jednej rocie regularnego wojska oprzećby się nie mogły, przekradłszy się do Królestwa lub na Litwę i powołując lud do broni (jak gdyby ten lud miał jaką broń pod ręką, nie mówiąc już o jego usposobieniu) wywołało odrazu powszechne powstanie w kraju, doszczętnie zniszczonym i przerażonym, i dało hasło do powszechnej rewolucyi w Rosyi, a może i w innych krajach. Już pod koniec 1832 r. przybył z Francyi poczciwy, ale wiarą w mądrość polityczną Lelewela zupełnie zaślepiony adjutant jego, Waleryan Pietkiewicz, aby przygotować grunt dla Zaliwskiego i przeprowadzić organizacyę, która miała wspierać jego wyprawę, i niedługo potem cały związek Kulczyńskiego roztopił się w tym nowym związku. W ten sposób i Józef Zaleski wciągnięty został do nowej organizacyi, wcześniej jeszcze od Goszczyńskiego. Naczelnikiem jej w Galicyi został mianowany Wincenty Tyszkiewicz, wice-organizatorem Józef Tetmajer. Jak potwornie szalonym był ten zamiar, najlepszym tego dowodem jest fakt, że nawet tak skoremu do konspiracyi i tak pozbawionemu krytycyzmu, jakim był Goszczyński, wydała się ta robota opartą na kłamstwie i potępienia godną, co mu jednakże nie przeszkodziło następnie zbierać dla niej pieniędzy.

»Moje przeczucie, pisze on w swoich *Zapiskach*, potępiło odrazu tę robotę, zwłaszcza, że powierzano taką rolę Tyszkiewiczowi, który nie miał mego zaufania... Pierwszy z partyzantów był Służalski Henryk... Rozmawialiśmy na Wałach lwowskich, widziałem kłamstwo we wszystkiem, co mówił, cała Polska, cała Rosya miały powstać w jednym dniu, 19 marca« [1]).

---

[1]) Goszczyński — Zapiski do moich pamiętników. Por. Zygmunt Wasilewski, Z życia poety romantycznego, Lwów 1910, str. 26—27.

Robocie stronnictwa Lelewelowskiego na gruncie galicyjskim starały się przeciwdziałać dwa inne stronnictwa emigracyjne, konserwatywny związek jedności narodowej, w którym główną osobą był Czartoryski, i komitet Dwernickiego, który wyszedł z powszechnych wyborców emigracyi, a był w dążeniach i działaniach swoich umiarkowańszym i rozważniejszym od grupy Lelewela. Ale to przeciwdziałanie nie na wiele się przydało, zwłaszcza, że oba te stronnictwa, pragnąc niepodzielnie rozciągnąć swój wpływ na Galicyę, wzajemnie się przez swoich emisaryuszy podkopywały. Wreszcie skądinąd jeszcze wyszło usiłowanie, by powstrzymać Galicyan od organizowania partyzantki powstańczej. Tem usiłowaniem był znany dobrze artykuł Mickiewicza *Do przyjaciół galicyjskich*, napisany na wezwanie Józefa Zaleskiego. Józef Zaleski, czy to wtedy, kiedy Pietkiewicz wciągał go do spisku Zaliwskiego, czy jeszcze wcześniej, kiedy Kulczyński organizował swoją konspiracyę — postanowił w porozumieniu z kilku obywatelami galicyjskimi, z którymi żył w przyjaźni i wiódł narady polityczne, zasięgnąć, dla lepszego zoryentowania się, rady Mickiewicza. Dlaczego tam się zwracał? wszak osobiście nie znał jeszcze autora *Dziadów?* Nasuwa się przypuszczenie, że korespondując z Bohdanem, otrzymał od niego takie listy, jakie współcześnie odbierał Nabielak, listy, w których odźwierciedlał się zachwyt Bohdana dla Mickiewicza, jego wielkości i mądrości, jak również obraz ścisłego, braterskiego związku dwu poetów i że to było pobudką dla Józefa, ażeby za pośrednictwem Bohdana, dla rozjaśnienia wątpliwości politycznych, zwrócić się po światło do Mickiewicza.

Wśród kilku pytań, jakie przesyłano Mickiewiczowi do rozwiązania, a które dały mu powód do wielu ciekawych i rozumnych wywodów, pierwszem i najważniejszem było: »W jaki sposób teraz najkorzystniej działać można dla sprawy polskiej, czy powstać zbrojnie prze-

ciwko nieprzyjacielowi, czyli też ograniczyć się do przygotowania wewnątrz kraju materyałów i środków do przyszłego powstania?« Mickiewicz bardzo wyraźnie odpowiadał na to, że w obecnej chwili »powstanie zbrojne byłoby wypowiedzeniem wojny trzem mocarstwom« i że nie widzi »żadnych środków prowadzenia teraz takiej wojny«, a »co się tyczy pomocy zagranicznej, nie tylko powstańcy jej oczekiwać nie powini, ale obiecującym takową pomoc [mają] nie wierzyć«, że nawet na pomoc emigracyi nie można liczyć, bo »gdyby powstanie w tych czasach wybuchnęło, kilkunastu tylko, a może kilku emigrantów ledwieby się przedrzeć zdołało«. Zalecał więc narazie ograniczyć się do pracy wewnętrznej, któraby szerzyła ducha narodowego w masach i zalecał powtarzać to sobie ciągle, »że chwilowe poświęcenie jest łatwiejsze i mniej skuteczne, niż poświęcenie ciągłe i drobne dla sprawy ojczystej; dla braku tych ciągłych i drobnych poświęceń nie mają potem skutku ogólne chwilowe poświęcenia« [1]).

Ale i ten głos nie odniósł skutku, czy, że zapóźno dochodził do konspirujących, czy, że na szaleńców takich, jak Zaliwski, żadne otrzeźwiające przedstawienia nie działały, i nieszczęsny pomysł tego ostatniego doczekał się wykonania. Sam wprawdzie Zaliwski wyszedł cało z tej awanturniczej wyprawy, (później dopiero uwięziono go w Austryi), ale sprawa ta przyprawiła o śmierć wielu szlachetnych szaleńców, ściągnęła na kraj, udręczony tylu prześladowaniami, całą falę nowych udręczeń, wreszcie odbiła się na Galicyi zmianą postępowania rządu austryackiego wobec emigrantów. Zaczęto poszukiwać i ścigać tych, co przykładali rękę do tej sprawy, a ponieważ jednym z nich był Józef Zaleski, więc i do niego zabrano się. Jakiś czas ukrywał się po domach obywatelskich,

---

[1]) Dzieła A. Mick. T. VI, 57—63.

nawet po lasach, wreszcie opuścił Galicyę i przybył do Paryża [1]).

Przybywszy, połączył się zaraz z czekającym na niego oddawna Bohdanem, i przymknął do koła najbliższych przyjaciół Mickiewicza, które stało na uboczu od walki stronnictw emigracyjnych i odróżniało się od wszystkich innych kół emigracyjnych nastrojem religijnym. Przywoził dokładniejsze, niż miano, wiadomości o wszystkich patryotycznych zabiegach w Galicyi w ostatnim roku, o nieszczęsnej wyprawie Zaliwskiego i jej skutkach, wreszcie o utworzeniu się związku narodowego w myśl uwag Mickiewicza, zawartych w jego artykule *Do przyjaciół galicyjskich*. Ten związek, od którego Józef Zaleski przyjeżdżał w poselstwie, pragnął mieć w Mickiewiczu i jego przyjaciołach swoich kierowników i doradców; dlatego też wkrótce po przyjeździe Józefa, z koła Mickiewiczowskiego wyszła do owych braci związkowych w Galicyi — z uroczystą datą 29 listopada 1838 — odezwa, podpisana przez Mickiewicza, Domejkę, Różyckiego i obu Zaleskich, która była jakby aktem połączenia się przyjaciół paryskich z przyjaciółmi galicyjskimi i określała stanowisko pierwszych wobec drugich, wreszcie wypowiadała sąd ujemny o awanturniczych ruchach w rodzaju wyprawy Zaliwskiego.

Przyjaciele paryscy chętnie przyjmowali na siebie rolę informatorów względem Galicyan, oświadczali gotowość przesyłania im »meteorologicznych przestrzeżeń« z obserwatoryum politycznego, jakiem był Paryż, pocieszali ich nadzieją, że musi nastąpić w Europie burza polityczna »tak pożądana od Polski i wszystkich ludów«, ale zanim to nastąpi, zalecali im — w delikatnej formie — wstrzemięźliwość i ostrożność. »Nie śmiemy dawać rady, ale zakończym uwagą, którą chciejcie jak najsumienniej

---

[1]) Kajsiewicz, Pisma II. Berlin 1870. Nekrolog ś. p. Józefa Zaleskiego str. 393—399.

rozstrząsnąć. Nieopatrzna i niejako ukradkowa wyprawa Zaliwskiego pogrążyła tylko kraj w nowej żałobie, a zaostrzyła czujność naszych wrogów... Miejcie się więc na baczności. Chrońcie kraj od cząstkowych powstań, które miasto przybliżyć, oddalą utęskniony dzień Narodowego wesela«. Sądząc po stylu, odezwa napisana była przez Bohdana, choć niewątpliwie treść jej musiała być obmyślaną w gronie wszystkich pod nią podpisanych.

Echa tej sprawy odzywają się w liście naszego poety do Hieronima Kajsiewicza, który przebywał w Angers, a widocznie był wtajemniczony w roboty związkowe. »Z Pietkiewiczem i Różyckim, którzy się tu zjechali i z paryskimi naszymi przyjaciółmi ułożyliśmy system dalszego postępowania w rzeczy ci wiadomej. Porozpisywałem listy na wszystkie strony po kraju« [1]... Te listy były zapewne kopiami znanej nam odezwy. A w następnym liście do Kajsiewicza, odpowiadając na jego różne pytania, dotyczące emigracyi, pisał także i o stosunku Mickiewicza do robót politycznych, jakiemi on sam wraz z przybranym bratem Józefem był szczególnie zajęty. »Czy Adam bywał na naszych naradach? A jakże! Jest to najcnotliwsza dusza mimo dogmatyzmu. Kłócimy się, a raczej kwasimy się nawzajem często, ale się kochamy. Jesteśmy siebie pewni obydwa. Mimo humorów szlacheckich Adama, ja Kozak, rewolucyonista, czuję w głębi serca, że i on republikanin. Więcej mi nie trzeba« [2].

Zimę z r. 1833 na 1834 przepędził nasz poeta w Paryżu w ciągłem towarzystwie Mickiewicza i jego najbliższych przyjaciół. Była to ważna chwila dla literatury polskiej. *Pan Tadeusz*, którego tworzenie z tylu przeszko-

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 53. [2]) Tamże. 57.

dami musiało walczyć dłużej, niż rok cały, płynął teraz naprzód pełnemi żaglami, niczem nie powstrzymywany, i rozrastał się w wielką szlachecką epopeję. Wieczorami schodzili się do Mickiewicza przyjaciele, oprócz Zaleskich przedewszystkiem Domejko, Witwicki, Stefan Zan, Antoni Gorecki, Bogdan Jański i twórca *Pana Tadeusza* czytał im ustępy, które tylko co z pod pióra jego wypłynęły. »Rozkoszowaliśmy wespół z Adamem, spożywając te nowalie jego poetyckiego geniuszu«, tak pisał o tych czasach w 40 lat potem Bohdan [1]). »W czasie odczytów żyliśmy jak przeniesieni cudownie do Polski między braci i siostry, tak w *Panu Tadeuszu* wszystko jest żywe, swojskie; zapominaliśmy bied i trosk powszednich tułactwa, zapominaliśmy piekących tęsknot, poojczystych i porodzinnych. Unosiliśmy się chlubą Adama i zarazem dumą narodową, że oto Polska posiada swoją epopeję... Błogie wieczory zimowe u Adama w r. 1833 nie zamierzchną nigdy w pamięci przyjaciół. Nuciliśmy pieśni litewskie, białoruskie, ukraińskie w chorowód za wieszczem. Adam opowiadał nam chętnie ustępy z dziejów swej młodości w Nowogródku, Wilnie i Kownie, wyzywając nawzajem do poufnych zwierzeń, że każdego z nas znał niejako na wskróś«.

W połowie lutego 1834 *Pan Tadeusz* został ukończony, co dało powód do uczt koleżeńskich na cześć autora, poczem nastąpiły tak zwane »imieniny i chrzciny« *Pana Tadeusza,* to jest dobieranie wymyślonych nazwisk dla osób i miejscowości, wymienionych w poemacie pod własnemi nazwiskami, i odczytywanie poematu powolne w gronie przyjaciół, w celu oczyszczenia go z różnych błędów. »Adam wymagał od nas, zaklinając na przyjaźń, abyśmy, póki czas jest potemu, wskazywali mu do sprostowania ważniejsze błędy, bądź to w duchu, bądź w tre-

---

[1]) Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania *Pana Tadeusza.* Korr. Ad. Mick. T. II, str. XI—XXVI.

ści, bądź w formie, bądź to nakoniec w słowach i wyrażeniach czemkolwiek grzeszących. Wymawialiśmy się w tej mierze i targowali z nieudanym sromem, ale w końcu musieliśmy uledz wobec jego niezłomnej woli. Adam z piórem w ręku sam czytał *Pana Tadeusza* księgę po księdze, a kiedy uczuwał zmęczenie, odsuwał rękopism ku Witwickiemu albo ku mnie do czytania. Z początku branie inicyatywy cenzorskiej szło twardo; ten to ów bąkał jednak uwagi, które Adam po krótkim namyśle uznawał za niesłuszne lub też słuszne i natychmiast własnoręcznie mazał lub podkreślał do poprawki: a czynił to z nieocenioną skromnością i nawet z pokorą. Nieraz w czasie czytania wyrywał mi rękopism i przekreślał piękne wiersze bezlitośnie«.

Wogóle dla Mickiewicza grono przyjaciół, które go wówczas otaczało, a do którego należał Bohdan, jak z jednej strony wytwarzało ciepłą, jakby rodzinną atmosferę, która sprzyjała tworzeniu szlacheckiej powieści i z której nieraz czerpał on szczegóły charakterystyczne, tak z drugiej było pewnego rodzaju źwierciadłem, które mu pokazywało wszystko to, co było w niej zbyt rażącem, nie dość zharmonizowanem. Jak cenił te przysługi Mickiewicz, dowiódł tego w epilogu do *Pana Tadeusza*, niedrukowanym, co prawda, za życia:

I przyjaciele wtedy pomogli rozmowie
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie...

Pod koniec lutego 1834 Bohdan Zaleski ze swoim przybranym bratem Józefem wynieśli się do Sèvres, tam też w parę miesięcy potem przybył na willegiaturę i Mickiewicz. Wiosna w tym roku była bardzo piękna, ciepła i pogodna, zachęcała do przechadzek. »Codziennie tedy z Adamem, powiada Zaleski, robiliśmy wycieczki poza Sèvres; wałęsaliśmy się po laskach i przy laskach okolicznych aż do Saint-Germain, odwiedzając po drodze ro-

daków, to dumając i gwarząc o przenajróżniejszych rzeczach«. Pomimo wiosny, słońca i wiejskiej atmosfery, Mickiewicza trapiły w owym czasie spliny. Spostrzegł to Bohdan i przypisywał jego ówczesne posępne usposobienie nurtowaniu w nim pomysłów do nowych części *Dziadów*. Raz na przechadzce, gdy leżeli obok siebie na trawie, zagadnął go: »Nie prawdaż, Adamie, rozbierają ciebie *Dziady*? Na to zapytanie uścisnął mi rękę, potakując skinieniem głowy«.

Czy dobrze jednak Bohdan wyrozumiał wówczas duszę Mickiewicza? Prawda, wiemy od samego autora *Pana Tadeusza*, że gdy kończył ten poemat, już go duch porywał do dalszych części *Dziadów*, że już wtedy rzucał na papier urywki, które do nich wejść miały, że z *Dziadów* chciał »zrobić jedyne dzieło swoje godne czytania, jeśli Bóg dozwoli skończyć« [1]). Ale te słowa jego były pisane nazajutrz po ukończeniu *Pana Tadeusza*, na parę miesięcy przed owymi wiosennymi splinami. Gdyby go duch nie przestawał i potem porywać do *Dziadów*, byłżeby doznawał splinów, byłżeby się cofnął od dalszego tworzenia tego poematu, który miał być jedynem dziełem jego godnem czytania? Nie, nie zrozumiał albo raczej niedobrze zrozumiał Bohdan Mickiewicza, i nic w tem dziwnego, bo pomimo, iż ulegał silnemu wówczas jego wpływowi, dusze ich były to instrumenta »inaczej nastrojone«, jak się w rok potem wyrażał o sobie i przyjacielu Mickiewicz. Skąd zaś pochodziły owe spliny, wyjaśnia to najlepiej pewien ustęp z listu poety, pisanego w końcu lipca w kilka dni po ślubie jego, do Hieronima Kajsiewicza. »Miesiące wiosenne przeszły mi bardzo smutnie. Cierpiałem splin i miałem często osobistych bied niemało. Teraz dobrze mi; nie wiem, czy na długo. Postanowiłem był tego roku zdecydować ostatecznie, czy mam się oże-

---

[1]) List do Odyńca z lutego 1834. Korr. A. M. I, 143.

nić, czy na zawsze bezżennym zostać. Obrałem łatwiejsze, bo do trudniejszego nie czułem w sobie dość siły i lękałem się niebezpieczeństw, które nie zawsze udawało mi się zwalczać« [1]).

Były to więc dla Mickiewicza chwile wielkiej walki wewnętrznej, poprzedzające wielkie, na całe życie postanowienie. Możnaby powiedzieć, że w tych chwilach duch *Pana Tadeusza* staczał w poecie walkę z duchem *Dziadów* i niedarmo pisząc do Odyńca, że miał często w myśli jego żonę, gdy malował heroinę swego poematu, dodawał: »Wszakże lepiej jest patrzyć na żywą, niż stworzyć najpiękniejszą malowaną«. Gdyby zwyciężył duch *Dziadów*, duch księdza Piotra, poeta byłby zapewne został księdzem; ale księdza Piotra zwyciężyła Zosia i poeta się ożenił.

Mickiewicz od czasu ukończenia *Pana Tadeusza* i ożenienia się, usunął się zupełnie na ubocze od walki obozów emigracyjnych, ze smutkiem spoglądał na nią z daleka i tylko od religijnego odrodzenia oczekiwał poprawy stosunków w emigracyi. Zaleski i potem, choć wyrzekał na tę walkę, nie przestał brać w niej udziału, do czego pociągał go po części jego żywy temperament, a jeszcze więcej to, że piastował nieszczęsną godność poselską, która nakładała na niego jakieś nieokreślone obowiązki, i że zostawał ciągle w dobrych stosunkach z takimi posłami, jak Lelewel, Worcel, Pietkiewicz i Źwierkowski, którzy do polityki emigracyjnej wielką wagę przywiązywali.

Jako poseł i poeta sławny w jednej osobie, miał na siebie zwrócone oczy emigracyi. Do komitetu Dwernickiego wprawdzie nie należał, ale kiedy w drugiej połowie 1833 r. dla wzmocnienia jego powagi nowe po zakładach zarządzono wybory, na 2627 głosujących Bohdan

---

[1]) Korr. I 147.

otrzymał głosów 827, co już świadczyło o jego znacznej popularnosci[1]). Komitet Dwernickiego niedługo potem istniał, czując bezsilność swoją rozwiązał się w maju 1834, ale na parę miesięcy przedtem (w marcu) ustanowił *Komisyę funduszów emigracyjnych*, instytucyę wistocie bardzo potrzebną, której zadaniem było zbierać »podatek braterski« i rozdzielać go pomiędzy najbardziej potrzebujących wychodźców, i do tej komisyi obok generała Sznajdego i Józefa Tomaszewskiego powołał także i Bohdana. Ten nowy zaszczyt pociągał za sobą nowe zajęcie publiczne, wprawdzie tym razem pożyteczne, ale połączone z rozmaitymi przykrościami. »Zniskąd pociechy, pisał Bohdan do Kajsiewicza w maju 1834. Jestem urzędnikiem w komisyi funduszów, aby nieść pomoc braciom cierpiącym. Mamy już kilka tysięcy franków. Ale i tu miałem sposobność poodkrywać różne szelmostwa, złodziejstwa. Żyjemy w pięknej epoce arcyrozumnej, arcyfilozoficznej, ktorą oby Bóg razem z nami wyrzucił z księgi wieczności«[2]). Nie wiemy, do czego to się odnosi; być może, iż do tego, o czem pisał w innych listach współczesnych (do Kajsiewicza i Lelewela), mianowicie, że przysłano mu z kraju, do

---

[1]) Ciekawe są liczby głosów, które padły wówczas na rozmaite wybitne osoby w emigracyi; dają one obraz tego, kto jaką cieszył się popularnością wśród ogółu emigracyi. Ponieważ ten ogół w większej części składał się z wojskowych, więc największa ilość głosów padła na niektórych generałów: Dwernicki otrzymał 2607, Sierawski 2193. Z posłów najpopularniejszym okazał się Worcel (1291 czy nawet 2291, p. Nowa Polska 62 i 63). Mickiewicz miał głosów 1160, stosunkowo do wielu innych dużo, ale zawsze mniej o 9 od krzykacza Ledóchowskiego, Czartoryski tylko 378, prawie o sto mniej od J. B. Ostrowskiego (472). Najbardziej niepopularnymi okazali się: jen. Bem (głosów 18), jen. Dembiński (9) i Julian Niemcewicz, który na 2627 głosów otrzymał tylko 2. Była to jakby odpowiedź na jego piękny i rzewny artykuł: *Ostatnie słowa do ziomków moich* w Pamiętn. Emigracyi z 15 maja 1833.

[2]) Korr. J. B. Z. I 64.

jego rozporządzenia tysiąc kilkaset reńskich dla braci szwajcarskich lub na pismo peryodyczne, ale »że je przysłano na ręce D..., to też i utonęły u niego. A ja nic więcej zrobić nie mogłem, jak o tem uwiadomić komisyę funduszów emigracyjnych i wezwać do poszukiwania«[1]).

Niedługo potem, w tymże roku 1834, dał się wciągnąć Bohdan w pewną sprawę, która przez dłuższy czas wielką wrzawą napełniała światek emigracyjny, w sprawę potępienia Adama Czartoryskiego. Niezadowolenie z księcia w ogóle emigracyjnym wzrastało z każdym rokiem, a wypływało ze źródeł najrozmaitszych. Książę, licząc wiele na swoje stosunki w wyższych sferach dyplomatycznych, w staraniach o sprawę polską musiał się do tych sfer stosować i tę sprawę opierać na podstawie kongresu wiedeńskiego; dla ogółu emigracyi, który liczył więcej na pomoc ludów, niż rządów, główną podstawą sprawy polskiej miał być zaimprowizowany przez Ledóchowskiego, albo raczej z belgijskiej rewolucyi skopiowany, a przez sejm w lot przyjęty bez wszelkiego namysłu, akt detronizacyi Mikołaja I, akt, który dla dyplomacyi europejskiej nie miał najmniejszego znaczenia. Książę nie krył się z tem, że jest zwolennikiem zasad monarchiczno-konstytucyjnych i że przyszłość Polski na tych zasadach chciałby oprzeć; większość emigracyi zostająca pod bliższym lub dalszym wpływem rewolucyjnych żywiołów francuskich, i ówczesnej agitacyi politycznej we Francyi, miała jakieś bardzo zresztą niejasne, ideały demokratyczno-republikańskie, i spoglądała na Czartoryskiego i jego stronników jako na obóz arysto-

---

[1]) W liście do Kajsiewicza (I 66—67), pisał o tym D..., że puścił on przysłane na swoje ręce pieniądze dla emigracyi w *rouge et noir*, ale dość pobłażliwym okazywał się dla winowajcy. »O D... nie mów przed nikim, bo pieniądze już przepadły, a osławiać się nie godzi człowieka, który oprócz tej starej wady marnotrawstwa cudzego grosza, zresztą jest poczciwszy od innych«.

kratów. Książę, jak wiemy, opierał się, zapewne nie bez porozumienia z rządem francuskim, wskrzeszaniu sejmu polskiego na ziemi francuskiej, a emigracya ogromnie sobie tego sejmu *in partibus infidelium* życzyła, i główną winę niedojścia tej myśli do skutku przypisywała księciu. Największą jednak niechęć obudził ku sobie książę w emigracyi, popierając werbowanie legionów polskich do Algieru i Portugalii, co w istocie nie było myślą szczęśliwą, choć w najlepszych chęciach dla emigracyi podjętą.

I oto nieliczna, ale bardzo demokratycznie nastrojona grupa emigrantów, osadzona w Poitiers (na 34 jej członków, 31 należało do Towarzystwa Demokratycznego) w lipcu 1834 rzuciła w świat krótką, ale bezwzględnie i bez motywów potępiającą księcia deklaracyę, która przy ówczesnem usposobieniu emigracyi, przy ciągłem podniecaniu nienawiści ku księciu z jednej strony jawnie przez J. B. Ostrowskiego w zmartwychwstałej *Nowej Polsce*, z drugiej po cichu przez Lelewela w listach prywatnych, miała nadzwyczajne powodzenie, w ciągu ośmiu miesięcy okryła się blizko trzema tysiącami podpisów, a Towarzystwo Demokratyczne z odosobnienia i zastoju wydźwignęła na stopień najsilniejszej grupy emigracyjnej. W tem krótkiem oświadczeniu, które miało tytuł: *Akt emigracyi polskiej przeciw Adamowi Czartoryskiemu,* powiedziano tylko tyle, że »wychodźcy polscy, ujrzawszy z zadziwieniem, że książę Adam Czartoryski poważa się działać w interesach emigracyi na szkodę jej całości i przeznaczenia; i zważywszy, że niewiadomość o uczuciach, jakie obudza w rodakach postępowanie tego człowieka w Rewolucyi i Emigracyi, może wprowadzić w błąd najszczerszych przyjaciół sprawy ludu polskiego; mają za obowiązek publicznie ogłosić, iż tenże A. Czartoryski nie tylko nie posiada ich zaufania, ale uważany jest za nieprzyjaciela polskiej emigracyi« [1]).

---

[1]) W. Źwierkowski: O sejmie w emigracyi, str. 59.

Tak więc ten, który ze stanowiska swego najwięcej dobrego zrobić mógł dla emigracyi, który też wiele dobrego robił dla niej, chociaż nie zawsze szczęśliwe miał pomysły, ogłoszony został wobec świata — bo odezwa przetłumaczona była na wszystkie języki europejskie — za jej wroga. W obronie jego stanęło tylko kilkunastu najpoważniejszych posłów: J. U. Niemcewicz, B. Niemojowski, Ludwik i Cezary Platerowie, Barzykowski i inni, ale liczba tych, którzy się przyłączyli do tej obrony, była wobec liczby przeciwników księcia znikająco małą. Wprawdzie deklaracya ta w sferach dyplomatycznych niewiele mogła mu zaszkodzić, bo tam już wyrobiło się o emigracyi przekonanie, *que les Polonais ne savent organiser que le désordre* [1]), w każdym razie była dla niego bardzo bolesnym ciosem. Najbardziej bolesnym musiał być dla niego fakt, że do protestujących przyłączył się w osobnem oświadczeniu generał Dwernicki i że między podpisanymi pod ogólną deklaracyą przeciw niemu znalazło się dziesięciu posłów, między innymi Lelewel, Żwierkowski, Pietkiewicz, Worcell i Bohdan Zaleski. Reszta posłów zajęła neutralne stanowisko.

Zaleski, kładąc podpis na akcie potępienia Czartoryskiego [2]), ulegał wpływowi swoich przyjaciół sejmowych, przedewszystkiem Lelewela, żywiącego głęboką, chroniczną niechęć do księcia; zresztą, jako »kozak i republikanin« czuł się do tego powołanym. W każdym razie podpis jego na tym akcie zostawał w rażącej sprzeczności ze współczesnym ledwie o parę miesięcy późniejszym

---

[1]) Pamiętnik emigracyi Podczaszyńskiego 15 maja 1833. Ostatnie słowa do ziomków moich Niemcewicza.

[2]) Podpis Bohdana nadesłany został 25 września 1834 na dwa dni przed datą oświadczenia gen. Dwernickiego. Wraz z tym podpisem nadeszły podpisy Józefa Zaleskiego, Nabielaka, Orlickiego, Kazimierskiego i Ordyńca. (Nowa Polska 246).

podpisem na innym akcie, o którym teraz wypada opowiedzieć.

Małżeństwo Mickiewicza nie osłabiło jego ścisłych stosunków z Zaleskimi i innymi bliższymi przyjaciółmi, choć z początku, jak pisał do Odyńca, znajomi jego nie przywykli byli do »nowego mebla« i byli »trochę żenowani«. Nie osłabł też mimo małżeństwa i duch religijny w Mickiewiczu, duch, który oddziaływał na koło najbliższych jego przyjaciół i to nie tylko tych, co mieszkali w Paryżu, ale i dalszych, jak Różyckiego, Wodzińskiego, Rettla, Kajsiewicza i innych. I owszem, można powiedzieć, że skupił się ten duch w nim jeszcze silniej, a przytem spokorniał i dążył do objawiania się już nie w poezyi, nie w pomysłach, tak fantazyą unoszonych, jakiemi były np. jego *Myśli o sejmie polskim*, ale w czynach, dostępnych dla każdego, w życiu codziennem, powszedniem. Przez dwa lata przypatrując się życiu emigracyi, jej bezpłodnemu szamotaniu się na wszystkie strony, jej swarom, zatargom i zawiściom, przyszedł Mickiewicz do przekonania, że tylko religijne uczucie potrafi te serca ukoić, odrodzić i nadać im rytm zgodny, że tylko w religii, w katolicyzmie, znajdzie patryotyzm naturalną i mocną dla siebie podstawę. Wprawdzie ideę tę rzucił już w *Księgach Pielgrzymstwa*, ale przez dwa lata blizko miał zapewne czas przekonać się, jak mało słowa jego wywarły wpływu, nie poparte przykładem, jak również, ile tam w tych słowach obok zdrowego i czystego ziarna, było pierwiastków zdolnych szkodliwie działać na emigracyę, rozwijać w niej niczem nieuzasadnione pretensye[1]). Więc nie słowem już,

---

[1]) Że Mickiewicz już w rok po wydaniu *Ksiąg Pielgrzymstwa* krytycznie się zapatrywał na nie, świadczy o tem ustęp z listu Bohdana do Kajsiewicza z datą 3 maja 1834. Donosząc przyjacielowi o ukazaniu się *Paroles d'un croyant* Lamennais'go, i określając je jako utwór w rodzaju *Ksiąg narodu*, dodaje: »Adam mówi że (Lamennais) bije w niej (w książce) pokłon Molochowi częściej od niego, choć,

ale przykładem wpływać, poprawę zacząć od siebie, życie swoje nastroić na szczery ton religijny i dać braciom wzór, jak żyć należy, gdzie szukać pociechy i siły wśród nieustających utrapień, smutków i zatruwających atmosferę emigracyjną kwasów.

Wiedział Mickiewicz z doświadczenia, pamiętał z praktyki filomackiej, jaką siłę daje działaniu na ogół ścisłe zjednoczenie się kilku ludzi w jednej idei, i dlatego postanowił zastosować tę dawną praktykę, odpowiednio ją modyfikując, do nowych celów. Przed laty chodziło o to, aby patryotyzm oprzeć na nauce i cnocie; religia była na dalszym planie, była rzeczą podrzędną. Teraz wychodziła na plan pierwszy, stawała się główną siłą, źródłem wszystkich szlachetnych uczuć, jedynie trwałą podstawą patryotyzmu. Przeniknięty do głębi tą ideą, zwrócił się do najbliższych przyjaciół paryskich z myślą stowarzyszenia się w jej imię, i w ten sposób powstało Towarzystwo Braci Zjednoczonych, do którego weszli oprócz Mickiewicza i obu Zaleskich, Antoni Gorecki, budujący wówczas wszystkich nastrojem religijnym, jaki się w nim nagle obudził, Stefan Witwicki, Cezary Plater. Nieco później przystąpili do bractwa Ignacy Domejko i ten, który się miał stać niebawem najczulszym przewodnikiem prądu religijnego na emigracyi — Bogdan Jański. Ułożono akt — zapewne ułożył Mickiewicz — który swoją treściwością i swoim tonem doskonale charakteryzuje to uczucie, z jakiego myśl związku powstała, i dlatego warto ten akt poznać w całości.

---

ksiądz i w sutannie, bardziejby mu się to nie godziło«. Korr. J. B. Z., I, 64. A w następnym roku sam już Mickiewicz pisał do Kajsiewicza: »Przekonasz się kiedyś, co to jest sława i jak ci nie sprawi ani jednej chwili szczęśliwej; i często może będziesz najbardziej żałował tych słów, które największe wzbudziły echo«. Korr. A. M., I, 56.

W imię
Ojca i Syna i Ducha Świętego.
I poznacie prawdę i prawda was wyswobodzi.

Na cześć i chwałę Trójcy Przenajświętszej, dusz naszych wybawienie, utrzymanie i wyswobodzenie biednej Ojczyzny naszej, żeby cała, wolna i niepodległa mogła jawnie służyć Panu, my chrześcijanie, Polacy, wyznania rzymsko-katolickiego, oddając się pod szczególną opiekę Matki Przenajświętszej, zaufani w słowa Jej Boskiego Syna: »Tego, co do mnie przyjdzie nie wyrzucę precz« (u Jana R. VI § 37), »Proście, a będzie wam dano, szukajcie, a znajdziecie« (u Mateusza R. VII § 7), »Szukajcież tedy naprzód Królestwa Bożego i Sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano« (u Mat. R. VI § 33), »toć jest przykazanie moje, abyście się społecznie miłowali, tak, jakem was umiłował. Większej nad tę miłość żaden nie ma, jedno, gdy kto duszę swą położy za przyjacioły swoje« (u Jana R. XV 12—13); »Zaprawdę wam powiadam, jeśli o co będziecie prosić Ojca w Imię moje, da wam« (u Jana R. XVI 23); »tom ci wam powiedział, abyście we mnie pokój mieli. Na świecie uciski mieć będziecie, ale ufajcie, jamci zwyciężył świat«, (u Jana R. XVI 33); »nie zostawię was sierotami, przyjdę do was (u Jana R. XV); czujcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokusę« (u Mat. R. XXVI 41); »gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w Imię moje, tamem jest w pośrodku ich« (u Mat. XVIII 20); — w Imię zatem Święte Pana naszego Jezusa Chrystusa. który widzi szczerość myśli naszych, prosząc Jego błogosławieństwa i opieki, w pokorze serca i po umyślnem ku temu odprawieniu Świętej spowiedzi: łączymy się w Związek pod nazwaniem *Braci Zjednoczonych.* Modlić się codziennie za siebie, ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół; przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać; przykładem swym rodaków

do tego zachęcać i na drodze tej spólną siłą utrzymywać się, jak najmocniej przedsiębierzemy i postanawiamy.

Działo się w Paryżu, roku Pańskiego Tysiąc ośmset trzydziestego czwartego, dziewiętnastego grudnia, w dzień Świętego Nemezyusza męczennika«.

Akt ten staje się szczególnie godnym uwagi, jeżeli go porównamy z tak niedawno przed nim ogłoszonymi *Księgami Pielgrzymstwa*. Tam Mickiewicz czerpał także z ewanielii, ale jakże mało w stosunku do tego, co jego własna fantazya dokładała, fantazya podniecona w najwyższym stopniu obrazami walki i cierpień narodowych, chociaż mu te obrazy z drugiej ręki się dostawały. Tu były wybrane tylko i podane — bez wszelkiej przymieszki fantastycznych rojeń o Chrystusowem powołaniu Polski i apostolskiem powołaniu emigracyi, o niezmiernej jej wyższości nad wszystkimi narodami — czyste ziarna ewangelii, które miały nadzieję i pokrzepienie budzić w sercach wychodźców i pociągać je ku temu świętemu źródłu. Od siebie twórcy aktu dawali tylko ducha miłości, ducha dobrej woli t. j. gorącej chęci pełnienia rozkazów ewanielii, i ducha pokory, od którego tak dalekie były *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*. Ten duch pokory w obecnem piśmie najdobitniej się objawiał w oświadczeniu, że Bracia swój akt połączenia się poprzedzili aktem spowiedzi.

A teraz drugie zestawienie, o którem już wyżej była wzmianka: aktu Braci Zjednoczonych z aktem poitierskim, który duchem swoim tak był przeciwny pierwszemu. Wprawdzie między cytatami z ewanielii, na których się akt paryski opierał, nie były cytowane słowa Modlitwy Pańskiej: i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, ale one tkwiły w duchu, w pomyśle samego aktu, a tymczasem akt poitierski, z takim aplauzem przyjęty przez emigracyę, pamiętał tylko o winach cudzych. Oba akty, tak bliskie so-

bie chronologicznie, podpisał Bohdan, a ponieważ akt Braci Zjednoczonych pózniejszy był od tamtego o dwa niespełna miesiące, więc możnaby wnioskować, że w ciągu tego krótkiego czasu w jego nastroju duchowym zaszła radykalna zmiana, która go zupełnie dostroiła do tonu ówczesnych uczuć społecznych i religijnych Mickiewicza.

Dostrojenie było, ale nie pełne, więcej powierzchowne, niż głębokie. Różnicę między ówczesnym nastrojem Mickiewicza a Zaleskiego można w ten sposób określić, że pierwszy był całem sercem przy akcie Braci Zjednoczonych, drugi tylko połową serca, drugą zostawiając jeszcze dla polityki emigracyjnej. Objawiło się to niebawem wstąpieniem jego do Towarzystwa Demokratycznego, po części założeniem Towarzystwa Słowiańskiego, a przedewszystkiem udziałem w dalszych obradach sejmu.

Gromkie zwycięstwo sekcyi poiterskiej nad księciem Czartoryskim zwróciło uwagę emigracyi na Towarzystwo Demokratyczne, którego owa sekcya była cząstką, a które dotychczas ani liczbą, ani nazwiskami nie imponowało, a przeciwnie, odstręczało duchem wyłączności i pogardliwem traktowaniem ogółu emigracyi. Zdawało się wielu, że objawiła się jakaś nowa siła żywotna w emigracyi, dotychczas w ukryciu zostająca, a którąby mogła dokonać nareszcie tego, co się dotychczas nie udawało, to jest zgrupować emigracyę. Wszakże w emigracyi wszyscy prawie przyznawali się do zasad demokratycznych, dlaczegożby nie mieli wstąpić do Towarzystwa Demokratycznego? Ta myśl błysnęła także w głowach obu Zaleskich, Karola Różyckiego, posła Hłuszniewicza, Nabielaka, Tetmajera i kilku innych, i postanowili oni wstąpić do Towarzystwa Demokratycznego i utworzyć w Paryżu na Batignolles osobną sekcyę. Zdawało się im zapewne, że jeżeli sekcya poitierska, złożona z ludzi nieznanych, mogła swojem wystąpieniem tak zelektryzować całą emigracyę, to i oni, połączywszy się w sekcyę, będą mogli ko-

rzystnie oddziaływać na nią i swego gorącego, patryotycznego ducha w nią przelewać. Czy Zaleskim, którzy już wtedy byli członkami Towarzystwa Braci Zjednoczonych, nie przychodziło na myśl, że mogą się stać kanałem, którym duch panujący w Bractwie będzie się przelewał w emigracyę? Taki wniosek sam się nasuwa i jak zobaczymy, znajduje potwierdzenie w ich późniejszych wynurzeniach; w ten sposób Bohdan mógł doskonale uspokajać sumienie swoje, wycofując pół serca swego z Bractwa Zjednoczonych, a składając je w sekcyi batiniolskiej, która miała się stać jednem z niezliczonych kółek emigracyjnych w próżni politykujących.

Nowa Polska, która cierpiąc na histeryę publicystyczną, walczyła z całym światem, i jak z jednej strony nazywała Czartoryskiego »występnym starcem«, tak z drugiej nie mogła znosić Towarzystwa Demokratycznego, które nie potrzebowało jej opieki, *Nowa Polska* była bardzo niezadowoloną z założenia nowej sekcyi batiniolskiej i ze wstąpienia do niej tak poważnych osób, jak Różycki, Bohdan Zaleski i inny poseł, Hłuszniewicz, i to niezadowolenie wyraziła w istnej powodzi dyalektycznej, w niezmiernie długim artykule *(Założenie sekcyi Batignol)* [1]), w którym starała się dowieść, a raczej wmówić w czytelników, korzystając z pewnych wyrażeń w okólnikach Centralizacyi demokratycznej, że Towarzystwo Demokratyczne uważa resztę emigracyi za »zgangrenowaną bandę« wygnańców [2]). Szczególny powód niezadowolenia tkwił zapewne w tem, że I. B. Ostrowski wierzył jeszcze w możność utworzenia komitetu emigracyjnego z ogólnych wyborów,

---

[1]) Nowa Polska, 297—302.

[2]) »Przez wstąpienie (Bohdana i innych) jest udzielone i nie powiemy, że małoważne świadectwo osławionym naukom: że Emigracya jest zgangrenowana, że nie jest polityczna, że jest banda, że jedynie stowarzyszenie polskiej demokracyi jest życiem i zbawieniem«, str. 301.

w którymby i on sam się znalazł. Jeszcze bowiem w roku poprzednim (w sierpniu 1834) jeden z zakładów emigracyjnych (w Agen), popierany przez Dwernickiego, zajął się przeprowadzeniem wyborów do takiego komitetu, i w istocie, kiedy po jedenastu miesiącach (w lipcu 1835) ukończono wybory — głosów oddano tym razem tylko 1854 — Ostrowski — chociaż na ostatniem miejscu — znalazł się przecież na liście komitetu obok Dwernickiego, Różyckiego, Bohdana Zaleskiego i paru innych. Ale obrani, przynajmniej niektórzy, a w ich liczbie Różycki i Bohdan Zaleski, wymówili się pod różnymi pozorami od przyjęcia tego zaszczytu, i w ten sposób komitet, tak mozolnie i długo budowany, runął jeszcze przed rozpoczęciem swoich czynności, a nadzieje Ostrowskiego zostały zawiedzione [1]. Dodajmy, że to nie był ostatni tego rodzaju zawód Ostrowskiego, że i w kilka lat potem, przy nowych wyborach, nie chciano z nim kolegować w komitecie, tak kompromitującem było jego towarzystwo.

Założenie Towarzystwa Słowiańskiego nastąpiło bardzo prędko po wstąpieniu Zaleskich do Towarzystwa Demokratycznego i zawiązaniu sekcyi batiniolskiej, a pomysł jego był, jak się zdaje, wyłączną własnością Bohdana. Do tego przypuszczenia skłania mię fakt, że akt założenia, który się przechował [2], nosi tylko jego podpis, i że data położona na nim: 14 lutego 1835, jest trzydziestą trzecią rocznicą jego urodzin, była więc datą, jakby umyślnie przez niego dobraną dla uświetnienia tej rocznicy. Wiadomo zresztą, że jeszcze w Warszawie, przed wielu laty, pod wpływem Brodzińskiego, przejmował się on słowianofilskim prądem i gotów był nawet, znalazłszy poparcie uniwersytetu, poświęcić się slawistyce. Teraz na emigracyi, kiedy w imię różnych potrzeb i idei zakładano różne

---

[1]) Nowa Polska 382.

[2]) Drukowany w Korr. J. B. Z., I, 71—72.

stowarzyszenia i pisano manifesty, przyszło mu na myśl obok innych haseł, podnieść także myśl słowiańskiej wspólności, kojarząc ją naturalnie z patryotyczną tendencyą, i oto taki akt nakreślił:

»My niżej podpisani, spółziemianie z nad Wisły, Niemna i Dniepru — miłujący pełnem sercem i narodowość naszą polską i narodowość jednoplemiennych z nami, a tak szeroko w Europie osiadłych ludów; tu, na tułactwie, w dniach narodowej żałoby — po wielokrotnie i wszechstronnie rozważaliśmy potrzebę i ważność rozpowszechniania wiadomości o rzeczy domowej, słowiańskiej. Jakoż, aby ku temu celowi zjednoczyć spólne usiłowania, związujemy się dzisiaj w *Towarzystwo Polskie Miłośników Słowiańszczyzny*, czyli krócej w *Towarzystwo Słowiańskie*. Członkowie Towarzystwa, bez pretensyi do uczoności, obowiązują się w skromnym zakresie swoim, słowem i pismem opowiadać przeszłość dla przyszłości; to jest niecić zapał między rodakami ku wszystkiemu co swoje, co spół-słowiańskie — ku bratnim dziejom i pieśniom i mowie — ku starym pamiątkom i nowym nadziejom i t. p.«

»Osobne przepisy oznaczą wyraźniej cele Towarzystwa. Przedewszystkiem czujemy tu obowiązek obwieścić myśl, zdaje się, narodową, powszechną: niejako akt spólnej naszej wiary, miłości i nadziei«.

Tą myślą narodową, wypowiedzianą w dalszym ciągu, było to, że »Polska jest sercem Słowiańszczyzny«, że »od Bolesławów i po wszystkie czasy... budziła schorzałe ciało słowiańskie do życia i ruchu«, że zatem »prawem starszeństwa i zasług w cywilizacyi Polska przodkować ma przerodzeniu się społecznemu ludów okolnych swą męczeńską sławą, swym duchem, swą mową«. Od losów Polski zależą losy Słowiańszczyzny; w ostatniem powstaniu przemoc wzięła górę nad wolnością, Polska upadła,

ale przyszły dzień jej wyzwolenia przyniesie odkupienie całej Słowiańszczyźnie.

»Osobne przepisy«, które miały oznaczyć wyraźniej cele Towarzystwa Słowiańskiego, nigdy, jak się zdaje, nie zostały napisane i sam akt założenia pozostał tylko wyrazem pobożnego życzenia Bohdana, które z nim podzielało zapewne całe grono jego bliższych znajomych, choć na akcie obok jego podpisu nie figuruje żaden inny[1]). Jakkolwiek jednak towarzystwo to, jako towarzystwo, nie odegrało żadnej roli ani w emigracyi, ani tem mniej w Słowiańszczyźnie, i przed jakiemkolwiek ściślejszem zorganizowaniem się rozchwiało się i popadło w niepamięć, to jednak idea, tkwiąca w jego podstawie, trafiła do głęboko czującej i myślącej duszy Bogdana Jańskiego i przekazana przez niego przyszłym założycielom Zgromadzenia Zmartwychwstańców, stała się skazówką dla kierunku rozwoju ich działalności[2]); w życiu zaś naszego poety jest

---

[1]) W Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego na r. 1838 str. 86 powiedziano: »Towarzystwo Słowiańskie zawiązane 1834 (sic) miało na celu wejście w stosunki z pobratymczemi narodami Polski. Do pierwszych jego założycieli należeli: Adam Mickiewicz, Bohdan Zaleski, Wojciech Kazimirski, Stanisław Ropelewski, E. Januszkiewicz, K. E. Wodzyński (sic)«. Jak ostatnie nazwisko, tak i data zawiązania Towarzystwa mylnie jest tutaj podana. Z listu Bohdana do Wodzińskiego (»Towarzystwo Słowiańskie żyje podobno w nas dwóch swoich założycielach« Korr. J. B. Z., I, 78) można się domyślać, że obok Bohdana najwięcej się przyczynił do zawiązania Towarzystwa Karol Wodziński.

[2]) W notatkach swoich, pod datą 10 grudnia 1835, Jański określając swoje »obowiązki i powołanie«, pisze:

»1. Świat ten znikomy. Żyjemy dla Królestwa Niebieskiego, Zbawienie przez Chrystusa.

2. Dziś początek jakiejś nowej, powszechnej poprawy. Nowe rozwinięcie chrystyanizmu.

3. Ludy słowiańskie przynoszą na tę pracę towarzyską swoje świeże, potężne siły. Ale

a) zły duch chce ich użyć na swoje cele, przez Mikołaja;

objawem już dlatego godnym uwagi, że wiąże się z bardzo prędko potem dokonanym przekładem Pieśni serbskich.

Co się tyczy sejmu emigracyjnego, do którego obrad nanowo został wciągnięty nasz poeta, to ten, po dwuletniem spoczywaniu w letargu, na wiosnę 1835 r. zaczął się ruszać, a tym, który go starał się zgalwanizować, był naturalnie wojewoda Ostrowski, dla którego sejmowanie było potrzebą duszy, którego zamiłowanie w »konferencyjkach« nawet Lelewel, zwolennik sejmu, złośliwie później podkreślał. Starano się wynaleźć okoliczności, któreby potrzebę zebrania się sejmu uzasadniały, a za jedną z takich uznano działalność finansową księcia Lubeckiego, który jeszcze w poprzednim roku przyjechał był do Paryża w sprawie likwidacyi rachunków między Francyą a Rosyą, a o którym też mówiono, że stara się zaciągnąć pożyczkę w kwocie 150 mil. złp. dla rządu rosyjskiego na imię Polski [1]. Otóż chodziło o to, ażeby sejm wszystkie działania finansowe Rosyi, dotyczące Polski, uznał za nieważne. Ale zgromadzić komplet tak pożądany przez zwolenników sejmu, jeszcze trudniej było teraz, niż przed dwoma laty, bo ci, co przedtem nie uznawali potrzeby sejmu, i teraz jej nie widzieli, a z pomiędzy tych, co byli za sejmowaniem, nie jeden musiał opuścić Paryż, między innymi Lelewel. Nie przeszkodziło to jednak, że w lipcu, na jednem z posiedzeń »familijnych«,

---

b) są rasowe nałogowe wady w ich życiu praktycznem;

c) duch buntowniczy, rewolucyjny, rozkiełzanej wolności, pysznej filozofii, sprawić może ich zagubę.

Ztąd powinność *sprowadzić je do jedności wiary Kościoła powszechnego i przygotować do wypełnienia zakonu Chrystusowego w nowem jego rozwinięciu.* Nad tem cała praca. Środkiem tej pracy: »Polska w związku z powszechną pracą chrześciaństwa«. X. Smolikowski, Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, Kraków 1892, T. I, str. 73.

[1]) Gadon l. c. III. 30—31.

wybrano komisyę, która miała przygotować t. j. ułożyć odezwę i uchwałę sejmową w sprawie owej pożyczki, i do tej komisyi, złożonej z sześciu członków, powołano między innymi Bohdana Zaleskiego. Spotkał go ten nowy zaszczyt nie dlatego, żeby go posądzano o znajomość spraw finansowych, (tę znajomość posiadał należący do komisyi Wołowski), ale że był poetą, literatem, a odezwa miała być liryczną i kwiecistą, jaką też i była [1]). Bohdan był jej autorem i odczytał ją wobec 26 zgromadzonych posłów 26 września 1835. Legalnego zatwierdzenia nie otrzymała, bo kompletu jak nie było, tak nie było, ale przynajmniej wniesioną została do »familijnych« protokołów sejmu i ochrzczoną stosownie do parlamentarnych zwyczajów, jako *Akt siedmiu*, co wyraźnie wskazywało, że sześciu komisarzom przewodniczył siódmy — wojewoda Ostrowski.

W tych to czasach, w miesiąc po owej sesyi, na której Bohdan odczytywał projekt odezwy i uchwały, pisał Mickiewicz do Kajsiewicza: »Życie domowe, spokojne i miłe, ucisza mnie, ale jeszcze nie uspokoiło. Tymczasem wszystko, co nas otacza, bardzo jest, jak wiecie, smutne i przyszłość ciemna... Ja żyję bardzo smutny, Witwicki na wsi, Bohdana rzadko widuję. On ciągle politykuje i komitetuje. Przekonany jestem o próżności perswazyi i dy-

---

[1]) Projekt odezwy wraz z uchwałą wydrukowany jest u Zwierkowskiego: O sejmie w emigracyi str. 39—40. Jeden z najpoważniejszych polityków obozu monarchicznego, Karol Hofmann, w swoich Pamiętnikach (Rkps. Bibl. Akad. Umiej. nr. 123, str. 25) tak się wyraża o tym projekcie manifestu: »Czytałem go i znalazłem niezmiernie nikczemnym i płaskim. Rzecz dziwna! jak mało mamy ludzi uzdolnionych do rzeczy stanu! Pisał go podobno Bogdan Zaleski, dobry poeta, ale, jak się pokazuje, lichy i bardzo lichy polityk. Nie pojmuję, jak mógł taką redakcyę przepuścić, należący do Deputacyi Teodor Morawski, ale przypisać to należy jego lenistwu, obojętności i innym roztargnieniom«.

sput, więc o niczem z uim nie mówię i zostawiam czasowi sąd o ludziach i rzeczach. On też rzadko do mnie zagląda. Jesteśmy, jak dwa instrumenty, na których grać nie można razem, bo każdy inaczej nastrojony« [1]).

Ale w chwili, kiedy Mickiewicz stawiał te słowa, już politykowanie i komitetowanie Bohdana dobiegało kresu. Do przyśpieszenia zwrotu, jaki pod tym względem nastąpił w jego życiu, przyczyniło się zapewne prześladowanie, jakie sekcya batiniolska Tow. Dem., do której Zalescy należeli, ściągnęła na siebie ze strony rządu francuskiego. Zdaje się, że rząd ten, który na Tow. Demokratyczne wogóle niechętnem spoglądał okiem, w szczególności podejrzewał Batignolczyków o jakieś knowania rewolucyjne, jakie? tego nie wiemy; dość, że nagle »na d. 18 października 1835 r. o godzinie 8 wieczorem — jak opowiada Nowa Polska (str. 388) — policya nawiedziła posiedzenie sekcyi Batignolles i przytrzymała przytomnych jej 15 obradujących członków. Jedynie rządowe dzienniki za powód uwięzienia wskazały, jakoby sekcya Batignolles miała rozpowszechniać zagraniczne stowarzyszenia«. *Nowa Polska* dodawała, że uniknęli uwięzienia Tetmajer i Bohdan Zaleski, bo nie przyszli na posiedzenie, a także smutnej pamięci demokrata Czyński, redaktor *Północy*, »który, na kilka chwil przed nadejściem policyi wywołany, opuścił posiedzenie« [2]).

---

[1]) Korr. Adama Mickiewicza, I, 157. List z datą 31 października 1835 r.

[2]) Z pewnej późniejszej notatki własnoręcznej poety o latach 1835—1837, możnaby wnioskować, że podejrzenia rządu francuskiego, skierowane przeciw Batignolczykom, nie były zupełnie bezzasadne i że pomiędzy Józefem Zaleskim, który w owym czasie jeździł do Niemiec dla widzenia się z żoną, a Bohdanem zachodziły różnice w poglądach na politykę emigracyjną. Znajdujemy tam bowiem takie wyrazy: »Powrót Józefa. Szamotania się demagogiczne, w których nie biorę udziału. Sekcya Batignolles w kozie u Śtej Pelagii«.

Aresztowanych, między innymi Józefa Zaleskiego, przetrzymano miesiąc w więzieniu u Śtej Pelagii, i nie znalazłszy nic karygodnego w ich postępowaniu, puszczono na wolność. Ale bardzo prędko potem sekcya batiniolska rozwiązuje się, a Bohdan i Józef Zalescy, w drugiej połowie grudnia 1835, opuszczają Paryż i przenoszą się na mieszkanie do Strasburga, zrywając z politykomanią, pomimo, iż właśnie wtedy przed Bohdanem otwierała ponętna karyera dyplomatyczna w świecie polityki emigracyjnej. Umarł był jeden z członków Centralizacyi Tow. Demokratycznego, rezydującej w Poitiers, obywatel Cyprysiński, autor owej, krótkiej ale głośnej odezwy, potępiającej księcia Czartoryskiego, która tyle znaczenia przysporzyła Towarzystwu, a o której już wyżej była mowa, i Centralizacya powoływała Bohdana Zaleskiego do zajęcia jego miejsca [1]. Co odpowiedział Bohdan na to wezwanie, w jaki sposób wymówił się od tego nowego zaszczytu, tego nie wiemy, ale to wiemy, że polityki już miał dosyć i postanowił odsunąć się od niej jak najdalej, a natomiast oddać się od trzech lat zaniedbanej poezyi. Wprawdzie z Towarzystwa Demokratycznego jeszcze był wtedy nie wystąpił i imię jego wraz z imieniem Józefa jeszcze przez półtora roku figurowało w spisie członków tego Towarzystwa, ale stosunek to był bardzo luźny i wątły, zanim się ostatecznie nie zerwał. O okolicznościach, które poprzedziły to zerwanie, później we właściwem miejscu będzie mowa.

---

[1]) Patrz Dodatki — Sekcya Centralna Tow. Demokr. Polskiego do obywatela Bohdana Zaleskiego. Poitiers 7 grudnia 1835.

III.

W ciszy alzackiej.

Życie w Strasburgu. — Korespondencya z Karolem Wodzińskim. — Różne głosy przyjaciół. — Ortodoksyjność Bohdana. — Usadowienie się w Molsheim. — Gorące buchnięcie duszy przyjaciela — Pewność tryumfów poetyckich. — Dobre serce poety. — *Złota duma.* — Bohaterka i bohater poematu. — Subjektywny pierwiastek; idea poematu. — Ksiądz Jacek. — Osobiste wspomnienia i pragnienia. — *Pieśni serbskie.* — Stosunek Bohdana do poezyi serbskiej. — Przekład rapsodów bohaterskich. — Wiośnianki serbskie. — Przedmowa do pieśni serbskich.

Dlaczego nasz poeta i stowarzyszony z nim na całe życie imiennik jego obierali Strasburg za miejsce schronienia od wrzawy stołecznej i polityki emigracyjnej? Gdyby chodziło tylko o spokojne schronienie, miejsc takich znalazłoby się we Francyi dosyć, ale do Strasburga ciągnęło Zaleskich, a przedewszystkiem majora Zaleskiego to, że Strasburg leżał na granicy Niemiec, i że stamtąd zręczniej było, niż skądinąd, porozumiewać się i widywać z rodakami, krewnymi, którzy przyjeżdżali za paszportem do Niemiec, a którym nie wolno było wjeżdżać w granice Francyi, w owych bowiem czasach daleko łatwiej można było w Rosyi otrzymać paszport do Niemiec, niż do znanej z liberalizmu i rewolucyjnego nastroju Francyi. Jeszcze major był w murach św. Pelagii, kiedy otrzymał

wiadomość, że przyjechali do Niemiec, na dłuższy pobyt dla kuracyi, jego krewni z Ukrainy, Daryuszostwo Poniatowscy, i że pragną znaleść sposób widzenia się z nim. Ten to wzgląd zapewne pociągnął Zaleskich do Strasburga, choć widzenie się ich z Poniatowskimi dla rozmaitych przeszkód nie zaraz miało nastąpić.

Jakich wrażeń doznawał Bohdan po przeniesieniu się z wrzawy paryskiej do cichego Strasburga, jak mu dobrze było w tej nowej siedzibie, wolnej od komitetowania i polityki emigracyjnej, z jakim zapałem oddał się kochance młodych lat, poezyi, dowiadujemy się o tem z jego listów ówczesnych do przyjaciół paryskich, Mickiewicza, Domejki, Kajsiewicza, a przedewszystkiem Karola Wodzińskiego, młodego, chorego na piersi emigranta, z którym zabrał znajomość, sąsiadując z nim w Sévres pod Paryżem, którego czułą wtedy otaczał troskliwością, a który wywdzięczał mu się za to najczulszą przyjaźnią. »Kochany Karolu, pisał do niego ostatniego grudnia 1835, jesteśmy tedy od ośmiu dni w Strasburgu. Onegdaj przenieśliśmy się z hotelu za miasto ku wałom. Mieszkanie odludne, ciche i ciepłe. Mamy trzy pokoje na pierwszem piętrze, z podłogą, dwoma piecami, o pięciu oknach na południe, z widokiem na ogród i wieżę strasburską; najporządniejsze meble i to wszystko za 25 franków na miesiąc. Józef stoi o jedno piętro wyżej, okna jednak *vis à vis.* Dwa dni już ciągiem siedzę w domu, używam wczasu i pokoju po zgiełku i nudach paryskich. Jeśli Bóg pozwoli, przepędzę zimę sam i swobodny, jak niegdyś, za świętej pamięci młodości. Kochany Karolu, jakże uroczo, jak miło działa na mnie przemiana miejsca. Pełną duszą piję woń i świeżość nowego żywota. Fantastyczne myśli, jak jaskółki, uwijają się i szczebiocą mi nad głową. Istotnie biorę się zaraz do mego poematu. Lecz i do prac naukowych, historycznych nie zabraknie mi wątka. Wszyst-

kie biblioteki mam na zawołanie« [1]). A do Domejki tegoż samego dnia pisał: »Sława Bohu! dobrze nam tu jest w Strasburgu. Poczynamy już zapominać o głupstwach paryskich. Co z oczu, to i z myśli. Mieszkam wygodnie, cicho i tanio... Dotychczss gapię się koło katedry i wieży strasburskiej; żyję jednak (że się tak wyrażę, jak Malczewski) »więcej z Bogiem, mniej z ludźmi, a zawsze jednaki« [2]).

Ze stosunków przyjacielskich, które wówczas listownie podtrzymywał, najgodniejszym jest uwagi stosunek z wymienionym już Karolem Wodzińskim. W kilku listach jego do Bohdana, które się zachowały z tych czasów, maluje się dziwnie piękna i szlachetna dusza człowieka, obdarzonego wyższą inteligencyą i głębokiem uczuciem religijnem, które mu pozwalało na wiszącą nad nim grozę śmierci spoglądać spokojnem i niemal pogodnem okiem. Na tej harmonijności duszy Wodzińskiego, która tak dziwnie odbijała od ogólnego tła miotającej się na wszystkie strony emigracyi, prędko się poznał i Mickiewicz i wraz z Zaleskimi i kilku innymi emigrantami czułą i troskliwą otaczał go przyjaźnią. Szczególnym węzłem, prócz innych, który wiązał Bohdana z Wodzińskim, były słowianofilskie poglądy i zdaje się, że ze wszystkich emigrantów, Wodziński obok Bohdana najwięcej się interesował zawiązanem przez niego Towarzystwem Słowiańskiem, a nawet — jak już wspomniano — w jednym z listów współczesnych Bohdan mówi o nim, jako o jednym z dwóch założycieli tego Towarzystwa. Wreszcie Wodziński był głównym informatorem Zaleskich, w czasach ich przebywania na dalekiej prowincyi, i donosił im o wszystkiem, co ich mogło interesować w Paryżu, dla Bohdana zaś umiał

---

[1]) Kor. J. B. Z. I 73.
[2]) Tamże, I 74.

znaleźć serdeczne słowa zachęty do poetyckiego tworzenia.

W parę tygodni po pierwszym liście strasburskim Bohdana, Wodziński, zaczynając od słów »Moriturus te salutat«, donosił mu o świeżym wybuchu krwi, który go nawiedził i zmusił do zamknięcia się na całą zimę w »chacie« paryskiej, a następnie pisał: »Patrząc przez moje szyby na mały kawałek posępnego paryskiego nieba i dachy domów bankierskich, raduję się tem więcej widokiem, jaki masz z okien twoich i cieszę się pokojem i ciszą, jakiej teraz używasz. Chwile spędzone z sobą i Bogiem (była tu aluzya do słów Bohdana w liście do Domejki), są milsze od wielu rzeczy, które na ziemi radością zową; ale żyjąc myślą w lepszej krainie, nie odrywaj się, nie zapominaj na długo o nas współbraciach i współbliźnich twoich. Jeśli nam, istotom czującym a bezmownym, wolno, jeśli nawet przeznaczeniem jest naszem przekwitnąć blado, bezowocnie, jako rośliny w cieplicy zamknięte, i nie zostawić po sobie nic, prócz garstki popiołu, to tobie, poeto, tobie się to nie godzi. Wylej więc w pieśni przeczystą, dziewiczą duszę twoją, objaw nam myśli, jakie Bóg składa w piersi swoich wieszczów, swoich kapłanów, orzeźwij i ocknij dusze nasze, otrętwione cierpieniem, zatrute wątpieniami, bo inaczej srogo będziesz odpowiadał za każdą chwilę milczenia«.

Po takiej pobudce poetyckiej dzielił się Wodziński z przyjacielem różnemi wiadomościami z horyzontu emigracyi paryskiej, donosił o żywo rozbudzonych jej nadziejach, sam zresztą krytycznie się na te nadzieje zapatrując, że rząd francuski wystąpi nareszcie przeciw Rosyi i przesyłał ważną dla Bohdana nowinę, że Towarzystwo Słowiańskie otrzymało w darze z Wiednia, (niewiadomo od kogo) Zbiór pieśni serbskich Karadzicza, słownik serbo-niemiecko-łaciński i Psałterz królowej Małgorzaty [1]).

---

[1]) Wodziński podaje dokładnie tytuły serbskich książek otrzy-

List kończył się takiem charakterystycznem dla tego stosunku Bohdana wyznaniem przyjaźni: »Potrzebaż mi jeszcze mówić, że was obu z całej duszy kocham, ciebie, drogi Bohdanie, i ciebie, drogi Józefie. Wasza stała przyjaźń dla mnie, wasza ciągła, serdeczna troska o zdrowie moje, wasza przychylna pamięć o mnie, którąście rozjaśnili tyle samotnych i ponurych chwil tułackiego życia, ciężą mi słodko na sercu, jak dług, którym dla was zaciągnął, który, jeśli nie ja, to wam spłaci swoją monetą Ojciec niebieski. Żegnam was i ściskam najserdeczniej obu. Błogie, spokojne i miłe niech będą godziny wasze, daleko od Paryża, nad bliższym Polski Renem, w gronie waszych kochanych, z którymi się spotkać macie«[1]).

Za ten czuły list odwdzięczył się Bohdan bardzo prędko (28 stycznia 1836) szerokiem pismem, w którem zgromiwszy przyjaciela naprzód za słowo »moriturus«, dawał potem szczegółowy obraz swojego życia w ciszy strasburskiej. »Posłuchaj, niech słowy i kształtem latopisca opiszę ci dzień jeden np. wczorajszy. Wstałem o 5-tej. Przechadzałem się po komnacie w rozmyślaniu, modlitwie, czytaniu. O 8-mej poszedłem na kawę do Józefa. O 9-tej wróciłem do siebie i aż do 4-tej pisałem, to dumałem; dumałem, to pisałem. Wyszedłem do miasta na obiad, stamtąd do czytelni, o 8-mej do Józefa, a o 9-tej do siebie, a o 10½ do łóżka. Owoż na obraz i podobieństwo dnia wczorajszego mijają tak tygodnie i minął już jeden miesiąc w Strasburgu. Nie, prawda, jest drobna, nic nie znacząca rozmaitość. W poniedziałki, środy i piątki chodzimy z Józefem na filozofię Bautaina«. O tym księdzu Bautain i jego wykładach filozofii w Strasburgu,

---

manych: Народне српске пiесме Stefanowicza i Lupi Stefani Lexicon serbico-germanico-latinum. Co się tyczy ofiarodawcy, był nim, według listu Bohdana z 28 stycznia 1836 r. jakiś członek Tow. Słow., (czy nie Kazimierski?).

[1]) List z Paryża 13 stycznia 1836.

które cieszyły się wielką popularnością, znajdujemy w dalszym ciągu listu bardziej szczegółowe wiadomości, z których się okazuje nie tylko, że Bohdan w owych czasach objawiał pewien pociąg do filozofii, ale że był już w niej nieco oczytany, co zapewne wpływom Mickiewicza a może i Wodzińskiego przypisać należy. Widocznie rozbudzona w nim od dwóch, trzech lat religijność szukała dla siebie filozoficznego uzasadnienia i znajdowała je szczęśliwym trafem w wykładach profesora, który jedyne kryteryum prawdy widział w Objawieniu. »Filozofia księdza, pisał, ile z dziesięciu lekcyi sądzić mogę, jest to kartezyanizm, rozwijany śmielej i głębiej na podstawie chrześcijańskiej; w psychologicznem zapatrywaniu się na świat i ludzkość ma wiele widoków pantheistowskich, z tą jednak wyższością, że wyznaje tradycyę i objawioną naukę. ...Nie sądź, żeby to był eklektyzm np. jak Cousina lub Jouffroy; owszem w Teoryi Bautaina *Jedność* a *Prawda* są jak najoczywistsze i dlatego jestem dla niej z całem poważaniem«. O samym profesorze i skutkach jego działalności odzywał się z wielką czcią: »Błogosławiona nauka, która tyle cudów działa, która Żydów i adwokatów nawraca i to we Francyi... Sumienny, święty człowiek, radbym się z nim zbliżyć« [1])...

Na wiadomość o nadesłaniu pieśni serbskich Towarzystwu Słowiańskiemu odpowiadał: »Towarzystwo Słowiańskie żyje podobno w nas dwóch swoich założycielach; z tem wszystkiem bardzo się cieszę ze świeżej ofiary gorliwszego naszego spółczłonka. Serbskie pieśni i słownik wielce mi się kiedyś przydadzą. Oprócz rodowitego mego zamiłowania w rzeczach słowiańskich, oprócz dziwnego uroku poezyi serbskich, mam jeszcze na sumieniu jeden święty obowiązek. Kiedyś przyrzekłem najuroczyściej ś. p. Brodzińskiemu (Brodziński zmarł był

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 77.

w roku ubiegłym w Dreźnie), że część heroiczną rapsodów serbskich wytłómaczę na język polski. Muszę i umarłemu przyjacielowi dotrzymać słowa. *Dziś co inszego mam na głowie.* Jak nie będziesz potrzebował książek serbskich, to mi je nadeszlesz do Strasburga, ale to nie zaraz, chyba na wiosnę lub na lato«.

Cóż to innego miał na głowie wówczas Bohdan Zaleski? Nad czemże to dumał i co pisał w godzinach przedobiednich codziennie między godziną dziewiątą a czwartą, jak to podany wyżej porządek dzienny wskazywał? Była to *Złota Duma*, ów poemat, który miał wynagrodzić kilkuletnią jałowość muzy Zaleskiego, a dla którego umknął z Paryża i wycofał się z polityki emigracyjnej.

Znalazłszy się sam na sam z muzą w ciszy strasburskiej, zachęcony czułą pobudką przez Wodzińskiego, Zaleski prędko się rozgrzał w twórczej pracy, uczuwał wielkie z niej zadowolenie i pełen był jak najlepszych o niej nadziei. W cytowanym liście do Wodzińskiego pisał, że »nie żyje na powszednim świecie, ale gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu morzami, w kraju kazki, całkiem źwierciadlanym, błękitnym. Błogo mi w dzisiejszem oczarowaniu«. I w dalszym ciągu swego szerokiego pisma wracał do tego tematu: »po całych dniach piszę wiersze, rymuję, rytmuję, czyli wyrażeniem Adama, kropię, kropię a kropię. Powiem ci, że poemat mój upaja mnie, jak dobre wino: może mnie tylko samego, jako autora. Jednakże, jeśli można przypuścić, że mam trocha rozumu, to w chwilach zimnego sądu estetycznego czuję, że to, co dziś piszę, więcej warto, niż to, co dotąd pisałem. Zdaje mi się, że dawniej piszczałem tylko, a porastałem w puch i pałki, a dziś już śpiewam i latam na własnych skrzydłach«[1].

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 75—78.

Bohdan, pisując szerokie listy do biednego, schorzałego Wodzińskiego, pomimo iż na warsztacie poetyckim miał pracę, do której tyle przywiązywał znaczenia, dawał dowód czułej pamięci i troskliwości, to też wdzięczny mu był za to Wodziński nieskończenie i nawet obawiał się, czy nie nadużywa w ten sposób przyjaźni. »Zanadto znam cenę twego czasu i myśli twoich, pisał do Bohdana, abym cię śmiał wyzywać na epitry świegotliwe, obłędne, bezcelowe, jednem słowem epitry *à la Sévigné*. To jest rzeczą *du beau monde*, a my nie tego świata mieszkańcy. Ale jak kiedyś bywało w Villebon, mając wolne chwile, przychodziliście odwiedzić chorego i powiedzieć mu parę słów przyjaźni i pociechy, tak teraz mając czas i myśl potemu, rzuć parę słów na papier: bo my ludzie, i dopokąd dotykamy ziemi, nie potrafim obejść się zupełnie bez hieroglifów, dźwięków, dotknięcia i t. p.«... A na wiadomość o ożywionej twórczości Bohdana odpowiadał: »Czekam na zapowiedziany przez ciebie poemat z niecierpliwością estetyczną, podniesioną tem współczuciem i tą przychylnością, które mnie do ciebie wiążą. Pieśń poety, jest to jego tchnienie, jego promień, a twój promień już mnie nieraz rozgrzewał, a twoją duszę jużem dawno ukochał«[1]. W parę zaś miesięcy potem tak pisał o swoim stosunku do Bohdana i wybranego grona innych przyjaciół: »Kilku słowy ostatniego i poprzednich listów dziwnie rozdrażniłeś moją ciekawość i przygotowałeś mnie do przyjęcia twej pieśni, i już czasem teraz, w chwili dumania i medytacyi, zdaje mi się słyszeć, jakby przeczuciem, kilka jej dźwięków, to gdzieś wysoko tam w niebie, to gdzieś daleko tam na Ukrainie, bo ja nie umiem wypowiedzieć, ile cię kocham, bo jeśli w duszy mojej dotąd nie zamierzchło zupełnie, to dlatego jedynie, że w niej świeci nigdy nie gasnąca wiara w Boga i jej od-

[1]) List z Paryża 10 lutego 1836.

blask — kilka gwiazd takich, jak ty, mój Bohdanie, i Adam (Mickiewicz) i Józef (Zaleski) i Karol (Różycki) i jeszcze niewielu tych czystych i poczciwych, których serce moje pokochało na zawsze«[1]).

Obok głosu Wodzińskiego do samotni strasburskiej, w której z takiem zadowoleniem oddawał się Bohdan tworzeniu *Złotej Dumy*, zalatywały w tym czasie głosy innych przyjaciół poety i spotykając się z sobą tworzyły nieraz dziwne akordy, świadczące o ciągłej ewolucyi w różne strony, jakiej emigracya ulegała. Oto Piotr Semenenko, ten sam, który niewiele więcej jak rok temu, na obchodzie listopadowym w Paryżu, w gwałtownej i pełnej goryczy mowie francuskiej, oklaskiwanej przez demokratów, wytaczał przed Francuzami wewnętrzne zatargi emigracyjne, teraz owiany prądem religijnym, który z koła mickiewiczowskiego wychodził, zarzuciwszy wszelkie spory polityczne, wraz z Kajsiewiczem i kilku innymi, gotował się do wstąpienia na drogi zakonne w myśli odrodzenia narodu polskiego, i tonem Skargi pisał do Bohdana o swojej gorącej chęci co najprędszego przygotowania się do tego życia. »Trzeba nam bowiem zadać gwałt niebu, według zachęcenia danego przez samego Mistrza i Pana naszego. Jakże zaś gwałt zadać będziemy mogli, kiedy nasze siły nie będą potemu? Ani będziemy mieli rynsztunku potrzebnego? Nabrać sił i przygotować rynsztunek, oto praca nasza na dzisiaj. Dziękuję Bogu, że wzbudził tego ducha pomiędzy nami, i że nas więcej, jak dwóch, powołał. Bo kiedy dwom na jedno zgadzającym się szczególniejszą swą obronę przyrzekł, cóż kiedy ich więcej? I to właśnie jest zachętą, ażebyśmy społeczność naszą coraz bardziej doskonalili, coraz bardziej wiązali związką miłości i jedności w Panu naszym, a Zbawicielu, Jezusie Chrystusie. Nim się świadczę, że cię nie

[1]) List z Villebon près Meudon 25 kwietnia 1836.

zapominam w modlitwach moich, ale owszem, noszę cię zawsze w sercu i przed obliczem Pańskiem. I dlategoż wzywam do podobnej jedności w Panu naszym, ażebyśmy w nim wszyscy miłością złączeni, nieśli sobie wzajemną pomoc w słabościach i krewkościach naszych i wzajemnem bojowaniem za sobą spólne uzyskali miłosierdzie. Nic bowiem nie ma milszego Panu, jak taka uprzejmość braci ku sobie«.

»Tylko w takiem połączeniu praca nasza się uda, a Bóg jej pobłogosławi. Wezwanie to więc weź do serca, a módl się za nami i za pracę naszą. Uczyńmy gwałt niebu, a weźmy od Pana naszego zbroję, która w takiej potrzebie niezawodzi, tarczę i miecz przepaszmy niezłomne, pokorę i czystość serca, wiarę i miłość« [1]).

Co za moc, co za pewność wiary w tym głosie! Pokrewne, choć nieco odmiennym tonem brzmiące, były głosy towarzyszy Semenenki na nowej drodze, Kajsiewicza, Duńskiego i Jańskiego, zawiadamiające Bohdana o tem, co się dzieje w nowozawiązanem bractwie, z którego w kilka lat potem miał wyjść Zakon Zmartwychwstańców. A oto równocześnie z Anglii pisze inny przyjaciel Zaleskiego, kolega sejmowy i towarzysz podróży do Galicyi, Worcell i przysyła mu nowy ton swoich uczuć i wyobrażeń, szukając dla nich w sercu przyjacielskiem zrozumienia i poparcia. Rzucony falą wypadków do Anglii, a spotkawszy się tam z prostaczkami grudziąskimi, t. j. tymi emigrantami żołnierzami, których Prusacy więzili dłuższy czas w Grudziążu, a którym potem udało się z pruskiego okrętu wydobyć się na brzeg angielski, — Worcell, przejęty zasadami węglarstwa francuskiego, naucza ich, przy pomocy Krępowieckiego i innych emigrantów, o wszechwładztwie ludu, zakłada związek Lud Pol-

[1]) List z Paryża 2 lutego 1836.

ski z dążnością socyalistyczną, którego głównem zadaniem jest »porównanie kondycyi socyalnych«, a chce to wszystko oprzeć — zgodnie z mistrzem swoim francuskim, Buchezem, który skrajną demokratyczność łączył z ortodoksyą katolicką — na duchu nauki Chrystusowej, i za swoje pojęcia o własności ściąga na siebie potępienie nawet centralizacyi demokratycznej. Otóż Worcell, zapowiadając Bohdanowi przysłanie swego katechizmu socyalnego i rozprawy o narodowości polskiej, pisał: »Dziś jedno ci słowo tylko powiem: [z]rozpaczyłeś o ziemi i schroniłeś się w niebie, kiedym ja nie [z]rozpaczył o ludzkości i dla tego niebo na ziemię sprowadzić usiłuję. Wszak na to słowo zbawienia zeszło do nas, wszako o to mieczem dobijał się kościół, a dziś, kiedy drogę uprzątnięto po części, mielibyśmy się wahać w doprowadzeniu do wykonania słowa Chrystusowego, dlatego, że my krwią naszą przyszłych pokoleń zbawienie opłacim? Nie mogę ja tak rzeczy uważać, a widząc wiarę, jako *prawdę żywą*, nie mogę ją chcieć na słowo martwe przemienić. Błogosławieni ubodzy, maluczkich Bóg przywołuje do siebie, a otóż ja stanąłem pomiędzy ubogimi i maluczkimi, pomiędzy męczennikami Grudziążu, pomiędzy ludem, i wraz z nim, w jego imieniu głoszę prawa, jego zapowiadam blizkie panowanie i królestwo. Uśmiechasz się? Ja wierzę! I ty wierzysz, lecz inaczej sobie wiarę swoją tłómaczysz, uśmiechać się nie powinieneś, bo powiadam ci, że wiara jest jedną i że jutro twoja tę postać przybierze, którą moja dziś już przywdziała; nie ty bowiem, z martwego powątpiewania do życiodawczej wiary postąpiwszy, na drodze postępu dasz się zatrzymać«[1]).

Do tych głosów spokojnej rezygnacyi Wodzińskiego, mocnej wiary i energicznej woli Semenenki, wreszcie upajania się utopiami Worcela, dodajmy współczesny głos

---

[1] List z Portsea 29 marca 1836.

rozpaczy innego jeszcze emigranta, przyjaciela poety, Ludwika Żwierkowskiego. Był to brat Walentego, owego niestrudzonego historyografa jałowych rozpraw sejmowych i powiernika Lelewela, ale z temperamentu mało podobny do niego. Były porucznik 7-go pułku liniowego, natura gorąca, żądna wrażeń rycerskich, umieszczony w jednym z tak zwanych zakładów, nie mógł się pogodzić ze spokojem życia, na jakie go rząd francuski skazywał, wziął udział w r. 1833 w szalonej wyprawie frankfurckiej, która miała całe Niemcy pod broń w imię wolności powołać, a w rezultacie wywołała jeszcze większą reakcyę przeciw liberalizmowi i po niefortunnej próbie osiadł w Szwajcaryi. Nie mogąc żyć bez jakiegoś ruchu, a nie wiedząc, co z sobą zrobić, chciał wyruszyć na Kaukaz, gdzie Rosya toczyła ciągłą walkę z Czerkiesami, i pisał do Zaleskich: »Wiecie, że Czerkiesy się biją z Moskalami, ta myśl mię dręczy od lat trzech i nigdy nie mogłem żadnej informacyi otrzymać, jakby się tam dostać można... Gotów jestem pracować, jak posługacz na okręcie, abym się mógł na Wschód dostać, bo funduszów znaleźć niepodobna. ... W Marsylii możecie zasięgnąć wszystkich wiadomości i traktować w mojem imieniu. Przyjmuję wszystkie warunki, bo nigdy stan mój nieznośniejszym nie będzie nad ciągły a niewyczerpany smutek«. W owych czasach jenerał Chrzanowski, polecony rządowi angielskiemu przez Czartoryskiego, organizował w Turcyi azyatyckiej korpus jazdy tureckiej; otoż czyniąc alluzyę do tego faktu, Żwierkowski pisał w dalszym ciągu: »O podróży Chrzanowskiego wiem, ale ja nie dla buławy chcę jechać, ja chcę się ze snu obudzić lub usnąć raz na zawsze i śnić aż do zmartwychwstania. Stałem się znów nieznośnym i przyjaciołom i sobie samemu, i nie jeden się dziwi, że w surducie i butach chodzę, a niekontent nigdy ze swego losu; znam już wszystko, niedostatek i boleści, śmierci w oczy nieraz

zajrzałem, alem nigdy tej zgrozy nie doświadczył, jak [kiedy] spojrzę w próżnię mego serca; wolę Tantalową ręką chwytać ostatni promyk nadziei, niż związany pierścieniami Laokona wysilać napróżno szczątki samego siebie« [1]).

Przytoczyłem te różne głosy przyjaciół Bohdana, które mu poczta przynosiła do Strasburga, aby scharakteryzować sferę uczuć, wyobrażeń i pojęć, wśród jakiej obracała się wówczas myśl poety i kształtowały się własne wyobrażenia jego, w szczególności religijne. Przez długi czas pod wpływem otoczenia warszawskiego blizki obojętności religijnej, wskutek osobistego stosunku z Mickiewiczem uczuł w sobie zbudzenie się religijności, a teraz w wykładach Bautaina w Strasburgu szukał dla niej uzasadnienia naukowego, pewnego, twardego gruntu pod nogami, a że go znajdował, że wiara jego nabierała pewności i że pod tym względem stawał się najbliższym Semenence i Kajsiewiczowi, świadczy o tem również ówczesna korespondencya jego z Wodzińskim.

Wodziński w jednym z listów swoich (z d. 8 czerwca 1836) w taki sposób charakteryzował swój nastrój religijny: »Wierzę najgoręcej w niewidzialną a wszędzie widomą rękę Opatrzności Boga nad człowiekiem, wierzę najgoręcej w święte prawdy, które on nam przez chrystyanizm objawił, i tylkom się poróżnił w pewnych względach z formą materyalną, jaką chrystyanizmowi od niejakiego czasu ludzie nadali, bo badając duchem moim historyę człowieka od czasów Adamowych aż po dzień dzisiejszy, widziałem wszędzie wyraźnie myśl Boską, zstępującą pomiędzy ludzi i widziałem, jak ludzie mylnie ją po swojemu tłómaczyli i przerabiali, aż póki się nie

---

[1]) List z Genewy 18 marca 1836. Bardzo mętną biografię Ludwika Żwierkowskiego (i bodaj czy nie jedyną) podały *Wiadomości Polskie* z r. 1860 str. 148—150.

podobało Bogu odrzucić z niej, co ludzkie i znów ją swoim oświecić blaskiem. Być może, że się mylę, ale śmiem powiedzieć, że w wątpieniach moich jest może więcej pokory chrześcijańskiej, jak w ortodoksyi niejednego z dzisiejszych katolików. Ze łzami na kolanach prosiłem nieraz Boga i proszę ciągle, aby duszę moją rozjaśnił promieniem prawdy i wiary rzewnej, tej, jaką mam w jego wszechmocność i dobroć. Módl się więc i ty za mnie, drogi Bohdanie, a za te kilka słów nie nazwij mnie filozofem, bo na Boga się klnę, żem nie zasłużył na takie czcze i twarde przezwisko«.

Taka religijność, choć głęboka i szczera, ale otoczona mgłą melancholijnej niepewności, nie wystarczała Bohdanowi, odpowiedział więc dość żywo, z pewnem obruszeniem się na nią, i nieco zbaczając od przedmiotu. »Muszę cię kiedyś wyłajać za twój półsceptycyzm i zato, że śmiałeś nazwać katolicyzm materyalnym. Katolicyzm *materyalny!* Toż mają być bardziej duchowe protestantyzm, filozofizm? Pomyśl, kochany Karolu! Obacz, co robią schyzmatycy i różni rokoszanie Kościoła Chrystusowego. Co robią i dlaczego? Zapewne nie w duchowych widokach. Czytałem świeżo katechizm króla pruskiego, w którym każe się czcić, jak Mikołaj. U nas katolików zowie się to szatańską pychą, bluźnierstwem. Czcić kogo? Cielca. Czcić co? temporalną władzę, siłę, materyę... Nie jestem dziś w humorze polemicznym. Kiedyś obszernie z sobą pomówimy o tem. Zresztą wszystko, co dziś piszę, poemata i nie poemata, opieram na opoce wiary, bo na piaskach wolnego rozumu nic zbudować nie mogłem i nikomu to się nie uda«[1]).

To energiczne natarcie Bohdana na Wodzińskiego świadczyło, jak wiara jego wówczas stężała w formach ortodoksyjnych, ale czy było zasłużone? czy było właściwą

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 86.

odpowiedzią na wynurzenia Wodzińskiego? »Jam nigdy a nigdy żadnej schizmie ponad katolicyzmem nie przyznawał pierwszeństwa, odpowiadał Wodziński. Jam poznał już dawno, że wszystkie odkrycia i nauki, któremi się rozum ludzki tak chełpi, są tylko drobną i mętną kroplą nieznanego nam oceanu prawdy. Jam uczuł już dawno, że człowiek na wierze w Boga, na tej jedynej i pewnej opoce, powinien opierać i myśli swoje i słowa swoje, i wszystkie dzieła swoje. Ale ty wiesz dobrze, mój drogi Bohdanie, że sam nawet chrystyanizm nie rozwiązał wszystkich tajemnic świata i życia, że Bóg otoczył zmysły nasze myriadami tych tajemnic i zapisawszy w każdej obietnicę przyszłego jej rozwiązania, żadnej nam teraz ostatecznie poznać nie dozwolił. Cóż dziwnego, że człowiek słaby, biedny, upokorzony, tęskni czasem za prawdą i wątpi, gdy mu ją ludzie po swojemu zaczną tłumaczyć. Tak wątpił Ś-ty Augustyn całe prawie swoje życie, i ze swych wątpień spowiadał się Bogu i całemu światu. Takie wątpienia często i mnie się nasuwają i spowiadam się z nich z całą szczerością Bogu na niebie i kochanym przyjaciołom na ziemi, szukając w tej spowiedzi otuchy, pociechy i wsparcia«[1]).

Jeszcze przed ową polemiką z przyjacielem, w maju 1836, wyniósł się Bohdan ze swoim sobowtórem majorem, który się zapisał niejako w zupełną zależność od młodszego imiennika, na wieś za Strasburg, a to jak się zdaje dlatego, że zwiększająca się w tem mieście Polonia, wskutek nowego dopływu emigracyi z Krakowa, (z którego wówczas pod naciskiem opiekuńczych rządów a przy pomocy zbrojnej interwencyi wydalono kilkuset rozbitków powstania listopadowego) ciągłemi odwiedzinami mąciła mu pożądany spokój. I tu nawet na wsi nie mógł »schronić się od nawiedzin próżnującej Polonii« i dlatego za-

---

[1]) List z Villebon près Meudon 14 lipca 1836.

myślał o umknięciu w jeszcze dalszą stronę. W pisaniu *Złotej Dumy* nastąpiła przerwa, postanowił wypocząć trochę po wytężonej pracy. »Postanowiłem wypocząć przez maj, pisał do Wodzińskiego, wypoczywam już dłużej, bo od połowy kwietnia. Wałęsam się jednak i dumam po całych dniach nad brzegiem Renu, co na jedno wychodzi, jakbym pracował. Da Bóg doczekać zimy, przysiedzę fałdów i skończę w styczniu lub lutym moją ramotę«. Zdawało mu się, że będzie mógł wydać ją w 4-ch tomikach i prosił przyjaciela o wywiedzenie się w drukarniach, coby kosztowało to wydanie. »Przedewszystkiem módlmy się, aby Bóg dał skończyć, mam już połowę, a drugą w głowie, boję się przeszkód, jak Francuz cholery, bo są dla mnie morowe. Czuję, żebym nie przeżył moich nadziei«[1]).

W początkach lipca, dla znalezienia upragnionej samotności, przeniósł się do Molsheim. »Molsheim, pisał do Wodzińskiego, mała ale schludna mieścina, w dep. du Bas-Rhin, leży u podnóża gór Vosges. Okolica miła, źwierciedląca się precz wodami, a zielona najlepszym alzackim winogradem. Dalej ku Strasburgowi (5 lieues) chmurzą się Alpy szwabskie i wieża, jak palec, wskazuje w niebo. Lud zdaje się poczciwy i bardzo pobożny... Trzeba ci wiedzieć, że przed rewolucyą r. 1789 $^2/_3$ części Molsheim zajmował klasztor Kartuzów. Z ruin klasztoru stoi kilkadziesiąt domów; owóż ja mieszkam w głównym, w dawnem mieszkaniu przeora zakonników. Już ta jedna okoliczność rymuje doskonale z usposobieniem mego ducha«. Muza, która w Strasburgu zaczęła szwankować, w Molsheim się widocznie ożywiła. »Zaraz od przyjazdu zaprzągłem się do pracy i da Bóg, nie pierwej opuszczę Molsheim, aż wszystko pokończę. Przyszły mi do głowy nowe

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 80.

jeszcze plany, ale mniejsza z nimi! Zawcześnie byłoby mówić o tem« [1]).

Co to były za plany, nie wiemy napewno. Być może, że mówił tu Bohdan o przekładzie pieśni serbskich, który niedługo potem został dokonany, już bowiem od kilku tygodni miał on przesłany sobie zbiór Karadzicza wraz ze słownikiem serbskim, i już pod Strasburgiem musiał się w poezyę serbską wczytywać.

Pod koniec lipca nadzieje poety na swoją twórczość stały bardzo wysoko. »Był czas w Paryżu, pisał do Mickiewicza 31 lipca, kiedy myślałem, że zapomniałem wierszować. Gdzie tam!!! Kropię i kropię, jakby szpunt ze łba wystrzelił; rymuję okwiciej, niż przez wiek cały, okwiciej, niż ty kiedyś w Dreźnie. Dobrzem zrobił, żem się nie kwapił z drukowaniem dawnych moich bredni; w dzisiejszych, rzecz, duch i forma więcej warte. To, co piszę, będzie obszerne, obszerniejsze, niż *Pan Tadeusz*. Jestem już w połowie, a daj Boże skończyć. Treść wzięta z początku 17 w. [2]). Wesele i smutek narodu. Dni moje pogodne i chmurne, wiara, miłość i t. d., wsiąkają tam, jak w gąbkę, zapachną na milę. Daj Boże tylko skończyć. Wyobrażajcie sobie wciąż, że ja wojuję gdzieś na dalekiej, straszliwej wyprawie. Zmówcie więc niekiedy *oremus*« [3]).

Rzecz dziwna, że nazajutrz po napisaniu listu, tak pełnego otuchy, wyprawił Bohdan do Wodzińskiego list bardzo smutny. Takim przynajmniej wydał się on Wodzińskiemu (bo listu bezpośrednio nie znamy) i czuły przyjaciel, przypuszczając jakiś upadek ducha w poecie,

---

[1]) Tamże I 86.

[2]) W Korr. Ad. Mick. III 206, a także w Korr. J. B. Z. I 87 zamiast »17 w.« stoi »1750 r., data ze względu na treść poematu niemożliwa, a która widocznie powstała wskutek błędnego odczytania nieczytelnego pisma poety.

[3]) Tamże I 87.

starał się go pocieszyć i pokrzepić myślą o wielkiem jego posłannictwie. »Nie wiem, co było przyczyną twego zmartwienia, nie wiem więc, jak ciebie pocieszyć... i niewiadomość moją chyba ty sam rozjaśnisz. Bóg stworzył nam, ciebie, drogi Bohdanie, poetą w najrozleglejszem i najwznioślejszem tego słowa znaczeniu. Twoją misyą przedewszystkiem jest, kochając sercem świat i ludzi, wynieść się myślą i duchem wysoko ponad ich dziedzinę i zaśpiewać pieśń, którąby brzmiała niebieskiemi dźwiękami dzisiejszym i późniejszym pokoleniom. Takiej pieśni czeka od ciebie wiele serc stęsknionych, rozumiejących i kochających ciebie w naszej szerokiej i biednej ojczyźnie. Ze wszystkich poprzednich listów twoich sądziłem, żeś też nią jedynie zajęty, gorzkoby więc mi było pomyśleć, żeś dla jakiej małej chwilowej przeszkody przerwał pracę, do której Bóg dostarcza wątku« [1]).

Bohdan był rozrzewniony i uszczęśliwiony tem »gorącem buchnięciem duszy« przyjaciela, jak się wyrażał, odpowiedział też na nie bardzo długim listem, w którym mu wdzięczność swoją w rozmaity sposób chciał okazać, objaśniał dawniejsze swoje smutki, które tak zaniepokoiły Wodzińskiego i podniecony słowami przyjaciela, nie wahał się wypowiadać przed nim najśmielszych nadziei, jakie przywiązywał do swojej *Złotej Dumy*, i swego przekładu *Pieśni serbskich*.

»Gdzie my się spotkali? jak do siebie przylgnęli? to sam Bóg wie! Ależ czuję, że się nie rozłączymy, póki życia, a za grobem zjednoczymy się znowu, zjednoczymy gromadniej, z instynktem ptaków na jesieni, odlatujących *do obiecanej ziemi!* Bodaj cię, Karolu, pieszczotami twemi rozkwiliłeś mię, jak dziecko, że mi się ćmi w oczach, a w głowie zgiełk i gwar, że mógłbym improwizować

---

[1]) List z Villebon 25 sierpnia 1836, odpowiedź, jak to sam Wodziński wskazuje, na list Bohdana z 1 sierpnia.

dithiramb. Powtórnie muszę się uciec do poważnej retoryki, aby przypomnieć sobie, że piszę tylko list, list prosty, zwyczajny. Owóż, kochany Karolu, smutki, o których pisałem, były błahe, rozwiewne, powszednie. Ależ jestem dziś całkiem w stanie brzemiennej niewiasty, co niemiara kaprysów, przywidzeń, niepokojów, że Józef jest umęczony. Najmniejsza przeciwność tak mnie dotyka, jakby mi serce pękało«...

O poezyi swojej ówczesnej pisał: »Nie chwaląc się, pachnie niepospolicie, a świeci wszystkiemi barwami tęczy; mówiąc klasycznie, nie powstydzisz się mego wieńca na ołtarzu literatury ojczystej. Jeśli dotąd lśniącym pyłkiem prószyłem w oczy publiczności polskiej, to teraz walić zacznę w łeb bryłami złota, aby jej to było na zdrowie«! A łapiąc się na samochwalstwie, w które niejednokrotnie wówczas w wynurzeniach przyjacielskich popadał, zaraz dodawał: »Na Boga! śmiej się sam, Karolu, ale nikomu więcej nie pokazuj moich listów! próżnym, szaleńcem, zapaleńcem i czem chcesz, wolno mię nazywać, ale tobie samemu. A nuż to. co się dzisiaj wyda baśnią, stanie się kiedyś prawdą! Do świata cudów pobożny ma przystęp wolny!... a ja pieśń moją, pieśń — uczynek śpiewam w niewymownem, serdecznem rozrzewnieniu i zdaje mi się, że spłacam długi, a przynajmniej procenta Bogu, Ojczyźnie, rodzinie i t. p.; powinna więc być dobra brzęcząca moneta, jeśli się znam na kruszcach«.

Wzmianka o długach zwróciła jego myśli w stronę *Pieśni serbskich*. »*A propos* długów, uiściłem się i z owego, o którym ci kiedyś pisałem, z długu dla Brodzińskiego. Wieczorami, to na przechadzkach, wytłumaczyłem co najpiękniejsze *Pieśni serbskie*. Jestem pewny, że podobnych nie znajdziesz ani w Goetym. Jak drobne konstellacye pod wpływem systematu słonecznego, spolszczyłem je pod wpływem dzisiejszego mego natchnienia i błyszczą się przepysznie. Rytm, rym, język i barwa, oprócz wrodzo-

nego ich charakteru, ukażą się świeże i niewolące. Zobaczysz! Tomik będzie porządny, bo myślę napisać rozprawę o poezyi słowiańskiej, tudzież biografię Brodzińskiego. Tytuł książki dam *Wieczornice Słowiańskie,* bo myślę zawitać i do innych plemion słowiańskich... To nie koniec, *Pieśni serbskie* daję, daruję na własność kochanemu Karolowi Wodzińskiemu, który ma prawo je drukować, ile razy zechce. Jedyne zastrzeżenie, aby wyszły w świat współcześnie albo zaraz po wydrukowaniu głównej mojej pracy. Broń Boże pierwej. Tym sposobem spłacę podwójny dług serca i pod klątwą nie wolno ci go, Karolu, odrzucić«. A ponieważ wiedział, że ciężko chory Wodziński znajduje się w trudnem położeniu finansowem i trudno mu czekać do wiosny, t. j. do czasu, kiedy spodziewał się otrzymać pieniądze na drukowanie pism swoich, obiecywał mu już w następnym miesiącu (październiku) przesłać jakąś pomoc doraźną, bardzo szczegółowo zajmował się sposobami takiego urządzenia się przyjaciela, któreby odpowiadało potrzebom jego zdrowia i w końcu pisał: »Kochany Karolu! rzecz, którą zamierzam uczynić, tak jest błahą w porównaniu z miłością moją dla ciebie, że wątpiłbym o twojej przyjaźni, gdybyś mi się drożył. Przysięgam ci, że to mi nie zrobi żadnej różnicy, a niezbędne jest do mego pokoju. Bądź tylko zdrów, a o reszcie nie warto wspominać. Bóg sam wie najlepiej, jak gorąco pragnę twego wyzdrowienia i jestem niemal pewny, że się choroba twoja wkrótce przesili« [1]).

Szeroki ten list, jak świadczy z jednej strony o najlepszem sercu, o przyjacielskiej czułości i ofiarności Bohdana, tak z drugiej — o doskonałem usposobieniu, o wysokiem wyobrażeniu poety o swojej współczesnej twórczości, przedewszystkiem o *Złotej Dumie.* Ale zaledwie upłynęły dwa tygodnie od daty tego listu (6 września), kiedy

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 89—92.

horyzont jego duszy zakrył się nagle grubemi chmurami, lutnia, na której tak ochoczo wygrywał swój wielki poemat, wypadła mu z ręki i choć po niejakim czasie podniósł ją z ziemi, to jednak *Złotej Dumy* nie mógł już dalej śpiewać i pozostała ona na zawsze niedośpiewaną. Cóż się stało? Zanim się zastanowimy nad przejściami, które wywołały ten przełom w duszy poety, i rozpoczęły nowy okres jego życia i twórczości, musimy rozważyć, czem była owa *Złota Duma*, której dośpiewać nie mógł, a także jakiemi były współczesne tworzeniu *Złotej Dumy* jego *Pieśni serbskie*.

Złota Duma była poronionym płodem jego muzy, i dziś, czytając ten wielki fragment, liczący około 5000 wierszy, musimy dziwić się, jak poeta mógł tak łudzić się w ocenie jego wartości, jak to widzieliśmy w cytowanych jego listach współczesnych. Wprawdzie tu i ówdzie z powodzi wierszy jałowych wynurzają się krótkie, czasem dłuższe ustępy, na których jaśnieje piętno jego zwykłego mistrzowstwa, ale całość fragmentu jest nużąca, rozwlekła, niezestrojona. To, co poeta brał za natchnienie, było raczej gwałtowną chęcią stworzenia wielkiej powieści poetyckiej na historycznem tle ukraińskiem, t. j. dokonania zamiaru, nieraz już przedtem daremnie podejmowanego. A przytem na *Złotej Dumie* zaciążyło sąsiedztwo dwóch ostatnich poematów Mickiewicza: *Trzeciej części Dziadów* i *Pana Tadeusza*, pod których silnem wrażeniem Zaleski ciągle zostawał, a zaciężyło w ten sposób. że poeta, zapewne nieświadomie, t. j. nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co ma robić, dążył do stworzenia w swojej *Złotej Dumie* czegoś, coby było analogiczne i z jednym i z drugim utworem Mickiewicza, choć te utwory z charakteru swego literackiego były sobie wręcz przeciwne. *Złota Duma* miała być i epopeją narodową na tle ukraińskiem, jak *Pan Tadeusz* na litewskiem, i obrazem wspomnień życiowych i walk duchowych poety, jak *Dziadów*

część trzecia. Już samo skojarzenie takich dwu zadań w jednym utworze skazywało go z góry na nieszczęśliwy poród.

Poznajmy pokrótce treść poematu. Właściwy tytuł jego brzmi: *Przodkowie, Złota Duma*. Miał on się składać z trzech części, a każda z części z trzech nawrotów, t. j. pieśni, czy ksiąg. Z tego planu wykonana została tylko część pierwsza, która ma tytuł *Ukraina*, a dzieli się na trzy księgi, z których pierwsza ma tytuł: *Księżna*, druga — *Ksiądz*, trzecia — *Piewca*.

W pierwszej księdze rzecz dzieje się na Iwanhorze, znanej nam już z rapsodu o Damianie Wiśniowieckim, a główną w niej postacią jest księżna, właściwie księżniczka Hanna, córka ostatniego z książąt Rużyńskich, który odumierając ją małą dziewczynką, każe wdziać na nią złotą napierśnicę z wizerunkiem Najśw. Panny i oddaje w opiekę jej wujowi Szczeniowskiemu.

...Pan chciał w niebie,
Dziej się Jego wola święta!
Cały ród nasz wziąć do siebie...
Możni byliśmy książęta!...
A dziś owa to sierotka,
Ta bylinka drobna, wiotka,
Ma rozkwitać w cudzem mianie!...
Pobłogosław jej o Panie!...
W rodzie klejnot nasz jedyny,
Marya Panna, Matka Boga
Patrz, na piersiach tu dzieciny!...
Jako strzegła od strzał wroga
W tylu bojach kniaziów syny,
Będzie matką mej dziewczyny...
Ty bądź ojcem — ku pomocy!...

Hanka podrasta i jak jest najbogatszą dziedziczką, tak staje się najpiękniejszą dziewczyną na Ukrainie. Wszyscy w niej rozkochani, począwszy od wuja-opiekuna, który nic jej odmówić nie potrafi, a kończąc na pierwszym

lepszym Kozaku, który spotkawszy się z jej oczyma, już o niczem innem myśleć nie potrafi, bo też

Najczarniejsze oczy miała,
Że aż smoła z nich kapała.

Gdy miała lat szesnaście, w dzień św. Anny, dla uczczenia jej imienin wuj sprawia huczne wesele trzem jej towarzyszkom młodości. Na zamku iwangórskim huk gości, a między nimi zjawia się Maryan Bukat, postać, w której nasz poeta siebie chciał uidealizować, jak w Hance przedstawił ideał dziewczęcy, podług własnych pożądań i marzeń.

Maryan Bukat w Ukrainie
Pod imieniem »Piewcy« słynie,
Uwielbiony między pany,
Między ludem ukochany
A niewieścia płeć — aż ginie.
. . . .
Syn ten hojnej Ukrainy,
Ograł ludu pieśń i czyny,
. . . .
I na gody narodowe,
W złotej dumie czy piosence,
Ruską nutę, polską mowę,
Jak dwie siostry, dwie królowe,
Młody książę wiódł pod ręce.

Na uczcie trójweselnej piją zdrowie sławnego piewcy, po uczcie proszą go, aby wypowiedział, czy zaśpiewał dumę sławną o wyprawie Różyńskiego na Krym, a prosi go sama księżniczka Hanka, przypominając trochę Zosię zapraszającą Jankiela do muzyki w Soplicowie. On się wzdraga, ona, aby go zachęcić, sama śpiewa jedną z ulubionych pieśni ludowych: »Powij witre, bujny, myły«, ale ta pieśń nie wywiera na nim bynajmniej spodziewanego wpływu. Trapią go jakieś ponure przeczucia, blednie, traci przytomność, jąka jakieś słowa bez związku, które

z daleka przypominają pierwszą (mniejszą) improwizacyę Konrada z *Dziadów*[1]:

Gołębico! do mnie, do mnie!
Na około czarna chmura —
Kruk czy jastrząb — tak schowany?
W skrzydłach strasznie świszczą pióra,
Tutaj — tutaj — na burzany!

I jak Konrad, słania się i omdlewa. Wynoszą go na świeże powietrze, ażeby oprzytomniał, a tym czasem jego przyjaciel, któremu poeta dał nazwisko swego dawnego kolegi humańskiego (nazywa się Krechowiecki) objaśnia ten wypadek działaniem uroku. Trzeba się domyślać, że to Hanka swoim wzrokiem, a może i śpiewem urzekła Bukata, który pod wpływem tych uroków w nieprzytomnym stanie ma wizyę blizkiej a groźnej przyszłości: przeczuwa napad tatarski pod wodzą jakiegoś Mamaja, który ma napaść na Iwanhorę i zabrać Hankę do jassyru. Ale Krechowiecki nie przenika znaczenia symbolicznej wizyi; spokojny o to, że urok »jak przyszedł, tak i minie«, chce tym czasem w zastępstwie przyjaciela wypowiedzieć jego myśli o wysokiem powołaniu poetyckiem, do którego się Bukat poczuwa i śpiewa, *Pieśń Bukata* o złotym ptaku:

Kto dziecięciem w stepów szumie
Szukał sercem sercu nuty,
I dzień po dniu dźwięk rozsnuty
Na różaniec nizał w dumie:

I w lat wiele w śnieniu potym,
Sam w swem gniazdku pisklę ptasie,
Muskał piórka w słońca krasie,
Aż wyleciał ptakiem złotym.

---

[1]) Odpowiedni ustęp w *Dziadach:*
Cóż to? Jaki ptak powstał i roztacza pióra,
Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa?
Skrzydła ma czarne, jak burzliwa chmura,
. . . .
To kruk olbrzymi!...

Och wysoko, jak wysoko!
Tam w błękitu toni świeżej;
Niebo niżej — Bóg mu bliżej —
Już nie sięga ludzkie oko!...

Cicho — wrzaski i oklaski!...
Wyjdź narodzie z solą, z chlebem!
Ptak twój buja gdzieś pod niebem,
Zniesie ziemi Ojca łaski.

Co nam śni się i co nie śni,
Wszystkie naszych dziejów dziwy,
Świat i żywy i nieżywy,
Wnet jak jawa zabrzmią w pieśni!

Patrzcie w błękit — błyskawice!...
Wraca ptak — kochanek ludu!
Z promieniącą różczką cudu!
W ziemię oczy — czarownice!

Kto urzeka tam go w locie,
Kto się złotych skrzydeł ima
Myślą tylko lub oczyma,
Grzeszny, zgasił gwiazd już krocie.

Pieśń ta odgrywa ważną rolę w poemacie; w niej bowiem — jak się można domyślać — streszcza się subjektywny jego pierwiastek, i pozwala nam wnioskować o głównej idei poematu. Ptak, który ulatuje w górę tak wysoko, że aż znika w niebie, a z powrotem przynosi w darze narodowi różczkę cudu, jest to sam poeta, natchniony religijnem uczuciem, a różczka cudu, to jego poezya, która na serca narodu ma zlać balsam pokrzepienia i odrodzenia religijnego. Ale taki poeta, jeżeli chce spełnić misyę swoją całkowicie, powinien być nią jedynie przejętym i strzec się pokus ziemskich, nie dać się opanować urokowi miłości ziemskiej, i takie to niebezpieczeństwo widocznie grozi Bukatowi ze strony pięknej księżniczki. Można przypuszczać — i potwierdzają to niektóre ustępy *Złotej Dumy* — że w poemacie tym, jak go sobie układał Zaleski, na pierwszy plan miała się wy-

sunąć kolizya w sercu poety między poczuciem jego wysokiego powołania a żądzą osobistego szczęścia, jakie daje miłość ziemska, kolizya, którą poeta jakby wyprorokował sobie, ponieważ w późniejszem jego życiu odegrała ona — jak to zobaczymy — znaczną rolę.

Ten motyw — usymbolizowanie swojej poezyi w cudownej różczce — dobrze odpowiadał ówczesnemu optymistycznemu nastrojowi Bohdana, jaki się objawia w listach do Wodzińskiego, gdzie poezyę swoją przyrównywał do bryl złota, a także tej zachęcie, jaką mu listy przyjaciela przynosiły. Przypomnę cytowane już słowa Wodzińskiego: »Twoją misyą przedewszystkiem jest, kochając sercem świat i ludzi, wynieść się myślą i duchem wysoko ponad ich dziedzinę i zaśpiewać pieśń, którąby brzmiała niebieskiemi dźwiękami dzisiejszym i późniejszym pokoleniom«.

Otoż optymizm, odpowiadający tym słowom, nie po raz pierwszy nastrajał serce naszego poety: przed laty dziesięciu, gdy zabierał się do pisania *Kwiatu paproci*, podobnych doznawał uczuć, podobnej ufności w swoją siłę twórczą, i wtedy i teraz jednako usymbolizowaną w gałązce cudownego krzewu. Było tedy pokrewieństwo w tych pomysłach Bohdana, oddzielonych długim lat szeregiem, ale była i charakterystyczna dla obecnego jego stanu duchowego różnica. Przed laty cudowną różczkę dostawał ze szponów żurawia, który był niejako symbolem tajemniczych sił przyrody i usposobieniem cudownych wrażeń, jakich doznawał poeta w dzieciństwie w obcowaniu z przyrodą, albo, jeśli kto woli, uosobieniem prądu romantycznego, który ku tym wrażeniom po latach zwracał duszę poety. Różczka uszczkniona i podana temu ostatniemu przez żurawia, nie zostawała w żadnym związku z religijnym nastrojem. Teraz dostawał on rożczkę wprost z rąk Ojca Niebieskiego, jako łaskę dla narodu, a dostawał ją, jako ten, który duszę swoją skąpał w ete-

rach najczystszej religijności. Więc i zachowanie tej łaski zależało od utrzymania nastroju religijnego w duszy poety, a nic tak łatwo nie mogło ściągnąć jej z wyżyn tego nastroju, jak miłość kobiety, obciążona nieuchronnie pierwiastkiem zmysłowym. Ten pierwiastek zmysłowy, rusałczany, czuł poeta w swej naturze mocno zagnieżdżonym, a stąd wynikało przeciwieństwo i walka pomiędzy jego naturą zmysłową a rozbudzonym prądem religijnym, który go porywał w górę ku najwyższym zadaniom poety — wieszcza narodu.

Taka to walka, o ile z fragmentu sądzić możemy, miała wejść jako subjektywny element, do *Złotej Dumy*. Najwyraziściej występuje on w *Pieśni Bukata*, która zamyka księgę pierwszą; zobaczmy, jak się uwydatnia ona w dalszych dwóch księgach niedokończonego poematu.

Księga druga ma tytuł *Ksiądz*, a to z powodu, że główną w niej postacią jest ksiądz Jacek. Jest to sławny kaznodzieja, pokutnik, czczony przez lud i szlachtę. Swoim stosunkiem do Bukata przypomina zdaleka księdza Piotra z *Dziadów* w stosunku do Konrada, choć mistycyzmu niema w nim wcale; z tajemniczości, otaczającej jego postać i zabiegliwości patryotycznej podobny jest do księdza Robaka, którego imię nosi, choć tajemniczość jego niewiadomo na co jest potrzebna: ma to być syn owego hospodara Iwoni, którego poeta poznał w Kronice Bielskiego i razem z kozakami Świerczowskiego tak serdecznie pokochał [1]). Ksiądz Jacek, dowiedziawszy się w jakiś sposób o napadzie Tatarów, dąży pieszo do Rzyszczowa, gdzie mu opowiadają szczegółowo o świeżem nieszczęściu, jak Mamaj napadł na Iwanhorę podczas wesela i zabrał w jasyr wszystkich uczestników weselnej zabawy; tylko Bukatowi udało się ujść z niewoli, ale ranny

---

[1]) Por. Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego str. 131.

i potrzebuje opatrzenia. Do niego więc spieszy Jacek, i w tych rzeczach biegły, bada rany, a z badania okazuje się, że nie są groźne i łatwo się zagoją. Przy badaniu spostrzega na piersiach poety napierśnicę Hanki, przekazaną jej, jako najcenniejszy klejnot rodowy, przez ojca, i z rozmowy z Bukatem z powodu tej napierśnicy dowiaduje się, że pomiędzy poetą a księżną Hanną zawiązał się bardzo silny węzeł miłosny, że to ona sama kładła mu na pierś napierśnicę i że on, jak ten dar, tak i dawczynię uważa już za swoją. Przeraża to i oburza księdza Jacka, który zna ich i kocha oboje:

Z jakich zasług, jakim czynem
Sławnyś? Że chcesz zięciem, synem
Kniaziów zostać! i jedynem
Dzieckiem władasz potajemnie.

Bukat rozpaczliwie broni się: on nie łaknął wcale »czci książęcej«, ale czyż nie wolno mu pragnąć szczęścia na świecie?

Czyliż mam już być ladaco —
Że ja zlepek ziemskiej gliny,
Śmiem pożądać tu rozkoszy?...
Znam ja Boże przykazania;
Ojcze! żadne nie zabrania,
Żadne szczęścia chwil nie płoszy.

Ksiądz Jacek gromi go za te myśli tak grzeszne, szczególnie w dniu strasznej próby, a tak przeciwne dawniejszym pieśniom Bukata, a wskazując mu postać Ukrzyżowanego (Patrz, na krzyżu Sprawiedliwy — I Niewinny i Syn Boga) budzi w sercu jego skruchę. Sam on jak najprędzej podąży z okupem do Krymu dla wyzwolenia jeńców, ale

Jeśli złoto nie pomoże,
To rozprawić się żelazem!
Wezwij na koń Zaporoże,

Z mołojcami uderz razem —
Aż zasłyniesz! Szczęść wam Boże!...

»Aż zasłyniesz!« A więc ksiądz Jacek nie jest tak srogim, aby odejmował Bukatowi wszelką nadzieję pozyskania córki kniaziów za żonę. Widocznie chodzi mu tylko o to, aby Bukat zarobił sobie na to szczęście nie samą pieśnią, ale i wielkim rycerskim czynem. W ten sposób rozstawszy się z ukochanym przez siebie poetą, śpieszy Jacek w drogę z okupem, a po drodze wstępuje do monasteru w Trechtymirowie nad Dnieprem, gdzie go mnisi ruscy przyjmują uroczyście naprzód w cerkwi, potem przy stole. Wśród tych mnichów, pod nazwą dyakona Piotra, wiedzie pobożny żywot sławny niegdyś pogromca Turków i Tatarów, Konaszewicz-Sahajdaczny, o którym krążyły legendy, że po wojnie Chocimskiej został mnichem, a jego rozmowa z księdzem Jackiem daje poecie sposobność do gorącego wypowiedzenia swoich ideałów politycznych. Sahajdaczny woła:

Ładu — ładu nie chce Lasza...
Ładu źdźbło! a ziemia nasza!
Póki stanie świata, słońca,
Lach i Kozak bratnia para!
Ślubowana miłość, wiara,
W tylu bojach drużba stara,
I ja wytrwam wam do końca!...

Hetman-mnich w tej rozmowie wręcza dawnemu swemu druhowi, jakim jest ksiądz Jacek, cenny jakiś klejnot, zdobyty pod Chocimiem, i daje mu radę, aby tym klejnotem zjednał sobie w Krymie hańskiego ulubieńca, którym jest nie kto inny, jak Poturczeniec Bohdan Chmielnicki. Podnoszę ten szczegół dla wskazania pokrewieństwa tła historycznego *Złotej Dumy* z tłem *Żartu tatarskiego* i poematu historycznego o nieznanym tytule, pisanego jeszcze przed powstaniem.

Księga III, p. t. *Piewca*, daje nam obraz życia domowego Bukata w chwili jego gotowania się na wojnę, a służy poecie do wprowadzenia wielu osobistych wspomnień, wynurzenia wielu własnych pragnień, zawodów i nadziei. Tutaj to trafnie charakteryzował swój stosunek do pieśni ludowej:

Pieśni ludu!... jedwabników
Przędza na wiatr — lśniąca, lekka;
Ktoś jej doda kwietnej krasy,
Umaluje, złotem przetka,
I na wieczne, wieczne czasy,
Adamaszki i atłasy,
Na królewskie gdzieś pokoje,
A na dziewic wszystkich stroje.

Tutaj żalił się na swój los, że nie udaje mu się nigdy doprowadzić do końca większych pomysłów epickich, które nosił w duszy, los, który czekał i *Złotą Dumę*:

Dumy wszystkie wpół ucięte,
Plon, co nigdy nie dojrzeje!

Tutaj wreszcie wypowiadał nadzieje, które go nawiedzały niekiedy w chwilach wielkiego podniecenia duchowego:

Duch mój mocen był cud sprawić,
Polskę rozgrzać i rozsławić...

Co wciągnął ze wspomnień rodzinnych, domowych, była o tem mowa w pierwszej części tej monografii [1]) i tam już zaznaczono, że zapewne nie wszystko w tych wspomnieniach odpowiada dokładnie rzeczywistości i że na karb poetyckiego zmyślenia trzeba położyć przeczucia matki umierającej o wielkiej roli, jaka przypadnie kiedyś

[1]) Ob. Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego str. 8—9.

jej niemowlęciu na świecie. Ale to zmyślenie jest o tyle ważne, o ile nam wskazuje, jak poeta zamyślał rozwijać dalej swój poemat, bo przecież przeczucia matki musiały się spełnić, inaczejby nie miały racyi bytu:

Och! to kiedyś mąż jedyny!...
Chluba wasza, chluba kraju,
Zmaże wielkie, wielkie winy;
Swiat szatański nań się sroży,
Ale palec nad nim boży —
I nie zadrży uczeń prawy!
Żywot pełen łez i sławy —
Aż pod krzyżem się rozkruszy.

Pomimo jednak tych wskazówek, plan dalszy poematu nie zarysowuje się nam wyraźnie. Bukat okrzyknięty atamanem przez kozaków czerkaskich, co już ma miejsce w trzeciej księdze, będzie niewątpliwie dzielnie walczył z Tatarami, a ponieważ »świat szatański nań się sroży«, więc spotykać go będą jakieś wielkie pokusy i niebezpieczeństwa, z których on, jako »uczeń prawy«, wyjdzie zwycięsko. Ale co miała znaczyć przepowiednia, że »pod krzyżem się rozkruszy?« Czy epopeja miała się zakończyć mniszym kapturem poety, czy jego weselem z księżną Hanką, o tem nic na pewno nie wiemy, bo sądząc z początkowych części poematu, można tu zupełnie dobrze zastosować staroświeckie wyrażenie: »na dwoje babka wróżyła«. Bodaj też czy i sam Bohdan wiedział napewno, w ciągu pisania swego poematu, w jaki sposób go rozwiąże, gdy nadejdzie ostateczna chwila rozstrzygnięcia.

Co się tyczy pieśni serbskich, to naprzód nasuwa się kwestya chronologiczna. Otoż w tym względzie trudności niema. Wiemy z listu Bohdana do Wodzińskiego [1]), że książki serbskie, t. j. Zbiór pieśni Karadzicza i słownik

---

[1]) Korr. J. B. Z., I, 80.

serbsko-niemiecko-łaciński, otrzymał 21 maja 1836 r. i że zaraz miał zabrać się do serbszczyzny, z innego zaś listu (16 września), że już wtedy wytłumaczył był »co najpiękniejsze *Pieśni serbskie* i to w takiej ilości, iż sądził, że wraz z przedmową będą mogły utworzyć »porządny tomik« [2]). Tłumaczenie więc, a raczej przerabianie tych pieśni, przypada na miesiące lipiec i sierpień, to jest na czas, kiedy już Zalescy przenieśli się do Molsheim. Że odrazu już ukazały się w tej postaci, w jakiej je dziś znamy, że nie potrzebował ich w późniejszych latach przed ich wydaniem wykańczać, można wnioskować z tego, że już zaraz po ukończeniu tej pracy był z niej niezmiernie zadowolony i pisał o tych pieśniach, że »błyszczą się przepysznie«.

Druga kwestya, to znajomość języka serbskiego. Nic nas nie upoważnia do przypuszczenia, że poeta przed otrzymaniem książek serbskich od Wodzińskiego, znał cokolwiek ten język. Co najwyżej można przypuścić, że w czasach warszawskich, kiedy zamyślał o wyjeździe za granicę dla studyów slawistycznych, słyszał od Brodzińskiego to i owo o Karadziczu i zbiorze jego pieśni; tak domyślać się można z przytoczonych już wyżej słów jego o uroczystem przyrzeczeniu danem Brodzińskiemu, iż »część heroiczną rapsodów serbskich wytłumaczy na język polski«. Należy też przypuszczać, że mieszkając w Warszawie, znał *Pamiętnik naukowy* z r. 1819, wydany jako dalszy ciąg *Ćwiczeń naukowych* (Oddział literatury), i że tam czytał pieśń morlacką *Żona Hassan Agi* w przekładzie rymowanym Brodzińskiego i w oryginalnym tekście, a także kilka piosnek serbskich w oryginale, ale polskiemi literami drukowanych. Tyleż tylko było zapewne u Bohdana znajomości serbszczyzny, gdy zabierał się do przekładu

[2]) Tamże, I, 90—91.

pieśni serbskich. Ale naszemu poecie, który znał dobrze język rosyjski i małoruski, nie trudno było w krótkim czasie, przy pomocy słownika, zaznajomić się z serbszczyzną, przynajmniej o tyle, aby rozumieć pieśni ludowe o bardzo prostej budowie zdań i odczuwać ich plastykę.

W pieśniach serbskich, które miał sobie przysłane, znajdował dwa typy, dwa rodzaje poezyi ludowej, które Karadzicz określił nazwami pieśni męskich i żeńskich, choć przy tem określeniu sam był w pewnym kłopocie. Otó co o tych typach pisał znakomity etnograf serbski w przedmowie do lipskiego wydania pieśni serbskich z r. 1824. »Wszystkie nasze narodowe pieśni dzielą się na junackie, (t. j. bohaterskie), które ludzie śpiewają przy gęśli i na żeńskie, które śpiewają nietylko kobiety i dziewczęta, ale i mężczyźni, osobliwie młodzież, i to najwięcej po dwoje w jeden głos. Żeńskie pieśni śpiewane są pojedyńczo lub we dwoje tylko dla własnej rozrywki śpiewających, a junackie pieśni najwięcej śpiewają na to, aby inni słuchali; i dla tego przy śpiewaniu żeńskich pieśni bardziej się zważa na śpiewanie, niż na pieśń, a przy śpiewaniu bohaterskich, więcej na pieśń« [1]).

Podział ten, nie dosyć wyraźny, bo nazwa żeńskich nie dobrze odpowiadała pieśniom, które zarówno śpiewali chłopcy jak dziewczęta, odpowiadał jednak poniekąd podziałowi ludowej poezyi ruskiej na dumy, które śpiewane były przy towarzyszeniu kobzy i w których słowo panowało nad melodyą, i pieśni, które śpiewano zwykle bez udziału instrumentu, i gdzie melodya miała górującą rolę. Pomimo tej zgodności, różnice pomiędzy serbską a ruską poezyą ludową są niemałe, ale nie tu miejsce zastanawiać się nad niemi szeroko. Dość będzie

---

[1]) Народне српске пјесме Книга прва. У Липисци 1824, str. XVII. Notabene tom II (najstarsze pieśni junackie) wyszedł z datą wcześniejszą (1823).

wskazać, że główną cechą poezyi serbskiej jest plastyka i przewaga żywiołu epickiego nad lirycznym, główną cechą ludowej poezyi ruskiej jest liryzm i jego przewaga nad żywiołem epickim. Nas tu głównie obchodzi stosunek Bohdana Zaleskiego do nowego materyału ludowej poezyi, który miał przetopić na swoją polszczyznę.

Otoż stosunek to był inny, niż do ludowej poezyi ukraińskiej. Ta ostatnia była mu tak blizką, tak rodzimą, tak był nią napełniony i przeniknięty, że nie traktował jej jako czegoś obcego, co potrzebuje tylko wiernego oddania myśli i zwrotów, bez żadnych dodatków ze strony tłumacza, ale traktował ją, jako przędzę własnej duszy, zastosowywał do swoich uczuć chwilowych, przetwarzał ją jednem słowem na swoją własność duchową. I dlatego to u poety, tak zakochanego w ludowej poezyi ukraińskiej, tak mało jest utworów, któreby były dokładnem odtworzeniem pieśni czy dum ludowych, a te, które najwięcej temu zadaniu odpowiadają, t. j. które najwięcej zasługują na nazwę przekładu, jak dumka *Ukaranie*, drukowana jeszcze w r. 1824, albo ze znacznie późniejszych czasów pochodzący *Śliczny chłopiec*, należą do słabszych utworów Bohdana.

Przed serbskiemi pieśniami stawał on jako przed czemś obcem, nowem, przed czemś, co nie było związane z nim, jak ruskie pieśni, tysiącznemi nićmi wrażeń, wspomnień, tradycyi. Dlatego czuł się wobec nich skrępowanym, nie śmiał i nie mógł ich uważać za swoją własność tak, jak ukraińskie, i tak samowolnie z niemi postępować. Odnosi się to w szczególności do pieśni bohaterskich, które przyrzekł był niegdyś Brodzińskiemu spolszczyć. Miały one swoją stałą, niewzruszoną formę, jeden i ten sam wszędzie rytm i wiersz dziesięciozgłoskowy z taką samą wszędzie średniówką, swoją własną wiekami uświęconą poetykę. Mógłże samowolnie taką formę naruszać, mógłże tembardziej odmieniać treść w niej zawartą, treść

zaczerpniętą z obcej tradycyi ludowej? Uznał tedy za swój obowiązek, owe rapsody bohaterskie jak najwierniej, o ile potrafił, przelać na polszczyznę. Zostawała mu tylko swoboda wyboru treści, a z tej swobody skorzystał jak najlepiej. Z pomiędzy mnóstwa rapsodów bohaterskich, które miał przed sobą w zbiorze Karadzicza, wybrał te, w których się najwspanialej odźwierciedliła tragiczna walka Serbów z Turkami, rapsody o carze Łazarzu i bitwie na Kosowem polu, i tym dziewięciu rapsodom, jako całości, dał tytuł wspólny: *Car Łazarz czyli Bój kosowski.* Ale dlaczego nie ułożył ich w należytym porządku, jakiego wymagały opiewane w nich wypadki? Bo jeżeli *Zaręczyny kniazia Łazarza* słusznie zajmują pierwsze miejsce, to następujący po nim *Bój kosowski*, zapewne najpiękniejszy, powinien stosownie do swojej treści następować po czterech końcowych, gdzie są opowiadane wypadki, które poprzedziły bitwę. Ale nasz poeta wogóle miał bardzo mało zmysłu do układania swoich poezyi przy ich zbiorowem wydawaniu.

Przekład rapsodów nie jest wprawdzie dosłowny, ale jest wierny, tak pod względem treści, jak formy, i epopeja serbska pokazuje w nim oblicze swoje w całej swej uroczystej powadze. Gdzieniegdzie tylko — bardzo rzadko — prostota eposu ludowego upstrzona jest niepotrzebnym dodatkiem; tak w *Zaręczynach kniazia Łazarza*: »*Słodko* odrzekł potężny car Stefan«, albo w *Założeniu kościoła Rawanicy*: »Miłoszowi wnet odrzekł *uprzejmie*«, słówka: »słodko, uprzejmie«, obce oryginałowi, źle odbijają od surowej prostoty ludowego eposu. Źle też odbija używanie zdrobniałych wyrazów [1]), zupełnie obce oryginało-

---

[1]) Od takich błędów wolnym jest przekład rapsodów serbskich Romana Zmorskiego: Królewicz Marko, narodowe pieśni serbskie, Warszawa 1859, ale za to ma on inne niedomagania, któreby można nazwać gramatycznemi.

wi, jak n. p. w prześlicznym rapsodzie: *Kosowska dziewczyna:*

Ranne ptaszę, kosowska dziewczyna,
Wstała z jutrznią — po rosie — w niedzielę,
Zanim z nieba przygrzało *słoneczko;*
Zawinęła *bieluchne* rękawy,
Zawinęła do łokci *bieluchnych;*
Na ramionach kołacze w kobiałce —
W ślicznych *rączkach* dwa złote puhary,
W jednym woda *świeżutka,* zdrojowa,
W drugim wino przejrzyste, rumiane
I tak sobie wędruje równiną.

Te pieszczotliwe określenia nie przystają do tragicznej sytuacyi dziewczyny, szukającej narzeczonego i swatów między ciałami poległych na pobojowisku kosowskiem. Ale powtarzam, takich odstępstw jest niewiele, i wogóle w przekładzie rapsodów bohaterskich Bohdana można znaleść wierne i harmonijne odbicie tego, co jest najpiękniejszem w ludowem epos serbskiem [1]).

Za przykład niech służy wyjątek z rapsodu drugiego (Car Łazarz i Caryca Milica):

---

[1]) Niektóre odstępstwa bodaj czy nie pochodzą ze złej korekty, z błędów drukarskich, które przy słabej uwadze autorów mają niekiedy zdolność utrwalania się na wieki. Takim błędem wydaje mi się w *Zaręczynach kniazia Łazarza* słowo; *na niwce,* które ni w pięć, ni w dziewięć zjawia się dwa razy w przekładzie tego rapsodu:

Czy ci odzież *na niwce* zwiotszała?
. . . .
Ani koń mój *na niwce* zakulał.

Domyślam się, że to miało być *na niwecz,* zwłaszcza, że ten sam wyraz zastąpiony jest potem słowem: *do szczętu.* Poraz pierwszy drukował te rapsody B. M. Wolff w Petersburgu 1852 i prawdopodobnie poeta nie miał tego druku w korekcie; potem błąd ten drukarski, raz już się zagnieździwszy, łatwo mógł przejść niepostrzeżony do następnego wydania.

Kiedy ranek nazajutrz zaświtał,
I na grodzie otworzono bramy,
Wnet wybiegła Caryca Milica,
Czatowała u bramy zachodniej.
Otoż wojsko ciągnęło w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami,
A na przedzie był Boszko Jugowicz
Na gniadoszu kapiącym od złota;
Brata Boszka i konia gniadosza
Obwiewała krzyżowa chorągiew,
Na chorągwi jabłko pozłociste,
Pozłocisty krzyż święty na jabłku —
A od krzyża pozłociste kity
Biły Boszka po obu ramionach.

Wnet pomknęła Caryca Milica —
Chwyta silnie za uzdę gniadosza,
Targa brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie:
»O mój bracie, Boszku Jugowiczu,
Car się zmiękczył na moją modlitwę,
Abyś nie szedł na bój pod Kosowo:
Owszem ciebie pozdrawia i każe,
Byś chorągiew zdał, komu sam zechcesz;
I pozostał ze mną na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze«.

Odpowiedział brat Boszko Jugowicz:
»Idź ty sobie siostro na wieżycę;
Ale ja się nie myślę tu zostać,
Ni krzyżowej chorągwi ustąpić —
Choćby Car mi ustąpił Kruszewca.
Coby rzekła bojowa drużyna?
Patrzcie tchórza Boszka Jugowicza!
Nie śmie z nami ruszyć pod Kosowo —
Za krzyż święty nie chce swej krwi przelać,
Ani umrzeć za wiarę narodu«.
Pchnął się konno co żywiej przez bramę i t. d.

Wobec tak zwanych pieśni żeńskich — Bohdan był śmielszy, mniej skrępowany powagą treści, pozwolił też sobie użyć względem nich większej swobody. »Pieśni te

— pisał w przedmowie do swojej serbszczyzny — nie są już wiernem tłumaczeniem, jak poemat o królu Łazarzu, są one spolszczone tylko. Poeta wolał swobodnie rozśpiewać się narodową nutą, niż pętać głos swój i swoją słowiańską lirę« [1]. Na czem polegała ta swoboda, za chwilę obaczymy, przedtem chcę wskazać, jaką miał inną jeszcze pobudkę do tego, oprócz wskazanej. Oto upatrywał w nich pewne pokrewieństwo z wiośniankami i szumkami ukraińskiemi, stąd były mu bliższe, zrozumialsze, kojarzyły się łatwiej z jego własnemi, osobistemi uczuciami i pobudzały do bardziej swobodnej twórczości. Dał im też nazwę zbiorową *Wiośnianek*. W przedmowie do swoich własnych *Wiośnianek i Szumek*, tak pisał o tem pokrewieństwie.

»Rodzaj takich piosnek jest czysto-ziemiański u nas, przyrodni, jak barwinek, nad Wisłą, Dnieprem, Sawą i Motławą, między ludnością naszą wiejską prostą i serdeczną. Serbowie i Ukraińcy czyli Rusini, jak w inszych poważniejszych rodzajach poezyi, tak i w tym stoją naprzodku. Nazywam *Wiośnianki i Szumki* serbskie — pieśni, które Wuk Karadzicz pisze (t. j. nazywa) zdaje mi się nie całkiem właściwie Żeńskie. Wiośnianki te i szumki słodkie, ciche, pieściwe, wyjawiają coś staro-heleńskiego, jakiś stan błogiego usposobienia ludu; ukraińskie zaś hałaśne, śmiałe, szalone, zdradzają wciąż zapomnienie minionej niedoli. Pomimo tej różnicy w druku, z jednych i drugich zarówno bucha jakoby woń i ciepło wiośniane, podniecające ku śmiałej, pustej, a niekiedy krewkiej myśli, które upajają trocha, bez cienia przecież ckliwych czułostek lub niesromnego wydwarzania« [2].

Mówiąc krócej a wyraźniej, jest w tych pieśniach jednych i drugich, wiele zmysłowości, ale nie tej, która

---

[1]) Poezye J. B. Zaleskiego, Petersburg 1852, T. IV, str. 46—47.
[2]) L. c. T. II, str. 267—268.

przechodzi w lubieżność i staje się sama dla siebie celem, tylko takiej, która jest naturalnym wypływem młodzieńczej gorętszej natury, a jak w pieśniach ruskich, ochoczo łączy się z humorem. Takiej zmysłowości było sporo w naturze poety, co on sam, jak już wskazywałem, widział w sobie, i ona to, przy zaznajamianiu się poety ze zbiorem Karadzicza, pociągała go ku serbskim pieśniom żeńskim i zachęcała do swobodnego ich prześpiewywania. A prześpiewał ich na język polski niemało. We wspomnianej już przedmowie do pieśni serbskich, nie wiadomo dlaczego, wspomniał tylko o kilkunastu: »Kilkanaście jej wzorów (poezyi niewieściej) zamyka się w drugiej części niniejszego zbioru« [1]), a tymczasem jest tych pieśni blisko pięćdziesiąt. Zdawaćby się mogło, iż się wstydził tego, że tak wiele poświęcił uwagi i pracy lekkiej poezyi serbskiej w stosunku do bohaterskiej.

Obaczmy teraz, z jaką swobodą obchodził się z tą lekką poezyą. Pieśni żeńskie serbskie w oryginale różnią się od bohaterskich przedewszystkiem treścią swoją i brakiem uroczystego nastroju, który z treści tamtych wypływa; co się tyczy formy, a mianowicie rozmiaru wiersza, ten jest bardzo rozmaity, zwykle krótszy od bohaterskiego dziesięcio-zgłoskowca, ale zdarza się czasami, że i te pieśni mają rozmiar wiersza bohaterskiego. Zgodność formy polega na tem, że jedne i drugie pieśni nie znają rymu, podobne w tym względzie do poezyi starożytnej, do bylin rosyjskich, a wreszcie do dum ukraińskich; jeżeli się niekiedy trafiają rymy w pieśniach żeńskich; to tylko sporadycznie i jakby przypadkowo. Otoż Bohdan, który w pieśniach junackich uszanował bezrymowość formy, tutaj dał upust swemu zamiłowaniu w zgodnych dźwiękach i podkuł swoje wiersze błyszczącemi i dźwięczącemi rymami, już w ten sposób utrudniając sobie dokładność prze-

---

[1]) L. c. T. IV. str. 46.

kładu. Wyjątek stanowią tylko trzy utwory: *Żona Agi — Hassan-Agi*, utwór, który Goethe tak wysoko cenił i przełożył na język niemiecki, i dwa krótsze: *Erdelska banowa* (Што омилье не омрзну)[1] i *Tak czy owak — zawsześ moja;* we wszystkich tych wierszach Bohdan uszanował bezrymową formę oryginału. Do dwu pierwszych zastosował tę formę może przez wzgląd na ich ton głębokouczuciowy, poważny, szlachetny, wolny od wszelkiej zmysłowości; oba też wiernie i ładnie przełożył, wzbraniając sobie wszelkich zmian, opuszczeń lub dodatków.

Z innymi wierszami serbskiemi postępował z największą swobodą. Nie tylko wszędzie wprowadził rymy, a często budowę stroficzną, nieznaną oryginałowi (wyjątkowo tylko pojawia się ona w pieśniach serbskich), nie tylko zmieniał nieraz rytm i rozmiar wiersza, ale i treść modyfikował stosownie do własnego upodobania. Oto n. p. »*Słowik ułowiony*« (Природна слобода), gdzie krótki wiersz siedmiozgłoskowy zamieniony na jeszcze krótszy (2 amfibrachy) i ułożony w czterowierszowe strofy z rymem przekładanym, i gdzie treść zmieniona w ten sposób, że nie strzelcy, którzy złowili słowika, puszczają go na wolność, gdy nie chce śpiewać w niewoli, ale nieznana w oryginale Milica:

> Nie śpiewał słowiczek;
> Aż dziewczę w żałobie
> Uchyliło drzwiczek:
> »A lećże ty sobie«!

Oto inny przykład: *Jeden z trzydziestu* (u Karadzicza Цетинька и Мали Радоица), wiersz bardzo piękny, który charakterem epickim i nastrojem rycerskim, a jak w oryginale i rytmem i rozmiarem, zbliża się do rapsodów

---

[1]) »Co jest miłe, nie obrzydnie«. Słownik Karadzicza (Српски Рјечник у Бечу 1852) podaje wykładnik w niemieckiem przysłowiu: alte Liebe rostet nicht.

bohaterskich. Nasz poeta do plastyki serbskiej dodał, przy spolszczeniu jego, wiele barw i ozdób własnych, i dodał szczęśliwie, zmienił rytm, podkuł wiersz rymami, — i nic temu wszystkiemu zarzucić nie można. Ale nie poprzestał na tem i do motywu epickiego wprowadził zmianę wcale niekorzystną.

Nad rzeką Cetynią, chłodną i bystrą, siedzi trzydziestu junaków, i wszyscy zalecają się do pięknej Cetynki, która im wino w czasze rozlewa. Cetynka odpycha zaloty, nie może być wszystkich kochanką: kto chce ją mieć za swoją, niech w pełnym stroju, w zbroi i w burce, przepłynie tam i napowrót bystrą Cetynię. Wyzwanie ciężkie, junacy w dół patrzą; jeden tylko Mały Radoica nie zniżył wzroku, żywo skoczył na nogi, przypasał oręż, burkę chwycił na plecy, rzucił się w rzekę i przepłynął na drugi brzeg. Ale gdy wracał, zaczął tonąć. Serbska pieśń tak to przedstawia:

On nie tonie, że mu sił zabrakło,
Ale tonie, bo próbuje lubą,
Czy mu luba zechce wierną zostać.
Gdy to widzi Cetyńska dziewczyna,
Wnet się rzuca do rzeki Cetyni.
Gdy to widzi Mały Radoica,
On się z wody wyrywa do brzegu
I wypływa wnet z bystrej Cetyni,
Chwyta zaraz Cetyńską dziewczynę
I ująwszy ją za białą rękę
Do białego dworu swego wiedzie.

Nasz poeta to zakończenie zmienił naprzód w taki sposób, że nieuwydatnił, iż bohater tonie dopiero za powrotem, i że tonięcie to jest tylko udanem, że jest próbą dziewczyny, odpowiednią tej, jaką ona junakom zadała; powtóre, że dziewczynie przypisał inną pobudkę rzucenia się do wody: czyni to ona nie przez miłość dla dzielnego junaka, który dla niej narażał życie, ale z »panieńskiego sromu«, co mniej nam przemawia do serca.

Toż junak dopiero, o silny i tęgi!
Aż pęka Cetynia w pieniące się kręgi,
A unieść nie może — choć bystra w swym biegu —
Zanurzył się nieco och biedny u brzegu;
Lecz znowu na wierzchu — i woła z daleka:
»Tyś moja dziewczyno od dzisiaj do wieka«.

Widziała dziewczyna, że nie żart się święci,
W panieńskim swym sromie, w panieńskiej niechęci,
Jak stała w Cetynię rzuciła się głową,
Radula do wody zawraca na nowo:
Klaskali co siły u brzegu junacy,
Oj byłoż z dziewczyną — oj byłoż tam pracy,
Wybawił od śmierci. — Dziewczyna Radule
Wisiała u piersi pieściwie i czule:
Nie było już potem oporu ni sromu,
Całował jak swoją i powiózł do domu.

Wreszcie trzeci przykład: *Chłopiec bisiorem* (Испуњена жеља). W oryginale wiersz bohaterski dziesięciozgłoskowy, równy, bez strof i rymów; w przerobieniu ośmiozgłoskowy, stroficzny, z przekładanymi rymami żeńskiemi i męskiemi, bardzo kunsztowny. W oryginale w wyrażeniach i toku opowiadania ogromna prostota i spokój. Oto przekład prawie dosłowny z zachowaniem rytmu i rozmiaru:

Boga prosi chłopak nieżonaty,
By się perłą stał na brzegu morza,
Gdy dziewczęta nad wodę przychodzą;
Niechaj garną ją do swego łona,
Niech ją niżą na zielony jedwab,
Niechaj kładą sobie pod gardziołka, (грлоца)
Niechaj słyszy on, co która mówi:
Czyli każda z nich mówi o swoim,
Czyli mówi luba jego o nim.
O co prosił Boga, to Bóg dał mu:
Więc się perłą stał na brzegu morza,
Gdy dziewczęta nad wodę przychodzą,
Więc garnęły go do swego łona,
Jako perłę na jedwab nizały

I tę perłę kładły pod gardziołka.
I podsłuchał on, co która mówi.
I mówiła każda z nich o swoim,
I mówiła jego luba o nim.

Zobaczmy teraz, co zrobił z tej piosnki nasz poeta.

»Co Bóg chce — to stać się może.
Choć na jeden krótki dzień,
Dobry, święty, wielki Boże!
Zmień mię w drogi bisior—zmień«!

»Tam na morskim złotym piasku
Wciąż swawoli dziewcząt rój;
Najpiękniejsza — bisior w blasku,
Niech mię złowi, bisior swój«!

»Niech ukocha, niech naniże
Na jedwabną jasną nić,
Bym mógł pieścić ciałko świéże,
Na jej białej piersi śnić«!

»Boże — Boże! i dziewicę —
I jej duszę daj mi w moc;
Abym zaznał tajemnice —
O czem śni i dzień i noc«.

Chłopiec długą dobę całą
Modlił się ze wszystkich sił:
O co prosił — to się stało,
Już bisiorem z piersi lśnił.

Lecz nazajutrz gdy na nowo
Wykłuł się na ludzki świat —
Nic nie mówił — wstrząsał głową,
Nie ciekawy na sto lat.

Widzimy więc, że tego przekładem nazwać nie można, że poeta wziął tu tylko motyw z pieśni serbskiej i utworzył z niego utwór własny, w którym muza jego miała sposobność rozwinąć całą złotniczą misterność, całą lotność i śpiewność swoją. Widzimy także, że ton zmysłowych uczuć, słabo zaakcentowany w pieśni ludowej,

tutaj o wiele silniej się odzywa, a humorystyczne zakończenie polskiej piosnki nie znajduje żadnego punktu oparcia w serbskiej i jest oryginalnym wyskokiem chwilowego nastroju poety [1]).

Ale ten ostatni przykład jest najjaskrawszym okazem odstępstwa od tekstu serbskiego. W innych pieśniach serbskich Bohdana, nazwanych przez niego *Wiośniankami*, jest dużo swobody w traktowaniu obcego materyału, wszakże nie posuwa się ona tak daleko, jak tutaj. Do tych, które najwięcej zbliżają się do oryginału, wierniej niż inne go oddają, można zaliczyć wiersze: *Słońce i dziewczyna*, *Swat i dziewczyna*, *Rozpamiętywanie*, *Najmilsza woń*, *Sokół i chłopiec*, *Niewiniątka*, *Belgrad się pali*, *Trojaka miłość*, *Matki winne*, *Mór*, *I wy tu*. Ta ostatnia pieśń, w słowach dość blizka oryginałowi i w rytmie z nim zgodna, ma tylko tytuł dziwny, nawet niezrozu-

---

[1]) Pieśń tę tłumaczył także Brodziński i przekład jego jest wierniejszy od Bohdanowego i ma wiele prostoty, ale całe dobre wrażenie wiersza psuje niezręczne zakończenie t. j. usunięcie tego, co powinno być na końcu, do wiersza przedostatniego. Dla porównania podaję ten przekład:

Wciąż Boga prosił kochanek młody,
Aby się w perłę zamienił cały,
By go na piersiach panny miewały,
Gdy na brzeg wyjdą do morskiej wody,
By go na szyi każda nosiła
I na zieloną wstążkę nawlekła,
By słyszał, coby która mówiła,
I coby o nim kochanka rzekła.
I jest, jak prosił kochanek młody,
I w białe perły zmienił się cały,
Panny go wszystkie na piersi miały,
Gdy na brzeg wyszły do morskiej wody,
Każda na szyi perły nosiła,
I na zieloną wstążkę nawlekła,
Słyszał, co o nim kochanka rzekła,
Co o swym lubym która mówiła.

miały (u Karadzicza: Радость о надежди). Możnaby myśleć, że to końcowa wzmianka o Zaporożu, której naturalnie w pieśni serbskiej nie ma, pobudziła poetę do wystawienia takiego tytułu.

Pieśni serbskie Zaleskiego ukazały się dopiero w szesnaście lat po ich napisaniu, w petersburskiem wydaniu Maur. Wolffa z r. 1852. Poprzedzała je *Przedmowa*, dająca pogląd na dzieje Serbów i ich poezyę. Tej przedmowie nikt się bliżej nie przypatrywał i powszechnie za autora jej miano samego Bohdana, zwłaszcza, że w paru miejscach przedmowy autor przemawia jako tłómacz-poeta. Zgodność *Przedmowy* z prelekcyami Mickiewicza spostrzegł dopiero Nehring w rozprawie o tych prelekcyach, drukowanej w V tomie Pamiętnika Mickiewiczowskiego, ale nie umiał jej wyjaśnić i był nią trochę zgorszony. Oto co pisał: »W wydaniu lwowskiem pism B. Zaleskiego z r. 1877 w tomie III do tłumaczeń poety dodany jest wstęp o poezyi ludowej serbskiej, w gruncie rzeczy dosłownie zgodny z odpowiednim ustępem prelekcyi Mickiewicza, bez wymienienia imienia Mickiewicza i jego prelekcyi; nie wiemy, co ten wstęp bez objaśnienia znaczy w wydaniu pism B. Zaleskiego« [1]). Ale Nehring, tak zwykle ścisły i dokładny, tym razem nie był takim i nie uwydatnił, że przedmowa nie jest przedrukiem jakiegoś *jednego* ustępu z Wykładów Mickiewicza o poezyi serbskiej, ale *zbiorem* ustępów powyjmowanych z różnych miejsc w Prelekcyach (od XV do XXII r. z 1841) i niekiedy związanych drobnemi wstawkami Zaleskiego. Gdyby był przytem wiedział, że ta przedmowa pojawiła się już była w wydaniu petersburskiem poezyi Bohdana, byłby łatwiej zrozumiał, dlaczego się to stało, że nazwisko Mickiewicza

---

[1]) Pamiętnik Tow. im. Ad. Mickiewicza V. Lwów 1891, str. 57 (w przypisku).

zostało w przedmowie przemilczane: niewątpliwie stało się to ze względów cenzuralnych. Że zaś w ćwierć wieku potem, w lwowskiem wydaniu, nie dano stosownego objaśnienia, to pochodzi zapewne stąd, że jakkolwiek ono miało tytuł »przejrzanego przez autora«, to jednak, jak to wiemy ze współczesnej korespondencyi jego, przejrzanem przez niego, przynajmniej w całości, nie było.

ROZDZIAŁ IV.

Beatrix Ukraińska.

1836.

Pani Dyonizya Poniatowska. — Jej marzycielskie usposobienie. — Jej znajomość z Zygmuntem Krasińskim. — Jej korespondencya z wujem. — Spotkanie się w Kehl. — Szturm zwycięski. — Oczarowanie Bohdana. — Cierpienia miłosne poety. — *Duch od stepu*: byt przedcielesny. — Dzieje ziemskie poety. — Obrona religijności. — Historyozofia Zaleskiego. — Bojan. — Pochód Attyli. — Polska Magdaleną ludzkości. — Zamieć poronieńców. — Geneza poematu. — Jego wartość artystyczna.

Wspomniałem już, że kiedy major Zaleski, posądzony o udział w jakiemś spiskowaniu sekcyi batiniolskiej, przebywał w więzieniu Ś-tej Pelagii w Paryżu, zgłaszali się do niego listownie krewni jego, Daryuszowie Poniatowscy, którzy wyjechawszy za paszportem do Niemiec, znajdowali się niedaleko granicy francuskiej i pragnęli się z nim obaczyć. Daryuszowa Poniatowska była siostrzenicą majora, córką siostry jego Felicyi, która wyszła za mąż za bogatego obywatela podolskiego, Iwanowskiego, a odznaczała się wysokim nastrojem uczuciowym, patryotycznem usposobieniem i głęboką religijnością. Dyonizya odziedziczyła po matce jej usposobienie, jej skłonność do egzaltacyi, jej religijność i patryotyzm, dzięki zaś swojej nauczycielce, pani Morland, emigrantce francuskiej, zaznajomiła się z literaturą francuską i władała językiem fran-



Dyonizya Poniatowska

cuskim tak, że — jak zresztą wielu pannom z możniejszych domów w owych czasach — łatwiej jej było pisywać listy po francusku, niż po polsku. Gdy miała lat szesnaście, wydano ją za mąż za bogatego obywatela z powiatu kaniowskiego, Daryusza Poniatowskiego [1]), który przedstawiał jak najlepsze warunki na męża. Młody, jakkolwiek o jedenaście lat od niej starszy, bogaty, rządny, zacny, szczerze ją kochający, mógł jej, jak się zdawało, zapewnić jak najszczęśliwszą przyszłość. Ale ten mąż nie był przez nią wybrany, bo, jako nawpół dziecko, wybierać jeszcze nie mogła, tylko przez rodziców dla niej upatrzony, i w swojem spokojnem, trzeźwem usposobieniu nie miał, jak się zdaje, nic, coby marzącą, poetycznie nastrojoną dziewczynę pociągać mogło; najgorszem zaś dla przyszłego szczęścia małżeńskiego było to, że młoda para nie miała dzieci.

Swój portret duchowy z czasów panieńskich podała Dyonizya w jednym z listów z lat późniejszych (1845), w liście do młodszej siostry pani Konstancyi Rzewuskiej, gdzie pisząc jej o najmłodszej siostrze, Jući, jeszcze podlotku, porównywała tę ostatnią z sobą. »Jućcia tu została, mało co już niższa odemnie, prosta, szczupła... czyta, ani ją oderwać ni do muzyki, ni do rozmowy, ni do jakiegobądź zatrudnienia. Ni głowa, w której już po naszemu nerw boli, ni oczy już starczyć nie mogą, ona bez ruchu, bez mowy, czyta i czyta, bo jak rybka bez wody, tak ona nie swoja, skoro na chwilę wyjdzie z książkowego świata. Dziwne robi na mnie wrażenie ten mój *Doppelgänger*. Zupełnie ja lat temu czternaście; to życie tak

---

[1]) O wielkiej zamożności Daryusza Poniatowskiego mogą dać wyobrażenie pewne szczegóły wzięte ze Słownika Geograficznego. Majątek Tahańcza, nabyty dawno przez jego ojca, obejmował 9710 dziesięcin ziemi, sam zaś Daryusz w roku 1837 nabył graniczący z Tahańczą klucz Pilawę, mający jeszcze więcej obszaru ziemi (10.002). Wartość tych dóbr podnosiły rozmaite fabryki.

oderwane od otaczającej rzeczywistości, ta ślepota na wszystko, oprócz na abstrakcye, to zamieszkanie od niemowlęctwa w jasnym jakimś świecie, gdzie granic nie ma żadnych, gdzie wszystko nieskończone, a jednak wszystko się mieści..., a wszystko czyste, wzniosłe, uroczyste, bo niby od doczesności wolne, w pierwiastkowym swoim przed wcieleniem stanie myśli, niby jeszcze z tego świata nic na ziemię nie zstąpiło, nic się w pracy nie sponiewierało, nic upadkiem nie skalało«. Widziała jednak różnicę między sobą a najmłodszą siostrą: »Świat duchowy nie był to dla mnie piękny obraz tylko, jak nim jest dotąd dla Juńci... Marzyłam zawsze sercem, nigdy wyobraźnią i życie moje, obfite w boleści rozmaitego rodzaju, było niby długą zmorą serca« [1]).

Jaki był kierunek tych marzeń sercowych pani Dyonizyi, poucza nas o tem inny list jej, pisany w r. 1843 do Bohdana, po siedmioletniej już z nim znajomości. »Marzyłam naprzykład, że może kiedyś w trudnych, niebezpiecznych okolicznościach, w zawierusze, (naturalnie politycznej, t. j. w powstaniu) potrzebny będzie ktoś przez nieszczęście z osobistości zupełnie wyzuty, któremu na wszystko się narazić nawet ofiarą nie będzie; i mimo najgłębszego przekonania, że jako kobietę niktby mnie do niczego użyć nie raczył; że wreszcie nie będąc wolną, nie mam prawa do siebie samej, i że niktby dość miłosierdzia nie miał, ażeby mi czynną usługę komu oddać pozwolił — nie mogłam się oprzeć ułudzie, i mimowolnie stosowało się życie moje do tego snu na jawie, choć tak dobrze czułam, że to tylko sen. Łzawy śmiech mnie bierze, Bohusiu, na wspomnienie energii ciała i ducha, która się we mnie dla miłości jego (tego snu) rozwijała. Do wszystkiego stała mi na przeszkodzie wątłość sił fizycznych. Powiedziałam sobie, że się od wszelkich ko-

---

[1]) Listy Dyonizyi Poniatowskiej. Kraków 1900. T. I, str. 197.

biecych wymysłów oduczę, a miałam do nich z dzieciństwa obrzydzenie. Byłabym sobie za hańbę poczytała na czem innem usnąć, jak na słomie. Konno tyle stepu, nie zsiadając, zlatać mogłam, że niejednemu mężczyźnie... trudno było dotrzymać mi placu. Od dwunastu lat najlepsze podobno moje chwile przemarzone były na koniu; tak trwało z pięć lat. Ze snu zostało mi teraz podziwienie, że był tak długi« [1]).

Ta szesnastoletnia, »marząca sercem« dziewczyna, znalazłszy się w domu mężowskim, nie czuła się szczęśliwą. »Dzieckiem mnie uwiódł Bóg między nich zachmurzoną, nieufną, jak niewolnicę, kryjącą myśl każdą w głąb siebie, by nikt nie dojrzał, co w sercu się dzieje, jak z głazu zimną, że przylgnąć do nikogo nie mogłam«. A przecież kochał ją szczerze i mąż, i stary ojciec męża, o którym pisała potem, że »niczem nie odstręczył, przytulił, przyhołubił« [2]). Tylko ze swojem marzycielskiem usposobieniem była dla nich niezrozumiałą; świat marzeń rozbudzonych i podsycanych powiewem romantycznej poezyi, w którym się lubiła zamykać, czynił ją dla jej otoczenia niedostępną. Wywoływało to niekiedy zniecierpliwienie ze strony tych, którzy ją kochali po swojemu,

---

[1]) Tamże I 108—109.

[2]) Nie wiemy, czy żyła wówczas jeszcze matka męża, i jaką była, jest jednak w pewnym liście p. Dyonizyi do Zaleskich (z datą 19 lutego 1846 I str. 227) ustęp, który tak wygląda, jak gdyby się do tej matki odnosił: »Wychowałam się w dziwnej sferze gwałtowności i stoicyzmu, gdzie wszystkie oznaki przywiązania za udanie miano, a przynajmniej za nieprzyzwoite i śmieszne egzaltacye, tak że naprzykład matka (tylko nie myślcie, że mamcia nasza biedaczka, jej straszliwe systemata nigdy do główki nie przychodziły, a zresztą ją znacie) matka, ku wielkiemu zbudowaniu otaczających kobiet, opowiadała, iż aby nie popsuć, nigdy dziecięcia swego nie pocałowała, chyba śpiące«. Jeżeli to o matce męża mówi tu p. Dyonizya, to łatwo zrozumieć, dlaczego wszedłszy prawie dzieckiem do domu mężowskiego nie mogła przylgnąć do niego.

ale zrozumieć jej nie mogli. Więc też w listach do matki, pisanych już z zagranicy, (dokąd się z mężem i ciotką Jaczewską, potrzebującą kuracyi, wybrała w trzy lata po ślubie) skarżyła się na to, że bywa narażoną »na złośliwe żarty z mojej *affektacyi* lub na zarzut szaleństwa, wyrażony w pogardliwych słowach: »nikt jej zrozumieć nie może«. Czy to się odnosiło do ciotki, czy do męża, czy do innych osób, tego nie wiemy [1]).

Z listów Dyonizyi do matki, jakie znamy, dwa pierwsze pozwalają nam wejrzeć w jej duszę w czasach, bezpośrednio poprzedzających poznanie się jej z Bohdanem. Matka, która przez całe życie była dla niej z uwielbieniem, widząc w niej istotę podobną do siebie, ale wyższą, doskonalszą, a przeżywszy ją, nazywała ją świętą, i w niebie, po Bogu, przedewszystkiem z nią się chciała połączyć, matka i teraz, w listach swoich do niej, takiemi ją osypywała pochwałami, że córka broniła się od nich, nie przyznając się wcale do tej doskonałości, jaką w niej matka upatrywała. To jej dawało sposobność do zastanawiania się nad własnem sercem, do rozstrząsania swoich uczuć i do rozmaitych refleksyi na temat zagadnień moralnych, refleksyi po części naiwnych, ale świadczących, że dusza dwudziestoletniej Dyonizyi zwracała się ku wyższym zagadnieniom, a obojętną była na ponęty, jakie w oczach jej rówieśniczek zwyczajnie nadają wartość życiu. To też nie nęciło jej świetne towarzystwo, z którem spotykała się u wód niemieckich, bo szukając duszy, zwykle znajdowała tylko »lód pod kwiatami«, i w ciągu pierwszego roku jej pobytu za granicą tylko trzy imiona zapisały się dodatnio w jej pamięci: jakiegoś Kurlandczyka, jakiejś młodej angielki i Zygmunta Krasińskiego, »z którym ciotka moja i ja spędziłyśmy długie godziny na rozmowie«, a którego inteligencyę, pomimo, iż nie był

---

[1]) Tamże I str. 35.

znany jeszcze ogółowi, jako autor *Nieboskiej* i *Irydyona* umiała ocenić, pisząc: »To człowiek pełen rozumu i talentu«.

Znajomość p. Dyonizyi z Zygmuntem Krasińskim zawiązała się — jak to z porównania różnych dat w korespondencyi jego i jej wynika — latem 1836 w Kissingen. Było to wtedy, kiedy 24-letni Krasiński zaczynał już ostygać w zapałach dla pani Bobrowej i rad oglądał się za pięknemi twarzami kobiet, szukając nowego dla siebie ideału. Jakie wrażenie na nim wywarła dwudziestoletnia piękna Ukrainka, tego wyraźnie nie wypowiedział nigdzie, nigdzie też niewymienił jej nazwiska, w spuściźnie jednak swojej literackiej zostawił nam niemylny sposób wywnioskowania, jakie to było wrażenie. Mianowicie jego powieść p. t. *Herburt*, niedawno ogłoszona w jubileuszowem wydaniu pism tego poety, w charakterystyce głównej bohaterki, p. Julii Horyńskiej, i jej stosunku do męża, ukrywa niewątpliwie charakterystykę p. Dyonizyi Poniatowskiej i jej stosunku małżeńskiego, takiego naturalnie, jaki się w jego wyobraźni przedstawiał.

Posłuchajmy, co mówi o niej w powieści. Powiedziawszy o p. Julii Horyńskiej, że przybyła do wód niemieckich z mężem, który także się leczył (»jej choroba w głębi duszy, nie w ciele siedziała«) tak dalej ją charakteryzuje. »Czy młoda? zapytacie. — A jużciż, bo ledwo w dwudziestą wstępująca wiosnę. Jednak i stara zarazem, bo od lat już pięciu wydali ją rodzice, serca jej się nie radząc, jedno kieski zięcia; piękna, bo wyraz duszy nie odstępował nigdy jej lica — dobra i czysta dotąd, bo zwyczajem serc przed czasem znudzonych, stroniła od świata, lękając się szczęścia — uczona, bo wszystkie znała romanse dawne i nowe, francuskie i angielskie — mimo to pełna prostoty w ruchach, bez przesady w głosie. Zarzuciłbym jej tylko zbytnią chęć rozprawiania o Bogu, nieśmiertelności, woli, pamięci i umie. Ale gdzież

biednej schronić się było? Dzieci nie miała, do tego ogarnęło ją dziwne, nie wiem skąd, przeczucie, że nigdy ich mieć nie będzie«.

Otoż charakterystyka ta przypada najzupełniej do pani Poniatowskiej z tych czasów, kiedy ją poznał Zygmunt Krasiński, a kiedy się w dalszym ciągu powieści dowiadujemy, że mąż pani Horyńskiej miał imię — nie Daryusz wprawdzie, ale Perseusz — imię, które było wyraźną alluzyą do imienia pana Poniatowskiego, to nie mamy już żadnej wątpliwości, że za model Krasińskiemu przy tworzeniu postaci bohaterki w *Herburcie* służyła pani Poniatowska. Co się tyczy charakterystyki jej męża, nie wiemy, czy pan Horyński jest tak wiernym portretem pana Daryusza, jak pani Horyńska pani Dyonizyi, ponieważ nie znamy go tak dobrze, jak jego żonę; wątpimy, czy był tak skąpym, nie wiemy, czy tak wyglądał, jak go przedstawia Krasiński, i czujemy, że z widoczną niechęcią i pewną przesadą kreśli tu wizerunek człowieka, który już dla tego samego, że był właścicielem fabryk [1]) i posiadaczem pięknej żony, mógł budzić niechęć autora *Nieboskiej Komedyi*, ale w głównych rysach widzimy, że charakterystyka odpowiadała rzeczywistości. »Mąż jej — czytamy w *Herburcie* — apoplektycznej struktury, nizki, jasnowłosy, na chrzcie odebrał imię Perseusza. Niechaj nikt się nie waży nań co złego mówić, człowiek rozsądny — w Polsce fabryki cukru burakowego cny założyciel — skromny, bo choć nadziany złotem, miedzi nie odpiera, wylany dla świata, bo ciągle mówi o szczęściu czyjemsiś: to o szczęściu chłopów, to o szczęściu żony, to o swojem

---

[1]) Czy w Tahańczy, majątku Daryusza Poniatowskiego, znakomicie zagospodarowanym przez jego ojca, Józefa, była już wtedy cukrownia, tego na pewno nie wiemy, ale wiemy z nekrologu tegoż ojca, że »nigdzie rolnictwo, złączone z fabrykami, nie jest w większej zgodzie i zobopólnej pomocy«, jak właśnie w Tahańczy. Tygodnik Petersburski 1845 r., str. 286—287.

z nią wreszcie; czuły, bo jeśli z obiadu pozostanie kaczka, schować ją na wieczór dla Julii rozkaże, a że nieco zazdrosny, czyż to sławie jego co zaszkodzić może? Któż kochał kiedy, a nie był podejrzliwym, kwaśnym, gniewnym w pewnych chwilach? Lecz umie panować nad sobą, nigdy w przytomności ludzi przykrego nie powie jej słowa« [1]).

Że to z wrażeń Kissingeńskich z r. 1836 wzięta ta historya, świadczy o tem i współczesna korespondencya Krasińskiego. W liście do Sołtana (z Pragi 1 sierpnia 1836) porównywa Karlsbad i Maryenbad, gdzie już »wytrzymać« nie można [2]), z Kissingen i ten ostatni stawia wyżej, bo tam przynajmniej jeszcze można spotkać »z kijowskiej gubernii X. skąpego filantropa..., mówiącego dobrze po francusku, żałującego dwóch guldenów dla biednej żony, ale jeszcze, jeszcze ujść mogącego«. Otóż ta charakterystyka zupełnie zgodna z portretem p. Horyńskiego w *Herburcie*. Wreszcie bohater powieści z nudów oddaje się grze hazardowej, i tak samo Krasiński postępuje w Kissingen 1836 r. »Ja i Danielewicz gramy tu wściekle, by czas a raczej myśli własne zabić; dosyć nam się powodzi, bośmy dotąd wszystkich jeszcze pieniędzy nie przegrali« [3]).

W powieści dokoła państwa Horyńskich występują rozmaite osoby, które prawdopodobnie odpowiadały do pewnego stopnia żywym postaciom z otoczenia państwa Poniatowskich w Kissingen, ale jak trudno byłoby tę kwestyę rozwiązywać, tak też i zbytecznie się nad nią zastanawiać. Nie chodzi też tutaj o rozważanie fabuły

---

[1]) Pisma Zygmunta Krasińskiego, wydanie jubileuszowe. Kraków 1912. T. IV, str. 137—138.

[2]) »Tam ni Ukraina, ni Wielkopolska, ni Litwa, ale Warszawa się wylała, wylały się pomyje, co zostały na dnie w tej beczce«. Listy Z. Kras. do Sołtana, str. 32.

[3]) Tamże, str. 27—28.

powieści, która jest dziwną mieszaniną pomysłów, po części po studencku romantycznych, przeważnie w duchu bajrońskiego *Don Juana* lub *Beppa* kreślonych, a przytem zawiera w sobie ziarno przyszłego symbolicznego poematu (Sen). Nas tu wyłącznie obchodzi pytanie, co można z powieści wywnioskować o wrażeniu, jakie wywarła na Zygmuncie Krasińskim pani Dyonizya, która jak od niej wiemy, »długie z nim godziny spędziła na rozmowie«. Otoż po odczytaniu powieści mamy zupełne prawo powiedzieć, że to wrażenie musiało być bardzo silne. Poeta był uderzony jej pięknością, szlachetnością wyrazu twarzy, prostotą i naturalnością w obejściu, a jej marzycielski nastrój mógł ją tylko podnosić w jego oczach. I kto wie, czy pani Bobrowa nie znalazłaby już wtedy zastępczyni w sercu Krasińskiego, gdyby poeta w jasnem, czystem, niewinnem spojrzeniu pani Dyonizyi nie wyczytał dla siebie wyroku: *lasciate ogni speranza.*

Bardzo charakterystyczny jest ustęp pod koniec powieści, opowiadający rozmowę Herburta z panią Julią Horyńską. »Właśnie Julia mówiła coś o szczęściu, podobno się skarżyła, że nie znaleźć go na świecie, a zgasić nie sposób marzenia o niem. Herburt wzorem wszystkich mężczyzn, odpowiadających na taki zarzut niewieści, odparł, że są chwile szczęścia, chwile, godne niebios, dodał zaś zaraz, jednak znikome, jak błyskawica. Julia oczy roztworzyła i z nieopisanym wyrazem zadziwienia wlepiła w jego oczy i z nieopisanym wyrazem niewinności trzymała je wciąż wlepione.—Myślałam, że znikomość nie zgadza się z tem słowem *szczęście*, że to, co minąć może, zwać należy zabawą, przyjemnością, błyskotką. Sądziłam i wierzyłam, że albo niema nigdy szczęścia, albo kiedy się objawi, to na wieki«.

»Westchnął w głębi Herburt, bo sam tak niegdyś marzył«...[1]).

---

[1]) Pisma Z. Krasińskiego, wyd. jubileuszowe. T. IV, str. 182.

Naturalnie wyraz »szczęście« w tej rozmowie, przynajmniej w ustach Herburta — Krasińskiego, znaczył tyle, co »miłość«, i odpowiedź Julii Horyńskiej była nauką świadomie czy nieświadomie daną poecie, który o ile pochopny był do miłości, o tyle ustalenia jej na wieki lękał się, jak nieszczęścia. Ale chociaż w tej odpowiedzi znalazł wyrok dla siebie, chociaż nie zdołał podbić serca pięknej Ukrainki, wydała mu się ona zjawiskiem tak szlachetnem i zajmującem, że postanowił złożyć jej hołd w powieści, a jakby dla większego jej uczczenia umieścił jej jasną postać na ciemnem tle owej zgrai kąpielowych gości, która ją otaczała, a na której on wywarł swoje satyryczne zapędy. Może dlatego i mąż ciemniej został odmalowany, niż mu to się należało [1].

Pani Dyonizya, przejechawszy z Kissingen do Schwalbach dla dalszej kuracyi, cieszyła się z samotności, której tu będzie mogła używać i wypowiadała myśli, które były jakby wyrazem uczuć Dziewicy z pierwszej części *Dziadów*, choć te myśli jeszcze ani jej, ani całemu światu nie były znane. »Sześć tygodni samotności wcale mnie nie przestrasza. Umiem oddawna pobratać się z czterema ścianami pustego pokoju, a jeżeli sięgnę pamięcią w dawne wspomnienia, kto wie, czy im nie zawdzięczam najlepszych godzin w życiu mojem. Świat marzeń piękniejszy od świata rzeczywistego, w którym żelazne jarzmo wprzęga razem do dźwigania jednego ciężaru, pogania tąż samą koleją, obojętność i zapał, ciemnotę i poświęcenie, piękno i nędzotę; gdzie wszystko zniwelowane, ułożone, gładkie, ni zimne, ni ciepłe; gdzie wszystko, co wielkie, roztrąca się i dostraja do zwykłej miary. O! ma-

---

[1]) Warto zwrócić uwagę i na to, że Krasiński, jak to widać z Listów do Gaszyńskiego (str. 80), przyjechawszy do Kissingen zamierzał bawić tam tylko do 15 lipca, potem zaś przedłużył swój pobyt o dni 10 (str. 86) i wyjechał dopiero nazajutrz po wyjeździe Daryuszostwa Poniatowskich.

rzenie, marzenie! ta zdobycz wspaniała, wyrwana światu jego konwenansom, ten raj młodych, którzy zachowa jeszcze odblask idealnego piękna, dziedzina tych wszys kich, których świat rani i smuci, dziedzina nieszczęśliwych którym boleść pozostawiła iskierkę życia, a szczególnie kobiet, tych biednych niewolnic z duszą uwięzioną, dl których wszystko zbrodnią, nawet proste pragnienie wo i swobodnego czynu«.

Nie jestże to jakby echo tych słów Dziewicy:

Co dzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń
Wracam do samotności, do książek i marzeń,
Jak podróżny, śród dzikiej wyspy zarzucony,
Co rana wzrok i stopę niesie w różne strony,
Ażali gdzie istoty bliźniej nie zobaczy,
I co noc w swą jaskinię powraca w rozpaczy.
Szalony! niech ukocha swe samotne ściany,
I nie targa łańcucha, by nie drażnić rany.

Mąż, jak wiemy, nie podzielał wcale marzycielskieg usposobienia żony, ale starał się jak najdelikatniej je ob chodzić i niczem jej nie drażnić. Spostrzegała to Dyoni zya i wiedząc, jaką radość sprawi matce, której dziełem przecież, przynajmniej w części, było jej małżeństwo, gdy doniesie jej o harmonijnem pożyciu z mężem, pisała do niej: »Daryusz całuje ręce twoje. Gdybyś wiedziała, jak on dla mnie dobry! Mamciu, jam często zła, dziwaczna wesoła lub smutna na przemiany, zatopiona w oceanie marzeń, zrozumiałych chyba dla kobiety. Powtarzam mu je czasem, a on słucha i nie gorszy się zbytecznie mo jemi szaleństwami, jakby je świat nazywał. Smuci się smutkiem moim, cieszy moją radością, według tego, jak drobne światełko połyska lub mgła przyćmiewa mój wi dnokrąg. Nigdy mi nic za złe nie bierze i podwaja z ka żdym dniem starań, aby mi, jak mówi, o tyle osłodzić życie, o ile to jest w jego mocy. Niech go Bóg błogo

sławi i nagradza — nie chciałabym sprawić mu żadnej przykrości« [1]).

Wuja swego, który był zarazem jej ojcem chrzestnym, pani Dyonizya od kilku lat nie widziała; była czternastoletnią dziewczyną, kiedy on odjechał z Ukrainy, aby wziąć udział w powstaniu, ale pamiętała dobrze jego żołnierską postać, którą teraz w jej oczach otaczał urok patryotycznego poświęcenia, pamiętała pieszczoty wujaszka i lgnęła duszą do jego prostej i szczerej natury. Bohdana nie znała wcale z osobistego stosunku, nigdy go nie widziała, ale wiedziała dobrze o serdecznym węźle, jaki go wiązał z jej wujem, znała go ze sławy poetyckiej, musiała czytać jego niektóre poezye drukowane w pismach warszawskich i pragnęła poznać tego wybrańca muz, który jej stepy rodzinne oblewał światłem poezyi.

Zaraz po przybyciu do Niemiec w okolice nadreńskie napisała do wuja, wzywając go, aby przybył odwiedzić krewnych, ale list zastał majora w więzieniu. Odpowiedzi na to wezwanie podjął się za przyjaciela Bohdan i uwiadomił panią Poniatowską o smutnych okolicznościach, w jakich się jej wuj znajduje, przyczem zapewne usprawiedliwiał się [2]), że chociaż »obcy«, występuje w roli pośrednika.

Pani Poniatowska odpowiedziała zaraz Bohdanowi i skorzystała z tej sposobności, aby zaprezentować się przyjacielowi wuja i zawiązać bliższy węzeł z człowiekiem, który w jej wyobraźni otoczony był aureolą poezyi. List był pisany po francusku, jak wiele innych listów z tych lat Dyonizyi (później pisała już tylko po polsku) i żałujemy, że wydawca nie podał ich w oryginale, ale

---

[1]) Listy Dyonizyi Poniatowskiej I 43.

[2]) Ten list, jak i pierwszy list pani Poniatowskiej do wuja, nie dochował się.

poprzestał tylko na tłumaczeniu ich przez p. Duchińską. Marzyłam z prawdziwą radością — pisała do Bohdana — o przybyciu Józefa, który zostawił mnie młodem, swobodnem dzieckiem, z duszą pełną nadziei, z duszą dziś postarzałą, ale ukrzepioną i wzrosłą wśród czteroletnich męczeństw całego narodu... Wiadomość, że Józef jest u św. Pelagii, gdy sądziłam, że go za chwilę ujrzę, bardzo dla mnie bolesna. Wy macie przynajmniej poczucie własnej siły, myśli wasze wolne i potężne uosabiają się w czynach, gdy tymczasem mnie biednej kobiecie dano tylko cierpieć w milczeniu i spokoju. Spokój w szczęściu, to niebo, ale któż odgadnie udręczenie istoty, która czuje, że nieszczęście nadchodzi, że niebawem dosięgnie ją samą, lub tych, co drożsi jej nad życie, a nie śmie wyciągnąć rąk, aby je oddalić, nie śmie nawet wyszeptać słowa skargi«...

»Potrafię znosić z odwagą udział w boleści, jaki mi przypadnie. Jeśli ci, panie, uciążliwym nie będzie stosunek z osobą, która dla ciebie istnieje zaledwie jako idea przyćmiona i daleka, pisuj do mnie, nic nie ukrywaj, a uwierzę ci lepiej, niżeli samemu Józefowi. Kochające jego serce chciałoby może oszczędzić mi cierpień. Mam dosyć hartu w duszy, gotowam na wszystko, zniosę wszystko!

»Dobry Panie, [po] co było rzucać między nami lodowate słowo: »jestem dla pani obcym«. Nie jestżeś bratem moim w Bogu, w cierpieniu, w nadziei, w miłości dla Józefa, bratem moim z Ukrainy, bratem moim ze stepów. Czyliżbyś nie zrozumiał duszy, ożywionej także tchnieniem Bożem, mniej szczęśliwej niż twoja, bo jak ty śpiewać nie umie«.

Bardzo prędko dowiedziała się o uwolnieniu wuja i z radością wzywała go w liście, w którym francuszczyzna mieszała się z polszczyzną, aby przybył do Mannheim, gdzie wówczas z mężem i ciotką przebywała, albo

żeby wskazał inne, dogodniejsze dla niego, miejsce spotkania się. »Proszę przyjechać, drogi wujaszku — powtarzała prośbę — tyle mam do opowiadania. Przyjeżdżajcie raczej, czekam na was obu... Il est juste que celui qui a partagé la peine, partage le bonheur, si toutefois ce qui est plaisir pour moi, n'est pas peine et désagrement pour lui«.

Ale nieprędko miały się spełnić jej pragnienia. Wprawdzie pod koniec listopada 1835 przenieśli się Zalescy do Strasburga, skąd tak łatwo było dostać się do Mannheim, ale na przeszkodzie upragnionym odwiedzinom stanęły różne, nieprzewidywane przez panią Dyonizyę okoliczności. Major, świeżo wypuszczony z więzienia, obawiał się, że albo policya niemiecka roztoczy nad nim zbyt czujny dozór i nie dopuści go do widzenia się z rodziną, albo to widzenie się sprowadzi jakieś złe następstwa dla Poniatowskich przy ich powrocie do Rosyi. Do tego przyłączyła się choroba naprzód Poniatowskiego, potem cioci Jaczewskiej.

Pani Dyonizya czyniła gorliwe zabiegi, aby wyjednać dla wuja rządowe pozwolenie na przyjazd, choć na kilka dni do Heidelberga, a gdy się to jej nie udało, postanowiła zjechać się z nim w Lauterburgu, jako w miejscu, najbezpieczniejszem dla podobnych spotkań. Ale chodziło jej bardzo o to, aby wuj przyjechał z przyjacielem, którego tak poznać chciała, więc wezwanie jej stosowało się do obu. »Mój wujaszku, dowiedziałam się pewnie, że najbezpieczniejsze miejsce dla nas wszystkich jest Lauterburg. 20-go tam będziemy, przybądźcież także oba. Kilka dni razem spędzonych i to wielkie szczęście. Mój wujaszku, tak wielkie, że mi się wierzyć nie chce«.

Pani Dyonizya w listach do wujaszka (pisanych po polsku) była wcale inną, niż w listach francuskich, o literackim zakroju, pisanych do matki. Chciała mu się przypomnieć, jako żywa, swobodna dziewczyna, jaką znał

przed laty, i z takim radosnym i swawolnym impetem rzucała mu się — w dalszym ciągu tego listu — na szyję. »Mój jedynaku, mój drogi wujaszku z wąsikami, ja ciebie za dwa dni obaczę. Strach, jak będę pieścić za sześć lat. Do zobaczenia, jeśli pierwej od was przyjedziemy, wszystko już dla was gotowe będzie. Pokój — cóż kiedy ja tam nie mam gościnnej pościeli, tylko brzydka niemiecka. Fe! — Nie śmiej się wujaszku, bo ja seryo mówię. Adieu, w sobotę się zjedziemy, w niedzielę w kościele będziemy razem«[1]).

Z listu tego widać, że pani Dyonizya była zupełnie pewną przyjazdu nietylko wuja, ale i Bohdana, i to ją wprawiało w nadzwyczajną radość. Ale spotkał ją częściowy zawód nadziei: wuj przyjechał — poeta, nieśmiały, stroniący od obcych ludzi, zajęty swoją *Złotą Dumą*, nie dał się wywabić ze Strasburga, gdzie mu tak było jeszcze wtedy (w lutym 1836) cicho i spokojnie. Pani Dyonizya musiała więcej niż pół roku czekać na nową sposobność przyciągnięcia poety do siebie.

Stało się to dopiero we wrześniu 1836 r., niemal w rok po przybyciu Poniatowskich do Niemiec nadreńskich, a przed samym ich powrotem do kraju. Za miejsce tego drugiego spotkania się z wujem Zaleskim, Poniatowscy obrali ciche, idyliczne miasteczko Kehl, leżące tuż pod Strasburgiem, na przeciwnym brzegu Renu. Józef, który już wtedy razem z poetą mieszkał w Molsheim, pospieszył do Kehl jeszcze przed przybyciem Poniatowskich i upewniwszy się, że ci lada chwila mają tu przybyć, przesłał zaraz Bohdanowi krótkie i naglące wezwanie, aby także zaraz przyjeżdżał poznać jego krewnych i podzielić z nim radość. »Zaręczam ci, że nie pożałujesz tych kilku chwil, które z nami spędzisz. Ona cię będzie tak kochać, jak mnie kocha, bo to dobre dziecko,

---

[1]) Listy D. Poniatowskiej I. 33.

a on, chociaż go nie znam [1]), zdaje mi się być dobry człowiek. Wszakże to dzieci Ukrainy, którą ty tak pieścisz w swojem sercu, może to widzenie się odżywi w tobie jakie miłe wspomnienia. Przyjeżdżaj, mój drogi Bohdanie, a potem razem wrócimy do Molsheim na smutne dumania« [2]).

Nazajutrz (16 września) zjawili się w Kehl Poniatowscy i po najczulszych przywitaniach z wujem, pani Dyonizya zaraz wymogła na nim, że wysłał drugie, jeszcze bardziej naglące wezwanie do Bohdana, aby przyjeżdżał. Nie tylko wymogła, ale swawolnica stała za wujem, gdy pisał, czytała, co pisał, i czasem wyrywała mu pióro z ręki, aby wtrącić do listu jakąś własną uwagę.

Oto jest ten ciekawy dokument:

Kehl 16 września 1836.

»W ten moment ściskam moją dobrą Dyzię, której pierwsze słowo było: »a Bohdan?«. Powiedziałem jej: przyjedzie. Ucieszyła się, nie zróbże mnie bałamutem. Przyjedź, przyjedź, mój drogi Bohdanie. Ona i ciebie tak popieści, jak mnie. »*Nie prawda*« [3]). Bałamutka, nie wierz, wszak wiesz, że kobieta. Nie masz, tylko ich dwoje, oboje poczciwi i serdecznie cię poznać pragną, to jest serdecznie, nie przez ciekawość, »*bo ona wie, że to pierwszy gradus do piekła, a w piekle bardzo piecze*« [3]). Daryusz

---

[1]) Z tych słów listu, możnaby wnosić, że w Lauterburgu Józef nie widział się z Poniatowskim, tylko z jego żoną, Poniatowskiego zaś poznał dopiero w Kehl. Tymczasem w jednej z pamiętnikowych własnoręcznych notatek poety czytamy pod r. 1836 co następuje: »Józef w Lauterburgu z Nisią, Marają i Dariuszem, ja sam z pieśnią w Strasburgu«. Albo więc Bohdan pomylił się w notatce, umieszczając Daryusza obok Dyonizyi (t. j. Nisi) w Lauterburgu, albo też wyrażenie Józefa »chociaż go nie znam«, znaczyło, że podczas krótkiego pobytu w Lauterburgu nie mógł go dobrze poznać.

[2]) Tamże, I. 45—46.

[3]) Ręką Dyonizyi Poniatowskiej.

mówi, że nie trzeba i piekła, tak mu dopieka. Otóż przyjedź, proszę cię, mój drogi Bohdanie, wrócimy razem za parę dni, bo oni parę dni obiecali zabawić, a to córka Ukrainy, którą ty tak kochasz, tak cudownie o niej śpiewasz. Czekamy cię wszyscy z upragnieniem i niecierpliwością, i mnie już tęskno, żem ciebie dzień cały nie widział. Przybywaj, mój drogi Bohdanie«.

Twój Józef.

Ale stroniącego od ludzi Bohdana, zajętego układadaniem *Złotej Dumy* i cyzelowaniem swoich *Pieśni serbskich*, niełatwo było wywabić z zakątka, w którym mu było tak zacisznie. Wprawdzie ci, co go chcieli poznać, byli Ukraińcy, przybywali z Ukrainy, ale byli to ludzie obcy, bogaci, chcieli — tak sądził — poznać go tylko przez ciekawość, obejrzeć go dokoła, jako rzadki egzemplarz, aby wewnętrzną postać poety porównać z jego poezyą i mieć potem temat do rozmów salonowych. Jego wspomnień nie mogli podzielać, i on byłby świadkiem tylko, krępującym może, ich rozmowy o sprawach rodzinnych. O pani Dyonizyi z jej kilku listów, po części polskich, po części francuskich, po części tchnących swawolnym humorem, po części górnolotnych, nie mógł sobie wyrobić jasnego wyobrażenia, prócz tego, że go bardzo poznać chciała, ale to go jeszcze więcej onieśmielało. Nieśmiałość wzięła górę nad chęcią sprawienia przyjemności przyjacielowi, więc na jego wezwanie (prawdopodobnie pierwsze z 15 września) odpowiedział, że nie przyjedzie, że boi się ludzi, że kocha ich, »ale na pustyni«. Był to wielki zawód dla przyjaciela, jeszcze większy dla jego siostrzenicy, ale przyjaciel, znając naturę Bohdana, pogodził się z tym zawodem. Widać to z listu jego w odpowiedzi na odmowę poety, gdzie opowiedziawszy szczegółowo pierwsze wrażenia spotkania się, tak pisał:

»Tak to tam było, kochany Bohdanie! i dobrze, to prawda, bo odmłodniało serce i igra w domowych kątach między rodziną. Na chwilę wszystkie smutki jakby pomarły. Chciałbym, żeby tak było długo, długo, ale żebyś i ty był z nami, boś mnie tak przyzwyczaił czytać w twojem sercu, tak mnie rozpieściłeś twoją przyjaźnią, że mi bez ciebie smutno. Mówisz, żeś pierzchliwy, że kochasz ludzi, ale na pustyni. Wiem ja, że ty uwielbiasz twoją czarownicę Hankę [1]) i lubisz z nią być samotny, ależ, mój Bohdanie, i młoda kozaczka, która cię pragnie poznać, nie z ciekawości, jak wnosisz, ma swoje ukraińskie, stepowe figielki, nastawi ona na ciebie tak zręcznie sidła, że mimo twojej dzikości, sam w nie wpadniesz. Ot, powiem ci, Bohdanie, że kiedy na nią patrzę, zawsze mi się twoja Hanka przypomina, widzę w jednej rzeczy podobieństwo między niemi. U mojej kozaczki tak kroplami smoła z oczu pada, jak u twojej Hanki... Daryusza poznałem, poczciwy z kościami, będę ci wiele opowiadał za powrotem; za kilka dni złączę się z tobą...« [2]).

Jeżeli wuj godził się już z myślą, że się nie uda ściągnąć Bohdana do Kehl, to siostrzenica nie dała za wygrane i przypuściła jeszcze ostatni szturm do poety w przypisku do listu wuja. »Potrzeba odwagi, nie prawdaż? aby dodać kilka słów do tylu pochlebstw dobrego i kochanego wujaszka, aby przyznać się nawet, żem je czytała. Ale mniejsza o to. Sprawiłeś mi pan przykrość, pomijam więc owe drobnostki. Ty poeta, a nie umiesz przeczuwać. Sądziłam, że w twem życiu tułaczem i samotnem jedno słowo współczucia, jedno wspomnienie

---

[2]) Bohaterkę *Złotej Dumy*.

[3]) Listy Dyon. Poniatowskiej I. 45. List ten Józefa Zaleskiego wraz z dopiskiem Dyonizyi, podany jest nie we właściwym porządku chronologicznym. Nie ma tu wyraźnej daty dnia ani miejsca, ale z jego treści najwyraźniej wynika, że pisany już był po listach z 15 i 16 września, które w wydaniu listów poprzedza.

kraju rodzinnego, przyniesie ci promyk radości. A przecież odrzucasz tę myśl braterską i niewinną, zraniłeś duszę moją w jej dumie«.

»Ciekawość!« Jesteśmy ciekawi tego tylko, czego nie pojmujemy: a dusza moja pojmuje duszę twoją; jakkolwiek nie dorównywa jej polotem myśli, jest wszakże jej siostrą, bo czuje tak, jak ona, lepiej niż ona — bo ja cię znam, a ty mnie nie zrozumiałeś — i lepiej niż ty umiem kochać, bo sprawiłeś mi przykrość, a ja ci to przebaczam, bo gdybym mogła czemkolwiek przynieść ulgę twoim cierpieniom, zapomniałabym gorzkiego słowa i aby coś dobrego uczynić, nie ukrywałabym się w głębi pustyni, z obawy zetknięcia się z twym bólem. Powtarzam raz jeszcze: przebaczam ci, nie mam najmniejszego żalu, możesz spać spokojnie. Kobieta, którą zraniłeś, ma dla ciebie tylko słowa błogosławieństwa«.

Szturm był zwycięski. Bohdan poddał się, przyjechał i odrazu zakochał się na zabój. Stanęła przed nim dwudziestoletnia, piękna, czarnobrewa Ukrainka, z niewyczerpanym ani trochę skarbem uczuć młodości, owiana zapachem stepów ukraińskich, z duszą wrażliwą, czystą i nastrojoną poetycznie, w której żywość, niemal swawola dziecinna kojarzyła się z nastrojem marzycielskim — skojarzenie tak pokrewne jego duszy — stanęło przed nim jakby wcielenie jego tęsknot i marzeń miłosnych, rozsnuwanych zwykle na tle wspomnień ukraińskich, stanęła istota wskutek długiego już a tak niezwyczajnego zbratania się poety z Józefem, jakby przygotowana dlań ręką losu, jakby przeznaczona dla niego, ale istota, z której tenże los zrobił igraszkę, przykuwając ją, jeszcze bezwolną, do człowieka, dla którego mogła mieć szacunek, wdzięczność, przywiązanie, ale który nie był przez nią wybrany, nie odpowiadał jej ideałom. W ten sposób wytwarzał się trójkąt dramatyczny, podobnie jak w mło-

dzieńczem życiu Mickiewicza, ale tym razem do trójkąta przytykały dwie postaci, które odgrywały rolę, jakby duchów opiekuńczych i łagodziły konflikt: wuja i matki pani Dyonizyi.

Odwiedziny Bohdana w Kehl musiały trwać bardzo krótko, kilka dni zaledwie, niemniej przeto poruszyły całą jego duszę i przygotowały nowy okres w jego poezyi. Szczegółów tych odwiedzin nie znamy wcale, poeta szczelnie zamknął je w duszy, jako najdroższy skarb pamiątek, tylko tu i ówdzie w listach i w poezyi zdradziły się one niejasnemi wskazówkami. Z tych wskazówek możemy wnioskować, że poeta z panią Dyonizyą odbywali przechadzki wspólne nad Renem, że zwiedzali razem katedrę strasburską. W *Duchu od stepu*, bezpośrednio po tych odwiedzinach napisanym, w części poświęconej wspomnieniom osobistych stosunków, jest mowa o tem, jak wiara, do której poeta wrócił, zesłała mu w nagrodę dwie czarodziejki: pieśń i czystość, a te przygotowały w sercu jego miejsce dla trzeciej: miłości. Poeta

słucha — słucha —
W sercu tętno; wieść się budzi —
Gość — gość nowy nie od ludzi!
Przystrój dom! Wyszukuj kwiecia!
Czarownica trzecia — trzecia —
Siostra miłość z niebios zbiega.

I następuje początek urwanej strofy:

Ren gdzieś szumi . . .

a potem dwadzieścia dwa wiersze wykropkowane, które niewątpliwie były napisane, a potem z poematu usunięte, usunięte dla tego, że musiały zawierać zbyt widoczne aluzye do świeżej znajomości z panią Poniatowską, do szczegółów tego stosunku i głębokich uczuć, jakie on w poecie wywołał. Po opuszczonych wierszach, znajdujemy dwuwiersz, który był zakończeniem ustępu, poświęconego tej miłości:

Żegna lubą swą w boleści...
Więc i ona nie popieści?

I dalsze cztery wiersze, stanowiące początek nowego ustępu, a przez poetę opuszczone i oznaczone kropkami, musiały się odnosić do tego stosunku. Takie zaznaczanie opuszczonych ustępów wprowadził w modę Bajron, korzystał z tej mody Puszkin w swoim *Onieginie*, przydała się ona Zaleskiemu, aby zaznaczyć i ukryć zarazem w swoim poemacie, tę miłość, która go wtedy ogarnęła, a której nie chciał światu obwieszczać, a ukrył tak dobrze, że ani jeden z biografów poety aż do dzisiaj nie domyślał się, co się pod tą zasłoną ukrywało, choć, zaprawdę, po ogłoszeniu *Listów* pani Dyonizyi Poniatowskiej, nie było to rzeczą trudną.

Tajemnicze hasło: »Ren gdzieś szumi«, wskazówka cudownych chwil oczarowania miłosnego, powtarza się w innym poemacie, o trzy lata późniejszym od *Ducha od stepu*, w *Kalinowym moście* przy końcu trzeciej części. Co się tyczy wieży strasburskiej, jej roli w ówczesnym miłosnym stosunku Bohdana, to wiemy o tem tylko tyle, ile prześwieca z niejasnej wzmianki w liście Bohdana do Seweryna Goszczyńskiego z końca 1838, kiedy ten przebywał w Molsheim. Kazał mu Bohdan pozdrowić swoją gospodynię w tem miasteczku i podawał: »Jak ja kocham twoje Molsheim. Wielem, wielem tam pisał, a co przebolałem w sercu, to Bogu tylko wiadomo. Pozdrów jeszcze wieżę strasburską, ona zna moje różne tajemnice, o których świat nigdy się nie dowie« [1]. Najlepiej jednak zapewne stan zachwytu miłosnego, jakiego doznawał nasz poeta

[1]) We wspomnianej już notatce pamiątkowej poeta w ten sposób streścił swoje przejścia duchowe z tego czasu: »Przyjazd Nisi do Kehl. Trzy dni. Wieża strasburska. Pokusa i ofiara. Tryumf i boleść. Nowy żywot i pożegnanie. Długa walka i namiętność aż do szaleństwa. Miłosierdzie Boże. Wypogodzenie«.

w tych krótkich dniach pobytu ze swoją ukochaną nad Renem, wyraził się w wierszu p. t. *Oczarowany*, którego dokładną data nie jest wiadoma, ale o którym wiemy że pochodzi z najbliższych lat po owych chwilach.

Trzy dni jeno żyłem och! przy niej,
Ale żyłem trzy dni te w niebie!
I przedumam wiek na pustyni,
A nie przyjdę nigdy do siebie.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany.

A pani Dyonizya? Jakież były jej uczucia dla Bohdana, kiedy go nareszcie, po długich staraniach o to, poznała? Bezpośrednich, współczesnych wynurzeń jej w tym względzie nie mamy wcale, tylko z późniejszych jej listów pada trochę światła i na pierwsze chwile ich stosunku, światła, które pozwala nam domyślać się, że dwudziestoletnia Ukrainka odrazu poczuła władzę swoją nad starszym od siebie o lat 14 poetą, poczuła zupełne oddanie się jego serca, i to napełniło ją dumą i radością, że poeta, którego, nie znając jeszcze, wielbiła, który był przedewszystkiem piewcą jej stron rodzinnych — w niej ujrzał wcielenie swoich ideałów, ją gotów był postawić na ołtarzu swej poezyi. Ale to samo spostrzeżenie napełniało ją zapewne i przestrachem, wypływającym z niepewności, czy to stanowcze, a tak pożądane zwycięstwo nad sercem poety nie pociągnie jakichś ofiar za sobą, czy znalazłszy się oboje na takiej pochyłości, potrafią utrzymać się na niej, czy nie dadzą się unieść chwilowemu uniesieniu z zapomnieniem zasad, które oboje, przy swoim nastroju religijnym, uważali za święte. Zdaje mi się, że strona żeńska w tym stosunku miała więcej siły, więcej panowania nad sobą od męskiej, że inny był charakter miłości po jednej, niż po drugiej stronie.

Uczucie po stronie pani Poniatowskiej nie było tak

bezwzględne, tak pochłaniające całą istność, jak u Bohdana, było w niem coś siostrzanego, powiedziałbym nawet macierzyńskiego, co wypływało z różnicy temperamentów. Dla niej już była rozkoszą, zdolną zastąpić inne, ta myśl, że jest wybraną przez poetę, że może być kierowniczką jego natchnień, wspólniczką jego twórczości. Dramatyczna sytuacya, w jakiej się znalazła, podnosiła ją w jej własnych oczach, o ile z ram obowiązku się nie wychylała, dodawała jej uroku poetycznego, czuła się ona jeszcze więcej pokrewną bohaterce *Dziadów*, których poezyą nasiąkła była, jak to widać z jej listów do matki, jeszcze przed poznaniem Bohdana pisanych. Dla poety, przy jego zapalnej naturze, taki czysty idealizm nie wystarczał, więc srożej dawało mu się uczuwać *veto*, które los kładł między nimi, więcej cierpiał, niż ona, i ona to zapewne rozumiała i na pociechę dla nieszczęśliwego chciała mu zostawić przekonanie, że i on jest kochany i chociaż nigdy do siebie nie mieli należeć ciałem, duszą wolno im było bratać się i żyć społem, bo według ewanielii romantycznej:

Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki,
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!

Czy mąż przeczuwał już w pierwszych chwilach znajomości z Bohdanem, co się święci w duszy pani Dyonizyi, o tem nie wiemy. Ale że w kilka lat potem przenikał tajemnicę i głęboko cierpiał z tego powodu, na to są wyraźne wskazówki, o których we właściwem miejscu będzie mowa. Co się tyczy wuja, ten znalazł się w najwyższym kłopocie, gdy po odjeździe Poniatowskich, powrócił z przyjacielem do Molsheim i widział go pogrążonego w najczarniejszym smutku, a niczem nie mógł tej melancholii rozproszyć. Czy domyślał się właściwej przyczyny? Myślę, że Bohdan nie mógł jej ukryć przed przyjacielem, z którym żył w takiej ciągłej serdecznej łączności.

Ale przed światem, nawet przed przyjaciółmi oddalonymi, trzeba ją było zasłaniać. W tym czasie Domejko, kończący nauki w szkole górniczej w Paryżu, przypominał się listownie Zaleskim, i major, odpowiadając za siebie i za Bohdana, tak pisał do niego: »I my, mój kochany Ignacy, jesteśmy samotniki między obcymi ludźmi. Śnimy, jak ty, o rodzinie i znajomych, ale nigdy tak gwałtownie nie budzą się pamiątki domowe, jak przy wypadkowem spotkaniu się z osobą [z] familii. Teraz niedawno widziałem dziecię, które, mogę powiedzieć, przychodzące na świat trzymałem na ręku i do chrztum przyprowadził, dziecię to urosło w kobietę, w mężatkę, kiedym ją przyciskał do serca, przypomniały się tłumnie wszystkie zdarzenia, obudziła się cała szczęśliwość życia domowego, dusza była na pół w niebie, na pół na ziemi. Przyznam ci się, że chciałbym był skończyć w tym stanie. Bohdan mój chory, choroba jego pochodzi z egzaltacyi serca, nie uwierzysz, jak mnie to trwoży i jak proszę Boga, żeby mu dał uspokojenie, bo inaczej lękam się o niego. On nie przypisuje się do ciebie, ale mnie prosił, żebym ciebie zapewnił o jego najszczerszych ku tobie uczuciach« [1]). A w kilkanaście dni potem, innemu przyjacielowi, jeszcze bliższemu sercu Bohdana, Karolowi Wodzińskiemu, donosił: »Mój Bohdan od niejakiego czasu cierpiący. Niedawno dotknęliśmy się rodzinnych naszych stosunków. Kilka dni przeżyliśmy rozkosznie, jam płakał, jak bóbr, i to mi ulżyło, lecz on z sercem kochającem zabrnął w pamiątki całego swojego życia, w sny szczęścia domowego, w przeczucia i przewidywania młodości, które się ziściły i nie ziściły, a dzisiaj zamiast uspokojenia, topi się w smutku i w myśli, jak na falach (jego wyrażenie). Lękam się, żeby to nie miało wpływu na zdrowie jego, na humor,

---

[1]) Korrespondencya J. B. Z., I. 92—93. List z d. 27 września 1836 r.

na powinności, których po nim kraj oczekuje. Owoż i sam jestem do najwyższego stopnia zgryziony jego cierpieniem. Ach! gdybyś tu był, pracowalibyśmy obydwa nad uspokojeniem duszy jego!«

Ale do tego listu przypisał się już sam Bohdan, co wskazywało, że czas przyniósł był już pewną ulgę jego cierpiącemu sercu; treść zaś przypisku wskazywała, w jakim kierunku smutek jego torował sobie drogę do ujścia. »Pozdrawiam cię i całuję po tysiąc razy, kochany mój Karolu! Sam nie piszę, bom chory, smutny, znękany. Dlaczego? Pieczęć na ustach. Dowiesz się kiedyś z pieśni moich...« [1]). Więc myślał już o pieśniach, o tym domowym środku poetów na cierpienia, szczególnie miłosne.

Złota Duma, pisana w zupełnie innym nastroju, niż ten, w jakim się obecnie, pod wpływem miłości ku Dyonizyi, znajdował, musiała mu się teraz wydać zbyt suchą i martwą, zbyt mało odpowiadającą jego świeżym wrażeniom i uczuciom, zbyt akademicznie utworzoną. Nie wrócił więc do niej, odkładając jej dokończenie na czasy późniejsze, które nigdy nadejść nie miały, bo poeta im bardziej oddalał się od tego poematu, tem trzeźwiej oceniał jego wartość poetycką. Tymczasem w najbliższych tygodniach po owej chorobie smutku, w której go pogrążyło rozstanie się z ukochaną, w listopadzie 1836 r. [2]) urodził się jeden z wybitniejszych utworów Zaleskiego: *Duch od stepu.*

Zanim przejdziemy do rozważania genezy tego utworu i podania ogólnej jego charakterystyki, zobaczmy, co jest jego treścią. W pierwszych siedmiu ustępach poeta mówi o sobie, we właściwy sobie piosenkowy sposób tj. w skró-

---

[1]) Tamże I. 94—95.

[2]) Data wyraźnie zaznaczona w pierwszem wydaniu *Ducha od stepu*. Poezija Bohdana Zaleskiego. Paryż 1841.

conych rzutach myśli rozwija historyę swego ducha aż do chwil ostatnich. A ta historya ma po części charakter mistyczny, allegoryczny, poczyna się nie od urodzin poety, ale od przedcielesnego bytu jego i pod tym względem jest jakby nieśmiałą i niejasną zapowiedzią tych dziwów fantazyi, jakie w dziesięć lat potem Słowacki będzie rozwijał w *Królu-Duchu*. Jeszcze w tym przedcielesnym bycie poeta wybrany był przez swoją matkę — Ukrainę na pieśniarza; w tym celu ta matka daje go na ręce Rusałki, aby go poiła »mlekiem dum i mleczem kwiecia« i wykarmiła ducha tego odpowiednio do jego przyszłych zadań w cielesnym żywocie. Ta Rusałka jest to zapewne nic innego tylko uosobienie ukraińskiej pieśni ludowej i piękności ukraińskiej przyrody. Gdy nadeszła chwila przeznaczona, »gdy mrugnęła z Niebios gwiazda«, matka — Ukraina odbiera z rąk Rusałki niewcielone jeszcze dziecię swoje, i z rozkazu Boskiego, »wedle woli ziem rodzica«, rzuca je w świat, »na igrzysko śle zamieci«, a temu rzuceniu towarzyszą wiele obiecujące życzenia i wróżby matki. Więc ma on »w stepach świat swój prześnić«, gdzie była »światoburców droga«, aby wzmóc się na siłach, i gdy przyjdzie pora, potrafi synów Ukrainy zagrzewać do pieśni i do czynów. W końcu wróży mu matka — w niejasnych, urywanych wyrazach — znaczenie i sławę nowego Bojana:

Krew Bojana — obok przodka,
Nowa tu mogiła stanie...

Jeżeli sokie przypomnimy podaną w poprzednim rozdziale analizę *Złotej Dumy*, a mianowicie przedśmiertne przeczucia matki Bukata, to analogia okaże się widoczną i jeszcze lepiej uzasadni przypuszczenie, że te przeczucia były nie echem tradycyi rodzinnej, ale wyrazem pragnień poety, które tlały w duszy jego od dawna, od czasu do czasu rozbłyskiwały jaśniejszym płomieniem, zasilone

przypływem ufności w swoje siły, a potem przygasały, ale nie wygasały nigdy; źródło zaś swoje miały dwojakie: jedno literackie, w tych wyobrażeniach o znaczeniu poetów, jakie przynosiła z sobą poezya romantyczna, przedewszystkiem bajroniczna, i w tem wrażeniu, jakie *Słowo o pułku Igora*, szczero-złoty pomnik starej poezyi stepowej, wywarło na duszy Bohdana; drugie — czysto osobiste, wspomnienia owych chwil błogich z czasów dzieciństwa, urokiem cudowności otoczonych, o których już nieraz w ciągu tej monografii była mowa, kiedy to poeta, jako dziecię, dziwnem zrządzeniem losu zostawione samo sobie, przeżywał na łonie przyrody wrażenia niezapomniane, nadzwyczajne, nie dające się z niczem porównać w jego życiu późniejszem. Owe to wspomnienia poprowadziły go do myśli, że takim, jak ów stan, który on przeżywał w gościnie u Zuja, musiał być jego żywot przedcielesny, przedstworzenny, i tę myśl poetyczną, głęboko odczutą, wprowadził jako jeden z przewodnich motywów do swojej nowej pieśni, odziawszy go w niezmiernie wdzięczną, harmonijną formę:

Błogo temu — kto pamięta
Luby, dziwny gdzieś przed laty
Żywot czysty i skrzydlaty,
Pierworodny swój początek!
Kto w cielesnych więzów męce,
W niebo codzień wznosząc ręce,
Do tych dusznych drży pamiątek!...

Następuje obraz pełen wspaniałości religijnej, zesłania ducha poety na ziemię. Kopuła niebios, »namiot Boga złotolity«, zapełnia się wszystkiemi potęgami niebieskiemi, rozbrzmiewają śpiewy w tej świątyni, wielbiące Pana, anioł-stróż obejmuje uroczyście opiekę nad nowym duchem, który ma być zesłany na ziemię, a głos Cherubów obwieszcza mu Pańskie: stań się!

Czas wypełnia się twej próby,
Zleć iskierko do otchłani!

Po tych obrazach nadziemskiego istnienia obraz ziemskich kolei poety w ich najgłówniejszych momentach: śmierć matki, sieroce tułanie się po kurhanach, przyjaźń szkolna, jazda do Warszawy, podziemna robota patryotyczna, wędrówka emigracyjna, religijny zwrot w duszy, wreszcie... »Ren gdzieś szumi«...

Siostra miłość z niebios zbiega.

Ale i na tym obrazie miłości, zupełnie zresztą zasłoniętym, tak iż ramy tylko świadczą o jego istnieniu, nie kończy poeta swoich dziejów ziemskich; przedłuża je jeszcze, malując stan swój bezpośrednio poprzedzający utworzenie *Ducha od stepu:*

Lik przyjaciół niegdyś mnogi,
Spółwędrowcy jednej drogi,
Już pobożnych bluźnią cnocie;
Ukochane — patrzaj — wrogi!
. . . .
On się modli wciąż za nimi...
Odtąd świata już nie wini:
Rozmiłował się w pustyni.
Utkwił w ziemię kij pielgrzymi,
Aż rozkwitnie Pańskim cudem!
Na kolanach za swym ludem
Prorok oto w lutnię trąca...

Ten ustęp wymaga bliższego objaśnienia. Kto to byli ci ukochani, którzy obecnie stali się wrogami poety? Alluzya odnosi się przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie, do J. B. Ostrowskiego, który w istocie w czasach poprzedzających powstanie i podczas powstania należał do najbliższych przyjaciół Bohdana, a zarazem do jego przewodników politycznych, a z którym na wychodźtwie stosunki przyjacielskie tem więcej się rozluźniały, im więcej Bohdan usuwał się od wrzawy emigracyjnej i przejmował się duchem religijnym. Jego blizki stosunek z ludźmi,

którzy się grupowali koło Jańskiego i wiodąc na półzakonne życie w domku przez niego najętym przy ulicy Notre Dame des Champs (Nr. 11) stanowili pierwszy zawiązek przyszłego Zakonu Zmartwychwstania Pańskiego, nie był nieznany jego byłym towarzyszom z demokracyi emigracyjnej w rodzaju Ostrowskiego i Czyńskiego, a ponieważ ci widzieli w katolicyzmie tylko wał obronny arystokracyi i nic więcej, więc byli zgorszeni rzekomem odstępstwem Zaleskiego od zasad demokratycznych. Jeszcze w październiku 1835 *Północ*, wydawana przez Czyńskiego, wyszydzając nową »kongregacyę katolicko-papieską«, oznajmiła, że »Bogdan Zaleski, Kajsiewicz, Jański mieli wziąć na siebie ożywienie papizmu, z którym wieczny rozbrat uczynili najgorliwsi tego wieku katolicy: Lamennais i O'Connel«... i że »arystokracya, widząc niedołężność szlachty polskiej, przekonana, że płytkie głowy jaśnie wielmożnych posłów nie zdołają zatrzymać postępu wyobrażeń, postanowiła za pomocą bigoteryi i jezuityzmu to odzyskać, czego nie potrafi zachować konającem szlachectwem« [1]).

W niespełna rok potem J. B. Ostrowski, walczący w swojej *Nowej Polsce* na wszystkie fronty, ale przedewszystkiem z arystokracyą emigracyjną, zwrócił uwagę i na tak nazwaną przez niego »jezuicką kongregacyę przy ulicy Notre Dame des Champs«; doniósłszy, że liczba jej członków pomnaża się i że jednym z nowych jest »Hube, człowiek mizernych usposobień, zrobiony profesorem przez wpływ moskiewski«, który »podczas rewolucyi podpierał stronnictwo arystokratyczne«, a potem jako współwydawca *Zjednoczenia* został »dziennikarzem arystokracyi« i chociaż teraz »odstąpił swoich współwydawców zewnętrznie — wewnętrznie zatrzymał ich prze-

---

[1]) Północ 1835 Nr. 16 z d. 12 paźdz. 1835. Porówn. X. Smolikowskiego Historya Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego I 94.

konanie polityczne, które Moskwa wynagradza godnościami«, taką dawał ogólną charakterystykę związku Jańskiego. »Kongregacya zabiera do siebie jawnogrzeszniki, a rzeczywiście przyciąga żywioły odpowiednie jej dążeniom. Nieprzyjaciółka rewolucyi, monarchiczna, pod wpływem niemieckiej przewrotności (była to insynuacya wpływu Metternicha!) powołana uzdrawiać *obłąkanie* polskiej Emigracyi, podpieraczka nazwisk i zasad arystokracyi, przez socyalne nauki zbliżona ku porządkowi austryackiemu i moskiewskiemu, kongregacya dlaczegoż miałaby odmawiać spólności duchowej spółwydawcy Zjednoczenia«. I następował zwrot do Bohdana. »Niebo błogosławi początkom. Ma być założona kongregacya strasburska. Jej kierunek obejmie Bogdan Zalewski (*sic*), poseł — niepojęte i przykre odstąpienie wyobrażeń odnowienia. Austrya ma nadesłać Jezuitów [z] Tarnopola. Nieroztropnym, a mimo wiedzy przestępnym popieraczom tej roboty posyłamy upomnienie. Jakie wrażenie uczyni na mieszkańcach wszystkiej Polski papizm i jezuityzm? odbudowanie katolickiej nauki i hierarchii? Upadła restauracya polityczna, upadnie i religijna« [1]...

Jak Bohdan przyjmował obelgi, plotki i insynuacye dawnego przyjaciela? Zapewne mniej obojętnie niż ci, na których przedewszystkiem były skierowane. Kajsiewicz w parę tygodni potem, jak razem z Semenenką przywdział strój duchowny, pisał z Paryża do Bohdana (28 sierpnia 1836): »Czytałeś zapewne artykuły Ostrowskiego; i ciebie zadrasnął. Może z daleka pociski jego boleśniejsze, ale nas tu bynajmniej nie martwią. Wczoraj przed Rettlem, pieniąc się ze złości, zapowiedział, że ma jeszcze dwadzieścia gotowych, aż nas zgniecie, jak arystokracyę. Piotrowi (Semenence) ma dowodzić, że szpieg i złodziej. Nie wiem, co mnie przypadnie. Chwała Bogu! bo wiele

[1]) Nowa Polska 1833—37, str. 456.

(t. j. ile) prawdy powie, będzie to rodzajem pokuty, a co dołoży, to nam na zasługę, jeżeli cierpliwie i z pokorą znosząc, Panu Bogu w ofierze złożymy. Ale nie doczeka się tej przyjemności, aby mu odpisywać, czego jednak dziwnie pragnie«. Podobnie pisał nieco później do Zaleskich inny towarzysz ze związku Jańskiego, Edward Duński: »Zaskarżają ciągle nas i was publicznie w Nowej Polsce: »jesteśmy narzędziami machinacyi Metternicha, Modeny, Moskwy, nauczamy o monarchii, podpieramy arystokracyą« i t. d. Modlimy się za oskarżycieli, nieprzyjaciół naszych i krzyża Chrystusowego; a razem dziękujemy Bogu, że nam dozwala trochę pocierpieć przed opinią publiczną, o którą niegdyś tak byliśmy troskliwi«.

Bohdan był całą duszą z towarzyszami związku Jańskiego. Wiemy, że jeszcze w Paryżu pod wpływem Mickiewicza zaczął nastrajać się religijnie i na dawnych przyjaciół z czasów powstania, swoich przewodników politycznych, spoglądać krytycznie, ale wtedy jeszcze polityka emigracyjna, do której z roli posła sejmowego był wciągany, nie pozwalała mu skupić się wewnętrznie i ciągle ten nastrój psuła i rozrywała. Od czasu przeniesienia się do Alzacyi było inaczej. Tu nastrój religijny rósł w nim, niczem nie rozpraszany i stawał się regulatorem jego życia, a dusza jego, zawsze żądna harmonii, tem chętniej znajdowała w katolicyzmie bezpieczną przystań dla siebie, im dłużej się kołatała na drogach indyferentyzmu, im dłużej przedtem zostawała w owej sferze »potępieńczych swarów« emigracyjnych, tak ogniście napiętnowanej przez Mickiewicza. Kiedy się wszyscy żarli i klęli jedni drugich, tylko ci ludzie, którzy pod wpływem Mickiewicza przejęli się duchem religijnym i oparli na katolicyzmie, tylko ci ludzie wśród puszczy emigracyjnej stanowili jakby oazę braterskiej miłości i spokoju. Bohdan czuł tę ich wyższość, a na tle tego poczucia tem surowiej

spoglądał na brak religijności, jaki cechował jego i jego otoczenie w czasach rewolucyi.

»Poświęcenia się! lub zdrady«!
Woła całe pokolenie...
I niebawem grzmią wulkany,
Rozpościera się pożoga;
Świat poczyna coś bez Boga,
Na swój rozum. — O! pijany
Młodzian; — w zgiełku, zawierusze,
Za innymi się szamoce;
Mąci — mąci do dna duszę,
I owoce — och! owoce
Cierpkie, gorzkie, wskróś przepsute,
Ssie, jak balsam, za pokutę!...
. . . .
Widzi w bojach synów wiary,
Jak się pluszczą w krwi ofiary,
A w głos szydzą, ofiarniki!...

Jednem słowem zarzucał Zaleski rewolucyonistom z powstania listopadowego, że patryotyzmu swego nie oparli na wierze religijnej, i gotowi do największych poświęceń narodowych, pomiatali religią, pozbawiając się w ten sposób najsilniejszego oparcia. Oskarżał przytem sam siebie, że i on nie był lepszym od innych w tym względzie, że dał się opanować powszechnemu usposobieniu towarzyszy, »za innymi się szamotał«, a przecież— tego nie dodawał, ale to mógł dodać — dla niego ten rozbrat z wiarą był zboczeniem z drogi, którą zakreślał sobie w *Śpiewie poety*, gdzie chrześcijański charakter uczuć jego tak wyraźnie występuje.

Po historyi własnego ducha w dalszym ciągu poematu, rozwijał poeta swój pogląd na dzieje świata. Ten pogląd kierunkiem swoim odpowiadał poglądowi na własne dzieje, wypływał z tego samego, co i tamten, źródła, z rozbudzenia, pod wpływem Mickiewicza, uczuć religijnych. Historyozofia Zaleskiego, rozwinięta w tym poe-

macie, była bardzo prosta, jakby całkowicie wzięta z katechizmu; na bardziej skomplikowaną przy swojej »antiberlińskiej« naturze zapewneby się nie zdobył nawet i bez ortodoksyjnego nastroju uczuć religijnych. Stanowisko jego w tym poemacie najlepiej określał Mickiewiczowski wiersz, tchnący potęgą wiary, p. t. *Rozum i wiara*, a wszczególności ta strofa jego:

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem,
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

Wiara Bohdana Zaleskiego nie była tak potężną, jak Mickiewicza, ale też zato łatwiej jej było utrzymać się w granicach ortodoksyi, w których Mickiewicz niedługo miał pozostawać, a wielkie zagadnienia ludzkości przed oczyma tej wiary pozostały »małe i jasne« aż do końca życia poety. Taką też jest i historyozofia *Ducha od stepu*. Najmniej jasnym jest wstęp do niej, fikcya służąca jej za ramy, a wiążąca się zapewne z ruską ludową tradycyą o latawcach, o której już przy rozbiorze *Rusałek* była mowa[1]). Wiatr stepowy, jako »wiekuiste tchnienie Boże«, porywa poetę i niesie go ponad światem, ale nie w kategoryi przestrzeni, tylko czasu, i pozwala mu w ten sposób oglądać dzieje ludzkości. A ma on to czynić widocznie nie z prostej ciekawości, ale z powołania swego, jako wieszcz, jako opiewający dzieje dawne dla nauki potomków. Widocznie wróżba matki ma się spełnić, bo oto przy odlocie poety ukazuje mu się postać Bojana i daje mu jakby błogosławieństwo na tę drogę:

Guślar — gęślarz złotostruny,
Bojan ku mnie pieśń podzwania;

---

[1]) Zob. Bohdan Zaleski do upadku powstania listopad. str. 358—9.

Pieśń ojcowska powitania!
. . . .
Czarnoksięskie myśli, słowa,
Rościelają się po drzewie,
Rosą świecą się w powiewie,
Przemigają górą — dołem —
W oka mgnieniu źwierzem—ptakiem—
Siwym orłem, to sokołem,
Szarym wilkiem, to sumakiem...

Ciszej — milej — pieśń podzwania
Słowo — słowo — pożegnania,
Chleb duchowy ku podróży! i t. d.

Skoro Bohdan za wzór sobie obierał Bojana, skoro chciał być jego następcą i trudno zliczyć, ile razy tę myśl w rozmaity sposób wypowiedział w swej poezyi, musimy się zapytać, o ile roszczenia jego były uzasadnione, przedewszystkiem, o ile zbliżył się do swego wzoru w *Duchu od stepu*. Dla dokładności należy zaznaczyć, że właściwie nie o mitycznego Bojana tu chodzi, którego poezyi nie znamy wcale, wielbiąc ją jedynie na wiarę słów autora *Słowa o pułku Igora*, tylko o tego piewcę Igora, którego postać, jak w naszej wyobraźni, tak i u Bohdana, zlewała się w jedno z postacią Bojana. Jestże jakikolwiek wpływ *Słowa* na *Ducha od stepu?* czy istnieje jakie pokrewieństwo duchowe między tymi utworami? Nie, zaiste, mimo wytężonej uwagi, nie można w *Duchu od stepu* nic znaleźć, coby przypominało pod jakimkolwiek względem poezyę *Słowa*. Wyjątek zapewne stanowi uwielbienie dla Bojana, ale właśnie to uwielbienie w *Duchu od stepu* tem więcej razi swoją sztucznością, im bardziej poemat swojem tłem i nastrojem odbiega od dumy staroruskiej.

Z tej mozaiki dziejów ludzkości, jaką jest historyozoficzna część *Ducha od stepu*, jeden tylko obraz swoją powagą, plastyką, siłą wyrażenia zbliża się nieco do wspaniałych obrazów *Słowa*. Jest to obraz pochodu barbarzyńców na Rzym pod wodzą jakiegoś bicza Bożego,

(Alaryka?) nazwanego tutaj Al-hun-rykiem. Uznawał piękność tego obrazu Mickiewicz, gdy wybrał go do zacytowania w swoich wykładach paryskich [1]), potrącony był nim i Słowacki w VIII pieśni *Beniowskiego*, gdy wołał: »O! miecza w ręce... jeszcze raz! i na te — Krainy dajcie runąć z krzykiem Huna«! (choć go gdzieindziej krytykował). W istocie nawiedził Bohdana przy pisaniu tego ustępu duch poetycki, pokrewny temu, z którego wypłynęły *Czajki*.

»Roma«! Okrzyk głuchy z razu —
Grzmi roznośniej od Kaukazu;
Lik skrzydlaty czy tabunny,
Szerzy w stepach tentent, huki?
Coś już wietrzą pańskie kruki!
Barbarzyńcy — o! nieuki —
Ostrogoty, Goty, Hunny:
Z różnych plemion czerń zaciężna,
Straszna w sile a orężna!...
Bliżej, bliżej — okrzyk dzwoni:
»Ura ho! na popas koni,
»Do Panonii! do Panonii!

W stal zakuty wódz na przedzie,
Przez bezdroża, jedzie — wiedzie, —
Konny posąg Al-hun-ryka,
Niedźwiedziemi strzępi kudły;
Suchożyły, w kość zachudły,
Boży gniew — twarz groźna, dzika;
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło...
Jako rzeka w skałach stroma,
Pluszcze za nim gwar wokoło:
»Roma! Roma! gdzie ta Roma«?

Z obrazem wędrówki ludów wiąże się stosunkowo obszerny obraz patryarchalnego życia Słowian, w słowianofilskiem świetle przedstawiony, ale nie dorównywa już

[1]) Liter. słowiańska, Poznań 1865. T. III, str. 20.

tamtemu. Potem obraz Rzymu cesarskiego, następnie chrześcijańskiego, wieki średnie z wojnami krzyżowemi, przelotnie ukazane, chociaż z widocznem współczuciem poety, jeszcze przelotniej czasy nowożytne, w których »smutno — pusto — nigdzie Boga — ani w sercach — ani w pieśni«, w których rozum, biorąc górę nad wiarą, przygotowuje gilotynę. Wreszcie po siedmiomilowych skokach po drabinie dziejów, poeta zatrzymuje się nad ziemią rodzinną, nad obrazem jej cierpień współczesnych. Są tu ustępy, którym nie brak głębszego patryotycznego bolu, ale ten ból odznacza się więcej czułością, niż siłą.

Mowa nasza głuchnie wszędzie:
Mowa w sercach wykochana, —
Jak anielskich rąk narzędzie,
Taka strojna — i ograna:
Toż — do szeptów służyć będzie?
Panie! nasze niewiniątka —
Tam — z ciemnego skwirczą kątka;
Biedne — uczą się bać wroga
Wprzódy, niźli ciebie Boga!...

I przed poetą staje pytanie, to samo, które Konrada w *Dziadach* doprowadziło do szaleństwa, które już po Zaleskim Krasiński zadawał sobie w *Przedświcie:* Dla czego Bóg spuszcza na Polskę takie nieszczęścia? dla czego wydaje ją na łup i pastwę wrogom? Mickiewicz w *Dziadach* nie dał wyraźnej odpowiedzi na to pytanie, pozwala się jej tylko domyślać w wizyi X. Piotra, ale dał wyraźną odpowiedź w *Księgach narodu polskiego.* Naród polski jest wybranym przez Boga, jest Chrystusem narodów, niewinnie cierpiącym dla odkupienia ludzkości. On jeden czuł Boga prawdziwie, on jeden wyznawał wolność, dlatego umęczono go i złożono w grobie. Królowie to zrobili, ale on, jak Chrystus, zmartwychwstanie i »uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli«. Odpowiedź Krasińskiego na to pytanie prawie identyczna:

My umarli pośród świata,
Z świętej do świata miłości!
On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości,
Przyjąć na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów Polski marę
Zstępującą w grób na trzy dni!
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!

To, co później Czarniecki mówi o wyższości narodu polskiego nad innymi, pozornie szczęśliwymi (Łaska Boża — Nas wegnała w te bezdroża — Niechaj będzie pochwalona i t. d.), to, co w ostatniej wizyi głos Boży obwieszcza (Jak im Syna niegdyś dałem,—Tak im, Polsko! daję ciebie i t. d.) jest już tylko powtórzeniem, waryacyą, rozwinięciem poprzedniej myśli. I Słowacki jeszcze przed ukazaniem się *Przedświtu* i *Ducha od stepu,* więcej zapewne fantazyą, niż uczuciem kierowany, zdawał się nachylać w pierwszej pieśni *Beniowskiego* do tej teoryi mesyanicznej, i zapominając o tem, jak niedawno w *Grobie Agamemnona* smagał Polskę biczem i targał jej wnętrzności, nazywał ją córką Boga i siostrą Ukrzyżowanego. Ale u Słowackiego był to tylko skok wyobraźni w celach polemicznych, bez dalszych konsekwencyi. Rzecz godna uwagi, że z grona wielkich poetów, on jeden, choć się uważał za wieszcza-przewodnika narodu, nigdy się nad przyczynami upadku i nieszczęść Polski nie zastanawiał głębiej, nigdzie się wyraźnie w tym względzie nie wypowiedział.

Bohdan Zaleski zupełnie inaczej rozwiązał to pytanie, niż Mickiewicz i Krasiński. On, tak ulegający wpływowi Mickiewicza, tak oczarowany jego poezyą, tak braterskiem uczuciem związany z nim, zachował w tym względzie zupełną niezależność i okazał daleko większe poczucie prawdy historycznej od mistrza, któremu hołdował. Polska dla niego nie była niewinną ofiarą, przez

Boga wybraną dla odkupienia ludzkości, nie była Chrystusem narodów, ale raczej Magdaleną, pokutującą za grzechy własne. Ten realniejszy pogląd na dzieje własnego narodu był zapewne po części skutkiem mniejszej wybujałości fantazyi poety, przeważnie zaś demokratyzmu jego, który na słabe strony tych dziejów zwracał jego uwagę, a może i wczytywanie się jego w dzieje polsko-kozackie miało tu wpływ jaki. A nie tylko oryginalnością odznacza się ten pomysł, ale i artystycznością wykonania; jest to jeden z najlepszych ustępów *Ducha od stepu*.

Widzę w chmurach szczyt Łomnicy,
Z pierwoczesnych skał ukuty,
W pierwoczesny lód zasuty:
Dziś — dla pańskiej służebnicy
Dzika ustroń dla pokuty.
Polska — Polska na stolicy!
Grzeszna ciałem — cierpi w ciele;
Pokutnica piękna, miła,
Zawiniła wiele, wiele,
Och! kochała, swawoliła,
Lata klęczy na popiele!...
Na żałobę — wieją włosy,
Na żałobę — więdną lica,
Orszak sióstr podziela losy,
Jęk po jęku różnogłosy!
Luba drużka, powiernica —
Litwa tuli się do łona:
Krasawica, pieśń wcielona,
Szlocha na głos Ukraina,
Łzą mrugnęła na mnie syna!

Polska — Polska — Matka miła,
Och kochała, swawoliła...
Na zgryzotę — wieki sławy
Wieją synów od otchłani:
Groźni, sępni a kochani,
Pierworodne Bolesławy,
Stu zwycięskich walk Hetmani,
Witoldowych wojsk starszyzna,

Wszystka wolna Kozaczyzna,
Szemrzą oto: »Co się stało
Z czystą krwią — i z czystą chwałą?«

Ten ostatni obraz znalazł niewątpliwie echo w *Przedświcie*, w wizyach tego poematu, w tej przedewszystkiem, gdzie występuje »antenatów blade mnóstwo«, ażeby dać odpowiedź potomkowi, pytającemu ich o zgon Polski. Ale jakże stosunki odwrócone, jak się wszystko przemieniło u Krasińskiego stosownie do myśli przewodniej jego poematu! W *Przedświcie* syn pyta ojców, co zrobili z Polską, dlaczego ją roztrwonili i otrzymuje znaną odpowiedź mesyanistyczną. U Zaleskiego ojcowie pytają synów, co zrobili z ich »czystą krwią i czystą sławą« i myślę, że mają daleko więcej słuszności w swem pytaniu, niż tamci w odpowiedzi, tylko tych ojców Zaleskiego trzeba tak rozumieć, jak ich zapewne sam poeta rozumiał, to jest nie widzieć w nich całej przeszłości *en bloc*, ale te wieki, w których Polska rosła w potęgę. W istocie, wieki czternasty, piętnasty, a po części i szesnasty, mogłyby zapytać dwa następne wieki, co zrobiły z ich »czystą krwią i czystą sławą«.

Ale Bohdan był zanadto optymistą, ażeby jego poemat miał się kończyć obrazem pokuty. Jak w *Trenach* Kochanowskiego przyznanie się do winy i skrucha poety poprzedza ukojenie jego ducha, tak w *Duchu od stepu* po obronie pokuty następuje obraz rozgrzeszenia i podniesienia Magdaleny do czci i chwały. Naturalnie jest to obraz przeczuwanej przez poetę przyszłości. Aniołowie przynoszą pokutującej wyzwalający wyrok boski, z którego widzimy, co poeta uważał za główny grzech Polski.

»*Grzech wiekowy* — jak w płomieniu —
Zgore w Ludu uściśnieniu....
Cześć i pokłon Magdalenie —
W imię Ojca rozgrzeszenie«!

. . . .

Odmłodzona — w blasku — pysze
Wznosi czoło pokutnica,
Siostry rozjaśniają lica —
Cuda widzę — cuda słyszę...

Pojawia się i nieodzowny Bojan, »przesławny« przodek Bohdana, ze swoją złotą gęślą i śpiewa »pieśń — nadzieję«, a tę pieśń jego poeta obiecuje powtórzyć kiedyś wśród oklasków słowiańskich, »na dniu godów wielkich«, kiedy Polska na nogi wstanie. Kiedyż to będzie? Czego potrzeba, aby odrodzenie Polski stało się ciałem? Tego domyślać się mamy z ustępu, który następuje po owej wizyi. Wiatr stepowy, który obnosi poetę po świecie przeszłości, ale i o teraźniejszość i przyszłość zawadza zapuszcza się z nim w jakąś mgłę, w jakąś zamieć, w której odzywają się w koło głosy dzieci:

»Brat — o! brat nasz poronieniec!
Na nic — na nic — pomoc wszelka,
Ziemska jego rodzicielka
Anielskiego łaknie chleba!
Zamieć — zamieć — zamieć wielka!
Chrztu! o chrztu! — o chrztu nam trzeba —
I polecim wraz do nieba!«

Obraz ten opiera się na wierzeniu ludowem (ruskiem), że dzieci poronione (poterczata) nie mogą dostać się do nieba, dopóki ich kto nie ochrzci. W przypisach do *Ducha od stepu* czytamy, że według wyobrażeń ludu »w czasie wielkich wichrów i zamieci dusze dzieciątek lecą tuż ponad ziemią i nawołują się do gromady: należy wtedy w skok utkwić na drodze *nóż poświęcony;* dzieci muszą się zatrzymać w locie swoim, a wtedy wymawiają się zaraz słowa sakramentalne: »Ja was chrzczę w Imię Ojca, Syna i Ducha Ś.« Ale po co się ten obraz znalazł w poemacie? jakie ma tu znaczenie? Poeta był przekonany, że alluzya jest tak przeźroczystą, iż nie potrzebuje

objaśnienia i to przekonanie wypowiedział w Przypisach. Może też i nieśmiałość jego odegrała pewną rolę w tem zaniechaniu komentarza, który musiałby być krytyką współczesnych wyobrażeń, panujących w emigracyi. Bądź co bądź, wyrażał on w tej formie obrazowej głębokie przekonanie swoje i całej grupy emigracyjnej, do której należał, nie licznej, ale ściśle spojonej, że do odrodzenia Polski potrzeba koniecznie odrodzenia religijnego w duchu katolickim. Ten duch religijny miał iść w nierozłącznej parze z duchem demokratycznym, do którego należało odkupienie »grzechu wiekowego« przez oswobodzenie i podźwignięcie ludu, i tę to łączność, jak widzieliśmy, pragnęli założyciele sekcyi batignolskiej wnieść do Towarzystwa Demokratycznego, ale bezskutecznie. *Duch od stepu* w swej dążności był odbiciem tych pragnień.

Zwróćmy się teraz do genezy utworu, tj. do pytania, gdzie było główne źródło natchnienia, z którego się ten utwór począł? Powiedziałem już, że miłość dla Dyonizyi wybuchnąwszy nagle, z żywiołową siłą, w poecie, poruszyła do głębi jego duszę i nastroiła na ton, który nie odpowiadał nastrojowi mozolnie kleconej przez niego *Złotej Dumy*, dlatego też zaniechał on dalszego pisania tej epopei. Ale dlaczego, zamiast wylewać uczucia miłosne, które tak wzbierały w jego duszy, rozwinął nagle skrzydła do lotu tak wysokiego, o jakim tylko dawniej marzył niekiedy, ale na który nigdy zdobyć się nie mógł, dlaczego zamiast śpiewać po słowiczemu, zgodnie ze swoją naturą, chciał okiem orła »ludzkości całe ogromy — przeniknąć z końca do końca?«. Przyczyny trzeba szukać w usposobieniu, w charakterze Dyonizyi Poniatowskiej, która od pierwszego poznania się z poetą, stała się dla niego prawdziwą Beatryczą, przewodniczką jego muzy w świecie wyższej, patryotyczno-religijnej poezyi.

Do tego poglądu upoważnia nas to wszystko, co wiemy o jej stosunku do Bohdana z jej listów, wydanych

przez syna poety [1]). Wprawdzie te listy mówią o pierwszych chwilach ich wzajemnego stosunku bardzo mało, ale światło, które z nich pada na dalszy stosunek, pozwala nam dojrzeć, a przynajmniej odgadnąć i to, co było na początku. Jeszcze nie znając go osobiście, pisała do niego, jak wiemy: »...dusza moja pojmuje duszę twoją; jakkolwiek nie dorówna jej polotem myśli, jest wszakże jej siostrą, bo czuje tak, jak ona...« [2]). A znała ją nietylko z poezyi jego, które nie oddawały należycie jego nastroju obecnego, ale zapewne i z listów swego wuja, Józefa, który był z uwielbieniem dla swego młodszego towarzysza. W rok po rozstaniu się nad Renem, w liście, do którego później wrócić nam jeszcze wypadnie, mówiła mu o jego wysokiem powołaniu, nazywała go »piękną gwiazdą, którą Bóg szczytną drogą wiary, niewinności i zaparcia się ...powołuje do wzniosłych przeznaczeń«, wyrażała nadzieję, że za jego głosem »pójdą może kiedyś narody«, że jako wybranego od Boga, po spełnieniu wielkiej misyi, czeka go aureola; jednem słowem starała się go umocnić na tem stanowisku, na jakie się on wzniósł w *Duchu od stepu*.

Otóż domyślam się, a raczej jestem pewny, że i w owych trzech dniach »oczarowania« nad Renem, podsuwała mu myśli podobne, powoływała do oddziaływania na naród, przedewszystkiem na emigracyę, o której się dowiadywała, że jest rozstrojona wewnętrznie i pozbawiona ducha religijnego. Może też widząc miłość beznadziejną w jego oczach, chciała już teraz go krzepić — jak to później czyniła — w cierpieniach miłosnych, które go czekały, każąc mu wpatrywać się w wielkość swego powołania. Przeczucie tej wielkości tliło w nim oddawna,

---

[1]) Listy Dyonizyi Poniatowskiej do Bohdana i Józefa Zaleskich 2 tomy, Kraków 1900.

[2]) Tamże I. 45.

przynajmniej od czasów pisania *Kwiatu paproci*, bardzo dobitnie wyraziło się w *Złotej Dumie*, ale było nieśmiałe, niepewne, często przygasało pod popiołem zwątpienia. Ona je chciała rozżarzyć, rozdmuchać w wielki płomień. Może i siebie broniła w ten sposób przed własnem sumieniem, tłumacząc sobie, że uczucie, które żywiła dla poety, nie może być grzesznem, skoro się wiąże tak ściśle z miłością Boga i ojczyzny.

Poeta i przed tem doznawał podobnej zachęty — do zajęcia stanowiska wieszcza względem narodu — w szczególności w znanych nam już listach Wodzińskiego, i wiemy, jakie potoki wdzięczności wywołała ta zachęta z serca Bohdana; ale czemże była ona w porównaniu z zachętą tej, w której znalazł wcielone marzenie lat młodzieńczych, w której znalazł to, co go ścigało we snach, to, czego na jawie dotychczas nigdzie znaleźć nie mógł. Jak tylko podniósł się nad wielkie fale smutku, które go w pierwszych dniach po rozstaniu się z ukochaną zalewały, natychmiast pomyślał, aby odpowiedzieć tej zachęcie, spełnić pragnienia pani Dyonizyi. Chciał on, aby poezya jego od tej chwili była odmienną od dawniejszej, nową i wyższą, ponieważ sam się czuł odmienionym, odrodzonym w sercu, z okiem w wysokie cele wpatrzonem; chciał, aby pierwszy jego utwór świadczył o tej przemianie wewnętrznej, był zapowiedzią wyższego lotu jego dalszej poezyi, a w tym utworze chciał zawrzeć nową syntezę swego ducha, swój rodowód jako wieszcza ukraińsko-polskiego, swój pogląd na dzieje świata i Polski, cały swój horyzont duchowy. Dlatego *Ducha od stepu* nazwał *Przygrawką do Nowej Poezyi*, i tak, niedługo po jej ukończeniu, pisał do Karola Wodzińskiego: »Mam zamiar puścić w świat moją *Przygrawkę do Nowej Poezyi*, którąm wśród serdecznych smutków, w zawieszeniu głównej pracy (Złotej Dumy), napisał w jesieni. Jest to uwertura, suma dźwięków mojej opery: coś na kształt

mapki moich krain poetyckich *à vol d'oiseau*«[1]). Tę uwerturę, ten nowy kwiat na swojej niwie poetycznej, który miał zawrzeć w sobie kwintesencyę jego ducha, chciał złożyć w hołdzie ukochanej, a że nie śmiał ofiarować jej tego kwiatu pod jej własnem imieniem, więc uczcił ją ubocznie, pod koniec poematu, pod nazwą *Bezimiennej*. Przypuszczając, że ludzie to wszystko, co wypowiedział w tej nowej poezyi o sobie, świecie i Polsce, poczytają za sen, za rojenie, odpowiadał na niedowierzanie ludzkie takiemi pytaniami:

Senże — moje łzy żywota?
Senże — moja Duma Złota?
Senże — Polszcza? Ukraina?
Senże — Jedna — o! Jedyna —
Moja — moja — Bezimienna?...

Jakże się Bohdanowi udało spełnienie zamiaru, który starałem się wyjaśnić? Jaka jest wartość poetycka i ideowa *Ducha od stepu*? Poemat pod względem wykonania artystycznego jest bardzo nierówny i stanowi całość niezwiązaną organicznie. Jak z wyżej podanej analizy wynika, wyróżnić w nim można trzy główne części: historyę własnego ducha poety, historyę świata i pogląd na losy Polski. Otóż stoją one dość luźnie obok siebie. Część druga, środkowa, największa, która zajmuje tyle miejsca, ile dwie inne razem, nie wiąże się naturalnie, ani z poprzednią, ani z następną. Co za związek między narodzinami i historyą ducha nowego, polskiego Bojana, a dziejami świata? Czyż stary Bojan śpiewał te dzieje? Byłże nowy Bojan przeznaczony do ich śpiewania? czułże jakiekolwiek powołanie do tego w swojej naturze poetyckiej? Ani trochę; świadczy o tem cała jego poezya. Tak samo między drugą a trzecią częścią nie ma zadzierzgniętego

---

[1]) Korr. J. B. Z., I. 101.

węzła; pokuta Polski, zarówno jak i jej rozgrzeszenie w niczem nie są zależne, w przedstawieniu poety, od dziejów świata. Jednem słowem, całą drugą część, stanowiącą zewnętrznie jądro poematu, możnaby odrzucić nietylko bez wielkiej szkody, ale nawet z pożytkiem dla niego; utraciłby wprawdzie parę szczęśliwszych obrazów, stałby się o połowę krótszym, ale byłby bardziej zwartym, lepiej związanym, bo pierwsza część z trzecią dałaby się złączyć organicznie.

Zaiste, trudno zrozumieć, co pobudziło poetę, że wprowadził do swego utworu — i to w tak wielkiej proporcyi — dzieje świata, bez których ten poemat doskonale mógł się obyć. Jeżeli chodziło o lot wysoki, to i bez tego mógł go osiągnąć. Jedno się tylko nasuwa przypuszczenie, zdolne objaśnić ten pomysł niewczesny. *Duch od stepu* miał być czemś w rodzaju *Ksiąg narodu polskiego*, które w pełnym tytule miały dodatek: *od początku świata aż do umęczenia narodu polskiego* i w istocie dawały krótki pogląd na dzieje powszechne. Ten pogląd w *Księgach narodu* był potrzebny, a nawet niezbędny; on dawał uzasadnienie mesyanistycznej teoryi Mickiewicza o Chrystusowem posłannictwie Polski. Zaleski, jak wiemy, nie hołdował tej teoryi, dla niego Polska była nie Chrystusem, ale Magdaleną narodów, i może jednem z zadań poematu było przeciwstawienie tego poglądu teoryi mistrza, którego skądinąd uwielbiał. Ale zapatrzony w tę ewanielię emigracyjną, z którą się chciał zmierzyć, którą chciał sprostować, machinalnie powtórzył jej układ, nie rozważywszy, czy on się nadaje do jego idei tak, jak się nadawał do idei Mickiewicza. Naturalnie i w *Duchu od stepu* podłożenie dziejów świata, jako tła, pod obraz pokuty Polski, mogło być stosowne, ale poeta o zastosowaniu tła do swojej idei nie myślał wcale, a jeśli myślał, to nie umiał go zastosować.

Co innego jeszcze mogło oddziaływać na Bohdana, gdy tak szeroko a bezużytecznie rozścielał w swym poemacie kobierzec utkany z nici powszechno-dziejowych, mianowicie inny utwór Mickiewicza, z czasów jego młodości, wiersz *Do Lelewela*, gdzie również był roztoczony w krótkich rysach obraz dziejów świata, tylko z uroczystym chłodem, spokojem, przedmiotowością, które tak rażąco odbijają od gorączkowego tonu i oparów mistycznych w *Księgach narodu*. *Duch od stepu* tonem swoim zajmował stanowisko pośrednie między tymi utworami Mickiewicza, zbliżając się jednak więcej do pierwszego, niż do drugiego. Ale gdy w obu, tak różnych, utworach Mickiewicza obraz dziejów wiązał się ściśle z całością, wypływał organicznie z planu tych utworów, u Zaleskiego wygląda on jako coś sztucznie, mechanicznie wprowadzonego do poematu.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na to, że w tym samym czasie, kiedy Zaleski pisał swój rymowany pogląd na dzieje powszechne, w Paryżu ukazała się broszura Mierosławskiego p. t. *Aperçu rapide sur l'histoire universelle*, w parę lat potem (1838) przedrukowana jako wstęp do jego *Histoire de la révolution de Pologne*. Pełna bujnej i kwiecistej frazeologii, właściwej temu autorowi, bezładna w całości, ale olśniewająca niekiedy paradoksami, które dają przedsmak Nietschego, nie miała nic wspólnego z katechizmowym poglądem na dzieje Zaleskiego, nie wywarła też żadnego wpływu na *Ducha od stepu* (czy ją znał Zaleski, pisząc ten poemat, nie wiemy), świadczyła jednak o nurtującej w emigracyi potrzebie zdania sobie sprawy z toku dziejów powszechnych, potrzebie, jak się domyślam, obudzonej *Księgami narodu polskiego* [1]).

---

[1]) Broszura wywarła niemałe wrażenie w świecie emigracyjnym. *Rocznik emigracyi polskiej*, wydany przez Jełowickiego, umieścił jej recenzyę, napisaną przez F. W. Michałowskiego, która przy-

Bądź co bądź, *Duch od stepu* odgrywa ważną rolę w poezyi Zaleskiego. Dawał w nim poeta syntezę swoich dążeń i poglądów religijno-społecznych, wskazywał narodowi swemu drogę przyszłości, wznosił się na stanowisko wieszcza — przewodnika narodu, jakie już zajmowali Mickiewicz i Krasiński (ten ostatni bezimiennie), jakie miał niebawem wśród grzmotów i błyskawic swojej muzy zająć Słowacki. Spełniało się marzenie Bohdana, objawione w *Kwiecie Paproci* i *Pieśni Bukata*, przynosił narodowi cudowną różczkę, która — w jego mniemaniu — miała ten naród uczynić szczęśliwym. Ale natura artystyczna była w poecie silniejszą od ambicyi; poczuł on, że wyżyny *Ducha od stepu* za wysokie dla skrzydeł jego fantazyi, że utrzymać się na nich nie potrafi, więc nie wspinał się już potem do nich, a zawrócił w te doliny poetyckie, gdzie tak rozkosznie kiedyś śpiewał, a gdzie teraz miał prześpiewać drugą, bodaj czy nie piękniejszą jeszcze, wiosnę. *Duch od stepu* pozostał samotnym szczytem w jego poezyi. Późniejszy utwór Bohdana »*Sam z pieśnią*«, który polotem wyobraźni wybija się ponad przeciętny poziom jego poezyi, a o którym w dalszym ciągu będzie mowa, jest tak pokrewny treścią *Duchowi od stepu*, że stanowi tylko jakby przyległość tego szczytu.

---

ganiając paradoksalnej treści, wysoko podnosiła formę broszury (str. 109—111). *Nowa Polska* uderzała na nią za to, że podług niej ludzkość nie ma ni prawdy, ni świętości. Mierosławski ochoczo wdawał się w polemikę z recenzentami, dodając w ten sposób swojej broszurze rozgłosu.

ROZDZIAŁ V.

Rozbrat z polityką.

1836—1837.

Towarzystwo Demokratyczne. — Pierwszy projekt manifestu tego Towarzystwa. — Zalescy przeciw propagandzie demagogicznej. — Manifest sekcyi Fontainebleau. — Nowy projekt manifestu Centralizacyi. — Pismo Zaleskich do Centralizacyi. — Korespondencya Zaleskich z Różyckim. — Projekt Różyckiego o umocowanych. — Wystąpienie Zaleskich z Towarzystwa.

Za pewnego rodzaju komentarz do *Ducha od stepu* może służyć korespondencya Zaleskich z lat 1836 i 1837 z oddalonym przyjacielem, Karolem Różyckim, który przebywał wówczas w Fontainebleau, a także z Centralizacyą Towarzystwa Demokratycznego, do którego, jak wiemy, pomimo usunięcia się od gwaru politycznego, nie przestawali Zalescy należeć. Żeby jednak ten komentarz stał się jaśniejszym, i żeby lepiej zrozumieć stosunek naszego poety ówczesny do stronnictwa politycznego, do którego się zaciągnął, potrzeba rzucić okiem na współczesną działalność Towarzystwa Demokratycznego.

Ze wszystkich grup, na jakie się dzieliła ówczesna emigracya, było Tow. Demokratyczne niewątpliwie grupą najbardziej zwartą w sobie, najlepiej uorganizowaną i je-

żeli nie najsilniejszą liczebnie, to najsilniejszą przekonaniem, że droga, po której kroczy, jest jedyną drogą, wiodącą do zbawienia Polski. Zawdzięczało to swoim przewodnikom, członkom t. zw. Centralizacyi, do której należeli wówczas: Robert Chmielewski, Jan Nep. Janowski, Tomasz Malinowski, Wiktor Heltman i kilku innych. Byli to wszystko ludzie dotychczas mało znani, o nazwiskach wcale nie głośnych, ale głęboko przejęci ideą, w imię której powstało Towarzystwo, i poświęcający wszystkie swoje siły na to, aby uzasadnić ją naukowo, historycznie, przelewać swoje przekonania na ogół Towarzystwa i zorganizować je tak silnie, aby się ono nie dało rozluźnić wpływami grup innych, ale i owszem, mogło przyciągać je ku sobie, nie wchodząc w żadne kompromisy.

Rok 1836 był ważnym w dziejach organizacyi tego Towarzystwa. Chodziło naprzód o to, aby ułożyć i ogłosić manifest, któryby wypowiedział i uzasadnił wobec emigracyi i całej Polski dążenia Towarzystwa, a następnie o nadanie Centralizacyi władzy, której ona dotychczas nie miała: tajemnego działania w imieniu Towarzystwa i w kierunku jego idei na gruncie pozaemigracyjnym, tj. w stosunkach z krajem i z rewolucyjnymi żywiołami całej Europy. Po władzę podobną, działania w imieniu narodu i dla narodu z emigracyi, sięgały z różnem powodzeniem inne grupy, albo raczej ludzie, za którymi stały pewne grupy, jak X. Czartoryski, generał Dwernicki, Lelewel, i dlatego Centralizacya Tow. Demokratycznego była dla tych wszystkich grup niechętnie usposobiona i tem mniej chciała wchodzić z niemi w jakieś układy, dążące do zjednoczenia emigracyi, im więcej się lękała, aby to zjednoczenie nie wytrąciło jej z rąk władzy i wpływu, który już posiadła w swojej grupie.

Pierwszy projekt manifestu Tow. Demokratycznego nosi datę 25 kwietnia 1836. Rozesłany został przy okólnikach, wydawanych przez Centralizacyę do wszystkich se-

kcyi z wezwaniem, aby go rozstrząsały i przesłały swoje uwagi, które mogły być następnie przy ostatecznej redakcyi uwzględnione. Było tam bezwzględne potępienie przeszłości szlacheckiej, było oświadczenie, że Polska własnemi siłami może powstać i odrodzić się, ale do tego potrzeba oswobodzenia i uwłaszczenia włościan, a jeśli naród polski ma szukać sprzymierzeńców, to nie w »gabinetach królów, ale we współczuciu przyjaznych i równie do wolności wzdychających ludów«, była obrona Towarzystwa od zarzutu kosmopolityzmu, w końcu zaś była przestroga, czy pogróżka, zwrócona w stronę szlachty w następujących słowach: »Chcemy... cieszyć się nadzieją, że znaczna bardzo część szlachty polskiej, ożywiona uczuciami czystego patryotyzmu i sprawiedliwości, nauczona zbyt smutnem doświadczeniem, pójdzie za głosem rozumu i serca, i na pośmiertnym ołtarzu ojczyzny złoży nowego rodzaju ofiary. Lecz, gdyby nawet konieczna zmiana porządku społecznego i za nią idąca niepodległość kraju bez gwałtownych wstrząśnień i usunięcia siłą stających na zawadzie przeszkód, obejść się nie mogły, gdyby lud, oczekujący dotąd w milczeniu opamiętania, sam być musiał sędzią przeszłości, mścicielem krzywdy mu wyrządzonej i wykonawcą niecofnionych wyroków czasu — i wtenczas jeszcze rozlana krew bratnia spadnie tylko na głowy tych, co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne szczęście i wyjarzmienie ojczyzny przenieśli« [1]). Co się tyczy struny religijnej, ta dotkniętą była tylko w tych słowach: »Równość praw i powinności człowieka jest prostem następstwem tej wielkiej, przez chrystyanizm ogłoszonej prawdy, iż wszyscy ludzie mają jedną i tęż samę naturę« [2]).

---

1) Okólniki Tow. Demokrat. Pclskiego 1836 i 1837 roku. Poitiers w litografii A. Pichot. str. 44.

2) Tamże str. 39.

Ten pierwszy projekt manifestu nie podobał się ani Zaleskim, którzy mieszkali wtedy jeszcze w Strasburgu, ani Różyckiemu, który mieszkając w Fontainebleau, był najpoważniejszym członkiem tamteiszej nielicznej sekcyi Towarzystwa. Niebawem po otrzymaniu jego, pisał do Józefa Zaleskiego: »Kochany mój Józefie, manifest jednakowe zrobił na nas wrażenie. Tyś go nazwał rozprawką, a ja w wilią nadejścia twojego listu, na posiedzeniu, dałem mu tytuł słownego wywodu po zdechłym koniu, na wzór tych wywodów, jakie my kiedyś robili w obecności burmistrzów i ławników po miasteczkach, jeżeli w której kompanii czy szwadronie zaszedł ten ważny wypadek. Robimy uwagi, pragnę, aby był krótszy i godniejszy pięknego celu, jaki sobie wyobrażamy. Lecz gdyby nie udało się przemódz... natenczas ani chwili nie będę się wahał iść za własnem sumieniem. Trzeba jednak wytrwać do końca i wszystko robić, co tylko jest w naszej mocy. Dlatego i was zachęcam, abyście nie byli milczącymi widzami rzeczy. Owszem, należy ogólne przynajmniej przesłać wasze zdanie. Niech nie rozumieją, że obojętnością przyzwalamy na brednie; powinnością jest naszą uprzedzać, usuwać złe, ile nas stanie... Zaklinam was przeto, abyście w tej ważnej chwili nie milczeli« [1]).

Ale Zalescy nie zaraz mieli uczynić zadość wezwaniu Różyckiego. Bohdan miał przed sobą rozpoczętą *Złotą Dumę*, która ciągnęła ku sobie jego uwagę, zresztą do polemicznych publicznych zapasów nigdy nie był skłonny. Józef, który był jakby cieniem Bohdana, bez niego zapewne sam nie chciał występować. Odkładali więc spełnienie rady przyjaciela na później. Ale tymczasem na szczupłej arenie strasburskiej, wśród nowych emigrantów, którzy napłynęli z Krakowa, rozwijali propagandę, wręcz przeciwną duchowi manifestu, proponowanego przez Cen-

---

[1]) List z Fontainebleau 15 maja 1836.

tralizacyę Tow. Demokratycznego. Ciekawem w tem względzie świadectwem jest list Józefa do Edwarda Duńskiego z 28 maja 1836, gdzie mówiąc o jednym z nowych emigrantów, którego nazywa Adolfem, nie wymieniając nazwiska, tak pisał: »Mój drogi Edwardzie, nigdy nie miałem serdecznej urazy do Adolfa; jeżeli mi wziął za złe, żem mu mówił o przeszłych błędach naszych, żem je potępiał — potępiałem błędy, ale nie jego. Jeżelim utrzymywał, że chcąc reformować społeczność, powinniśmy zacząć reformę od siebie, porzucić brudne ścieżki grzechu, wydeptane pychą i zemstą, a przyjąć i zamiłować ślady i naukę Odkupiciela naszego i na pierwszą ofiarę ojczyźnie, zamiast rzezi i pożogi, Jego przykładem ponieść własne poświęcenie i krew własną — utrzymywałem to, nie żeby go obrazić, lecz, żeby go zbliżyć do tego uczucia, którem podobało się Bogu obdarzyć moje serce. Wierzę, kochany Edwardzie, że może i on prędzej nad nasze spodziewanie będzie na tejże drodze i gorąco pragnę tego, żeby go Bóg łaską swoją natchnął, ale zrozumieć nie mogę, dlaczego świeże wypadki i zdarzenia, które go spotkały w kraju, nie zrobiły na nim wrażenia. Muszę ci przytoczyć kilka, o których może nie wiesz«.

I tu mu powtarzał ciekawe wiadomości, zasłyszane zapewne od jakiegoś innego wygnańca krakowskiego. »W Krzeszowicach, w Krakowskiem, Adolf, opowiadając ludowi wiarę, miał powiedzieć: »Szlachtę potrzeba wyrżnąć, bo inaczej nie będziecie wolnymi i panami własności, która się wam należy«. W parę dni po tej lekcyi, kilku zebranych włościan przyszło do jednego emigranta, mieszkającego między nimi, którego poważali, a przyszedłszy, zapytali w te słowa: »Czy znacie wy tego małego, czarnego, co nam szlachtę rżnąć każe, a cóż wy na to mówicie? — A czyżby nam Bóg błogosławił, żebyśmy tak zrobili, a dyć nie jedlibyśmy spokojnie kawałka chleba naszego!«

»Teraz drugi wypadek. Był w Krakowie Bernardyn, także emigrant, nazwiskiem Markiewicz, którego Adolf do Galicyi na emisarkę między lud posłał. Ksiądz-filozof, przyszedłszy do wsi Szczepanowic, zaczął ludowi opowiadać wiarę nie w duchu Chrystusowym, ale w duchu pasyi światowych i zemsty; żeby zaś jeszcze lepiej i przez przykłady naukę swoją zaszczepić, zaczął wydrwiwać i bluźnić z religii (sic), mówić im, że to są przesądy, które ich trzymają w ciemnocie, a na poparcie, że sam w przesądy nie wierzy, przyszedłszy do chaty, zaczął zrywać obrazy i w piec ciskać. Chłopi się znoszą między sobą, uradzają, żeby go pojmać, związać i jak waryata do cyrkułu odesłać. Występują z widłami i cepami, robią na niego obławę i tak go przypierają, że ów bez przesądów katechista ledwo zdołał dopaść szlacheckiego konia i zatyłkami w ogromnym strachu wymknąć się ze wsi. Od tego czasu żaden emisaryusz z nową nauką pokazać się tam nie mógł«.

»Tak uderzające wypadki powinny były otworzyć oczy Adolfowi i przekonać go, że błędną poszedł drogą, zwłaszcza, gdy trudno mu odmówić, żeby się nie umiał zastanawiać, byleby tylko chciał. Nie z zarozumiałości lub pychy potępiam go, mój Edwardzie, nie mam siebie za nieskazitelnego... Jam równie, a może i więcej, był grzeszny jak Adolf, dziękuję dzisiaj w pokorze Niebieskiemu Panu, że mnie w mych grzechach pozwolił się obejrzeć... Nie mogłem jednak z serdecznem współwylaniem potakiwać Adolfowi, zwłaszcza, gdym spostrzegł, że i tutaj chce wpływać na młodsze umysły przez uparte zamiłowanie mściwych wyobrażeń, a pamiętając o słowie Pisma św.: »Nie zasiadaj z bezbożnymi w radzie«, usunąłem się od niego, i tylko w sercu mojem zostawiłem modlitwę i prośbę za nim, żeby go Bóg na drogę czystej prawdy sprowadził« [1]).

[1]) Korr. I. B. Z., I. 81—85.

Należy dodać, że nowi emigranci nie należeli jeszcze do Tow. Demokratycznego, ale Centralizacya, objawami nadzwyczajnej troskliwości, starała się pociągnąć ich ku sobie i w jednym z okólników, podając wiadomość o ich przybyciu do Francyi, cieszyła się, że »ci świezi reprezentanci dzisiejszych uczuć Polski, zdają się być wiarą swoją polityczną zupełnie do nas zbliżeni [1])«.

Na razie tedy Różycki ze swoją sekcyą w Fontainebleau zastąpił Zaleskich w krytyce manifestu projektowanego przez Centralizacyą, a uczynił to pomimo rozpaczliwego usposobienia, w jakie go wówczas wtrąciła wiadomość o śmierci żony w kraju. Już w czerwcu 1836 r. Centralizacya otrzymała: »Uwagi Sekcyi Fontainebleau i projekt jej do manifestu«. Uwagi były bardzo krótkie. Sekcya ta zarzucała manifestowi Centralizacyi, że zanadto zajmuje się obroną Towarzystwa i wychwalaniem jego, co trzeba zostawić historyi. »Nakoniec widzimy w tym projekcie wyrażenie przykre względem reszty całego ogółu emigracyi, a oraz niepolityczne przewidywanie przyszłych środków odmiany w kraju ojczystym« [2]). Odnosiło się to do pogróżki, umieszczonej na końcu manifestu. Zresztą sekcya przyznawała, że są w projekcie Centralizacyi rzeczy pożyteczne, które też starała się wcielić do własnego projektu, za uwagami podanego

Uznawał tedy ten projekt Różyckiego, zgodnie z manifestem Centralizacyi, że »Polska nie prostą przemocą trzech obcych najeźdźców, ale zgubnemi wadami swojego stanu społecznego upadła«, że tylko demokracya zdolna jest »odsłonić żywotną siłę i jedyną potęgę przyszłości narodowej«; że nie dość jest rzucić w masy »wielką myśl niepodległości«, ale »potrzeba oddać masom na własność,

---

[1]) Okólniki Towarzystwa Demokratycznego Pol. 1836 i 1837 roku p. 65.

[2]) Tamże, 119.

bez wynagrodzenia z ich strony, tę ziemię, którą dotąd w krwawym pocie na cudzą uprawiają korzyść. W tym kroku, w przyjaznych okolicznościach zrobionym, spoczywa według nas zbawienie ojczyzny«. Ale obok tego było najuroczystsze oświadczenie, że »daleką jest od nas chęć mordów i pożogi własnego kraju. Anarchii w kraju żądają tylko wyrodni synowie, egoiści... Z anarchii w naszej ojczyźnie otrzymaliśmy wszystkie nieszczęścia, jakich kraj nasz dzisiaj doznaje!...« Na chrześcijański charakter i rodowód demokracyi, ledwie dotknięty w manifeście Centralizacyi, tu był nieco większy nacisk położony, końcowej zaś pogróżce w stronę szlachty odpowiadał w projekcie Fontaineblowskim, następujący ustęp: »Chcemy się cieszyć nadzieją, że znaczna bardzo część szlachty polskiej, ożywiona uczuciami czystego patryotyzmu i sprawiedliwości, nauczona zbyt smutnem doświadczeniem, pójdzie za głosem sumienia i rozumu, i na ołtarzu ojczyzny złoży nowego rodzaju ofiary. Lecz zarazem wykazywać będziemy uciśnionemu ludowi polskiemu, iż ani prawa boskie, ani przywłaszczenia ludzkie nie obowiązują, aby pozostawał dłużej w niewoli, znikczemnieniu i wyrzekał się godności człowieka na korzyść garstki uprzywilejowanych«. Notabene te ostatnie i niektóre inne przytoczone tu wyrażenia, wzięte były żywcem z manifestu Centralizacyi. Daru inwencyi sekcya Fontainebleau nie okazała.

Ostatecznie manifest jej nie w zasadach różnił się od projektu, któremu się przeciwstawiał, tylko w formie ich wypowiedzenia. Było to jakby skrócenie tamtego, obcięcie go ze wszystkiego, co raziło samochwalstwem, polemiką z innemi stronnictwami i straszeniem wojną domową. Obok tego projektu nadszedł jeszcze do Centralizacyi projekt sekcyi Panteonu, i nadeszło z różnych stron Francyi, od sekcyi lub pojedyńczych członków Tow. Demokratycznego, mnóstwo uwag nad rozesłanym projektem, uwag

nieraz bardzo długich, obejmujących całość manifestu, to znów krótkich, odnoszących się do pewnych szczegółów. Centralizacya miała teraz przed sobą Herkulesową pracę rozczytania się w tem wszystkiem, analizowania, łączenia w kategorye, odpierania czynionych swemu projektowi zarzutów, wreszcie zmodyfikowania projektu, pod względem formy raczej, niż treści, takiego, aby mógł uzyskać jak największą ilość wotów i ułożenia tego wszystkiego w sążnisty okólnik litografowany, liczący blisko sto siedmdziesiąt wielkich kwadratowych stron, bitem, drobnem pismem zapełnionych. Ale Centralizacya podjęła się chętnie tej pracy naprzód dlatego, że dyalektyka dla niej była terenem łatwe obiecującym zwycięstwo nad ogółem, w większości swojej więcej wprawnym do szabli, niż do pióra, a powtóre, że manifest miał służyć do umocowania jej wpływu w Towarzystwie i do uzyskania następnie dalszych, bardzo ważnych pełnomocnictw. I już w końcu sierpnia 1836 r. cała ta praca była ukończona i wkrótce potem olbrzymi okólnik wraz z nowym manifestem został rozesłany [1]).

Nowy projekt Centralizacyi, który wraz z dwoma innymi projektami, sekcyi Panteonu i sekcyi Fontainebleau, miał iść pod ogólne wota Towarzystwa, był znacznie krótszy od ostatniego i oczyszczony z niektórych rażących ustępów. Tak n. p. przeszłość Polski nie była tu już nazwana »ohydną«, jak w poprzednim manifeście [2]), ale i owszem podniesione były nawet pokrótce jej zasługi w obronie cywilizacyi europejskiej, rozbiór Polski nazwany tu był »zbrodnią«, i od tego określenia nowy manifest

---

[1]) I manifest i cały okólnik nosi datę 30 sierpnia 1836 r.

[2]) Ustęp odpowiedni brzmiał: »Ohydną zaiste byłaby ta przechwalona przeszłość starej Polski, gdyby czas i przesądy wieków z niejakiem usprawiedliwieniem nie rzucały na nią zasłony wieków«. Okólniki 1836—1837, str. 33.

zaczynał się. Ale w gruncie rzeczy, w istocie swojej, pozostał on takim, jakim był dawny, a nawet zostało końcowe grożenie szlachcie zemstą ludu, a to z powodów, które Centralizacya, mierząca stosunki polskie dziejami rewolucyi francuskiej, w swojej odpowiedzi na przesłane jej uwagi szeroko rozwijała [1]).

Zalescy manifest ów wraz z okólnikiem i odezwą, wyłącznie do nich zwróconą, otrzymali w Molsheim w drugiej połowie września, prawdopodobnie wkrótce pod rozstaniu się z Poniatowskimi [2]), t. j. w chwilach, gdy Bohdan »topił się w smutku«. Odezwa czyniła im dwojaki zarzut: 1° niepłacenia od kilku miesięcy składki i 2° nieczynności, przez co zapewne należało i to rozumieć, że nie przesłali żadnych uwag do pierwszego projektu manifestu. Tym razem trudno było zwlekać z wyjaśnieniem swego stosunku do manifestu, zaraz też ułożyli odpo-

---

[1]) Jeden tylko wzgląd polityczny nie przerażania szlacheckiego stanu mógłby nas skłonić do pominięcia tego przedmiotu w manifeście naszym. Ale Towarzystwo Demokratyczne ze stanem szlacheckim, jako stanem, jako ujarzmicielem ludu, spółdziałać nie może. Demokracya przez samo nazwanie swoje jest anty-szlachecka; bez zgwałcenia natury swojej nie może myśleć o zachowaniu uprzywilejowanego stanu, nie może kosztem zasad swoich spółdziałania jego kupować, a przez to osłabiać największą potęgę powstania — lud. Nasze sumienie nie pozwoli nam nigdy do takich koncesyi zniżyć się, nasza wiara w świętość i siłę zasad, do półśrodków udawać się i dobrowolnie sprawę publiczną przez niepewne, trwożliwe, słabe działania na szwank narażać. Ostrzeżenie, jakie w manifeście uporczywym przywłaszczycielom damy, z politycznego nawet stanowiska uważane, szkodliwem być nie może: owszem, wskazując szlachcie niebezpieczeństwo, tem łatwiej skłonimy ją do połączenia się z ludem i t. d.« (Okólniki 1836—1837, str. 214).

[2]) Do takiej hipotezy chronologicznej skłania początek pisma Zaleskich do Centralizacyi: »Pośpieszamy z odpowiedzią na odezwę waszą do nas z dnia 18 września b. r., dzisiaj dopiero odebraną«. (Korr. J. B. Z. I, 95—97).

wiedź, a jest ona godną uwagi i jako obraz przekonań politycznych poety w danej chwili i jako dowód na poparcie wyrażonego wyżej przypuszczenia, że wstępując do Towarzystwa Demokratycznego łudzili się oni nadzieją, iż potrafią je natchnąć duchem religijnym, który wynosili z Towarzystwa Braci Zjednoczonych. Uznając zarzut niepłacenia składki za słuszny i odsyłając ośmiomiesięczną zaległość w kwocie 52 franków, z zarzutu nieczynności tłumaczyli się naprzód oddaleniem, powtóre oczekiwaniem na ostateczny, uroczysty manifest Centralizacyi.

»Mieszkamy czasowie, na ustroniu, wśród obcych, to jest cudzoziemców lub rodaków, nie należących do Towarzystwa. Okólniki nawet wasze dopiero pierwszy raz nas tu doszły. W takim stanie rzeczy dwóm drobnym indywiduom cóż pozostaje do czynienia? Z tem wszystkiem, mimo tak nieprzyjaznych okoliczności, od przyjaciół naszych dowiadujemy się wciąż o ruchach Towarzystwa. Wiedzieliśmy, iż manifest jest główną i niemal jedyną pracą Centralizacyi, praca niezmiernie ważna, żywotna dla Towarzystwa, rozstrzygająca o jego przyszłości tak na emigracyi, jak i w ojczyźnie«. I tu było ważne dla nas odwołanie się do przeszłości. »Przed rokiem wynurzyliśmy już w tej mierze zdanie nasze w sekcyi Batignolles. Śród różnojęzycznego gwaru, jakim brzmią wasze okólniki, pocóż wznawiać pojedyńcze wołania, jakoby odbite, znane wam stare echa? Oczekiwaliśmy więc uroczystego manifestu, tem niecierpliwiej, że właśnie wtedy rozpocznie się działanie. Bez niego cokolwiek po dziś dzień robimy, nie godzi się zwać działaniem, czynnością, ale po prostu szamotaniem się w czczości, w zamęcie. Nie chcemy wszakże obwiniać o nieczynność ani Centralizacyi, ani redaktorów manifestu, lubo ogłoszony dawniej projekt żadną miarą nie rymuje z pojęciami na-

szemi. Wiemy dobrze, iż samo przedsięwzięcie dzieła jest już piękne i chwalebne, ale wykonanie jego okaże się niesłychanie trudne«.

Ale jakkolwiek odwoływali się do dawniejszych wynurzeń w sekcyi Batignolles, jakkolwiek uznawali powtarzanie ich za bezużyteczne i dawali do zrozumienia nawiasowo, ale bardzo wyraźnie, że dawniejszy projekt Centralizacyi nie »rymuje« wcale z temi wynurzeniami, to jednak poczuwali się do obowiązku przypomnieć je członkom Centralizacyi, nie dla ogłaszania ich w okólnikach Towarzystwa, ale dla oświadczenia jego kierownikom, pod jakiemi warunkami mogą iść ręka w rękę z nimi. Wprawdzie i manifest Centralizacyi coś bąkał o chrystyanizmie, jako źródle zasady demokratycznej, ale w całości swojej, w ogólnym tonie nierównie bliższy był dekretom i manifestom rewolucyi francuskiej, niż duchowi ewanielii.

Więc pisali oni: »Towarzystwo nasze powstało jako partya na cudzej ziemi i pod wpływem cudzych wyobrażeń; wzmogło się i rosło śród gwałtownych politycznych namiętności, jakie nami w różnych czasach miotały, nie mogło więc mieć i nie miało spokojnego oblicza, owej strojnej i niezmiennej fizyonomii, jaką tylko prawda przybrać umie. Źle posiłkowane od demokratycznych pisarzy, nierychło odgadnęło wielkie historyczne posłannictwo odnowienia społeczności polskiej, po tylu klęskach rozchwianej w duchu. Widoczne jest, iż mierzchnie w pamięci rodaków Myśl myśli, tajemnica dziesięciowiekowego narodowego bytu, mocą której zasłużyliśmy się światu, tudzież przodkowaliśmy długo innym ludom w prawdziwej cywilizacyi i wolności. Tą myślą, tem, że tak powiemy, tchnieniem Bożem (myśl o *Duchu od stepu* musiała już świtać w głowie poety), jedynie możemy powstać i biedz dalej. Polska jest cząstką społeczności europejskiej, przesiąkłej treścią nauki Chrystusa. Wszelki demokraty-

czny ruch, objawianie się ducha, filozofia, polityka i t. d. muszą być i są ustawicznem rozwijaniem się prawd Ewangelii, różnem co do form, wedle tego, jak ludzkość doskonali się lub psuje. Teorye niechrześcijańskie są same przez się, jako fałsz, suche, puste, jałowe; przez osiemnaście wieków ani jedna z tysiąca nie zdołała się ostać w Europie, bo prorok ludu, Sumienie jego, wciąż szeptało, że wszystkie wiodą do zguby. To jest wiodą do otrętwienia i despotyzmu, jak w Azyi, do swawoli, jak w kilku głowach za rewolucyi francuskiej, a kiedyś, kiedyś, do kannibalizmu zaprowadzą. Oby myśl stara, religijna, chrześcijańskiej, dziś męczeńskiej Polski, wnikła do serca redaktorów nowego manifestu, aby ją użyli, jako kamień węgielny do budowy przyszłej naszej społeczności. Równość, braterstwo, wolność, jedność, własność, wszechwładztwo i t. d., i t. d., płyną z religii, jako ze swego źródła. Kończymy tem życzeniem, abyśmy was przekonali, Obywatele, że chcemy działać z wami, spółdziałać najgorliwiej, ale na drodze jednej i jedynej, jaką nam i dzieje cywilizacyi europejskiej i dzieje ojczyste wytknęły«.

O nowym manifeście nie było tu jeszcze wzmianki, ale ten brak znajdował usprawiedliwienie w następującym dopisku Zaleskich: »Okólników dziś odebranych (mowa tu niewątpliwie o owym sążnistym okólniku wraz z manifestem) jeszcze nie przejrzeliśmy, dlatego teraz nic o nich nie piszemy«.

Pobożne życzenia Zaleskich, gdyby nawet zdolne były zachwiać umysłami członków Centralizacyi, głęboko wierzących w nieomylność swego kierunku, przybywały za późno, bo już drugi projekt manifestu oddany był pod wota. Na wotowanie w sekcyach przeznaczono miesiąc listopad i już w początkach grudnia 1836 Centralizacya w okólniku pod nr. 1248 zdawała Ogółowi sprawę z re-

zultatu wotów. Na tysiąc z górą członków Towarzystwa[1]) wotowało 838, z tych za projektem Centralizacyi 709, za projektem sekcyi Panteonu 35, za projektem sekcyi Fontainebleau 24 — przeciw wszystkim projektom 70[2]). Centralizacya tedy czuła za swymi plecami potężną większość i mogła liczyć na to, że gdy zażąda od Towarzystwa zupełnego pełnomocnictwa do tajemnego działania w jego imieniu w kraju, Towarzystwo mu jej nie odmówi.

Ale na pismo Zaleskich nie wiedziała, jak reagować. Nie byłoż ono delikatnem oświadczeniem, że Zalescy nie chcą nadal należeć do Towarzystwa, z którego manifestem się nie zgadzają? Notabene według ustaw Towarzystwa nikt nie miał prawa sam się wykreślać z listy jego członków, mógł się tylko podawać do wykreślenia, a w takim razie Centralizacya poruczała rozpatrzenie tego podania jakiejś sekcyi. Ażeby rozwiązać tę wątpliwość i wybadać zamiary Zaleskich, jeden z członków Centralizacyi i niestrudzony jej sekretarz, Robert Chmielewski, przesyłając Zaleskim jakieś nowe okólniki, wsunął do nich karteczkę, w której oznajmiał, że ich życzenia względem opuszczenia Towarzystwa jeszcze Centralizacyi nie komunikował«. Zalescy nie mogli, czy nie chcieli zrozumieć tej dyplomacyi, i Józef zaraz odpisał. »Nie wiem, do którego z nas dwóch ma się to ściągać, ale obydwa niepomałuśmy zdziwieni, skąd cię doszło takie życzenie Ani ja, ani Bohdan, nikomu nie objawiliśmy w tym względ-

---

[1]) Na podstawie wykazu nowych członków, dodanego do okólnika Nr. 1248, możnaby myśleć, że Towarzystwo liczyło wówczas przeszło 1600 członków, ponieważ ostatni z zapisanych opatrzony jest numerem 1607. Ale ta liczba wskazywała tylko, ilu dotychczas było przyjętych do Tow. Dem. od chwili jego zawiązania się, wcale zaś nie uwzględniała tych, którzy byli wykreśleni potem z listy, a tych było sporo.

[2]) Okólniki Tow. Dem. 1836—1837, str. 289.

dzie naszych myśli. Prosimy cię przeto, Obywatelu, żebyś chciał donieść, skąd masz o tem wiadomość«[1]).

Czy Chmielewski odpowiedział co na to, nie wiemy, ale to pewna, że Zalescy po tym epizodzie uczuli, że wypada im wyjść z niejasnego stosunku względem Towarzystwa i wystąpić z niego. Jedna ich rzecz tylko niepokoiła, czy nie sprawią tem wystąpieniem przykrości serdecznemu przyjacielowi, Różyckiemu, który razem z nimi zawiązywał sekcyę batiniolską (choć zapewne niezupełnie w tych samych widokach oddziaływania na Towarzystwo) i dotychczas należał do Towarzystwa. Chcieli więc z nim porozumieć się przedtem, i w tym celu Józef wyprawił list do Różyckiego, list nam nieznany, na który pułkownik tak odpisał: »Projekt do manifestu (mowa tu naturalnie o drugim projekcie) niezupełnie odpowiada moim życzeniom. Niewiele mam nadziei, aby znaczne zaszły zmiany, wszelako nie mam do niego wstrętu. Wiem ja, kochani moi, że wy, idąc za własną wiarą polityczną, byliście w części powolni także moim naleganiom. Dziś kiedy czas i okoliczności nie utwierdziły tego miejsca, na którym przyjaźń pragnęła was zatrzymać i jak w wyłomie postawić, nie wahajcie się, ustąpcie z niego, wystaliście tam przez chwile niejednego szturmu. Zejdźcie, zaręczam was moją przyjaźnią i szacunkiem, że najmniejszej pretensyi do was mieć nie będę. Ja zostanę na wałach, nie przeto, abym był uparty, ale takie jest moje przekonanie, że jeszcze zdać się tam mogę. Pokonany, kiedy już nie będzie żadnej nadziei, ustąpię także, lecz bynajmniej nie rozpaczam. Wy, w rezerwie czy na linii, zawsze mieć będziecie moją najwyższą życzliwość, zawsze z sobą uczuciami powiązani być nie przestaniemy. Znany mi jest stan dusz waszych,

---

[1]) Korr. J. B. Z. I, 97. List niema bliższej daty, ale niewątpliwie pochodzi z ostatnich czasów pobytu Zaleskich w Molsheim.

wyjdźcie; z dwóch miejsc oddzielnych dłonie nasze nie przestaną sobie podawać uścisnień bratnich, a tymczasem zdejmiecie ze mnie ciężar, przestanę być przyczyną dalszego waszego niepokoju«[1]).

A zatem po przerobieniu wstępu do manifestu, po usunięciu z niego pewnych wyrażeń, szczególnie obrażających jego uczucie patryotyczne, manifest w nowej redakcyi wydawał się Różyckiemu wprawdzie nie dobrym, ale znośnym, pułkownik »nie miał do niego wstrętu«. Stanowisko religijne manifestu mniej go interesowało, mniej na nie zwracał uwagi, pomimo iż w nowym projekcie i to słabe znamię chrześcijańskie, jakie w pierwszym się ukazywało, było zatarte i chrystyanizm zastąpiony został czystym deizmem[2]). Otoż pod tym względem między Różyckim a jego serdecznymi przyjaciółmi i współzałożycielami byłej sekcyi batiniolskiej zachodziła ważna różnica: oni bardzo czuli byli na strunę religijną i chcieli stać nietylko na stanowisku chrześcijańskiem, ale i w szczególności katolickiem, on zaś na katolicyzm spoglądał krytycznem okiem.

Najlepiej się ta różnica uwydatnia w nieco późniejszym liście jego do majora Zaleskiego (z d. 7 marca 1837)[3]), gdzie odpowiadając na jakieś uwagi jego o Towarzystwie Demokratycznem tak pisał: »Powiadasz, że

---

[1]) List Różyckiego z Fontainebleau 16 grudnia 1836.

[2]) Zamiast cytowanego już ustępu: »Równość praw i równość powinności człowieka jest prostem następstwem tej wielkiej przez chrystyanizm ogłoszonej prawdy, iż wszyscy ludzie mają jednę i tęż samę naturę«, w drugim, przyjętym przez Towarzystwo projekcie, czytamy: »Wszyscy ludzie, jako istoty jednej i tejże samej natury, równe mają prawa i równe powinności, wszyscy są braćmi, wszyscy dziećmi jednego ojca — Boga; wszyscy członkami jednej rodziny — ludzkości« (Okólniki Tow. Dem. Pol. 1836—7, str. 222).

[3]) Była to odpowiedź spóźniona na list majora jeszcze z początków stycznia.

sztandar nasz powinien być zatknięty na niezachwianej podstawie, przypominasz mi powtarzane przezemnie wiersze do Boga. Dobrze mój luby. Podług mnie, człowiek bez wiary w Boga jest szkodliwym płazem na tej ziemi i tem szkodliwszy, im zdolniejszy jest rozszerzać swoją naukę, niech zatem przepadnie z całą swoją szkołą. Masz pewność podstawy moich myśli i czynów. Pragnę, aby nasze Towarzystwo na tejże potędze oparło swój sztandar, jakoż wierzę, że mała chyba liczba inaczej pojmuje. Wolność ludzi jest prawem Twórcy, Chrystus nam to objaśnił. Nie wątpię, owszem, w gruncie rzeczy wierzę, że katolicyzm sam jeden, jako przekazanie naszego Odkupiciela, zdolny jest rozwinąć jego naukę i szczęście ludzkości, ale katolicyzm taki, jaki miał być, nie zaś jakim jest. Stał się on dziś formą polityczną tylko, grunt tylko pozostał święty. Niech będzie pracą i usiłowaniem serc poczciwych powrócić go do jego natury, ale wspierać go w jego stanie zwichniętym, podług mojego pojęcia, nie jest ani religijnem, ani ludzkiem. Nie uznam przeto za złe Towarzystwu, iż tego nie dotyka, pragnę wszakże z wami, aby wyraźniejszą miało cechę swojej podstawy. Twojemi odpowiadam wam słowy: godzi się wynurzać otwarcie przyjacielowi[1]. I powiedziałem moje widzenie, nie bierzcie mi tego za złe«.

Jak z tego listu widać, Różycki stał tu na stanowisku Lamennais'go, którego pisma znać musiał, a którego wpływ na wyobrażenia demokracyi polskiej emigracyjnej da się łatwo stwierdzić[2], Zalescy zaś stali na stanowisku

---

[1] Podkreślenie zrobione przez autora listu.

[2] Jako pierwszy lepszy dowód, jaką powagą był Lamennais dla demokratów polskich, przytaczam to, co Jan Alcyato, jeden z członków Centralizacyi, pisał w artykule *O fanatyzmie religijnym ze względu na siły do powstania w Polsce.* »Sobór konstancyeński, na którym Hussa spalono... widocznie okazał, że między katolicyzmem a nowem ludzkości dążeniem nie może być pogodzenia...

Braci Zjednoczonych, zakreślonem przez Mickiewicza, na stanowisku ludzi, którzy dążąc do odrodzenia katolicyzmu zaczynają tę pracę nie od krytyki kościoła, ale od poprawy własnej, od odrodzenia katolicyzmu we własnem sercu.

A jednak pomimo tego, że Różycki był lepiej usposobiony dla manifestu Centralizacyi, niż Zalescy, on przecież pierwej wystąpił z Towarzystwa, niż oni. Stało się to dla powodów, nic prawie z manifestem nie mających wspólnego, o których jednak, przynajmniej nawiasowo, kilka słów warto powiedzieć. Sekcya Fontainebleau albo raczej Różycki jeszcze we wrześniu 1835 roku wniósł na ręce Centralizacyi tak zwany projekt o umocowanych, t. j. projekt, dążący do rozszerzenia działalności Towarzystwa Demokratycznego na zewnątrz i wynoszący je do stopnia jakiejś osobnej potęgi zbrojnej. Artykuł 1-y tego projektu brzmiał: »Będzie wybranych z całego Towarzystwa, zwyczajną przyjętą w ustawach większością, trzech członków do zawierania umów politycznych, czyli przymierza z narodami lub rządami«. Artykuł 4-ty: »Podstawą przymierza być ma, aby naród czyli rząd stałego lądu *(sic)*, wchodzący w układy, przyznał niepodległość całej Polski jako Rzeczypospolitej demokratycznej i zobowiązał się zbrojnie pomagać do jej wyswobodzenia«. Demokracya emigracyjna polska miała się zszeregować, jako wojsko polskie, ze swoim naczelnikiem wojskowym, z oficerami Polakami i z kolorami narodowymi; środków na uzbrojenie i utrzymanie tego wojska miała dostarczyć druga strona sprzy-

---

Nakoniec Lamennais udający się do Rzymu, aby skłonić papieża do reformy Kościoła i Lamennais otwarcie zrywający z katolicyzmem w *Księgach Ludu*, najlepiej rozstrzyga zagadnienie o jego przyszłości«. Pismo Tow. Dem. Pol. Część pierwsza. Poitiers 1837—1839, str. 191. Książka *Le livre du peuple* przełożona została staraniem Centralizacyi na język polski.

mierzona[1]). Można się domyślać, że projekt ten miał za sobą aprobatę Lelewela, z którym Różycki w blizkich zostawał stosunkach i w którym zapewne upatrywał jednego z przyszłych umocowanych[2]).

Centralizacyi ten projekt nie podobał się, nie dlatego, że był dość fantastyczny i do zrealizowania trudny, ale że ją odsuwał od działalności, którą ona dla siebie zachować chciała, że ograniczał jej działalność tylko do propagandy demokratycznej wśród emigracyi. To też trzymała go w ukryciu więcej niż przez rok cały i ogłosiła (ledwie czytelnem pismem) dopiero przy swoim projekcie o rozszerzeniu władzy Centralizacyi, t. j. o umocowaniu jej do tajemnego działania na zewnątrz[3]). Z wniesieniem obu projektów czekała, aż sprawa manifestu będzie załatwioną i wniosła je pod obrady sekcyi dopiero 1 listopada 1836. I znowu jak przy manifeście zadała sobie Herkulesową pracę (w czem ją podziwiać można, ale przy zasadzie wszechwładztwa ogółu trudno było inaczej postąpić) Herkulesową pracę uwzględnienia najrozmaitszych zarzutów, uwag, opinii, projektów, dotyczących tego przedmiotu, a nadsyłanych jej przez sekcye lub pojedyńczych

---

[1]) Okólniki 1836—1837, str. 280.

[2]) Po wystąpieniu z Towarzystwa Dem. Różycki napisał list do Lelewela (28 maja 1837), objaśniający pobudki, które go do tego kroku skłoniły. (Pisma Komisyi Korespondencyjnej Nr. 2190).

[3]) Pierwszy paragraf tego *Postanowienia względem Centralizacyi* (Okólniki str. 265) brzmiał: »Towarzystwo Dem. Pol. porucza Centralizacyi te wszystkie czynności zewnętrzne, które z natury swojej przez ogół jego przedsiębrane i wykonywane być nie mogą«, a w objaśnieniach do tego paragrafu powiedziano: »Centralizacya mocną i obowiązaną jest wszelkiemi drogami, jakie za najwłaściwsze uzna, już to przez korespondencye, już to przez członków korespondentów, już to przez osoby umyślnie w tym celu użyte, zawiązać z Polską i obcemi wszelkiego rodzaju stosunki, szukać przyjaznych okoliczności, korzystać z każdego wypadku, którýby w czemkolwiek sprawie naszej mógł być użyteczny i t. d.«.

członków, analizowania tego wszystkiego i oceniania takiego, aby jej własny projekt wychodził zwycięsko. Zanim to wszystko się stało, zanim projekt, któremu towarzyszył nowy sążnisty okólnik, oddano pod wota i zanim je zebrano, upłynęło pięć miesięcy i dopiero okólnik z 29 marca 1837 przyniósł ogółowi Towarzystwa wiadomość, że projekt Centralizacyi przeszedł ogromną większością 719 przeciw 62 wotom [1]).

Otoż Różycki, który chciał jeszcze »zostać na wałach«, kiedy przyjaciele jego mieli już ochotę opuścić Towarzystwo Demokratyczne, i miał przekonanie, że »jeszcze zdać się tam może«, czekał widocznie na rezultat wotowania nad projektem o Centralizacyi, aby do niego swój stosunek do Towarzystwa zastosować, i kiedy się przekonał, że ani jego projekt o umocowanych, ani inne wnioski i uwagi dotyczące zewnętrznej działalności Towarzystwa nie zostały przyjęte, bardzo prędko potem (23 kwietnia 1837) podał się do wykreślenia z Towarzystwa, motywując ten krok w sposób, który uraził członków Centralizacyi [2]). Srodze go zato ukarała Centralizacya i w obszernych motywach wykreślenia i w sprawozdaniu z dwurocznej działalności swojej [3]), gdzie jego wystąpienie z Towarzystwa nazwano »apostazyą« i oskarżono go o podstępne działanie ku opanowaniu Towarzystwa lub jego rozbiciu« [4]).

---

[1]) Okólniki 1836—1837, str. 382.

[2]) Ob. Okólniki 1836—37, str. 414.

[3]) Zdanie sprawy Centralizacyi Tow. Dem. Polskiego (od 29 stycznia 1836 do 12 listopada 1837 r.).

[4]) »Pokonani i odepchnięci (mowa tu o różnych przeciwnikach), widząc iż Towarzystwo nie da się nigdy zmienić w powolne ich widokom narzędzie, postanowili nakoniec zniszczyć je zupełnie. W tym celu Karol Różycki, porozumiawszy się osobiście z Joachimem Lelewelem, opuścił Tow. Uradzono, iż wyjście to będzie hasłem do powszechnego zamieszania, w którem śmierć swoją Tow.

Różycki zaś w liście z Tours (17 maja 1837) tak objaśniał przyjaciołom powody swego ustąpienia z Towarzystwa: »Widziałem, że Towarzystwo upoważniło Centralizacyę do pełnomocnego, bez najmniejszej kontroli, działania na zewnątrz. Jakaż rękojmia, czy Sensymonizmu lub co podobnego nie zechce Centralizacya i tam zaszczepiać? Wreszcie cóż zapewnia, że nieczynność zupełna, zakrywana specyalną plenipotencyą, nie stanie się szkodliwą? Nie chciałem przeto podpisywać tego mandatu i brać, choć w tysiącznej części, ciężkiej odpowiedzialności. Dlatego 23 kwietnia podałem się do wykreślenia. Mniejsza o wrzaski i podejrzenia, które rozwiodła przeciw mnie Centralizacya. Pewny mojej prawości, spokojny na to jestem«.

Zalescy, którzy z innych powodów chcieli już dawniej wystąpić z Towarzystwa, ale przez przyjaźń dla Różyckiego ociągali się z tem wystąpieniem, mieli teraz ręce rozwiązane. Ale nie chcieli z takim hałasem, jak pułkownik, wychodzić z Towarzystwa i zgodnie ze swoim religijnym nastrojem ówczesnym usunęli się pocichu, nie drażniąc nikogo i nie wywołując na siebie gromów ze strony Centralizacyi. Okólnik tej ostatniej pod liczbą 2486 zawiadamiał krótko, że 23 lipca (1837) Bogdan i Józef Zalescy wykreśleni zostali z listy Towarzystwa, w braku własnej sekcyi, przez sekcyę Toulouse. Mniej więcej w tym samym czasie sekcya Rouen wykreślała z tejże listy Lelewelowskiego ajenta i wyznawcę, »widomą niewidomego Lelewela postać«, jak go określał Mierosławski, Walentego Żwierkowskiego [1]).

znajdzie. Tymczasem, oprócz niewielkiej liczby zwolenników, którzy poszli dzielić niepowodzenia dowódzcy swojego, Tow. nietkniętem pozostało... Tamże str. 11.

[1]) Okólniki Centr. T. D. P. 1836—1837, str. 505.

ROZDZIAŁ VI.

Pod niebem Włoch i Prowancyi.

1837—1888.

Korespondencya z Wodzińskim. — Trudności podróżowania. — Pierwsze wrażenia z Prowancyi. — Bohdana ciągną do Włoch. — Stosunek z panią Iwanowską. — Rozkoszny sen na jawie. — *Przechadzka poza Rzymem.* — Rozmowa z Janem Kochanowskim. — Listy pani Iwanowskiej i jej córki. — Wpływ Bohdana na ukraińskich przyjaciół. — Śmierć Wodzińskiego. — *Złota Duma* na mieliźnie. — Przypływ fali natchnienia: *Zakochana*, *Wyjazd bez powrotu*, *Pochód*, *Co mi potem*, *Spotkanie się gdzieś daleko*. — List siostry w Bogu. — Wpływ nowej Zoryny na Bohdana. — *Sam z pieśnią.* — Beatrix ukraińska u siebie w domu. — Jej nauki i zachęty dla poety. — Życie Zaleskich w Endoume. — Tęsknota i rezygnacya w dumkach: *U nas inaczej*, *Skalna Czajka*, *Goniec*, *Do gęśli*, *Mara*. — Bohdan wybiera się do Paryża. — *Nawiedziny grobu Laury*.

Zwróćmy się teraz do prywatnych spraw, zamiarów i stosunków naszego poety w czasach, bezpośrednio następujących po rozstaniu się jego z »Jedyną-Bezimienną«. Przyjaciele Bohdana, dowiedziawszy się z listów Józefa, a może i skądinąd, o smutkach poety, które go aż w chorobę wprawiły, słali mu wyrazy współczucia i pociechy, choć dobrze przyczyny tych smutków nie znali. Tym, który najgorętsze objawiał współczucie, był Karol Wodziński. »Przed kilku dniami, pisał do Józefa z Paryża

25 października 1836 r., rozbiegła się tu lotem błyskawicy wieść, że Bohdan bardzo niebezpiecznie chory. Wieść ta napełniła niewypowiedzianym smutkiem i trwogą całą bez wyjątku tułacką naszą rodzinę; łatwo więc zgadniesz, jak bolesne zrobiła na mnie wrażenie i jak pożądanym był miły list twój, który tę srogą niepewność rozpędził. Lecz dość mi wiedzieć, że Bohdan cierpiący i smutny, żeby smutek jego i cierpienie odbiły się w mej duszy. O mój kochany Józefie! w twojem sercu mieszka Pan Bóg, wiara, łagodność, dobroć i wiele cnót, któremi On obdarza swoich wybranych na ziemi, ażeby źli góry nie brali, a lepsi mieli otuchę i przykład. Nie szczędź więc tych wszystkich skarbów na pocieszenie Bohdana, ilekroć na czułą jego duszę smutek silniejszym uderzy ciosem. O czemuż ja w tej chwili nie jestem z wami! Prosiłbym go na klęczkach, aby się nie oddawał zbytniemu cierpieniu, przypomniałbym, że słowami: chrześcijanin, spełnię do dna[1]) obiecał nam wszystkim wychylić gorzką czarę żywota, nie zżymając się, mężnie, śpiewając pieśń przeszłej chwały i przyszłej nadziei narodu, zakląłbym go na biedną, biedną ojczyznę naszą, złożoną na śmiertelnej pościeli i pasującą się między życiem i śmiercią, a której cierpienia pieśń Bohdana może w części ukoić i ukołysać«.

List ten doszedł Zaleskich w chwili, gdy Bohdan zamyślał już o pisaniu *Ducha od stepu* i był może jedną więcej pobudką do prędszego wykonania tego zamiaru. Wodziński dopytywał się w tym liście przyjaciół, dokąd myślą udać się z Molsheim i dodawał: »Kilka osób a wszystko takich, których wy kochacie i szanujecie, kazali mi wam radzić i prosić, abyście się zbliżyli do Paryża, a przynajmniej w jego okolice, lecz gdziekolwiek będziecie, cokolwiek zrobicie, zapowiadam wam, że

---

[1]) Słowa wzięte ze *Spiewu poety*.

przyszłą, da Bóg doczekać, wiosnę i lato z wami przebyć zamyślam, bo mi bardzo za wami już tęskno«.

W istocie Zalescy mieli opuścić Molsheim jeszcze przed Nowym Rokiem, ale nie do Paryża się wybierali, tylko w taką okolicę, skądby się najłatwiej można było dostać do Włoch. Do tego kraju bowiem miała przybyć nowa drużyna rodzinna ukraińska, jeszcze bliższa sercu majora od Daryuszowstwa Poniatowskich, miała przyjechać żona jego z dwojgiem dzieci i siostra, pani Iwanowska, matka Dyonizyi. Czy to jeszcze za bytności Poniatowskich w Kehl było umówione to spotkanie się we Włoszech, czy też potem listownie, dość że już w początku grudnia major Zaleski wraz z nieodstępnym swoim towarzyszem, Bohdanem, miał zamiar pojechać do Marsylii, aby tam szukać sposobów najłatwiejszego dostania się do Włoch. Dla takiego emigranta, jak major, który nie miał żadnych stosunków z dyplomacyą europejską, a we Francyi był podejrzewany o spiski i nawet jakiś czas więziony, przy ówczesnem pokawałkowaniu Włoch na drobne państwa, przy opinii rewolucyonistów, jaką sobie wyrobiła emigracya polska, przy rozwiniętym systemie policyjno-politycznym, otrzymanie legalnego paszportu do Włoch, ze wszystkiemi potrzebnemi wizami, przedstawiało wielkie trudności.

Zalescy zwrócili się z prośbą o pomoc i pośrednictwo do przyjaciół paryskich, Wodzińskiego i Mickiewicza, licząc szczególnie na stosunki tego ostatniego. Bohdan napisał list do Wodzińskiego i otrzymał od niego zaraz, pod datą 9 grudnia 1836, odpowiedź bardzo ciekawą pod tym względem, że szczegółowo maluje trudności, z jakiemi musieli walczyć ówcześni wychodźcy polscy, gdy im wypadło z Francyi dla jakichkolwiek powodów, udać się do Włoch lub Niemiec. »Zaraz po odebraniu listu twego, drogi mój Bohdanie, pisał Wodziński z Paryża, zaprosiłem do siebie Adama i przedstawiłem

mu cały wasz interes, a cośmy oba uradzili, to ci bez zwłoki donoszę. Adam z Nuncyuszem Papieskim żadnych nie ma stosunków, ale zna kogoś w Rzymie, którego instancya do Nuncyusza, będącego w Paryżu, będzie skuteczną. Jedyna więc rzecz, którą Adam może wam zrobić i zrobi, jeśli zażądacie, jest, że Nuncyusz Papieski położy wizę na paszporcie rządu francuskiego do Rzymu, co jeszcze, jak łatwo się domyślicie, niemało zabierze czasu, tak długie przechodząc koleje. Ale aby ta wiza była na co przydatną, trzeba mieć od rządu francuskiego paszport, a o ten lubo Adam przyrzeka chętnie się starać, jednakże niema najmniejszej nadziei dostania go i zastanowiwszy się nad dyspozycyą dla nas dzisiejszego ministra i nad dzisiejszymi okolicznościami [sądzę], że myśleć nawet o tem nie warto. Trzeba więc do innych rzucić się środków. Montalembert jest teraz we Włoszech, ale to nie stanie na zawadzie i czy Adam, czy ja przez kogo ze znajomych Kassena[1]) dostanę wam list polecający do Prefekta w Marsylii, którego użyjecie, jeśli będzie tego potrzeba, nie sądzę jednakże, aby sam ten list wyciągnął was z kłopotu i dlatego na nim nie poprzestaję. Jest w Marsylii niejaki pan Toulouzan, profesor, półuczony, pół-filantrop, pół-liberalista, znajomy dobrze Kassenowi. Pamiętam, że gdy byłem u niego, ofiarował mi się wyrobić paszport do Grecyi, Turcyi, i gdzie zechcę, będziecie więc i do niego mieli kilka słów polecających; ale nie dość na tem, przybyła od kilku tygodni do Paryża, jedna dama, znajoma mi z Marsylii, rodem Włoszka, która mnie chorego codzień prawie odwiedza. Owoż jej, jako świadomej, pytałem o radę, nie wymieniając waszych na-

[1]) Cassin, wielki przyjaciel Polaków, generalny agent komitetu centralnego francusko-polskiego. Ob. Pamiętniki Ign. Domejki (1831—1838) str. 144 i 157 a także L. Gadon. Emigracya polska. T. II, str. 10.

zwisk i obiecała mi dać wam list do swego synowca, mieszkającego w Marsylii, gdzie jest adwokatem, i uręczyła, że znając usłużną chęć i ruchawość swego synowca, pewną jest, że on i najlepiej wam w tem potrafi zaradzić i pomoże do dostania paszportu i przez swoje znajomości zapozna was z Prefektem i z osobami, które wam będą przydatne. Proszę więc was, abyście pisali do mnie natychmiast, bądź przed odjazdem z Molsheim, bądź z drogi, dając mi adres, pod którym te listy mógłbym wam przesłać i dalej się z wami w tym interesie znosić«.

Następnie udzielał Zaleskim, a w szczególności Józefowi, rad opartych na własnem doświadczeniu, a zatwierdzonych przez Mickiewicza. »Ponieważ ani można myśleć o otrzymaniu paszportu z nazwiskiem polskiem, wziąść więc w Marsylii paszport fałszywy, najlepiej jako *commis-voyageur*, i o tem uwiadomić Prefekta, jeżeli on jest z rzędu ludzi nierygorystów i nietchórzów, w razie przeciwnym, wszystko robić tajemnie i tak urządzić, aby się władze na miesięcznej, czy dwumiesięcznej, niebytności Józefa nie spostrzegły. Paszport łatwiej jeszcze wyrobić w Marsylii jak w Paryżu, ponieważ bawiący tam konsulowie państw włoskich nie tak są trudni w wizowaniu, jak ambasadorowie w Paryżu. Pamiętać zaś należy nadewszystko, aby wszystkie formalności były dopełnione i aby wszyscy konsulowie, a nawet austryacki, swoje pieczęci przyłożyli. Za przybyciem do Marsylii dowiecie się, w jakim stanie jest w zimie żegluga okrętami parowemi na morzu Śródziemnem i jeśli tylko statki chodzą, lepiej daleko udać się morzem, jak lądem, bo i prędzej, i taniej, i wygodniej, i unika się kilkakrotnego codzień wizowania paszportów po małych mieścinach i wioskach włoskich. Najlepiejby było i najbezpieczniej ruszyć wprost do Malty, gdzie w dni 6 lub 7 można zapłynąć. Jeśliby jednak temu co stało na zawadzie, ponieważ macie wolny wybór, przeznaczcie za punkt zjechania się

Rzym lub Florencyę raczej, jak Neapol, gdzie więcej jeszcze robią trudności podróżnym, jak w innych państwach włoskich i gdzie teraz z powodu cholery trzeba pewnie będzie odbywać długą i ścisłą kwarantannę«.

I na tem nie poprzestawał Wodziński w swojej troskliwości o los przyjaciół, wybierających się do Włoch i obiecywał im dalsze instrukcye. »Jedźcie więc w imię Boskie do Marsylii, poznajcie się z ludźmi, do których wam listy poszlę i postanówcie ostatecznie, co macie zrobić. Jak tylko mnie o tem zawiadomicie, napiszę do Józefa obszernie z instrukcyą szczegółową, którędy ma jechać i jak postępować w swojej podróży, a ponieważ przejechałem niedawno całe Włochy wzdłuż i wszerz z fałszywym paszportem i nie bardzo naładowaną kieszenią, mogę więc go uręczyć, że moja instrukcya oszczędzi mu wiele niesmaków, strachu i grosza«. Zastanawiał się i nad tem, co zrobić należy, jeżeli się im nie uda dostać paszportu w Marsylii, t. j. gdzie urządzić spotkanie z rodziną i do tego uznawał za najodpowiedniejsze miejsce Nizzę; wreszcie zapewniał, że o ich zamiarach nikt się w Paryżu nie dowie. »Nie lękaj się o tajemnicę, pewnie nic z ust moich nie wyjdzie, Adama także prosiłem, aby nic nie wspominał nikomu«.

Ten list długi, cały zajęty sprawą podróży Zaleskich, pisał człowiek, śmiertelnie chory, któremu się już niewiele na tym świecie należało, ale który mimoto z największą troskliwością roztaczał z daleka opiekę nad przyjaciółmi; była to zapłata za jedyny skarb, jaki, obok religii, na wygnaniu posiadał: za serdeczną przyjaźń. Dopiero pod sam koniec listu uwiadamiał Zaleskich o stanie swego zdrowia. »List ten, mój kochany Bohdanie, piszę do was z łóżka, z którego od trzech tygodni podnieść się nie mogę. W kilka dni po moim ostatnim liście poszedłem w słotny ranek za interesem do Kassenów i u nich tak nagły rzucił mi się krwiotok, że dni dziesięć leżałem bez

sił i prawie bez pamięci. Przez ten cały czas lód kawałkami i po łyżeczce orszady przez dwie godzin[y] było całym moim pokarmem. Nigdy jeszcze nie czułem się tak blizko grobu; od dni kilku zaczynam przychodzić do siebie, ale siły ciągle bardzo mało i wywinął się przykry i ciągły kaszel, którego nie wiem jaki będzie koniec... Wszyscy, co mnie otaczają, więcej mają o mnie nadziei, niż ja sam, może dlatego, żem bardzo osłabiony. Zdaje mi się, jak gdybym wypadł z łodzi życia w spokojne jakieś morze, na brzegu widzę dom, daleką rodzinę, przyjaciół i to wszystko, co kochałem, i serce moje żywszą jeszcze gore miłością, jak przedtem, i dobywam ostatnich sił, aby do nich dopłynąć, ale wśród moich usiłowań słabnę i znużone usta zaledwie mogą wymówić modlitwę, proszącą Boga, abym myśląc o nim zasnął i nie zbudził się aż w niebie«. Liryzm tego obrazu ma coś w sobie z muzyki Chopinowskiej, która tyle razy wchłaniała w siebie cierpienia i nastroje najszlachetniejszej części wychodźtwa polskiego. I jak głos rozpaczy Ludwika Żwierkowskiego przytoczony wyżej (w III rozdziale) przebija się nam z burzy polonezów Chopina, tak ten głos Wodzińskiego — najwyższej rezygnacyi połączonej z miłością — dolatuje ku nam z Impromptus genialnego muzyka — emigranta [1]).

Z Molsheim wyjechali Zalescy pod sam koniec grudnia i wigilię Nowego Roku 1837 spędzili w drodze, »śród straszliwego zimna, w lichej karczemce w Valence«, skąd Bohdan wyprawił kilka słów do Wodzińskiego, zapraszając go z wiosną do siebie na południe i wróżąc mu tam powrót do zdrowia. »Z pierwszą jaskółką wyglądam cię w Marsylii. Będziesz zdrów tu w Prowancyi

[1]) Mam tu w szczególności na myśli polonez Cis moll op. 26 i Fantaisie — Impromptu op. 66.

i z nami« [1]. W dziesięć dni potem pisał już obszerniej do przyjaciela z Marsylii, klnąc »trubadurską Prowancyę«, która go przywitała chłodem, deszczem, fluxyą i bólem zębów. Chłód i wilgcć straszliwa, głowa ciągle w deszczu, a nogi w błocie. W domu jeszcze trudniej usiedzieć, bo ani podłogi, ni pieca, a drewka na kominie droższe niż cynamon«. Tembardziej pragnął wydostać się z żydowskiego hoteliku, w którym stanął, i urządzić się we własnem mieszkaniu »tanio i wygodnie«, a że tego bez znajomości z miejscowymi ludźmi trudno było dokonać, więc postanowił korzystać z proponowanej mu przez przyjaciela pomocy, t. j. listów polecających jego i jakiejś marsylskiej Włoszki. »Twoje listy wielce nam będą pożyteczne. Znasz tutejsze bastydy, t. j. niezliczone wiejskie domki, które każdy, kto żyw, posiada. Życzę sobie z duszy osiąść na kilka miesięcy na takiem gdzie ustroniu, zwłaszcza jeśli Józef wyruszy dalej. Tym tylko sposobem mógłbym skończyć prędzej przerwane dawne prace, a które mi kamieniem ciężą na sercu. Kochany Karolu, proś na wszystko twojej Marsylki, aby nas poleciła jakiej poczciwej babie bastydzkiej, nb. babie, którаby mię chciała wziąć na pensyę, bo inaczej zagłodziłbym się na pustkowiu. Interes jak największej dla mnie wagi i błogosławię zawczasu twoją znajomą, jeśli mi w tem usłuży. Tandem tedy zostaniemy na dzisiejszej kwaterze aż do końca stycznia, a ty się krzątaj żwawo i żarliwie, abym ku wiośnie mógł cię powitać na wsi, a więc z promieniącem artystowskiem obliczem« [2].

Z tego listu widać, że jak dla Józefa głównym celem usadowienia się nad morzem pod Marsylią było zobaczenie się z rodziną, przybywającą do Włoch, tak dla Bohdana — dokończenie *Złotej Dumy*, która w znacznej

---

[1]) Korr. J. B. Z., I 99.
[2]) Tamże, I 100.

części już wcielona w słowo, dopominała się o dalsze wcielanie. Co się tyczy ustronnego i wygodnego usadowienia się nad morzem, zdaje się, że nastąpiło ono prędzej, niż się poeta spodziewał, bo już w liście z 27 stycznia Różycki winszował im »nowej zaciszy, którą chwalicie«. Tem zaciszem była wioska Endoume pod Marsylią.

Około tego czasu już rodzina Józefa Zaleskiego znajdowała się we Florencyi i stamtąd porozumiewała się z majorem i czekała na jego przyjazd, ale w tem porozumiewaniu się zachodziły różne »bałamuctwa«, nie łatwo też było wszelkie paszportowe trudności usunąć, więc przyjazd się odwlekał. Pani Felicya Iwanowska, matka »Jedynej-Bezimiennej«, która wiele od córki musiała słyszeć o Bohdanie, bardzo pragnęła go poznać i w listach do brata zapraszała go do siebie, do Włoch, ale Bohdan nieskory był do robienia nowych znajomości, choćby tak interesujących, jaką niewątpliwie musiała być dla niego znajomość z matką tej, która się stała dla niego Beatryczą. Więc wymawiał się od towarzyszenia majorowi, między innemi rzeczami i tem, że jest chory. Pani Iwanowska nie śmiała zbyt natarczywie nalegać na nieznanego jeszcze osobiście przyjaciela brata, jednakże napisała list wprost do niego z bardzo czułą zachętą do przyjazdu. »Wiadomość z listu Józefa powzięta o słabości twej, Panie, żywo mnie dotknęła, współbolałam z Tobą, Panie, i z biednym moim Józefem, któregoś się stał opatrznością serca. Bogu dzięki, że moje obawy w tej mierze były próżne, żeś zdrów, ale smutno mi, że cię, Panie, nie poznam teraz osobiście; już w sobie układałam, jak ci mój dom, moją rodzinę za własną nadać, jak ci dać nawyknienie do niej, abyś ją potem mile w pamięci chował. Bóg świadkiem, nie przez próżność dla siebie, żeś wyższy, żeś światu znany — ale dlatego, żeby choć ubocznem, choć drobnem źródełkiem przyjemność wpłynęła do twego serca, jak sam powiadasz, do duszy samotnika.

Bylibyśmy cię, prawda, pieścili, kochali, gdyby można, psuli. Byłbyś nas zato kochał. Prawda? nie jesteśmy sobie cudzy; czego chcesz i żądasz, o to i ja Boga proszę. Jesteś wszystkim teraz dla brata mego, byłeś przyjacielem Julka[1]), ile praw do tego, abym Ci wdzięczną była, abym Cię kochała«.

I w dalszym ciągu listu, skarżąc się na »bałamuctwo« jakiegoś pośrednika w doręczeniu listu Józefowi, prosiła Bohdana: »niech mi go Pan przysyła (Józefa), i jeśli można, sam przybywa; i tu spokojny kącik znajdzie się do pisania i chwilka dystrakcyi«[2]).

Bohdan jednak i tym listem nie dał się pociągnąć do tego, aby towarzyszyć Józefowi. Nie brakło mu zapewne ochoty, aby zobaczyć piękne Włochy i nieznaną rodzinę swojej ukochanej, ale najlżejsza obawa, iż może być natrętnym świadkiem rodzinnych wynurzeń ludzi, dotąd mu nieznanych, zdolna go była powstrzymać od tego; chodziło naturalnie najwięcej o pierwsze chwile po przyjeździe. Więc Józef sam pojechał, ale z obietnicą, że Bohdan później nadjedzie. Już 4 marca znalazł się major wśród rodziny we Florencyi i w trzy dni potem z rozkoszą opisywał Bohdanowi pierwsze wrażenia spotkania się po kilku latach niewidzenia z ukochanymi: z żoną (z którą ostatni raz widział się pokryjomu przed dwoma laty w Ems), z synem, z siostrą i jej młodszemi dziećmi. A następnie naglił Bohdana o przyjazd. »Teraz, mój drogi Bohdanie, ciebie nam tutaj brakuje. Jednogłośne życzenia, jednogłośna do ciebie prośba: przyjedź, przyjedź. Przyjedź, mój drogi Bohdanie, zobaczyć moich serdecznych jedynaków, moją jedyną matkę, opiekunkę mojego jedynaka Frania i miłe najpoczciwsze dzieci Fe-

---

[1]) Drugiego brata pani Iwanowskiej, który pod wpływem melancholii zastrzelił się w Warszawie 1825 r.

[2]) List z Florencyi 8 lutego 1837.

luni, które ty tak pieścić, tak kochać umiesz, kiedy sobie czasem o rodzinie mówimy. Bóg wie, mój drogi Bohdanie, jak prędko znowu zobaczemy się z niemi! Pójdźmyż skorzystać z tych pieszczot rodzinnych, które nam Bóg łaskawie nadarza. Wszyscy cię z niecierpliwością wyglądamy tutaj, a jak przybędziesz, wszyscy cię kochać i pieścić będziemy«[1]). Donosił zarazem, że poznał się z Montalembertem i prosił go o list rekomendacyjny dla poety, który Montalembert obiecał zaraz przysłać.

Do listu brata przypisywała się i pani Iwanowska i już śmielej, a jeszcze serdeczniej zapraszała Bohdana do siebie. »Niezmiernie mnie Józef ucieszył nadzieją, że kochanego Pana w gronku naszem ujrzemy. Chciałabym, aby ten list ptakiem doleciał do niego, aby wyjazd jego przyśpieszył, bo ja już niewiele czasu mam we Włoszech zostawać. Przybywajże kochany, jużby ja rada po prostu powiedzieć Bohdanie, gdybym się nie bała sprofanować tą poufałością wyższości jego nad tylu, a cóż dopiero nademną. Prawdziwie, że choć ja go i kocham i wielce ważę, boję się go troszeczkę, bo ja taka maluczka i fizycznie i umysłowie, tylko ja wiem, że w sercu twojem jest mleko dla słabych; przybywaj, przybywaj, kochany, dobry nasz bracie«.

Tak jeszcze przed osobistem poznaniem się Bohdana z rodziną Józefa, zaliczała go ona, przynajmniej w osobie najpoważniejszej przedstawicielki swojej, pani Iwanowskiej, do swoich najbliższych, pomimo iż łączyła go z tą rodziną tylko wspólność nazwiska i jakieś bardzo dalekie pokrewieństwo. W ten sposób znajdował Bohdan w tej obcej rodzinie to, czego dzięki różnym przeszkodom, materyalnym i umysłowym, nie mógł był znaleźć we własnej, t. j. pełnię rodzinnego ciepła, głębokie, czułe przywiązanie, połączone ze zrozumieniem jego wyższości

---

[1] List z Florencyi 7 marca 1837.

umysłowej i moralnej i z czcią stąd wypływającą. Cóż było tajemnicą tej miłości, którą umiał wzbudzić dla siebie jeszcze na ławach szkolnych, potem wśród grona kolegów-literatów w Warszawie, potem jeszcze silniej i mocniej w życiu tułaczem, wśród powszechnego gryzienia się i ujadania emigracyi, którą wreszcie znalazł w tej rodzinie? Nie była to ani olśniewająca wymowa, ani świetność pomysłów, ani wysoki polot myśli; tym czarem, który pociągał ku niemu serca i zatrzymywał je przy nim, był harmonijny nastrój duszy, w którym prostota, dobroć, czułość, szczerość, poczucie piękna i śpiewność duszy wiązały się w akord doskonały.

We dwa tygodnie po tem, jak go wzywali do co najprędszego przyjazdu Józef i p. Iwanowska, znalazł się już Bohdan we Florencyi i powitany był z uniesieniem radości przez oczekujących, w szczególności przez p. Iwanowską, a osobisty stosunek, jaki się wówczas zawiązał między poetą a matką jego ukochanej, stosunek najczulszego przywiązania, przetrwał całe dziesiątki lat, aż do grobowej deski i był jedynym w swoim rodzaju. Jeszcze przed poznaniem Bohdana kochała go p. Iwanowska, jako poetę, który tak pięknie śpiewał o wspólnych stronach rodzinnych, jako przyjaciela dawno zmarłego brata Juliana, i żyjącego brata Józefa, jako wreszcie tego, który w jej córce znalazł ideał swoich marzeń, bo serce matki umiało to przeczuć, jak przeczuwało i uczucia córki dla poety, i umiało im pobłażać. Osobista znajomość wzmogła i utrwaliła uwielbienie i miłość p. Iwanowskiej dla Bohdana, miłość, w której było coś macierzyńskiego, coś siostrzanego i coś może z niewyczerpanych jeszcze uczuć pierwszej młodości o kolorycie romantycznym, a nastrój religijny, jaki wówczas ogarniał poetę, jeszcze większy w jej oczach nadawał urok jego postaci.

Dla Bohdana tych dziesięć tygodni spędzonych we Włoszech, przeważnie we Florencyi i w Rzymie, w wio-

sennej porze, wśród pięknych widoków przyrody i arcydzieł sztuki, w wygodzie i dostatku, a co najważniejsza w otoczeniu, które go obejmowało najczulszą miłością — było jakby rozkosznym snem na jawie. Nie było tam wprawdzie jego *Jedynej - Bezimiennej*, ale ci wszyscy, co z nim byli, znali ją, mówili o niej, kochali ją, inaczej niż on, ale także z całego serca. On ją widział we wszystkich oczach, we wszystkich wspomnieniach, czuł ją we wszystkich uściskach i pieszczotach, jakiemi go obsypywano. A z tym niewidzialnym obrazem ukochanej zlewał się w jedno obraz tej idealnej Ukrainy, do której od tylu lat już tęsknił, którą od tylu lat opiewał i tak niedawno jeszcze uczcił w *Duchu od stepu*, jako najczulszą matkę, jako tę, której zawdzięczał natchnienie. I zdawać mu się mogło, że ta pani Iwanowska, przybywająca z dworem swoim, z całą atmosferą ukraińską z jego stron rodzinnych, jest jakby wysłana przez tę matkę, aby mu podziękować w jej imieniu, ukochać i upieścić za miłość synowską.

Rozkoszne wrażenia z tego epizodu życia swego streścił poeta krótko, ale wymownie w liście do Wodzińskiego pisanym 6 czerwca, wkrótce po powrocie do Endoume. »Kochany mój Karolu, pisał, jestem znowu na mojej pustyni, po staremu smutny, cierpiący. Och! bo też spadłem z nieba. I rzeczywiście przeżyłem dziesięć niedziel po rajsku, w rajskiem oczarowaniu i pieszczotach. Com widział, com uczuł, to na wiek cały rozmyślać stanie. Mógłbym ci à la Stern książkę napisać o moich nowych wrażeniach, uczuciach, przygodach. *Mais à quoi bon?* Serdeczne rzeczy niechaj pomnożą skarb moich pamiątek, szczelnie przed światem zamkniony. A potem znasz ty Włochy, *Du kennst das Land!* Widziałeś i marmurowe pałace i marmurową ludność ulic czy galeryi watykańskich. Widziałeś Madony, widziałeś wszystko. Bawiłem miesiąc we Florencyi, miesiąc w Rzymie, resztę czasu w Apeninach i na morzu, w Perugii, w Civita

Vecchia, w Livorno, w Genui, w Nizza i t. p. Byłem w Tivoli, Terni i w mnogich willach rzymskich. Na morzu o małośmy się nie rozbili. Opowiem kiedyś wszystko za widzeniem się. Policya nigdzie nas nie zaczepiała, bośmy jeździli dworno, po pańsku. Przeżyłem więc, jak widzisz, te dziesięć niedziel nieźle. A uściski? a całowania? Uściski i całowania od rana do wieczora i przez dziesięć niedziel! Napieściłem się za całe życie! Prześniłem czas mój na kwiatach rozkosznie. Niechaj będzie Bóg pochwalony. A teraz...

Doppo triompho e palma
Sol qui restano a l'alma
Lutti e lamenti — e lagrimosi lai,
Che più amicizia? che più amore?
Ahi lagrime! ahi dolore« [1])!

O wrażeniach rzymskich poety, o tem, jakiem okiem spoglądał na wieczne miasto, co go tam najwięcej zajmowało, poucza nas jedynie wiersz Bohdana, p. t. *Przechadzka poza Rzymem. Do Hamilkara N.* Wiersz, jak świadczy data położona pod nim w pierwszem wydaniu[2]), napisany był w maju 1837 r., a więc bezpośrednio po owych wrażeniach, zapewne jeszcze w samym Rzymie, a przynajmniej przed rozstaniem się z p. Iwanowską i owym Hamilkarem N., pod którym to pseudonimem ukrył poeta jej »czarnego i brodatego« towarzysza podróży i zapewne opiekuna zdrowia, Aleksandra Stankiewicza, doktora z Chmielnika na Podolu. Z nim to zwiedzał ważniejsze osobliwości Rzymu, z nim puszczał się i w okolice wiecznego miasta, i jakby przez wdzięczność zato, wprowadził go wraz z sobą do poematu.

Cóż go w samym Rzymie najbardziej uderzyło, za-

---

[1]) Wygląda to, jak wyjątek z jakiejś canzony Petrarki, jednakże w canzonach tego poety nie znalazłem odpowiedniego ustępu i nie wiem, skąd Zaleski wziął te wiersze.

[2]) Poezija Bohdana Zaleskiego. Paryż 1841, str. 89—100.

jęło uwagę i odzwierciedliło się w poemacie? Dwie tylko rzeczy: posąg Konającego Gladyatora i Colosseum. Słowacki w VIII pieśni *Beniowskiego* pogardliwie litował się nad Bohdanem i wyśmiewał się z niego, że on tak mało rzeczy, godnych uwiecznienia w swojej *Przechadzce*, znalazł w Rzymie[1]) i miał dziwne pretensye do niego, że nie zachwycał się łożami Rafaela, które jego, Słowackiego, w taki zachwyt wprawiały, i że ośmielił się sympatycznie przedstawić jakiegoś mnicha, każącego w Colosseum, zamiast go odmalować, jako »hyenę« lub »brudnego czarta«[2]). Ale Zaleski nie myślał w swoim poemacie dawać obrazu Rzymu, tylko obraz swojej duszy w zetknięciu z tym nowym dla siebie światem, znanym mu dotychczas tylko ze sławy, ze słyszenia. Dusza jego pełna była jeszcze *Ducha od stepu*, przejęta jego nastrojem i szukała w Rzymie tego, co temu nastrojowi odpowiadało. Gladyator poruszył jego sympatye słowiańskie, które i w *Duchu od stepu* uwydatniły się w idealnym obrazie przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny i stąd wypłynął pełen energii ustęp:

Wciąż — na piersiach mnie dusi wczorajsza ta zmora:
Bystro w *Konającego* twarz *Gladyatora*
Patrzałem, aż mi żyła w skroń nabiegła sina,
I w krwi całej zagrało hura! Słowianina,
Zamierzchłych gdzieś stuleci brat ożył w posągu,
Jęknął — co czuł i cierpiał w żałosnych dni ciągu;
I gdziem się potem ruszył — w przeświętych pieczarach,
W krużgankach kapitolskich — odtąd wciąż na marach
Sunął się Gladyator — a noc straszna taka,
Jakbym w tarcze pogrzmiewał na godach Spartaka ...

---

[1]) O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na toż to przysłał Bóg Atyli Syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry? i t. d.

[2]) 12 wierszy Słowackiego w VIII pieśni *Beniowskiego*, począwszy od słów: »Dzisiaj (widziałem sam biedny wygnaniec)« są

Ustęp ten szczególnie trafił do serca pani Dyonizyi, jak to widać z jej listu, o którym później będzie mowa, tylko ona w konającym gladyatorze widziała nie Słowianina wyłącznie, ale »odwieczny symbol ludzkości«. Co się tyczy ruin Colosseum, z zatkniętym pośród nich krzyżem drewnianym, pociągały one serce i wyobraźnię poety, jako świadectwo tryumfu ducha nad materyą, wiary chrześcijańskiej nad pychą Cezarów, i jako wróżba szczęśliwa dla narodu polskiego:

Pomimo zgrozy, lubość jakaś igra w łonie,
O! ludożerców naszych takaż noc pochłonie[1]).

Jak Słowacki miał pretensye do Bohdana, że ten w swoim rzymskim poemacie nie złożył hołdu Rafaelowi, tak znów Krasiński zżymał się i aż się skręcał ze zgorszenia po przeczytaniu krótkiego ustępu poświęconego Colosseum. W liście do swojej Beatryczy, pani Delfiny Potockiej, pisał z Monachium (19 lutego): »Zaleskiego wiersze, zdaniem mojem, obrzydliwe! »Jatki, młockarnie, źwierzęcarnie, klatki, Bernardyn« (były to oderwane wyrazy wzięte z opisu Colosseum) i to wszystko«! I pomimo »niesłychanego harcowania krwi w mózgu«, na które się skarżył, nie mógł wytrzymać, aby swojej Didysz nie pokazać, jakby to on mógł pięknie, nieporównanie piękniej od Zaleskiego, zaśpiewać o Colosseum; po tym zaś popisie tryumfująco zwracał się do autora *Ducha od stepu* z taka apostrofą:

O Gęślarzu! gdy młockarnie,
Jatki, klatki, szczwalnie, psiarnie
W Colosseum duch twój myśli,
Piszże źwięźlej i nudź ściślej[2]).

---

niewątpliwie wywołane wierszem Zaleskiego w *Przechadzce:* »Lubię młodego mnicha zakonu Bernarda«.

[1]) Ten ostatni wiersz w petersburskiem zbiorowem wydaniu poezyi Bohdana, jak i wiele innych podobnych, cenzura rosyjska wykreśliła.

[2]) Przegląd Polski z lutego 1912 str. 186—188. Notabene wy-

Nie przytaczam dalszych trzech wierszy, które były jeszcze bardziej impertynenckie, a chcę tylko zaznaczyć, że nikt bardziej od Krasińskiego nie miał prawa wzywać innych poetów do zwięzłości i gorszyć się takiemi nowotworami, jak wyraz »źwierzęcarnie«. Jakże niewinnym był ten nowotwór wobec takich potworków, jak np. »przeołtarzyć«, »wyarcydziełować« i wielu innych podobnych, używanych przez autora *Niedokończonego poematu*.

Zresztą poeta w samym tytule zaznaczył, że mu nie o Rzym chodzi, tylko o jego okolicę. Znając naturę Bohdana, łatwo przypuścić, że rozstrzelenie uwagi na wszystkie strony, które wywoływał nawał pamiątek, arcydzieł rzeźby, architektury, malarstwa, przygniatająco działał na niego i że rad był się wyrwać z murów miasta, aby odnaleźć upragnioną zawsze przez siebie samotność i ciszę a w tej ciszy — samego siebie, zatraconego wśród nawału wrażeń. Bo i krajobraz w *Przechadzce poza Rzymem* nie odgrywa głównej roli. W kilku zalewie rysach, spokojnych a wdzięcznych, odwzorowana jest rzymska Kampania, a syntezą ich

Coś wdowiego w pojrzeniu, a uśmiech wesoły.

Wspomnienia czasów szkolnych, szkolnego uwielbienia dla Horacego, który pod palcami studentów hu-

---

razu »młockarnie« nie było w ustępie, który się tak nie podobał Krasińskiemu; dodał on go sam dla ośmieszenia Bogu ducha winnego poety przed swoją Beatryczą. Oto jak brzmiał ten ustęp:

W krąg klatki:
Szczwalnia na chrześcijany! wielkich panów jatki:
Wojują z wiarą świętą. Pokonaliż ducha?
Spytajmy wiatru, o czem w przysionkach tam dmucha...
Oto krzyż ubożuchny, niepyszny, drewniany,
Króluje w Colosseum, a sprośne pogany,
Ich cezary, tygrysy, lwy i źwierzęcarnie,
Jak plewy po wymłocie, rozwiały się marnie.

mańskich tyle razy był dręczony, pociągnęło go ku Tivoli, ale nie po to, aby tam szukać śladów pierwszego swego mistrza w poezyi, ale żeby znaleźć samotność, ażeby rzucić tylko okiem na Rzym daleki i następnie oddać się samotnym dumaniom. Ażeby to uczynić z zupełną swobodą, rozstał się nawet na chwilę ze swoim towaszem, Hamilkarem-Stankiewiczem, i dopiero gdy sam został, zaczął dumać. O czem? O wielkości Rzymu? o tysiącach przemian, którym ulegał? o jego znaczeniu powszechno-dziejowem? Nie, myślał o Polsce i to Polsce dzisiejszej, i o swojej roli, jako poety, jako twórcy *Ducha od stepu,* wobec tej Polski. Do wypowiedzenia tych myśli posłużyła mu fikcya: rozmowa z Janem Kochanowskim, przyczem wywołana wyobraźnią postać mistrza czarnoleskiego tak go żywo zajęła, że poświęcił mu nieproporcyonalnie obszerny ustęp, podając bardzo plastyczną jego charakterystykę. Ale nie o to mu głównie chodziło; jądrem rzeczy jest to, co dzisiejszy poeta mówi dawnemu o Polsce dzisiejszej. Smutne czasy:

W Rzeczypospolitej naszej — co się tam nie dzieje?
Opustoszyli Pańską winnicę złodzieje!

To klęski zewnętrzne, a mimo tego:

darmo głos Anioła
»Kajcie się, korzcie w prochu!« nieustannie woła,
Zamierzchła jasność w duszach. I Pycha złośnica
Ku wszelakim krewkościom upał w nas podsyca.
Rokoszanom w zakonie Pan nie błogosławi,
Bowiem na śmieciach wieku stoimy plugawi...
. . . .
Więc jak trzciny pod nogi pójdziem, na rogoże.

Lecz jest pociecha w końcu. Czas pokuty nie jest wieczny; »wstanie« już »wstaje dzień zwycięski«.

Chrześcijańsko już w domach. Młódź rześka i żywa,
Nowi żeńcy, modlitwą krzepią się na żniwa.
Błogosławieni wierni! Pan Ojcem w dobroci,
Nawiedza miłościwiej, kogo posieroci;

Obietnicę Baranka dla nich On uiści,
Otrząśnie świat z pod białej, zamroźnej okiści,
Aż się im rozzieleni, rozkwieci, rozwiośni!

Rozesłańcy zamorscy, ptaszkowie radośni,
Uweselą nam pola w niewolącej nucie,
A bohaterskie, wielkie narodu uczucie,
Natchnie nowego wieszcza pokoleniom nowym,
Który dźwiękiem przeczystym, strojnym, Bojanowym,
Uczci pamięć o! Janie, i twoją i Reja.
Treść pieśni jego: Wiara, Miłość, i Nadzieja;
A jako święty zasiew, tak będzie plon żyzny
Dla Polszczy, królującej pośród Słowiańszczyzny.

W przytoczonych ustępach poeta naprzód wypowiadał, już bez osłon poetyckich, to, co obrazowo przedstawił w *Duchu od stepu*, w zamieci poronieńców, upadek religijności w polskiem społeczeństwie, przedewszystkiem w emigracyi polskiej; a potem wiarę, że wskrzeszenie religijności w sercach polskich, którego już początki widział śród swoich przyjaciół, poprowadzi do »dnia zwycięskiego«, do odrodzenia i wybawienia narodu. W tej sprawie poezya odegra wielką rolę. Czy mówiąc o wieszczu, który »przeczystym dźwiękiem« będzie śpiewał Wiarę, Miłość i Nadzieję i natchnie nowym duchem cały naród, miał siebie na myśli? Nie, wyraźnie mówił o wieszczu »nowym«, który ma śpiewać »nowym« pokoleniom. Niewątpliwie, takim wieszczem zostać, było szczytem jego marzeń, ale jeżeli wiara w osiągnięcie tego szczytu dość wyraźnie się przebija z *Ducha od stepu*, tutaj jej nie widać. Poeta spokorniał, co zresztą przystawało jemu, nauczającemu innych o pokorze. Ale sądzę, że były inne jeszcze przyczyny tej rezygnacyi: przypuszczam, że sam widok Rzymu, ogromem swoich wspomnień, tysiącem chwał związanych z jego murami, musiał na poetę oddziaływać w tym kierunku. Na jedną rzecz jeszcze warto zwrócić uwagę: bezpośrednie zetknięcie się z siedzibą

dawnej kultury klasycznej oddziałało na formę i ton poezyi Bohdana, która pod bezpośrednim wpływem wrażeń rzymskich powstała. Jego *Przechadzka*, nie mająca w sobie ani śladu piosenkowej formy, pisana szerokim, spokojnym, klasycznym wierszem trzynastozgłoskowym, który w poezyi polskiej zastępuje miejsce hexametru, jest czemś wyjątkowem, jedynem w twórczości Bohdana Zaleskiego.

Kiedy za powrotem do Endoume wraz z Józefem znalazł się w swojej pustelni nadmorskiej, cisza i samotność, które go otoczyły, wydawały mu się tem głębsze, im żywsze były wrażenia dziesięcioniedzielnej wędrówki po Włoszech. Ale było czem tę samotność uprzyjemnić; był skarb świeżych pamiątek i był najwierniejszy przyjaciel, z którym można było w ciągłych wspomnieniach ten różaniec chwil szczęśliwych przesuwać. A przytem zaczęły go niebawem dochodzić listy od pani Iwanowskiej, wracającej na Ukrainę, pisane naprzód we Włoszech, potem w Wiedniu, a z tymi listami zjawiła się i kartka od ukochanej.

Listy p. Iwanowskiej są godne uwagi nietylko dlatego, że pokazują do jakiego stopnia exaltacyi wybujały jej uczucia dla Bohdana, ale i dlatego, że rzucają światło na ówczesny religijny nastrój poety, który objawiał się pewnego rodzaju apostolstwem i udzielał się ukraińskiemu otoczeniu poety na ziemi włoskiej: »Drogi mój Bohdanie, pisała p. Iwanowska wkrótce po rozstaniu się z Zaleskimi z jakiejś małej gospody w Kampanii, dawno nie byłam tak smutna, dawno takiego ciężaru serce moje nie znosiło, jak teraz, od czasu rozstania się naszego. Modlę się i modlę ciągle, jestem z Bogiem nieustannie, i wtenczas mi tylko znośnie, kiedy się modlę. Straszniem nawykła i pokochała mego Bohdana; tak mi z tobą dobrze było, jak niegdyś z świętem życiem młodości mojej, tak za tobą żal, jak za tą przeszłością bez zmazy i tak

po tobie pusto, jak było po wypaleniu się ognia Bożego w łonie. Twoja to dusza udzieliła mi nowej iskierki tego ognia ku nowemu życiu poddania się, pokory i pokuty, pokuty, pokuty i łez do grobu, póki łaska Pańska nie wróci, póki nie przebaczy«.

»Bohdanie, Bohdanie, kto mnie na tej drodze utrzyma? Czy starczą siły? Czy mi się w głowie nie zamąci? Czym warta jeszcze iść Pańską drogą?... Wspieraj mnie, aniele dobry, świętem twojem słowem, jakeś dopomógł duchowi memu do podźwignienia, wesprzyj mnie szczególnie radością, pokojem twoim, a utrzymam się może w nowym rozpoczętym zawodzie. Widziałam cię w różnem uczuciu, są chwile, co mi się na myśl mimowolnie nasuwają i trwoga serce obejmuje. Napisz mi szczerze, jaki jest twój stan, niech znajomość twoja ze mną nie będzie powodem smutku dla ciebie. Oto się najbardziej troszczę«.

»Myśl tylko, żeś był narzędziem Bożem do zasiania w sercu mojem nasienia dobrych postanowień i pokoju, bo pomimo łzy i tęsknoty czuję Ducha św. w sobie«.

Z przytoczonych ustępów widać, że pani Iwanowska przenikała tajemnicę serca Bohdanowego, widać też, że jej uczucia dla poety miały koloryt gorętszy od uczuć przyjaźni, choćby najserdeczniejszej. Był on dla niej objawieniem czegoś, czego dotąd nie znała: skojarzenia głębokiej pobożności z wysoką poetycznością i patryotyzmem, który w religii szuka drogi zbawienia dla narodu. Nie przeszkadzało to jednak jej i w liście »głaskać« go po »główce i włoskach delikatnych« i całować »jak niegdyś po macierzyńsku«. Czułość jej dochodziła do tego stopnia, że na popasie, pisząc listy, a raczej pamiętnik dla niego, kładła jego portret przy sobie, nawet w drodze miewała ten portret przed sobą na kolanach.

W liście z Wenecyi pisała do niego: »...Ani ludzie, ani rzeczy, dziwy sztuki mnie otaczające, nic na chwilę nie

zaciera pamięci twojej, wszystko to powierzchownie przelatuje, do duszy nie sięga; tam mieszkanie, przybytek miłości dla niezmiernie drobniutkiego gronka, tam Bohdan króluje, tam twoja dusza. Co wszystko na świecie naprzeciwko tego, co się ukochało!« I tu było wyznanie bardzo śmiałe, a świadczące, jak wiele do wyexaltowania uczuć w pani Jwanowskiej dla Bohdana przyczynił się jego utwór ostatni: »Jak tyś miał swój żywot skrzydlaty przed żywotem ziemskim, tak ja kiedyś przedmiłosny mój żywot miałam i śniłam i roiłam, co Bóg ziścił w Tobie i co pozwolił mi, jako otuchę, ujrzeć przed końcem«.

Jeżeli p. Iwanowska w listach swoich tak śmiało wypowiadała swoje uczucia dla Bohdana, jeżeli w nich, rzecby można, roztapiała się w uwielbieniu dla poety, to list jej córki przesłany wówczas poecie, za pośrednictwem matki, odezwał się tonem bardziej oględnym, skupionym, bardziej męskim, jakkolwiek i ona uznawała się za uczennicę jego. Matka pisała była z Włoch do córki — łatwo odgadnąć z jakim zachwytem — o wrażeniu, jakiej wywarł na niej poeta, przesłała jej jakąś książkę pobożną od niego i prosiła o pamiątki z Ukrainy dla pustelników endoumskich. Pani Dyonizya w odpowiedzi na to, jeszcze przed wyjazdem matki z Włoch, ale już po rozstaniu się jej z Zaleskimi, przesłała na jej ręce następujący list do Bohdana.

»Jeśli panu tej wiosny zawitała kiedy błoga chwila, pewnie uczucie szczerego dziękczynienia z głębi Ukrainy przez góry i morza znalazło drogę do pana. Święty uczynek chrześcijański, utwierdzenie w męstwie i pocieszenie cierpiącej, ukorzenie, ukołysanie duszy mojej własnej [i] mamci, świętym życzeniem wywdzięczę: niech Pan Bóg błogosławi! Żądanie pana spełniłam wiernie. Pozdrowiłam od wygnańca, zadumanego gdzieś na cudzym brzegu o krwawej sławie naszej, stepy, wiatry czarnomorskie, nasze niebo wschodnie, wysokie, iskrzące. Grudkę ziemi

ukraińskiej dla pana posyłam, dla Józefa trochę trawki na mogile rwanej. Może stęsknione za ojczyzną obu was nad Dniepr przeniosą. Zastalibyście uczennicę zmienioną, poprawioną przykładem świętych. Któremu z dwóch panów winną jestem przysłanie ślicznej książki, gdzie wskazana droga powrotu do Boga, tej bardzo potrzebnej książki dla nas wszystkich, co zachmurzamy narodową przyszłość naszą grzechem nienawiści i dumy? Notatki do historyi ukraińskiej, obiecanej kiedyś, z niecierpliwością czekam, bo ulepianie kamiennego gniazdka (pp. Poniatowscy budowali wówczas murowany dom dla siebie) nie przeszkadza bujaniu po stepach. Do zobaczenia dobry panie, w dalekich, lepszych czasach, pełniejszych życia, bliższych nieba«.

Pani Iwanowska wracała do kraju nietylko natchniona duchem religijnym, ale i z gorącą chęcią szerzenia tego ducha, o ile to w jej mocy było. Jeszcze z Włoch oświadczała Bohdanowi gotowość pieniężnego wspierania wydawnictw w tym kierunku i pytała [1]: »Jak będziecie mieli o czem, czy będziecie wydawać jakie pismo peryodyczne, jakeś mi to wspominał, w duchu religijnym? Czy będziecie je wydawać, skoro przyjdzie na druk sukurs? Potrzebuję pewnej odpowiedzi, jeśli nie możesz w ten moment dać mi tej decyzyi, to oczekuję jej cokolwiek później«. A w liście z Wiednia (14 czerwca) obiecywała krzewić tego ducha i sama, własnym wpływem osobistym. »Chcę się, Bohusiu — pisała — na tej dobrej drodze trzymać i gdzie się zdarzy, robić prozelitów! gdzie kilku w imię Boże, tam Bóg z niemi.« Do tego jej listu przypisywał się Aleksander Stankiewicz, ów doktór z Chmielnika, z którym Bohdan robił wycieczki w okolice Rzymu; otóż i on chciał w przypisku swoim stwierdzić, że i na niego oddziałał ówczesny nastrój

---

[1]) List pisany 29 maja 1837 na popasie w Monte Sedici.

religijny Bohdana i jego nieodłącznego towarzysza Józefa. »Już nieprędko przyjdzie mi spotkać się z takimi, jak wy ludźmi, słuchać mów takich, budować się taką cnotą. Bóg wam niech płaci za te przykłady i za dobro, które na mnie z pożycia z wami spłynęło. Ja tego nigdy nie zmarnuję! A wy bądźcie pewni mojej wdzięczności!«

Gdyby chodziło o jaskrawy przykład, jakim skarbem dla emigracyi, skołatanej, trawionej tęsknotą, próżnią życia, często nędzą i chorobą, był gorący prąd wiary, który wypłynąwszy z serca Mickiewicza, znalazł teraz między innymi gorliwego apostoła w Bohdanie, to najlepszym przykładem takim byłyby ostatnie chwile i śmierć Karola Wodzińskiego. Zalescy, jak wiemy, zapraszali go do siebie, nad brzeg ciepłego morza, ufni, że przy staraniu, jakiem go otoczą i wpływie morskiego powietrza, potrafi on wydobyć się z ciężkiej choroby piersiowej, i jeszcze w ostatnim liście, już po powrocie z Włoch, ponawiał Bohdan to zaproszenie, choć zdaje się, że już mniej wierzył w skuteczność tej podróży. Na ten list odpowiedział Wodziński krótkim obrazem swojej pięciotygodniowej gorączki, która zrobiła z niego »pół szkieleta«, poczem dodawał: »Dotąd jednak nie jestem w łóżku i list ten piszę przy stoliku, a choć często bez spoczynku trudno mi przejść kilka razy przez pokój, wyprowadzają mię czasem do ogrodu Luxemburskiego, od którego mój hotel o kilkanaście kroków, i tam siedzę po parę godzin. Ale co lepsze nad wszystko, to to, że nigdy jak teraz nie było tyle w duszy mojej pokoju i rezygnacyi chrześcijańskiej, a w sercu mojem miłości dla Ojca Niebieskiego i dla tych, których pokochałem na ziemi. Cierpię moje wielkie cierpienia tak cicho, że sam sobie się dziwię, i mam jakąś pewność, że tak będę w ostatnią godzinę... Pochwalone niech będzie na wieki imię Pana, który mnie w takim postawił stanie! W zeszłą niedzielę spowiadałem się i spożyłem chleb Aniołów. Asystował mi Adam (Mickiewicz), poczciwy

Adam, który mnie nie odstępuje. Nie umiem wam powiedzieć, czem on jest dla mnie w ciągu choroby«. Ale choć czuł się tak bliskim śmierci, miewał jeszcze czasami nadzieję, że będzie mógł wyjechać do przyjaciół nad morze. »Przygotowany zupełnie na śmierć, ilekroć mi nadzieja zabłyśnie, myślę o słodkim, słodkim projekcie połączenia się z wami« [1]).

Połączyć się nie mógł, w trzy tygodnie po dacie tego listu, 15 lipca, już nie żył. Przyjaciele paryscy (Eustachy Januszkiewicz i Dyonizy Piotrowski) przesłali zaraz tę smutną wiadomość Zaleskim do Endoume, a wraz z wiadomością wyjątek z jego pożegnania z przyiaciółmi w formie listu do Piotrowskiego, jednego z najściślej i oddawna złączonych z nim przyjaźnią, który czuwał nad nim w przedśmiertnych chwilach: »Ty wiesz, Dyonizy, ile w mojem sercu było miłości dla tych, których kochałem i czciłem; powiedz to Bohdanowi, Adamowi i Józefowi i moim na Wołyniu i moim na ziemi wygnania«.

»Smutno, posępnie zamykaćby było oczy tutaj, daleko od Polskiej ziemi i od mojej biednej, stęsknionej rodziny; ale mi ten smutek rozpierzcha błoga, jasna, niezachwiana wiara w Boga i przyszłe lepsze życie, obiecane i kupione przez Zbawiciela Chrystusa. Od chwili, jak ta wiara spłynęła z nieba ku mnie, dusza moja i serce napełniły się nieznanym dotąd pokojem, rezygnacyą i nadzieją. Ta wiara świeciła, jak gwiazda przewodniczka ciemnym dniom tułactwa mojego i z nią da Bóg zstąpię cicho na łoże wiecznego spoczynku. Nigdym więcej, jak teraz, nie kochał Boga, ludzi, Ojczyzny, rodziny i przyjaciół... Żegnam cię, mój drogi Dyonizy, polecam cię Bogu, proszę, abyś się za mnie modlił — jeśli ci on dar modlitwy ześle« [2]).

---

[1]) List z Paryża 22 czerwca 1837.

[2]) List Eust. Januszkiewicza do Zaleskich z Paryża 15 lipca 1837 r.

Śmierć Wodzińskiego dla Zaleskich, którzy go tak bardzo kochali, choć przewidziana, była smutnym wypadkiem i na jakiś czas rzuciła cień żałoby na ich pustelnicze życie nad morzem, a jego słowa przedśmiertne, jakby z zagrobu przychodzące, zdolne były jeszcze wyżej podnieść nastrój religijny poety. Ten nastrój jednak nie zaraz po powrocie Zaleskich do Endoume znalazł wyraz w poezyi Bohdana. Główną troską jego było, gdy wracał do tej wioski prowanckiej, czy będzie mógł tam snuć dalej urwaną przed dziesięciu miesiącami nić *Złotej Dumy*, czy wróci zapał, z jakim pisał ten poemat w Molsheim przed poznaniem swojej *Jedynej?* Ta troska odbiła się i w jednym z listów p. Iwanowskiej z drogi, pisanym w parę dni po rozstaniu się [1]), gdzie w myśl zwierzeń poety kazała mu donieść sobie: »Jak tam Bóg was do Endoume zaprowadzi? Jak pustynię waszą powitacie? Pisz o tem wszystkiem do mnie: czy piszesz w Endoume? czy duch wrócił? czy wróciło wszystko do serca? Ja, choć niegodną moją modlitwą, wzywam Ducha św. dla ciebie, i dopiero spokojną i szczęśliwą będę, gdy się dowiem, że Bohdan mój nie upadł ani chwilowo na siłach, że natchnienie przy samotności przyszło zapełnić pustyńkę jego«.

Ale już nie wystarczała poecie ani samotność, ani cisza dla podjęcia urwanego wątku *Złotej Dumy*. Im bardziej poemat ten zasuwał się w przeszłość, tem trudniej było poecie wzbudzić w sobie dawniejszy zapał dla niego. Od chwili, w której go zawiesił, tyle wrażeń głębokich przeorało jego serce; tak martwo wyglądała mu owa fikcyjna Hanka przy wspomnieniu żywej, ukochanej Ukrainki! Może próbował, może silił się poruszyć z miejsca zastrzęgłą na mieliźnie *Złotą Dumę;* nie wiemy tego, ale wiemy, że jej nie zdołał poruszyć, została ona już na mieliźnie na wieki.

---

[1]) W wieczór na noclegu w Lojano 26 maja.

Dla tych to prób może, dla tego pasowania się z muzą, miesiące letnie w Endoume nic nie przyniosły do skarbca jego poezyi, pomimo, iż miał to, czego pragnął: ciszę, spokój, samotność. Przynajmniej żaden jego utwór nie nosi daty z tych miesięcy. Dopiero we wrześniu przypłynęła wyglądana fala natchnienia, ale nie na to, żeby zruszyć *Złotą Dumę* z mielizny, tylko, aby wywołać z duszy poety kilka pięknych piosnek. Były to: *Zakochana* ze szczegółową datą urodzin 18 września 1837, *Wyjazd bez powrotu* (20 września), *Pochód* (20 września), *Co mi po tem* (30 września), *Spotkanie się gdzieś daleko* (30 września) [1]. Z tych pięciu utworów — rzecz godna uwagi — aż cztery osnute na ludowych motywach ukraińskich, w wielu strofach zupełnie zgodne z tekstem pieśni ludowych, zgodne też całkowicie z ich rytmem i budową stroficzną. Zapewne miał poeta z sobą jakieś zbiory pieśni ruskich, np. Wacława z Oleska, albo wreszcie, jak mamy prawo sądzić z pewnych jego wynurzeń, miał zapas tych pieśni z dawnych czasów w żywej pamięci [2], i pod wpływem odnowionych stosunków z Ukrainą, sięgał do nich i wsłuchiwał się w nie, lubując się w ich tonach, przeważnie smętnych, czasem jaskrawo-ochoczych i wybierając z nich do wyśpiewywania na swoim instrumencie to,

---

[1]) Podaję daty podług własnego wypisu z kartki (papier z winietą Roemer in Badeweiler), zachowanej w papierach poety. W Korespondencyi J. B. Z. wydanej przez syna, V. str. 357 są nieznaczne zmiany w datach: *Zakochana* 13 września, *Wyjazd bez powrotu* 19 września. Tak na kartce wspomnianej, jak i w korespondencyi jest wymieniony jeszcze jeden utwór z datą wrześniową: *Chmielinka* ale utwór to zupełnie nieznany.

[2]) W r. 1840 pisał do Lucyana Siemieńskiego: Wszystkie zbiory pieśni, jakie masz, Maksimowicza, Paulego etc., swój Królo-dworski Rękopis przywieź z sobą. Przyznam ci się, że nic a nic tego nie widziałem, aż mi wstyd, chociaż co do ukraińskich, to ja sam żywa pieśń, pod sercem gdzieś chowam skład inszego rodzaju«. Kor. J. B. Z. I, 173.

co szczególnie zgadzało się z jego nastrojem, z jego sytuacyą. W tym Kozaku, wyjeżdżającym bez powrotu, można przeczuwać jego własne uczucia, szczególnie w strofie, która nie znajduje odpowiedniej w ludowej pieśni:

Kozak żegna kraj swój wiecznie,
  A gdzie w inszej ziemi
Tak miłują się serdecznie,
  Tak tęsknią za swemi.

Echo to świeżych rozstań z ukochanymi z Ukrainy i świeżych tęsknot obopólnych, motyw, z którego urodzi się potem jeden z najpiękniejszych liryków Zaleskiego: *U nas inaczej;* w *Zakochanej* zaś możnaby widzieć obraz pani Dyonizyi, jak się on w czułych marzeniach poety odzwierciedlił:

Wiatr szeleści po topoli,
  Pomiata kaliną,
O! a serce - serce boli,
  Łzy płyną i płyną.
. . . .

Ludziom śmiechy, ludziom dziwy,
  Że szlocham daremnie;
Och! a luby, czarnobrywy,
  Daleko odemnie!

Ni do siebie mnie przygarnie,
  Ni ja go przytulę;
Za Dunajem — tęskni marnie,
  A kocha tak czule!

Rycerski i czuły *Pochód*, dyalog między matką a odjeżdżającym na wojnę synem, jest jakby zastosowany do tych słów cytowanego już listu pani Dyonizyi, gdzie jest mowa o poecie, jako »zadumanym gdzieś na cudzym brzegu o krwawej sławie naszej«, a uczucia matki i dziewczyny znajdują analogię w uczuciach dla Bohdana pani

Iwanowskiej i jej córki. *Co mi potem*, wiersz, przypominający rytmem ulubioną piosnkę ruską: »U susida chata biła«, ale w tonie żywszym i żwawszym, wyglądający nawpół jak dumka, nawpół jak szumka, daje się także zastosować do ówczesnej sytuacyi poety wśród obcej ziemi, obcego języka, obcych zwyczajów, a z tęsknotą do swojej *Jedynej:*

U Wołocha — dziwno trocha,
Dziwny język u Wołocha;
. . . .
I Wołoszki nie bez ale!
Choć niczego każda wcale;
Spuszcza niby czarne oczy,
Ale mrugnij — to poskoczy!

Co mi po tem! Co mi po tem!
Ja tu przybysz pod namiotem;
Wszystko dla mnie wstrętne cudze,
Bo za swoją skróź się nudzę!

Dajże Boże! daj mi proszę,
Rychło rzucić tę Wołoszę;
Daj mi orać swoją niwkę,
Ściskać swoją czarnobrywkę!

Niechno ujrzę Ukrainę,
Raz na zawsze namiot zwinę;
Raz na zawsze jasne czoło,
Będę śpiewał — lecz wesoło.

Wiersz ten, w którym swawolna żywość bierze górę nad elegijnym tonem, był pisany, jak wiemy z notatek poety, 30 września 1837. W dniu tym widocznie jakaś dziarskość młodzieńcza z czasów pisania *Dumki Mazepy* zawiała ku poecie z dalekich błoń przeszłości i nastroiła go swawolnie, a że był szczery i posłuszny natchnieniu, złożył różaniec, z którym się nie rozstawał od czasów pisania *Ducha od stepu* i wziął się do tańca. I do jakiego tańca? Chciałoby się samemu tańczyć, słuchając szumki,

którą tegoż dnia utworzył, a której nadał tytuł: *Spotkanie się gdzieś daleko*. I kogo zaprosił do tańca? Trudno uwierzyć, a jednak tak jest: Beatryczę ukraińską. Stanęła ona wtedy w jego pamięci, nie w tej postaci, nie z tym wyrazem, z jakim powoływała go do zajęcia stanowiska wieszcza, ale z tym wyrazem swawolnej ukraińskiej dziewczyny, jaki z niektórych znanych nam już jej listów wybłyska, a który musiał szczególnie czarować autora *Rusałek*. I z chwilowego nastroju owego dnia wesołego wypłynęła jedna z najdoskonalszych pod względem formy i najwdzięczniejszych pod względem tonu piosnek Zaleskiego, która z motywami ludowemi nie miała nic wspólnego, a jednak z temperamentu swego była nawskróś ukraińską:

Czarnobrewko — rajskie ptaszę,
    Dajno rączkę — w dłoni dłoń!
Spólne gdzieś tam gniazdko nasze,
    Żebyż spólnie lecieć doń!

Rajskie ptasze — czarnobrewko!
    Myśmy swoi — moja — twój,
Oko w oko naprzeciwko,
    Swe pustoty ku mnie strój!

Niech wpatrując się miłośnie
    Wzbudzę w duszy stepu szum;
Niechaj chwilkę jedną pośnię,
    Jakom śnił śród waszych dum!

Ten dziewczęcy twój uśmieszek
    Puść po lipkim wzroku wzdłuż!
Och! osmuknę usty meszek,
    Co ośniadza krasę róż.

Gdzież rozwijał się ten pączek?
    Z jakich milszych znanych ziem?
Z Pobereskich może łączek?
    Skąd? od Bohu? Niechaj wiem!

Zadzwoń śliczną, słodką mową,
Co najmilszą piosnkę znasz!
Wnet odwdzięczę piosnką nową,
Bom na wieki śpiewak wasz!

Nuż do harfy! — Brzęknij próbą!
Będziem roić spólny raj;
Graj mi ową nutę lubą,
Zapomnianą dumkę graj!

Nie chcę dumki — dumka płaczka;
Już ją śpiewam wiele lat!
Graj mi szumkę lub kozaczka,
To wyskoczę sercem w świat!

Czarnobrewa Ukrainka z nad Bohu (nad Bohem leżało gniazdo jej rodzinne Kuryłówka), którą tu poeta odmalował z wdziękiem, przypominającym Monę Lisę Vinci'ego, (Ten dziewczęcy twój uśmieszek — Puść po lipkim wzroku wzdłuż), nie domyślała się wcale tego stanu uczuć Bohdana, który mu pozwolił wygrać taką uroczą szumkę. Swawolny, bardzo świecki nastrój tej szumki byłby dla pani Dyonizyi (gdyby ją wtedy znać mogła) niemałą niespodzianką po religijnych tonach *Ducha od stepu* i *Przechadzki poza Rzymem.* A tymczasem rzecz była zupełnie naturalna. Nasz poeta pod błogim wpływem ciszy i samotności, zapełnionej wspomnieniami świeżo przeżytych, szczęśliwych wrażeń włoskich i nieco dawniejszych i głębszych wrażeń nadreńskich, pod wpływem nieba, morza i słońca Prowancyi, uczuwszy odrodzenie się źródeł natchnienia, powrót dawnej wiosny poetyckiej w duszy, nie mógł iść tylko za głosem muzy religijnej, bo ta była za surową dla niego mistrzynią. Odezwały się w sercu jego dawne słowicze tony, te, dla których był stworzony, w których się najharmonijniej wypowiadała jego dusza, i tych nie mógł skazać na milczenie; pomimo swego wogóle religijnego nastroju, dał im miejsce w swojej poezyi.

Pani Dyonizya o tem jego chwilowem uspokojeniu nie wiedziała, gdy mniej więcej w czasie utworzenia owej ochoczej szumki, pisała list do niego [1]). Wyobrażała go sobie takim, jaki przedstawił się jej w opowiadaniach matki i w listach swoich do matki, które jej były znane: głęboko cierpiący, i to nie tylko z powodu wygnańczego żywota, ale i z powodu nieszczęśliwej miłości, która mu się ukazała jak raj cudowny, aby się zaraz na wieki zamknąć przed nim. Chciała go pokrzepić, natchnąć męstwem, zwrócić myśl jego ku wysokim celom, aby łatwiej mu było znosić utratę szczęścia osobistego. Znała już niewątpliwie jego *Ducha od stepu*, może nawet więcej znała, niż my znamy, to jest z owymi opuszczonymi w druku ustępami, i była niewątpliwie dumną z tego, że miłość poety ku niej, ukryta w tym poemacie, kojarzyła się z wysokim, nieznanym dotąd w poezyi Bohdana polotem, że była zatem jakby tajemną siłą, ten polot wywołującą. Otóż chodziło o to, aby ta siła i nadal tenże skutek wywoływała.

»Mówiła mi mama, że cierpisz« — tak się ten list zaczynał [2]). »Serce moje ściska się na myśl o waszem odosobnieniu, biedni moi wygnańcy, moje dwie dalekie gwiazdki, same jedne, smutne na niebie tak czarnem... Powołuję cię zdaleka, abyś mnie uniósł w twoje sfery, tak wysoko — wysoko, bym jak ty stać się mogła przewodnią gwiazdą lub aniołem pociechy. O! jam istotnie tą chmurką, co ulata zawsze ku niebu, a Bóg ją, zamienioną w łzy, odsyła znów na ziemię. Ale ty, piękna gwiazdo, którą Bóg szczytną drogą wiary, niewinności i zapar-

---

[1]) List nosi datę 27 września 1837, zachodzi tylko wątpliwość, czy data jest podług nowego, czy starego stylu.

[2]) List, pisany po francusku, znany nam, niestety, tylko w przekładzie polskim pani Duchińskiej. Listy Dyonizyi Poniatowskiej, I. 51—53.

cia się samej siebie, powołuje do tak wzniosłych przeznaczeń, ty, za którego głosem pójdą może kiedyś narody, którego czeka tam aureola, dlaczego odwracasz się i płaczesz? Mało na tym świecie łez, innymi później nieokupionych łzami. Czy myślisz, że te łzy nie wpływają [i] na ciebie? Czytałam w jednym z twych listów do matki mojej: »ja płaczę, ale jutro wezmę się znów do pisania i nikt stanu duszy mej nie odgadnie«. Nie słowa przemawiają do drugich, ale raczej stan duszy. Kiedy zgrzeszyłam, choćby nikt okiem nie widział, choćby słowa moje czyste były i święte, jak zawsze, chociażby wypływały z najgłębszego przekonania, one prześlizną się po wierzchu, bo łaska Boża nie będzie ze mną. Kto wybrany od Boga, wolnoż mu ścigać żałosnym wzrokiem złudne uciechy tego świata? Azaliż ma prawo wyciągać rękę do braci chwiejących się, niepewnych drogi swojej, ten, kto płacze za cieniem znikomym?

»Niekiedy popęd ku jakiejś ułudzie wstrząsa mną, gwałtowny, jak burza, i tak samo, jak w burzy, wytężam siły, by nie dać się pociągnąć... i czekam w milczeniu, aż uragan przeminie. Jeśli mnie biednej, słabej kobiecie, skorej do upadku, która pokutuje za własne winy, zanim przyjdzie mi cierpieć w okup za winy drugich, Bóg pozwala niekiedy odtrącić boleść i stanąć spokojnie przed obliczem Jego [1]) i wyrzec: Panie! czuję, że już nie cierpię, On bez wątpienia nie odmówi tego i tobie, którego odział potęgą, abyś jako powolny sługa, pracował pożytecznie nad Jego dziełem. Podnieś więc duszę ku niebiosom siłą głębokiej pokory, nie zaślepiaj się samolubnie, nie przystrajaj złego w sofizmata kłamliwej piękności, bo szatan przybiera często promienistą postać anioła, w szczerości serca twego wyznaj twe obłędy, módl się, aby Bóg

---

[1]) W przekładzie p. Duchińskiej zamiast »Jego« jest »swojem«, ale przypuszczam, że to jest błąd tłumaczenia.

przebaczył ci winy i wolą oswobodzony z wpływów ziemskich, silny uznaniem słabości twojej, jak mówi apostoł, zapatrzony w niebo, z pochodnią Ewangelii w ręku, idź w górę, nie zwracając się ku zewnętrznym ponętom, depcz spokojnie ostre cierniska, aby ci, co idą za tobą, nie cofnęli się z drogi. Wielka misya twoja, wielką masz do spełnienia powinność. Bohdanie, Bohdanie! ja nie jestem twardą, jak głaz, wobec cierpień twoich, rozumiem je, odczuwam; boleję nad niemi. Ale zdradziłabym i ciebie i sumienie własne, gdybym się rozczulała nad duszą twoją, zamiast ukrzepiać ją tą siłą, jaką czerpiemy z góry, gdy oderwiemy się od wszelkich czarodziejstw i ponęt, choćby te nawskroś nas przeniknęły. Ty należysz do braci twoich i do tych, którzy mogą stać się nimi, skoro ich powołasz. Tak, Bohdanie, wszak sam masz to przeczucie, ty powinieneś być, ty będziesz męczennikiem, jak ci wszyscy, którzy dźwigają krzyż Chrystusowy. Ale tyleż jest rodzajów męczeństwa, ile odmiennych misyi, a wytężenie sił własnych w walce przeciwko sobie należy także do nich i częstokroć boleśniejszem jest od krwawego męczeństwa. Chciałabym widzieć cię świętym Bohdanem, a im hojniej Bóg cię uposażył, z tem większą trwogą, tem żarliwiej Go błagam, aby cię ustrzegł od fałszywego kroku, aby nie dał zbłąkać się gwieździe, której zadaniem ukazywać ci drogę pańską.

»Dzięki ci, Bohdanie, za przysyłkę konającego gladyatora [1]), wiecznego symbolu ludzkości. Ja także walczyć będę do ostatniego tchnienia, jeśli łaska nie oddali się odemnie za złe, jakie w życiu popełniłam. Dziękuję ci za

[1]) Możnaby myśleć, że mowa tu o poemacie *Przechadzka za Rzymem*, gdzie jak wiemy, jest ustęp poświęcony gladyatorowi, ale może też Bohdan oprócz tego poematu przesłał pani Dyonizyi przez wracającą jej matkę i jakąś miniaturową kopię tego posągu.

szpilkę, noszę ją codzień; gdy mnie kto zapyta, skąd pochodzi, odpowiadam z dumą: to Bohdan mi ją przysłał.

«Ten list cięży mi, że taki suchy, że brak w nim miłosierdzia. Czy myślisz doprawdy, że ciebie nie rozumiem, że nie mam współczucia dla twoich cierpień? Spojrzyj w głąb duszy mojej, znajdziesz tam modlitwę i błogosławieństwo dla ciebie.

»Siostra twoja w Bogu

Dyonizya«.

Ten list był, mimo woli piszącej, odpowiedzią na miłosną szumkę, której jeszcze pani Dyonizya nie znała, a z woli piszącej — na wszystkie wynurzenia poety, których znów my nie znamy, czy to w listach do matki, czy w odtrąconych wierszach *Ducha od stepu*, czy może gdzieindziej umieszczone. Ale choć ich nie znamy, z odpowiedzi domyślić się możemy: były to skargi na miłość bezlitośną, która do najwyższego napięcia przejmowała duszę poety, a zarazem pozbawiona była wszelkiej nadziei na posiadanie ukochanego przedmiotu. Pani Dyonizya określiła w tym liście wyraźnie stanowisko swoje wobec poety i skarg jego. Dawała mu do zrozumienia, że i ona go kocha i cierpi z tego powodu, ale walczy z tą miłością, którą uważa za grzeszną i chce ją zamienić na uczucie siostrzane, chce być jego »siostrą w Bogu«, idealną towarzyszką jego wysokich natchnień, które mu powinny zastąpić wszystkie ziemskie ponęty i rozkosze. Wskazywała mu drogę *per aspera ad astra*, do świętości, wskazywała mu ją, jako obowiązek człowieka, szczególnie obdarzonego od Boga, w szczególnem, nieszczęśliwem położeniu narodu. Sama, towarzysząc mu zdaleka w tej drodze, chciała być czystą nietylko w uczynkach, ale w myślach i intencyach, i to najbardziej nadawało słowom jej listu ten ton poważny i silny, jaki w nim rozbrzmiewa i zadziwia.

Tak, zadziwia, bo trzeba pamiętać, że to pisała kobieta, ledwie 21 lat licząca, jeszcze przed rokiem gotowa do wyskoków dziecinnej swawoli. O tem, ażeby ktoś w jej bliższem otoczeniu zdolny był oddziaływać na prędkie dojrzewanie jej duszy, nic nie wiemy; matka, o ile ją z listów znamy, takiego wpływu mieć nie mogła. To więc, że stała się taką, jaką się nam okazuje w tym liście, zawdzięczała pani Dyonizya sama sobie, tej pracy wewnętrznej myśli i serca, jaką przebyła w ciągu roku od poznania Bohdana. Jeżeli ten jej obraz porównamy z ubóstwionemi przez innych poetów postaciami niewieściemi, nawet z Marylą, a cóż dopiero z Henryetą, p. Bobrową, p. Delfiną, i t. d. o ileż piękniejszą, szlachetniejszą wyda się nam ona!

Ale czy nie zawiele wymagała od swego wielbiciela, wzywając go, aby został »świętym Bohdanem?«. Niewątpliwie za wiele. Przez czas krótkiej znajomości nie mogła poznać go dobrze, błogo jej było wyobrażać sobie poetę takim, jakim go widzieć pragnęła, jaką sama być chciała. Jeżeli zaś liczyła na wpływ swój na Bohdana, to nie myliła się wcale. Jej list, przytoczony wyżej, znalazł bezpośrednie echo w jego poezyi. Już 17 października (1837) pisał Józef Zaleski do Semenenki i Kajsiewicza, o Bohdanie, że »siedzi na skale wysoko nad morzem, między pokurczonemi sosenkami w altance i tam święte swoje pieśni pisze«. Ten epitet »święte« ze wszystkich utworów Bohdana, które pochodzą z tych czasów, daje się, jeżeli nie wyłącznie, to najlepiej zastosować do wiersza *Sam z pieśnią*, o którym sam podał wiadomość, w pierwszem jego wydaniu, że pisany był »w Endoume nad morzem Śródziemnem w październiku 1837 r.« [1]. Otóż w tym utworze, jak mamy zupełne prawo przypuszczać, odbił się natychmiastowy wpływ listu pani Dyonizyi.

---

[1]) Poezija Bohd. Zaleskiego. Paryż 1841 str. 125.

Kazała mu ona patrzeć w niebo i z pochodnią ewanielii w ręku iść w górę, nie zwracając się ku zewnętrznym ponętom, to jest kazała mu dalej iść tą drogą, na którą on już był wstąpił w *Duchu od stepu*, zakreślała więc, podobnie coś jak Zoryna w *Rusałkach*, krąg czarodziejski w koło niego, tylko nie na ziemi, nie na trawie, nie nóżką tanecznicy, ale na niebie, wzniesioną dłonią anioła przewodnika. I poeta, zelektryzowany jej rozkazem, puścił się zaraz w tę drogę. Ale stworzyć coś zupełnie nowego, na tej drodze po wyśpiewaniu *Ducha od stepu* było mu rzeczą trudną, więc wiersz *Sam z pieśnią* jest tylko jakby waryacyą, na niektórych motywach tamtego utworu osnutą.

Dokonałby niemałej sztuki, ktoby potrafił dokładnie streścić te bujania i marzenia podniebne i odwzorować zwroty myśli i uczuć poety, zawarte w całości tego utworu, trochę rozwlekłej i mało w sobie związanej. Są tam i piękne obrazy nieba, i przedstawienie życia ludzkiego, jako próby ziemskiej, i uwielbienie pieśni, »Królowej serc«, i wspomnienia rzeźwości dziecinnej i młodzieńczej, i jakieś nieokreślone rwanie się do boju, i wysławianie starego Bojana, i objawiona przez poetę chęć i nadzieja zostania nowym Bojanem, przyczem znajduje poeta sposobność złożenia hołdu Tej, na której rozkaz i pobudkę zabrał się do pisania tego poematu:

Ziemia oto rodzona
Występuje do syna!
Och — i moja drużyna
Tuli mi się do łona!
Och — i moja Jedyna...
Czołem przed nią — w pokorze —
Łzami niebo otworzę;
Czary — czary — jej oczy —
Przewodniczki me zorze...

I nie na tem koniec. Jest tam dalej żegnanie się z miłością i chwałą, i ulatywanie duchem w przyszłość.

Poeta, widocznie w myśl listu pani Dyonizyi, która chciała go mieć »świętym Bohdanem«, wyobraża sobie przyszłość swoją w klasztorze:

Jestem kędyś wśród boru:
Takie lube zacisze,
Tak rozkosznie pierś dysze,
A z wieżycy klasztoru,
Jęk po jęku — dzwon w pysze —
Wieść roznosi nieszporu.
Głowa moja wciąż młoda
Po dawnemu się żarzy,
Och! a siwa w pas — broda —
Marszczki w czole i twarzy.
Włosiennica się ciału
Przypomina po cichu,
Dzwon — gdzieś głuchnie pomału,
Spiesz — pospieszaj no mnichu!

Mnich ten występuje na kazalnicy, i tam, wśród »gorących« Rusinów, wielbi opokę Piotrową, a »miesi« nogami »carogrodzką waśń pustą«. Potem jest inna sytuacya, która bardzo żywo poecie przemawiała do wyobraźni i do serca, i w której się *con amore* wyobraził, jako mnich-kronikarz, jakiś Nestor polski.

Noc — noc ciemna i cicha,
W kratowanem okienku
Mruga światło u mnicha.
Głową wsparty na ręku,
Snać w jakoweś głębinie
Żartką myślą przenika.
O! w duchowej dziedzinie,
W swej kopalni języka,
Cud — a czary, gdzie skinie!...
Tam zdrój błyska żywota;
Tu i ówdzie znów żyła —
Żyła srebrna to złota...
. . . .
Latopisiec surowy

A chodzący w zakonie,
Nad swą księgą — przy stole,
Wciąż w zapale pobożnym
Karci bezrząd, swawole;
Zbija rogi wielmożnym,
Prawdą w oczy im kole.

Ale najgodniejszym przytoczenia jest, sądzę, początek poematu, jako ilustracya tych wrażeń, jakich doznawał poeta w otoczeniu z przyrodą w cichem, samotnem, spokojnem życiu na wysokim brzegu morza Śródziemnego. Widok wiecznie ruchliwego żywiołu, który miał ciągle przed sobą, a który jest symbolem niespokojnego ducha, »wiecznego rewolucyonisty«, zajmował wprawdzie niekiedy jego uwagę, czego dowód mamy w dwu wierszach Bohdana z tych czasów: *Mdła cisza* i *Nieskończoność* [1]), gdzie — rzecz charakterystyczna — malował je w stanie ciszy i spokoju, a nie wrzenia i burzy; głównie jednak chwytał jego oczy i unosił fantazyę widok przeźroczystej kopuły niebios, która jego samotność nanakrywała. Tam wzrok kierował — nie tylko dlatego, że mu w niebo kazała patrzeć jego Beatrycze, ale że i własna natura artystyczna tam go ciągnęła — i w przechadzkach swoich napawał się jej widokiem, czy wtedy gdy ta kryształowa kopuła oblana była wszystkiemi blaskami porannego słońca, czy kiedy, jak olbrzymi namiot z ciemnego szafiru, iskrzyła się niezliczonemi rojami gwiazd. Było w tem jakby powtórzenie tych wrażeń z odległych czasów, kiedy, jako dziecię samopas puszczone, bujał po Iwanhorze i jej okolicy i przeżywał swój »żywot czysty i skrzydlaty«. I dlatego to zapewne tak pokochał swoje Endoume, że

---

[1]) Pod tytułem pierwszego wiersza podana data: »Pisano na morzu Śródziemnem 5 października 1837 r.«, pod drugim: »Pisano na morzu Śródziemnem 9 października 1837 r.«

stało się dla niego Iwanhorą prowansalską, że mógł przeżywać w niem wrażenia, nie takie wprawdzie, jak ongi, ale im pokrewne. Różnica polegała na tem, że w samotnem bujaniu po stepie ukraińskim biernie poddawał się czarowi przyrody, i wrażenia jego wówczas układały się w jakiś sen błogi, ale niezrozumiały, w jakiś cykl cudów i czarów, których niczem nie umiał powiązać, czyli, jak się wyrażał potem, »cuda się działy z ośmioletniem dzieckiem«. Teraz jego kontemplacya przybierała religijny charakter, w cudach przyrody, na które był tak wrażliwy, widział wszędzie harmonijną myśl Stworzyciela, a kopuła niebios z wszystkiemi, czyto dziennemi, czy nocnemi blaskami i barwami, zamieniała się dla niego w jedną świątynię Pańską, w której się pełni służba Boża.

Okolica dumania
Luba, cicha i błoga,
Skąd aż w niebo och! droga!
I duch po niej się słania;
Duch — dech — tchnienie to Boga,
. . . .
Duch — dech — powiew zarania
Pełną piersią tu chłonę...
Jakże ślicznie olśnione
Wszystko mi się odsłania!
Na źwierciadło to ducha
Niech nieczysty nie chucha!
Cud mu cudów zamierzchnie.
Na kolanach i w bieli,
Jak pokorni Anieli,
Patrzmy w złotą powierzchnię.

Pan — przytomny w świątyni:
Pod gwiaździstą zasłoną
Tajemnicę swą czyni,
I niebiosa wskroś płoną.
Drżą stołeczne podnoża.
Wielka służba — cześć Boża —
Głos podaje. — Świątynia
Wzburza — niby organy.

Lik najświętszych wybrany
Bije czoły, kolany.
Światy — złote naczynia,
Które dzierżą przeczyści,
Naokoło woń zioną,
Pod gwiaździstą zasłoną
Tajemnica się iści...

Dla muzy, która chętnie wprawdzie poddawała się religijnemu nastrojowi, ale z natury swojej była przedewszystkiem »szczebiotką«, utrzymać przez dłuższy czas tak wysoki nastrój religijny, nie było rzeczą łatwą. Poeta czuł to dobrze i był tak szczery, że dał temu wyraz w poemacie, o którym mowa. Kiedy ta muza słowicza tajemnie niecierpliwiła się i upominała o swe prawa, rzucał jej parę słów uspakajających, obietnicę prędkiej swobody ruchów. Bardzo to charakterystyczny ustęp:

Napowietrzna szczebiotko,
Lot gdzieindziej rozpostrzem!
Chwilę jeszcze leć ostrzem
Tam ku Panu. O słodko
Z kadzielnicą od ziemi
Dzwoń modlitwą...

W miesiąc po liście do Bohdana pisała pani Dyonizya (d. 27 października) obszerny list do wuja. Wiedziała dobrze, że Bohdan go czytać będzie, i o to jej głównie chodziło, zwracała się jednak do wuja dlatego, że pod tym adresem łatwiej jej było wypisać się spokojnie. Bo jak w ostatnim liście do Bohdana chciała mu pokazać, jakim go pragnie widzieć, tak w tym chciała odmalować siebie, jaką chce być i jaką już jest. Chciała uwiadomić go, w jaki sposob rozwiązała kolizyę dramatyczną w swojem sercu i jaką drogą doszła do spokoju, przynajmniej względnego, duszy. Wszystko to dla oczu oboję-

tnych było lekką przesłonięte gazą, ale ona wiedziała, że Bohdan przez tę zasłonę wyczyta wszystko, co było dla niego przeznaczonem. A oprócz tego chciała pustelników endoumskich uszczęśliwić szczegółowym obrazem swego otoczenia, do którego oni tak tęsknili.

Pani Dyonizya odegrała tak ważną rolę w życiu i poezyi Bohdana, a w tym liście dała tak zajmujący i piękny swój portret, że czytelnik mógłby mieć pretensyę do autora, gdyby ten, zamiast go podać dosłownie, przynajmniej w znacznych wyjątkach, podawał go tylko w streszczeniu. Szkoda tylko, że i ten list pisany był po francusku, i znany jest tylko w przekładzie p. Duchińskiej.

»Jakże dawno — tak się list zaczynał — nie pisałam do ciebie, mój Józefie drogi; nie pytaj czemu? są rzeczy między duszą a Bogiem, których nie wolno wyjawiać nikomu. Jakkolwiek gorycz chwilowa mogła ci nasunąć złe myśli, przekonany byłeś głęboko, że w sercu Dyzi nie brakło miłości dla ciebie. Nie miej więc do mnie żalu. Wszystko zresztą, wyrażenia i świadectwa, są to tylko dodatki, zależące od różnych okoliczności życia. Te ci jedynie chybiły, o! nie miej urazy do mnie. Ty może nie znasz, ty, którego ciernista droga tak wyraźnie wytknięta, tych ciężkich dni wśród ciemności i udręczeń, kiedy widzimy przed sobą dwie drogi, i długo zapytując, która z nich prawdziwa, długo wpatrujemy się w nie przerażeni i rzucamy się na jednę, a oto spostrzegamy, żeśmy obrazili Boga zaniedbaniem drugiej i szukamy natchnienia Bożego, jako przewodniej gwiazdy, i modlimy się, a łaska zda się oddalać od nas. Józefie, Józefie! strzeż cię Boże od chwil podobnych. Daremne skargi, wiem, że Bóg mnie karze, a gdybym nie lękała się obrazić Go, rzekłabym, iż wiem, za jaką winę. Niechże mi to stanie za pokutę i niech Bóg zmiłuje się nademną!

»Teraz mój wybór stanowczo dokonany; smutna, ale

spokojna, pragnę pomówić z tobą, mój dobry wujaszku. Czy ty wiesz, że mała różnica między twojem życiem tam, a mojem tutaj? że zdaleka od mojej dobrej mamci[1]), od cioci Józi, mam tu z moich tylko Dyaryusza, jak ty masz tylko Bohdana. Czy wiesz, że choć w miniaturze, i ja też pracuję tak, jak wy? Porównaj kroplę wody do morza. Wy nauczacie świat, ja uczę moje dziewczynki. Byle nie jeść darmo chleba, należy spieszyć się z pracą, bo wieczór nasz może wkrótce zapadnie; Bogu to jedynie wiadomo.

»Mój dobry wujciu, aby cię wprowadzić znów w nasz światek, aby cię rozerwać trochę, radabym tylko, żebyś mógł spojrzeć na nas, jak ja niekiedy ciebie widzę. Dziwna rzecz, jak to można żyć z istotą, która nie mieszka z nami. Wy tak często bierzecie udział w życiu naszem, w chwili kiedy nie myślicie zapewne o nas. Dzięki, mój wujciu, za opis Endoume, wprowadził nas do pokoików waszych, posadził nas u stołu waszego — nie są to próżne słowa — zastawcież krzesła wkoło stołu, bo goście napowietrzni zbiegają tam często, goście, którzy was kochają i płaczą niekiedy, że nie możecie ich zobaczyć. Czy chcesz wiedzieć zarazem, co porabia wasz gość napowietrzny?

»Naprzód wiedz o tem, drogi wujciu, że on ma dwoistą naturę. Napowietrzny u was, bo kochanemu wujaszkowi radby się przedstawić z najpiękniejszej strony, w Tahańczy to wielki leń, sypia co noc po dziewięć lub dziesięć godzin, jak suseł, budzi się tylko czasami, kiedy się boi duchów. O siódmej wstaje opieszale i w części ubrany kładzie się znowu i śpi, dopóki ktoś nie zawoła: »Dalejże, czas wstawać, już dziewiąta«. Bywa i to, że

---

[1]) Od wsi Kuryłówki, w powiecie lityńskim, gdzie mieszkała p. Iwanowska, do wsi Tahańczy w pow. kaniowskim, gdzie mieszkali Poniatowscy, jechało się w tamtych czasach trzy dni.

ktoś ulituje się nademną i pozwala mi spać do woli. Nie myśl, wujaszku, że to codzień się zdarza, mógłbyś przypuścić, że ja pracuję tylko przez sen. Niestety, tak nie jest. Gdybyś wiedział, drogi wujaszku, jak ja nie lubię pracy, wyznaję ci to w ufności pod sekretem. Gotowabym życie przepędzić na czytaniu, muzyce, przejażdżkach konno, a nie masz pojęcia, jak ja lubię romanse, czytam, co mi padnie pod rękę; gdy gram, marzę o romansach salonowych, o rycerskich, gdy mnie koń unosi, widzę bieguna obok innych koni i wyobrażam sobie, że w szeregu jadę. Na nieszczęście, odkąd powiedziałam sobie, że trzeba pracować, nie mam czasu układać takich powieści w głowie. Byłabym mogła ledwie nie całe życie tak gdzieś między niebem a ziemią przeżyć. Ale dziś widzę, że byłam w błędzie, gdyż Bóg stworzył nas dla ziemi i dla nieba, wcale nie dla tych mrzonek powietrznych, co zapełniają przestrzeń między niemi«.

Potem, jak w wielkiem źwierciedle, obejmującem całość postaci, przedstawiała szczegółowo całkowity zwyczajny porządek dnia swego. Po wstaniu z łóżka, ubraniu się, uczesaniu i krótkiej modlitwie, szła grzać się koło kominka. »To moment wolnego dumania. Nikt nie przerwie, nikt się nie zaśmieje i dumam, dumam, o mamci mojej biednej, o kłopotach, które ją jeszcze w życiu czekają, o mojem, razem błędnem i tak samotnem życiu, o was często, o mojej niewdzięczności ku Bogu, że w każdem dobrodziejstwie Jego złą stronę upatruję albo wymyślę sobie, jeśli jej niema, o próżności mojej w wielu rzeczach, o wielu, wielu grzechach; czasem nie chcący zacznę sobie Bóg wie jaką historyę w głowie kleić, różnie się zdarza. W tem ktoś zaczyna we drzwi stukać.

»Dyźciu, moja Dyźciu! co też ty myślisz sobie, czekam na ciebie od godziny ze śniadaniem, a ty marudzisz«! — »Chodź, chodź, Muniu, dawno już Dyzia go-

towa«. I Muń[1]) wchodzi namurmuszony i zaraz gdyrać zaczyna. »Taka czerwona jesteś, wiecznie w tym kominku siedzisz, jeszcze się spalisz kiedy«. Dyźcia już nic nie mówi, bo wie, że Muń rano wstał, głodny, musiał gospodarować, póki się z Dyzią nie zobaczy. Więc mu tylko ślicznie kawę nalewa, a kiedy się udało, ani kropelka na miseczkę nie spłynęła, kożuszek nieumoczony w kawę po wierzchu żegluje, Muń się zaśmieje z mojej pracy i zapomni o złym humorze[2]). Gdyby on się na mnie choć trochę doprawdy rozgniewał? Wstydzę się mojej niecierpliwości, kiedy pomyślę o nim, tak przecie żywym! Zanadto miłosierny, aby mógł się gniewać. Gdy mi zalecił, abym w kominku nie siadała i niepłakała, idzie w pole albo do fabryki, a ja zostaję sama do obiadu.

»To godziny mej pracy. Uczę katechizmu moje dziewczątka, to jest tłumaczę go, póki nie zrozumieją. Postarałam się o książki do pomocy w tem zadaniu, my wcale takich nie mamy. Nasze katechizmy tłumaczą jasno dogmata, ale językiem nie dla wszystkich dostępnym, stylem wzniosłym, jakiego żadna mała dziewczynka nie zrozumie. W każdym napotykamy słowa: izali, uczęstnictwo, społeczeństwo i mnóstwo tym podobnych. To tak, jakby je uczono po hebrajsku. Postanowiłam więc na osobnym kajecie sparafrazować cały prawie tom, nie licząc historyi świętej i Ewangelii, co nastąpi później. Czasami bardzo się lękam, czy sama źle nie rozumiem i źle nie wykładam, ale przecież robię, co mogę, i nikt temu lepiej nie poradzi. Na tem ubiega poranek. Po po-

---

[1]) Tak brzmiała pieszczotliwa nazwa męża.

[2]) Jak gdyby echo scen podobnych znajdujemy w *Herburcie* Krasińskiego następujący ustęp: »Tymczasem pan Perseusz się skarżył, że mu żona za wiele cukru do filiżanki sypnęła, wlała zaś za mało śmietany«. (Pisma Zyg. Kras. wyd. jubileuszowe 1912. T. IV, str. 180). Jeden to więcej dowód, że Krasiński pisząc *Herburta*, miał na myśli panią Dyonizyą i jej męża.

łudniu biorę się do igły, w kilka osób otaczamy starego ojca Daryusza, który z fajką siedzi w swem krześle. Jedno z nas czyta: ja czyniłabym to najchętniej, ale mam teraz piersi tak słabe, że przez cały tydzień pokutuję za jedną godzinę czytania. Siedzę więc spokojnie, mówię mało, bo mało kto czuje tak, jak ja, a mniej jeszcze osób rozumie, że nie będąc zupełnie dzieckiem nieświadomem życia, można przecie różnić się z nimi w zdaniach. Jeśli przypadkiem urwę sobie jakąś chwilę, biegnę do siebie, trochę czytam. Wieczorem odprowadzamy ojca do jego pokoju, i dzień skończony dla całego prawie domu. Daryusz, utrudzony bieganiem, zasypia głęboko, ja, w przyległym pokoju, modlę się za ciebie, za was obu, za biedną mamcię moją, za mego poczciwego Daryusza, za wiele osób. Te osoby ani zgadują, że ktoś każdego wieczora wymawia imię ich przy modlitwie«...

»Po modlitwie, jeśli Daryusz śpi tak głęboko, że nie słyszy, jak się kręcę, choć pora spóźniona, czytam trochę, ale jeśli Daryusz woła z poza drzwi: »Idź spać Dyziu, będziesz jutro blada«, wtedy zła myśl przychodzi mi czasem do głowy: pozwalam sobie kłamstwa, choć wiem, że nazajutrz, jak się przyznam, otrzymam za to burę. Mówię: »zaraz, zaraz« i wołam: »Józinnefa, chodź mnie rozebrać«, potem ruszam się trochę, jak gdybym się kładła i dalejże znowu do książki, choćby na krótką chwilę. Nieprawdaż, wujciu, że ladaco z twojej siostrzeniczki? Może się też poprawię, wstyd mnie, żem tak nieraz czyniła. Dobrze jednak, że ty wiesz o tem, wujaszku; niech to będzie dla mnie pokutą. Niekiedy zastawiam przy Daryuszu stoliczek z jabłkami lub śliwkami, jemy drugą wieczerzę i rozmawiamy chwilę, poczem on mnie pobłosławi; idę i śpię do rana«.

Już z przytoczonych ustępów tego listu widać, że panią Dyonizyę, która miała lat dwadzieścia jeden, ale już od pięciu lat była panią domu, traktowano w Tahań-

czy trochę jak dziecko, które żyje marzeniami, jeszcze nie zna życia i potrzebuje ciągłego czuwania i opieki nad sobą. Wyraźniej to występuje w dalszym ciągu tego listu, gdzie jest skarga na ten stosunek. »Moja dusza wcale nie lepsza, niż u drugich, słaba i słabsza jeszcze, niż u wielu. Ale każdej duszy ludzkiej Bóg udzielił cokolwiek siły, tak nam kobietom, jak i wam, nie trzeba tego niszczyć, powątpiewając o tej sile i zamykając jej pole do działania. Ci nas pozbawiają godności ludzkiej, co nam odbierają udział w pracy, w cierpieniu i w szacunku ogólnym, bo jak tu mieć szacunek dla istoty, na którą nie liczy się więcej, niż na dziecię? Takie poniżające nas oszczędzanie, czyliż nas uwalnia od cierpień? Bynajmniej!... Wy nie chcecie tych cierpień dzielić z nami, ale ponieważ musimy odczuwać je koniecznie, wkładacie nam na barki większy ciężar, nie pozwalając nam dźwigać go z wami pospołu, umiejętnie i chętnie. A cierpienie tem cięższe dla nas, gdy z niem nie łączy się myśl ofiary, która je uszlachetnia i czyni lekkiem. I cóż stąd wynika? Oto, że wy macie przed światem zasługę ofiary, a my spełniamy je rzeczywiście. Historya to Jeftego i jego córki: dla niego votum i zwycięstwo, dla niej śmierć! Stąd przed okiem Bożem zdobywamy lepiej, niż wy, palmę poświęcenia. O nie zazdrościmy wam wcale«!...

Te skargi pod adresem całego rodzaju męskiego, odnosiły się zapewne do męża, ale jakim w szczególności odpowiadały stosunkom, nie wiemy. Pani Dyonizya w poczuciu obowiązków obywatelskich i chrześcijańskich chciała być może czynniejszą, niż była, ale troskliwa opieka nie dopuszczała jej do tego przez wzgląd na jej wiek młody, zdrowie, niedoświadczenie. Być może, że i na jej lekcye katechizmu, które dawała dziewczynkom, zapewne dzieciom licznej służby dworskiej i domowników, spoglądano niebardzo chętnie, w obawie o jej zdro-

wie. Takie się nasuwają domysły przy czytaniu tego ustępu.

Dla pustelników endoumskich były w tym liście dwie bardzo miłe obietnice. »Chcieliśmy ochrzcić imieniem Bohdana rzeczkę płynącą przez ogród, ale okoliczności nie dały spełnić zamiaru, trzeba to odłożyć do przyszłego lata. Wybierzemy jakiś dzień piękny, błękitny i ciepły, jakiś słoneczny poranek, z drobnymi na niebie obłoczkami, białymi jak aniołki, by przyćmiły blask zbyt jaskrawy«. Dla ukochanego wuja było co innego. »Józefie, mój dobry Józefie, chciałabym mieć u siebie, koło domu, cośkolwiek, coby nosiło imię twoje. Mój dom, jeśli to prawda, że mam mieć dom na ziemi, stanie na wzgórzu panującem nad okolicą. U stóp wzgórza płynie rzeczułka. Z jednej strony pozostały ślady starego obozu. Tam postawię krzyż z wiosną. Mały zdrój wytryska nieco niżej; kilka drzew rośnie w koło; umieszczę tam ławeczkę. Czy pozwolisz miejsce to nazwać imieniem twojem? Powiedz mi, dobry mój Józefie. Nikt tu jeszcze nie mieszkał, nikt nie nadał imienia tej ustroni. Ty będziesz pierwszym«...

List miał zakończenie napół melancholijne, napół żartobliwe, dobrze zastosowane do całości. »Dawniej życie wydawało mnie się długie, jak droga przez stepy, prosta, łatwa i pewna, z miękką zieloną murawą pod stopami, z jasnym błękitem ponad głową, ale zimna, milcząca, nieskończona. I myślałam o wszystkiem, co miało zamrzeć we mnie i spoczywać do końca pod kurzawą owego stepu. Po raz pierwszy poznałam w tym roku, że życie coś waży. Może być, że moje dwadzieścia jeden lat dodały mi trochę mądrości; za trzy lata będę już pełnoletnią. Powinieneś uszanować mnie, drogi wujciu. Na zachętę do tego posyłam ci mój pierwszy włos biały«...

»Dobry, kochany wujaszku, żegnam cię, opuszczam cię, bo widzę, że późno już, bardzo późno. Koguty pieją,

a wiesz ty dlaczego? Nasi wieśniacy mówią, że kogut wśród piór swoich ma piórka ze skrzydła anioła-stróża i odpowiada pianiem swojem na śpiew aniołów z północy. Zapytaj Bohdana, on ci to powie«.

»Raz jeszcze dobranoc, drogi wujciu, śpij dobrze«[1].

Czy ten list poszedł zaraz do Endoume, czy też poczekał z dziesięć dni w biurku pani Poniatowskiej na towarzysza podróży, tego nie wiemy, ale wiemy, że pod datą 7 listopada pani Dyonizya pisała nowy list do Endoume, tylko już nie do wuja, ale do poety. Czekała ona czas dłuższy na jego odpowiedź na swój list z końca września, chciała wiedzieć, jakie ów wcześniejszy list sprawił na nim wrażenie, a tym czasem poeta milczał, i z jego milczenia wnioskowała ona, że jest dotknięty jakiemś wyrażeniem tamtego listu. Czuła jej dusza cierpiała z tego powodu, więc chciała wyjść z niepewności, chciała naukę, daną poecie przed miesiącem, powtórzyć, ale w formie, która się jej wydawała łagodniejszą, i napisała list, który był jakby komentarzem do owego wrześniowego listu.

»Dobry panie, (i ten list był po francusku), wspomnienie ostatniego mego listu ciąży mi, jak wyrzut, a przecież nie byłam z lodu na cierpienia twoje. Czemuś mi nie odpisał? Czyżby cię zadrasnęło jakie słówko? Nie pamiętam już moich wyrażeń, ale gotowam je odwołać, jeśli mogły sprawić ci przykrość; odpowiadam tylko za myśl moją. Kiedy boleść złamała skrzydła człowieka, spłakany upada na ziemię. Wtedy bracia uścielają mu wezgłowie ze mchu i kwiatów, aby wypłakał się dowoli i łatwiej pojednał się z ziemią. Zowią to pocieszeniem, lecz to błąd wielki. Nikt nie opłakuje złamanych piór swoich, ale płacze, bo zranione skrzydło[2]) nie lata już po niebieskich przestrzeniach«.

---

[1]) Listy D. Poniatowskiej. I 53—60.

[2]) Pozwoliłem tu sobie zrobić pewną poprawkę w przekładzie

»Nie chciałam cię zatem pocieszać, ani oswajać cię z myślą wygnania. Ta ziemia, jakkolwiek błyszcząca, byłaby ci zawsze twardą i zimną. Otrzyj łzy i dalej, dalej! Boleść wysiłku w mig przeboli. A kiedy na łonie światłości, niczego żałować, niczego zazdrościć tu nie będziesz, powołaj nas w twe ślady, nas biednych i słabych, zgiętych pod brzemieniem tylu cierpień. Nie mów mi, że łzy twoje nie są dla świata, że cię błędnie posądzam. Ty nie płaczesz za niebem, bo możesz go zawsze dosięgnąć, nie płaczesz za winy twoje, żal jest bowiem radością. Powiesz mi: płaczesz za marzeniami twemi! Marzenie, to odbłysk nieba, lecz to nie samo niebo! Promienie, odbite na wodzie, olśniewają z daleka, lecz woda zimna, gdy przyłożymy rękę do niej; to piękny kwiat bez owocu, błyszczący we wszelkie ideały, z wyjątkiem tego ideału, co pragnie zniszczyć wszystkie inne, w pokornem oczekiwaniu łaski. Jakżem ja lubiła marzenia jeszcze rok temu, jak bajki o wróżkach w dzieciństwie, czarodziejstwa duszy po czarodziejstwach oczu. Ileż to razy płakałam, budząc się do rzeczywistości tego świata, ja, która w tych czasach zapominałam o prawdziwej, nadziemskiej rzeczywistości. Doprawdy, przychodzi mi niekiedy szalona myśl, że to życie jest tylko snem, a my dlatego słabi, że śpimy i gotowiśmy powiedzieć sobie, przechodząc od snu do rzeczywistości: »Tu zaszła zmiana w scenach mojego marzenia«.

»Bohdanie, niech prawda oświeci cię i pocieszy; napisz do mnie czemprędzej, powiedz mi, żem ci nie sprawiła przykrości. Byłabym grzeszną, gdybym nie ostrzegła mego brata w Bogu, sądząc, że się zabłąkał. Jeśli w troskliwości mojej przesadziłam twą winę, lub jeżeli źle pojęłam duszę twoją, Bogu niech będzie za to chwała, ale

---

p. Duchińskiej, usuwając zdrobniałe »piórka« i »skrzydełko, których w oryginale francuskim z pewnością nie było.

dopóki nie wywiedziesz mię z błędu, pozwól, niech jeszcze dodam: Bohdanie, Bohdanie, ty nie dość zapominasz o nicestwie tej ziemi. Ty piszesz z najgłębszego przekonania, pisząc, idziesz za powołaniem twojem, czułbyś wyrzut, gdybyś go zaniedbał, gdyż dano ci może wielu pociągnąć na drogę Pańską, a oto dla niejakich względów światowych, słowa twoje, zamiast rozlegać się w pośród ludów, wnikają tylko w niektóre dusze uprzywilejowane«.

Co znaczył ten ostatni zarzut? O co w nim chodziło pani Poniatowskiej? Zdaje się, że nie można tego inaczej rozumieć, jak tylko w ten sposób, że pani Dyonizya wraz z całą rodziną swoją nakłaniała Bohdana, aby wydał co prędzej od roku już gotowego *Ducha od stepu,* zapewne i *Przechadzkę poza Rzymem* i cokolwiekby się znalazło z poezyi jego, pokrewnego duchem tym utworom. Przeceniając siłę poetycką tych utworów, wierzyła, że ogłoszone drukiem wywrą wpływ doniosły, wytkną narodowi polskiemu prawdziwą drogę zbawienia i zwrócą serca ku katolicyzmowi nietylko w obrębie tego narodu. Pieniądze na to wydanie musiały być przygotowane na Ukrainie, a zapewne i doręczone już Józefowi Zaleskiemu, ale Bohdan swoim zwyczajem nie śpieszył się z wydaniem, mając tym razem więcej pobudek do zwlekania, niż ongi w Warszawie.

Że o to chodziło, poświadczał dalszy ustęp listu: »Co ci uczynił Józef, że go zasmucasz? jego, co cię tak kocha, i odmawiasz mu przyjęcia małego współudziału w jakikolwiekbądź sposób w sprawie wam powierzonej. Tyś wyższy nad ciasną i samolubną pychę, która lęka się zobowiązania, jak gdyby nie było równie słodko i szlachetnie czuć wdzięczność, jak odbierać jej dowody? Zresztą jeśli jest tu jakaś obligacya, to raczej dług ze strony świata, niżeli z twojej. Nie wątpię bowiem, że Józef ma tysiąc razy więcej na sercu pożytek świata

w dopełnieniu misyi, niżeli twoją chwałę. Opór twój, który wpływa na tyle istot, nie jest czem innem, jak zbytnią delikatnością; ty musisz ją odrzucić. Nie ociągaj się z dopełnieniem misyi dla względów małej wagi pomiędzy chrześcijanami«.

»Nie miejże dla mnie gorzkiej myśli, niech żalu do mnie w sercu [1]) nie będzie. Módl się za mnie i za nas wszystkich, jak gdybyśmy już nie byli na świecie, ale w miejscu oczyszczenia, gdzie będziemy po śmierci«.

Głęboka religijność tchnęła z listu pani Poniatowskiej, i jeżeli w istocie pod wpływem Bohdana rozkwitła ona w sercu jego ukochanej, to był to najwyższy tryumf jego poezyi, ale tryumf, w którym sam poeta odegrywał rolę skazańca, w tym tryumfie wleczonego.

Czem były te dwa listy dla pustelników endoumskich, jak były przez nich przyjęte, ile razy odczytywane i rozważane, budząc coraz to inne odcienie uczuć i coraz inne wspomnienia, łatwo to sobie wyobrazić. Drugi list rozwiązywał bez apelacyi problem miłosny poety, a choć miał dużo gorzkiego w sobie, kładąc tamę nie dającym się spełnić nadziejom jego, przynosił mu jednak pewne uspokojenie, jakie zwykle towarzyszy rezygnacyi. Tak, z nadziejami trzeba się było pożegnać, ale zostawały marzenia, których mu nikt nie mógł zabronić, zostawała tęsknota, największy skarb wydziedziczonych. Pierwszy list przynosił Zaleskim obraz Dyonizyi na tle szczegółowem otoczenia, obraz okolic rodzinnych, tchnienie z tych pól ukraińskich, ku którym obaj tak tęsknili. To też Józef, odpowiadając na ten list swojej siostrzenicy, »ślicznej niezapominajce stepowej« pisał: »Słowa wasze, kiedy nas dójdą, to są dla nas prawdziwym dniem godów«. A odwdzięczając się jej za szczegółowy obraz życia

[1]) W przekładzie p. Duchińskiej: w sercach.

w Tahańczy, dawał również dokładne sprawozdanie z pustelniczego życia w Endoume.

»Mówisz nam w jednym liście, iż ci się zdaje, że życie nasze jest snem; ja nad tem, dumając, wpadłem na wniosek przeciwny, że sen nasz musi być życiem duszy wolnej od więzów ciała, bo cóż to jest życie? Ciągłe, nieprzerwane pasmo miłości. Otóż wszystko, co kocham, prawie co noc widzę we śnie. Jeżeli się o tem chcesz przekonać, zajrzyj tu do nas o ósmej z rana. Drzwi prawe i lewe naprzeciw otwierają się z pod klucza z trzaskiem, bo zamki niegodziwe. »Dzień dobry, Bohdanie!« — »Dzień dobry, Józefie!« i dalejże jeden za drugim po schodkach przez ganek, za furtkę, o kilkadziesiąt kroków do pensyi na kawę. Siadamy i w lot łowimy chwilę przed sobą.—»Wiesz Bohdanie, śniła mi się Nisia (Dyonizya), mamcia (p. Iwanowska), Józia, Kocia (młodsze jej córki) w sankach, wiozłem je do Szewczychy na frukta. — »W zimie, to rzecz szczególna«. — »Rościo i Franio (brat Dyonizyi i syn Józefa) stali za sankami i z bicza trzaskali. Skorom wjechał w ulicę, zaczęły gruszki padać na kolana kobietom, ale tak piękne, żem już dawno takich nie widział«... — »No, i cóż dalej?« — »Cóż, wystrzelono z działa na okręcie pobudkę ranną o szóstej i jam się obudził. Żałuję, bo mi z niemi tak dobrze było i tak wesoło«. — »Otoż powiem ci, Józefie, że i mnie się mamcia i Nisia śniły, ale na morzu. Wyście z Muniem chodzili wzdłuż zieleniącego się brzegu. Ona z mamcią płynęła w łódce od Wysp Hierskich, wzięły mnie z sobą i płynęliśmy«... Tu się sen urwał a my często teraz spoglądamy w stronę Hyères. Oto masz wierny obraz codziennego życia naszego z dodatkiem, że o czwartej przy stole mówimy o was, w wieczornej rozmowie o was, na wieczornej modlitwie za wami, a we śnie z wami. Nie mamy przy naszym stole krzeseł dla gości duchowych, ale tak często i tak serdecznie posyłamy im westchnienia, że muszę się dziwić, dlaczego te wę-

drowne duchy jeszcze się z naszymi w drodze powietrznej nie spotkały. Nie mówiłabyś wtenczas złośliwie: *au moment où certainement vous ne songez pas à nous*«...

»Powiedziałem nieco wyżej, że mnie strzał działowy obudził o szóstej z rana. Nie zawsze jednak, mój kwiateczku, śpimy do szóstej. W zimie przez wstręt do ciemności wstajemy z rozdniewaniem się, t. j. o kwadrans na siódmą. W lecie wschód słońca nas budzi, i w zimie i w lecie zamknięciśmy u siebie do ósmej na modlitwie i pobożnem czytaniu... Na kawie bawimy kwadrans. Jak ty Muniowi, tak ja memu Piewcy staram się zgrabnie służyć. Nie mam obawy, żeby kożuszek się utopił, bo rogate a brodate zwierzęta, czepiające się po skałach, nie dają mleka z kożuszkiem. Po kawie wraca każdy do siebie i, jak mnich, na klucz się zamyka. Ja się uczę, on uczy. Otoż moja Misiu, łatwo zrobić zrównanie stosunków, jaką korzyść każdy z nas dla świata przynosi. — Godzina dwunasta, czasem kwadrans na pierwszą, traf, traf, słychać chrzęst klucza. — »Otwórz, Józefie, daj chleba«. — »Zaraz, zaraz«. Otwieram i znowuśmy razem. Na stoliku za drzwiami leży tygodniowy bochen chleba obrocznego, przy nim nóż ukraiński, na komodzie stoi butel wody, butelka wina i dwie szklanki. »Ukrój chleba, nalej wody, czas obiadować«. Uczta trwa niedługo, jak się możesz domyślać. Przez czas uczty on mi coś uczonego gada, albo prawimy o projektach, które się ziścić mają, a nigdy nie jest tak, żebyśmy nie gadali o obrazkach, co nam w oczy wpadają[1]), a których wierniejsze rysy mamy w sercu. Czasem też patrzymy na morze, które, jak tabun białogrzywy, wali wprost do nas«.

»Tu ci muszę opisać jedną szczególność. Wprost naszych okien, o dwieście może sążni na morzu, wystrzela

---

[1]) Mowa tu widocznie o portretach miłych osób z Ukrainy, zdobiących ściany pustelników endoumskich.

samotna wysepka skalista. Marynarze nazywają ją *l'aimant*, a to z tego powodu, że wir wodny tak do niej z okoła ciągnie, że najbieglejszy sternik ustrzedz się nie może, aby się z nawą swoją o tę samotnicę nie zahaczył. Czasem widzimy cały ambaras sternika i strach służby okrętowej, ale to nic nie pomaga, nie ma rady — i muszą aż do podnóżka jej lecieć. Otoż tę naszą samotnicę sąsiadkę, zgadnij, jakeśmy nazwali? Ja ci nie powiem. Jeżeli sobie pewien napis pod obrazkiem przypomnisz, może to zgadniesz« [1]). Naturalnie, znaczyło to, że jak pani Dyonizya na Ukrainie pewne wybrane miejsca oznaczała imionami drogich sobie pustelników endoumskich, tak oni jej imieniem, czy jakimś jej epitetem, chcieli ozdobić wysepkę na morzu, którą mieli ciągle przed oczyma, a nazwa magnesu, nadawana tej wyspie przez marynarzy, odpowiadała dobrze stosunkowi ich serc do pięknej Ukrainki.

Obraz życia pustelniczego w Endoume, podany w tym liście, odbił się jak w zwierciedle, bardzo dokładnie, w wierszu o jakie pół roku późniejszym, p. t. *Nasze Endoume* [2]).

Mój jedynaku, Józefie kochany,
W tem naszem Endoume sierocem,
Dwaj samotniki, jako pelikany,
Ku sobie jeno klekocem.

Morze i skały. Kraj nagi a pusty,
Co było wczora, toż dzisia,
Toż będzie jutro — a jękamy usty
Bóg, Polska, Mamcia i Nisia.

Jest tu i obraz rozwichrzonego morza z łódkami walczącemi z niebezpieczeństwem, i radość, gdy »pożą-

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 104—109.

[2]) Wiersz ma datę przez samego poetę postawioną: 18 maja 1838.

dany puka przychodzień i listy z kraju doręcza«, jest strofa, poświęcona owej altance »na skale wysoko nad morzem, między pokurczonemi sosenkami«, o której Józef w innym liście z tych czasów (do Semenenki) wspomina, a którą poeta w *Naszem Endoume* nazywa »gniazdkiem w skałach«, gdzie wykluwały się jego »kraśnopióre pisklęta«.

Do tych »piskląt«, oprócz omówionych już wyżej dumek i szumek, i fantazyi *Sam z pieśnią*, należy jeszcze pięć piosnek, których daty pochodzenia są nam dokładnie znane: *U nas inaczej* (17 lutego 1838), *Skalna Czajka* (25 kwietnia t. r.) *Goniec* (8 czerwca), *Do Gęśli* (13 czerwca) i *Mara* (20 czerwca). Wszystkie noszą na sobie piętno tęsknoty i rezygnacyi, tych uczuć, które po ostatnich listach pani Poniatowskiej stale zapanowały w sercu Bohdana; ale najdoskonalej te uczucia stapia w jedno, w najdoskonalszą wlewa je formę, pierwsza z tych dumek.

Obraz Ukrainy wywiózł poeta w czasach pierwszej młodości, gdy opuszczał na zawsze strony rodzinne, i nosząc go w duszy przez lat wiele, nieraz na »piaskach Mazowsza« wpatrywał się weń z tęsknotą, czego ślady zostały w dumkach: *Westchnienie za rodzinną chatką*, *Duma z pieśni ludu ukraińskiego*, *Pielgrzym w obcym kraju*, wreszcie we fragmentach *Ptasze lasze*, *Kwiat paproci* i w tęczowej fantazyi *Rusałki*. Ale nadeszła burza wojenna, potem wędrówka tułacza, nowe widoki, nowe horyzonty, emigracyjne troski, kłopoty, zatargi, i obraz Ukrainy, tak żywym blaskiem świecący w *Rusałkach*, przysypany kurzem tych wszystkich nowych wrażeń, ciemniał i płowiał w duszy poety. Wprawdzie pisząc *Złotą Dumę* starał się Bohdan oczyścić ten złoty niegdyś obraz z kurzu, odświeżyć go, ale odświeżenie to było tylko zewnętrzne, bo wywołane tylko chęcią wyjścia z jałowości, w jaką popadł od lat kilku, a przeniesienie

obrazu w dalekie czasy walk z Tatarami nie odpowiadało kierunkowi talentu poety i tem mniej zdolne było wpłynąć na odświeżenie tego obrazu. Dopiero spotkanie »Jedynej-Bezimiennej«, w której oczach i uśmiechu znalazł dawno zapomniane czary ukraińskie, błyskawiczna miłość, jaka go wówczas ogarnęła, potem dłuższe obcowanie z gronem rodziny pani Dyonizyi, które przywoziło z sobą atmosferę jego stron rodzinnych, dopiero to wszystko, poruszywszy do głębi jego duszę, wskrzesiło w niej i jeszcze idealniejszym blaskiem rozjaśniło ów płowiejący przedtem obraz Ukrainy. A im bardziej obcym był żywioł, który go otaczał, im głębszą samotność, w której się pogrążał, im mniej było nadziei, ażeby poeta mógł kiedykolwiek znaleźć się na ziemi rodzinnej, w warunkach, które marzeniom jego odpowiadały, w tem bardziej czarodziejskie blaski stroił się ów obraz. Miłość i tęsknota tak go stroiły, a rezygnacya dyktowała poecie wzruszającą prośbę do Boga, aby mu dał w niebie to, czego mu odmówił na ziemi, aby za cierpienia ziemskie pozwolił mu wybrać nagrodę niebieską w postaci Ukrainy.

U nas inaczej! Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę — w niebie!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

Tę dumkę trzeba śpiewać, nie czytać, ażeby odpowiednie swej treści sprawiała wrażenie, bo jest, jak każda prawdziwa pieśń liryczna, do śpiewu stworzoną; inaczej jest to ptaszek, chodzący po ziemi, nie latający. Następująca po niej w porządku chronologicznym *Skalna Czajka,* formę ma bardzo różną od tamtej, rytm lotniejszy, śpiewniejszy, ale treścią jest jej pokrewna. W tamtej uczucie tęsknoty stara się objąć ramionami całą

Ukrainę, ze wszystkiemi ideałami, które w jej obraz wcielił poeta; w tej — przedmiot tęsknoty zwęża się do miejsc nielicznych, oznaczonych rzekami Roś i Rosawa, miejsc, które są tłem krajobrazowem dla istot najukochańszych, a głównie dla jednej: Jedynej-Bezimiennej. I poeta, który tem chętniej przyrównywa siebie do czajki kwilącej na skale, że sam w »gniazdku skalnem« układał swoje tęskne pieśni, śpiewa tę piosnkę tak, że tylko owa Jedyna jej treść dokładnie zrozumieć potrafi, ona jedna pojmie, do czego się odnosi tęsknota i rezygnacya poety.

Tajemnicy mej świat nie wie!
  Byle na wiatr pleść,
Puste brzmienia oto w śpiewie,
  A w sercu ich treść.

Skalna Czajka, wciąż ruchawa,
  W jedną dumkę gram,
Wciąż powtarzam: »Roś — Rosawa«,
  Napieram się tam.

Tam to niebo!.. jako w niebie
  Świeci Boży dziw!
Skalna Czajko — nie dla ciebie
  Kwiatek z rajskich niw.

I jak gdyby dla zapewnienia ukochanej, że dawniejszy obraz Ukrainy i obraz wspomnień miłosnych na tem tle osnutych, który ongi nosił w sercu, a który znalazł wyraz poetycki w *Rusałkach*, że ten obraz ustąpił miejsca innemu, nierównie piękniejszemu, dodawał tę strofę:

Gaj gdzieś cichy, rusałkowy,
  Czary snów i dum,
Stepy, progi i ostrowy,
  Dziś, jak marny szum.

W wierszu p. t. *Goniec*, nawpół humorystycznie porównywał siebie, błędnego tułacza-poetę, z kozakiem,

któremu polecono, doręczyć komuś najśpieszniej list ważny. Co w tym liście, kozak nie wie, bo pieczęć broni wstępu ciekawemu oku, ale wie, że musi wiernie spełnić polecenie. I on, poeta, tak samo nie wie, do jakich celów Bóg go używa, ale wiernie chce spełniać Jego rozkazy, i może wysłuży sobie nagrodę.

Dalej o! dalej — świat nielada duży,
Wesoły, miły — a ja na podróży,
Zbiegam od jednej do drugiej gospody,
Coraz na insze a insze przygody:

Huczy hulanka na lewo, na prawo;
Dziewczyna mruga oczyma jaskrawo;
Miłosna dumka do uszu mi dzwoni;
Och! co mi po niej, i po niej, i po niej!

Dalej o! dalej — i bieda a bieda;
Dobrego słowa nikt mi nigdzie nie da,
I ani miejsca zagrzać sobie mogę:
Zaledwie na próg — i na koń, i w drogę!

Co pod pieczęcią ten rozkaz tu znaczy?
To nie mój rozum docieknie kozaczy;
Nie wiem, na gody zapraszam, czy w boje?
Ale och! bolą — bolą kości moje.

Wiersz *Do Gęśli* to jakby przeniesienie tematu *Sam z pieśnią* z organowych tonów na tony gitary czy teorbanu. Pozwala on przypuszczać, że poeta, mając dużo swobodnego czasu, zwracał się do swojej *Złotej Dumy* i próbował znowu, czy mu się nie uda do gotowych już pieśni nawiązać nowych rapsodów i w ten sposób wielkie swoje dzieło rozpoczęte doprowadzić powoli do końca; ale muza jego, która mu na tym skalnym brzegu tyle wdzięcznych piosnek podszepnęła, do bohaterskiego epos i teraz, jak od dwóch lat blizko, nie dawała się pociągnąć. Poeta, któremu ciągle śniła się rola Bojana, pocieszał się myślą, że inaczejby było, gdyby się znalazł na swojej ziemi.

Na mojej ziemi — och! tam — o tam,
Byłoby błogo o! gęśli nam:
Wieszczy ów Bojan, sławni hetmani,
Znówby ożyli dla nas i dla niej.

To, co tu śpiewał, te dumki i szumki, które miały stanowić główny skarb jego poezyi, uważał, wobec tamtych Bojanowych zamiarów, za coś podrzędnego, za próby swego instrumentu poetyckiego.

Jeżeli śpiewam niekiedy tu,
To aby w piersiach spróbować tchu,
Czy po staremu lekki i czysty
Stepowe wiatru wygra poświsty.

Żeby to rychlej, żeby och — och!
Z nóg moich cudzy otrzepać proch;
Bojan ja młodszy, jako ów stary,
Z pod serca ziomkom rozbrzmiałbym
[czary.

Może pod wpływem tego niepowodzenia, tego daremnego szamotania się z muzą epicką, ogarniał go niekiedy głęboki pessymizm, jakiego wyrazem jest wiersz p. t. *Mara*, ostatni z tych, o których wiemy na pewno, że pochodzą z Endoume. Straszna to klęska dla marzyciela, kiedy i to, co stanowi jedyny skarb jego, marzenia, kiedy i one zaczynają go opuszczać, kiedy bledną i rozpraszają się w pamięci obrazy istot najdroższych, tak żywe przedtem, że zastępowały rzeczywistość.

Pókim na ziemi i w ciele,
Zachciewam ziemsko, cieleśnie,
Zachciewam jednak niewiele,
I to niewiele — jak we śnie —
Och! jako we śnie z daleka
Rozwiewną marą ucieka.

W dalszych strofach jest mowa i o pani Iwanowskiej, i o jej córce »Jedynej-Bezimiennej« i o całem ich

gronie rodzinnem, z którem przeżył błogo kilka tygodni we Włoszech.

Moja jedyna — co kocha,
Co jako matka rodzoną,
Do mnie, do swego pieszczocha,
Sercem wyrywa się z łona;
Och! jako we śnie — z daleka,
Mara kochana ucieka.

Insza jedyna i luba,
Taka przykładna, pobożna,
Którą, jak z niebios Cheruba,
Na klęczkach jeno czcić można;
Och! jako we śnie z daleka,
Mara kochana ucieka.

Cała drużyna — kilkoro —
Odźwierciedlenie mej duszy,
Moje stepowe jezioro,
Maleje wczasów posuszy;
Och! jako we śnie — z daleka
Mgłą mi ustawnie ucieka.

Ostatnia strofa była bolesną skargą na brak natchnienia na skalę śpiewów Bojanowych, którego mu Bóg odmawiał.

Nic mi się w niczem nie szczęści,
Co bądź zamierzam, co czynię;
Wydziedziczony z mej części,
Napełniam jękiem pustynię:
Och! jako we śnie — z daleka,
I łaska Ojca ucieka.

Potwierdzenie domysłów, zaczerpniętych z poezyi Bohdana, że usiłował on wówczas, w czerwcu 1838, wtłoczyć na nowo na barki swej muzy *Złotą Dumę* i że mu się to nie wiodło, bo powiewna i kapryśna muza jego tego ciężaru udźwignąć nie mogła, potwierdzenie tych domysłów znajdujemy w liście jego do Mickiewicza

z 29 czerwca. »Pomimo podróży i różnego rodzaju roztargnień, pracowałem dużo w tych dwóch ostatnich latach. Mniej więcej cztery tomiki, owoż owoc nowego życia. Ale ów długi mój poemat urwał się na połowie, bo zwichnąłem był lot w inszą okolicę ducha, a teraz ani sposobu zawrócić się«. I zwierzał się przyjacielowi, z którym już od półtrzecia roku nie widział się, z zamiaru opuszczenia Endoume i przyjazdu do Paryża, do tego samego Paryża, z którego uciekał przed dwoma laty, szukając samotności. Teraz samotności miał już zawiele, chciał ożywić swoją muzę stosunkiem z przyjaciółmi i dokończyć *Złotą Dumę*, lękał się tylko natręctwa nieproszonych gości w Paryżu. Zaczął też myśleć o spełnieniu tego, czego się od niego domagały »jedyne najukochańsze«, t. j. o wydaniu swoich nowych, nieznanych światu, utworów.

»Da Bóg, pisał do Mickiewicza, za kilka miesięcy, to jest na początku listopada, a może i wcześniej, zjadę do Paryża. Chcę zamieszkać gdzie na przedmieściu, a nawet w St.-Denis lub Montmorency, i przez jakie półrocze przysiedzieć dobrze fałdów, aż dośpiewam poematu. Tymczasem możeby się udało ułożyć z Jełowickim i zacząć druk pierwszych przynajmniej tomików. Czas jest, jak powiada pan Franciszek (Grzymała), pozować się. Ale ów Paryż, och! Paryż. Tak już odwykłem od miasta i ludzi, że obawiam się niezmiernie, aby mój pokój i natchnienie nie pomknęły na cztery wiatry. Że twoja historya, Adamie,(Mickiewicz pisał wówczas historyę Polską, która mu się tak nie kleiła, jak Zaleskiemu *Złota Duma*) idzie niesporo, to poprostu dla owego ulicznego gwaru, który chcący i niechcący zalatuje ci do uszu. Gdyby to można przyczaić się gdzie w kącie, a puścić pogłoskę, że jestem gdzie o sto mil. Ale Polonia wytropi wszędzie. Nie wiem, doprawdy, jak uczynić. Dajno, Adamie, jaką mądrą radę, aby można i żyć z wami, i mieć poetycką pogodę. Już też i tęsknię do was czasami. Jak to się

wam wydam w nowej skórze? Kozak skatoliczały, to nielada ciekawa figura« [1]).

Mickiewicz, którego w owym czasie, za przybyciem na świat drugiego potomka, coraz dotkliwiej zaczęła gnieść bieda, i któremu, po zawodzie nadziei na teatr francuski, coraz chmurniej przedstawiała się przyszłość, myślał o tem, aby z żoną i dziećmi wynieść się z Paryża do jakiegoś ustronnego miejsca, gdzieby życie było tańsze, i przychodziło mu do głowy, czyby nie pojechać właśnie do Endoume, kiedy otrzymał list Bohdana. Odpowiedział więc »kochanemu Kozactwu« w taki sposób: »O Bohdana projekcie odwiedzenia nas nie wiem, co myśleć. Radbym bardzo widzieć go z nami. Jemu wątpię, aby Paryż był miły. Podobno my wszyscy, jak chorzy, ustawicznie próbujem przestawiać łóżko. Czy wiecie, że ja właśnie miałem zamiar prosić was, żebyście donieśli w szczegółach, co kosztuje życie w Endoume? a to w zamiarze podróżowania do was. Znam tu kolegów, którzy starają się o pozwolenie osiądzenia w Poznańskiem, a mój brat umiera tam z tęsknoty, że nie może przybyć do Francyi! O biedniż my ludzie«. Jednakże doradzał Bohdanowi przyjechać do Paryża, jeżeli ma rękopisy gotowe do druku, a nawet drukować w ułamku poema nieskończone, bo »kto wie, czy będziemy mieli czas wszystko pokończyć, a i to nic nie zaszkodzi, że publiczność nieco poczeka na koniec«. Tylko nie radził osiadać w samym Paryżu i pochwalał myśl zamieszkania w St.-Denis lub Montmorency.

Niedługo po tym liście, już w sierpniu 1838, wyjechali Zalescy z Endoume, gdzie Bohdan przez niespełna dwa lata w doskonałej samotności tyle przedumał, przemarzył, prześpiewał. W drodze do Paryża zatrzymali się w Avignon i tu po zwiedzeniu grobu Laury Petrarko-

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 123—124.

wej narodził się krótki cykl sonetów Bohdana p. t. *Nawiedziny grobu Laury* [1]). Z czterech sonetów tego cyklu pierwszy był przekładem sonetu Petrarki: *Sento l'aura mia antica*, trzy dalsze zawierały alluzye do miłości Bohdana ku Laurze — Dyonizyi. Przyjemnie było poecie upatrywać w uczuciach swoich podobieństwo do uczuć sławnego mistrza włoskiego, przyjemnie było korzystać ze sposobności złożenia nowego tajemnego hołdu »Jedynej — Bezimiennej«.

Błogo mi tu podumać na sławnej mogile!
Na nutę Petrarkową własną jąkać nędzę.
. . . .
I moja pieśń, z pod serca brzmiąca i ograna,
Tajemnicę swą wielką pod pieczęcią chowa.

Ale sonet nie był własną, rodzimą formą dla uczuć naszego poety, to też wygląda on w nim trochę jak w cudzem ubraniu. Był to strój ceremonialny, stosowny do wymagań etykiety poetyckiej. Jakżeż śpiewać o Laurze i Petrarce w Avignonie inaczej, jak w formie sonetu? Poeta spłacił dług etykiecie, ale stroju tego nigdy więcej nie tknął. Taki bogacz liryczny, posiadający nieprzebrane mnóstwo form stroficznych, nie potrzebował cisnącego uniformu sonetowego.

---

[1]) W pierwszem wydaniu z 1841 r. Poezija Bohd. Zaleskiego str. 130—133 wystawiona jest data pod sonetami: Avignon, 24 sierpnia 1838.

ROZDZIAŁ VII.

Brat jałmużnik.

1837—1838.

Bogdan Jański. — Wpływ Saint-Martina. — Bohdan Zaleski u konfesyonału. — Piotr Semenenko i Adam Celiński. — Hieronim Kajsiewicz. — Domek Jańskiego. — Pułkownik Zamojski pośrednikiem w Watykanie. — Obawy Zaleskich z powodu tego pośrednictwa. — Bracia rzymscy wzywają o pomoc. — Bohdan Zaleski obrany jałmużnikiem. — Przykre położenie braci rzymskich. — Bractwo św. Stanisława. — Troskliwość Mickiewicza o emigracyę w Algierze. — Rozdawnictwo funduszów z kraju nadesłanych. — Informacye Jańskiego. — Młoda Polska i jej stosunek do Braci Zjednoczonych. — Pośrednictwo Mickiewicza.

Zanim przejdziemy do przypatrzenia się życiu poety i jego twórczości w czasach dłuższego pobytu jego w lesistem Fontainebleau pod Paryżem, musimy poznać stosunek jego do tych ludzi, których prąd religijny, wychodzący od Mickiewicza, pociągnął także pod chorągiew katolicką, zatkniętą wśród nielicznego grona Braci Zjednoczonych. Ażeby zaś ten stosunek choć nieco dokładniej poznać, trzeba się cofnąć aż o trzy lata od chwili, do której doszło nasze opowiadanie, jeszcze aż do czasów przebywania Zaleskich w Paryżu w r. 1835.

Wspomniano już wyżej, że między tymi, którzy zaraz po Zaleskich przyłączyli się do grona tych Braci, był Bogdan Jański. Nie był to emigrant polityczny, nie brał



Bogdan Jański

udziału w powstaniu 1831 r. Wysłany przez rząd w r. 1827, jako jeden z najzdolniejszych uczniów uniwersytetu warszawskiego, do Paryża, aby się kształcić tam na profesora projektowanej w Warszawie szkoły politechnicznej, za granicą przebył czasy powstania, i po upadku jego mógł wracać do kraju, ale—postanowił nie wracać. Nie techniczne, nie naukowe sprawy zajmowały go wtedy, ale najwyższe zagadnienia, dotyczące stosunku jego do Boga, świata, ojczyzny. Jeszcze na uniwersytecie będąc, uległ antichrześcijańskiej propagandzie i popadł, jak sam powiada, w »rozwiązłość bez granic«, a pod wpływem najróżniejszych pobudek, złych i dobrych, bo między innemi była i chęć wyciągnięcia pewnej kobiety z toni moralnej, w zamęcie woli, ożenił się z tą kobietą, pomimo, iż »nietylko jej nie kochał«, ale jej »nie cierpiał« [1]). Z takiemi antecedencyami pojechał za granicę, i tutaj szamocąc się z niemi, ze swoją naturą, przechodził najsroższe cierpienia: »opanowywały mnie na przemian zwierzęcość i rozpacz«. Żeby się ratować od nich, chciał uciekać do Ameryki, zamyślał i o samobójstwie; ale spotkał się z saint-simonizmem, nową religią o tendencyach komunistycznych, i zdawało mu się, że ona go ocali z rozbicia moralnego. Było to jeszcze przed wybuchem powstania listopadowego. Powstanie, a w szczególności jego tragiczny upadek podziałał nań silnie, zwrócił jego myśl ku Polsce, dopomógł mu do wyplątania się z sieci saint-simonizmu, ale wszystko to nie zakończyło jeszcze walki wewnętrznej, jaka się w nim toczyła i nie przestawał on szukać drogi, na której dusza jego znalazłaby uspokojenie, tj. pewność, że spełnia zadanie swoje wobec Boga, ludzkości i ojczyzny.

Jeszcze przed poznaniem Mickiewicza, dzięki stosun-

---

[1]) X. Paweł Smolikowski, Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. W Krakowie 1892. T. I. str. 6.

kom z Lacordaire'm, czytaniu pism Gerbeta i Lamennais'go zaczął nachylać się ku katolicyzmowi, ale chwiał się nieustannie, »ciągle przyciągany do dawnych współwyznawców«, jak o tem sam świadczy w notatkach swoich do spowiedzi. Dopiero Mickiewicz »przez przykład utwierdza« go w drodze religijności, poddającej się powadze Kościoła, a i to nie stało się odrazu, ale dopiero w ciągu lat paru, wśród ciągłych cofań się, upadków i zawichrzeń wewnętrznych. Pod koniec 1834 znajduje się już w gronie Braci Zjednoczonych, do którego, jak wiemy, należeli wówczas, obok Mickiewicza i kilku innych emigrantów, obaj Zalescy.

Mickiewicz, po bliższem poznaniu Jańskiego, umiał ocenić w nim głębokość życia duchowego i siłę prądu religijnego, walczącego z różnemi przeszkodami. Tradycya przekazana X. Smolikowskiemu, ustami Kalinki, tak tę rzecz przedstawia: »Bracia Zjednoczeni zbierali się co piątek na mszę św., a po niej u Mickiewicza czytali pismo św. i rozmawiali o sposobach ratowania Ojczyzny. Mickiewicz, razu pewnego, bardziej niż zwykle znękany smutnemi wieściami, jakie go z kraju dochodziły, i tem, co się działo na emigracyi, zawołał: »Nie ma dla Polski innego ratunku, trzeba nowego zakonu. — Ale kto go założy? trzeba na to świętego. — Ja? za pyszny. Ty? (do Platera) zanadto arystokrata. Ty? (do Zaleskiego) zanadto demokrata. — Jański założy«. Do tej tradycyi dodaje X. Smolikowski komentarz: »Rozumiał Mickiewicz, że trzeba człowieka, któryby do żadnej partyi nie należał. Zaleski np. był wtedy zagorzałym demokratą« [1]).

Myślę jednak, że komentarz ten niezupełnie dokładny. Niewątpliwie Jański nie należał do żadnego z politycznych stronnictw emigracyjnych i nie godził się z ciasnotą ich wyobrażeń, ale i Mickiewicz był takim, a prze-

---

[1]) X. Smolikowski. Tamże. T. I. str. 41.

cież nie siebie, jak chce tradycya, tylko Jańskiego uznawał za zdolnego do założenia nowego zakonu. Kto wie, czy sam nie zamyślał o tej roli po ukończeniu *Pana Tadeusza*, a przed ożenieniem się, to jest w tych czasach, kiedy, jak pisał potem w cytowanym już liście do Kajsiewicza [1]), wahał się, czy ma się ożenić, czy na zawsze pozostać bezżennym, i »obrał łatwiejsze, bo do trudniejszego nie czuł w sobie dość siły«. Nie pycha zapewne była tu główną pobudką; przeciwnie, raczej poczucie, że nie potrafi zdobyć się na tyle poświęcenia, ile tego wymagają śluby zakonne; jeżeli pychę upatrywał w sobie, to chyba w tem, że przywiązywał wielką wagę do swego daru poetyckiego, i że nie sądził — jest to naturalnie przypuszczenie — aby ten dar dał się pogodzić z wyrzeczeniem się świata. W Jańskim zaś przeczuwał taką gotowość do wyrzeczenia się osobistego szczęścia, jakiej nie widział ani w sobie, ani w Cezarym Platerze, ani w Bohdanie Zaleskim, ani w innych Braciach Zjednoczonych.

Zdaje się, że odegrał przytem niemałą rolę wpływ Saint-Martina. Wiadomo, jak wysoko cenił Mickiewicz tego mistyka, jak wczytywał się w niego w czasach pisania *Pana Tadeusza* i jak zalecał go do czytania swoim przyjaciołom. Odyńcowi jeszcze w kwietniu 1833 r. donosił, że czyta »najwięcej dzieła Saint-Martina«, a w lutym następnego roku, nazajutrz po ukończeniu szlacheckiej powieści, pisał do niego: »Czytam bardzo mało, najczęściej Saint-Martina, którego dzieła, jeżeli gdzie znajdziesz, czytaj wszystkie pilnie« [2]). Jeżeli te dzieła zdaleka zalecał Odyńcowi, który niełatwo mógł je w Dreźnie znaleźć, to tem pewniej zachęcał do ich czytania przyjaciół paryskich, szczególnie takich, jak Bogdan Jański, który od kilku lat gorączkowo a daremnie szukał prawdy u różnych źródeł

---

[1]) Korr. I. 147.
[2]) Tamże, T. I. str. 113 i 143.

i wiele cierpiał z tego powodu. Mamy też wyraźne świadectwo w pamiętniku Jańskiego, że właśnie w tym samym czasie, kiedy Mickiewicz tak gorąco polecał Odyńcowi czytanie Saint-Martina, Jański zagłębiał się w tym mistyku neo-chrześcijańskim, który powoływał do naśladowania Chrystusa i wskazywał drogę do doskonałości przez ciągłe wcielanie w całem życiu idei poświęcenia.

Oto, co znajdujemy w owym pamiętniku pod datą 19 lutego 1834: »Ach, czemu moje dotychczasowe życie jest szeregiem błędów, przestępstw, słabości, prowadzących do niedołężności, do nicości? Bo nie było wyrzeczenia się siebie w dążeniu do prawdy, do dobra drugich, do doskonałości. Wczoraj mi to przyszło na myśl przy czytaniu St. Martina. Dzięki Bogu! dzięki poczciwemu St. Martinowi. Zawsze był wzgląd na ludzi, na własną chwałę, wyniesienie między nimi — na rozkosz własną«. A w dalszym ciągu zwracał się do Boga z następującą modlitwą: »Boże, daj mi łaski i siły do obrachowania mego sumienia, wygładzenia złego, ożywienia dobrego. Ach, daj mi łaskę wiary w Ciebie, w Twoją doskonałość, w Twoją miłość powszechną, jedyną prawdę, wszechmocną potęgę. Daj mi, Ojcze życia, uczucie Ciebie we mnie«. I dziękował Mu za myśli, któremi »niedawno« został natchniony, a które mu może także przy lekturze Saint-Martina przyszły do głowy. A były to myśli następujące:

»Miłość bliźniego bez miłości Bożej jest próżną — prowadzić może do złego.

»Oddanie siebie całego w jakichkolwiek stosunkach z ludźmi i ze światem, bez oddania się Bogu, bez względu na obowiązki, wynikające z ostatecznego naszego przeznaczenia — prowadzi do złego« [1].

Zdaje się, że w tych myślach była krytyka saint-simonizmu, było stanowcze zamknięcie drzwi do tej sfery wpływów, w której przebywał Jański przez lat parę, da-

[1]) X. Smolikowski, Historya Zgrom. T. I. str. 31.

remnie szukając tam ocalenia, a do której, i po wyjściu z niej, ciążył jeszcze przez czas jakiś. Teraz rozstawał się z nią na zawsze.

Wiemy, że Bracia Zjednoczeni, łącząc się w Związek, uznali za konieczny wstęp do tego aktu odprawienie spowiedzi kościelnej. Zdaje się, że nie wszystkim to poszło łatwo. Przynajmniej wiemy, że Bohdan Zaleski, chcąc spełnić ten warunek, natrafił na trudności, które go do spowiedzi zniechęciły i na dłuższy czas od niej odsunęły. Otoż — rzecz godna uwagi — tym, który mu ułatwił spowiedź, usunął trudności, leżące na drodze do niej, był Bogdan Jański, człowiek, który niewątpliwie miał siebie za daleko większego grzesznika od autora *Rusałek*, ale który umiał w sobie wzbudzić daleko głębszego ducha pokory. Wiemy z jego notatek, że swoją spowiedź zaczął 24 listopada 1834, a więc w pięć dni po akcie zawiązania Braci Zjednoczonych, a ukończył dopiero 10 stycznia 1835 [1]), miał więc niemało do wypowiedzenia przed spowiednikiem i długo musiał czekać na absolucyę, a jednak nie zraziło go to wcale, i do tegoż spowiednika skierował potem Zaleskiego. Znany jest wyjątek z listu jego do tego księdza w tej sprawie. Ksiądz był zapewne Francuzem i list do niego musiał być pisany po francusku. »Oto moja prośba — pisał Jański — jeden z moich przyjaciół chciałby się wyspowiadać tego tygodnia. Jest to nasz deputowany (albo jak u nas zowią, poseł), a zarazem [jeden] z najznakomitszych polskich poetów. Imię jego Zaleski. Trudności, jakie mu robiono rok temu, odepchnęły go od konfesyonału. Od tego czasu doświadczył wiele pokus i upadków, z których postanowił za łaską Bożą i pomocą księdza dobrodzieja ostatecznie się podnieść. Nie mam potrzeby wstawiać się za nim, pewny, że gorliwość księdza dobrodzieja ułatwi mu spełnienie tego świętego po-

[1]) Tamże, T. I, str. 41.

stanowienia« [1]). Kiedy to było, dokładnie oznaczyć trudno, ale z zestawienia różnych dat domyślać się można, że było to w drugiej połowie 1835 r., na niedługo przed wyjazdem Zaleskich do Strasburga. Dopiero też wtedy, jak wiemy, nasz poeta wycofywał pół serca swego z polityki emigracyjnej i mógł się całem już łączyć z Braćmi Zjednoczonymi, ale było to właśnie wtedy, kiedy się od nich na dłuższy czas i na rozległą przestrzeń oddalał.

Co się tyczy Jańskiego, ten jeszcze przedtem, zaraz po swojem zupełnem nawróceniu się do katolicyzmu i oczyszczeniu się duchowem przez spowiedź i komunię, zabrał się do pełnienia misyi, którą w nim upatrywał Mickiewicz, gromadzenia koło siebie ludzi, z którychby dał się utworzyć nowy zakon, ratujący Polskę z rozbicia moralnego. Sam Jański, jako żonaty, formalnie nie mógł zostać zakonnikiem, ale to go nie odstraszało od zadania, którego chwycił się z całą radością i oddaniem się ducha z mąk wyzwolonego. Szukał ludzi podobnych do siebie, takich, jakim był niedawno, cierpiących, wątpiących, błąkających się po manowcach polityki emigracyjnej, przyciągał ich ku sobie szczerością swego ducha i religijnym zapałem, jaki go ogarniał, i umiał przelewać w nich ten zapał.

Pierwszymi, których przyciągnął do siebie, na których wywarł siłę swego wpływu, byli Piotr Semenenko i Adam Celiński. Pierwszy, dwudziestoletni młodzieniec (miał lat 17, gdy zaciągnął się do szeregów powstańczych), niedawno jeden z najczerwieńszych demokratów, uczęstnik tajemnych działań węglarstwa francuskiego, tropiony ciągle przez policyę francuską i ukrywający się przed nią, śpiewający »śmierć i zemstę« w swoich ulotnych poezyach, z gorącem sercem, ale jasną głową, zetknął się z Jańskim jeszcze w czasach, gdy ten gotował się do pierwszej spowiedzi i tak prędko pociągnięty został przez niego, że

---

[1]) Tamże. T. I, str. 205.

już w dziesięć dni po pierwszej komunii Jańskiego (21 stycznia 1845) i on przystąpił do spowiedzi, i zaraz potem wydał list otwarty do swych przyjaciół i nieprzyjaciół, objaśniając to wystąpienie w ten sposób, że ponieważ »jawnie siał zgorszenie i jawne były owoce jego«, więc jawnie wyznać je musi, »aby pokuta błędom odpowiadała«. — Drugi, młodszy o lat parę od Jańskiego, starszy o lat sześć od Semenenki, marzyciel, entuzyasta, obdarzony wielkim talentem poetyckim, jak świadczą ci, którzy czytali jego poezye, ale chwiejny, skłonny do upadku ducha, przechodził także szkołę węglarstwa, zanim dostał się pod wpływ Jańskiego i temu ostatniemu z początku trudniej go było utrzymać na nowej drodze, niż Semenenkę.

Bardzo prędko po zbliżeniu się do siebie zamieszkali we trzech razem, i wiedli życie wspólne pod opieką moralną Jańskiego, oddając się praktykom religijnym, modlitwom, rozmowom i rozmyślaniom nad poprawą własną, emigracyi i całego społeczeństwa polskiego w kierunku religijnym. Był to już w myśli Jańskiego początek misyi, którą mu Mickiewicz wskazywał. Ale wtedy to staczał Jański najcięższe zapasy z jednym z nawróconych przez siebie, z Celińskim. W dzienniku Jańskiego znajdują się nieraz wzmianki o »opętaniu« Celińskiego. Pod datą 13 czerwca 1835, tego dnia właśnie kiedy Jański chciał utworzyć pierwszy zawiązek bractwa służby narodowej, jest tam mowa o Celińskim, że »w opętaniu apostazyuje«. A pod datą dnia następnego pisze Jański: »Adam (Celiński) dopełnia swojej apostazyi; wszelka filozofia, nauka, religia, są u niego syreny dla Polaka, chce tylko bić się za Polskę. Proszę go nareszcie, żeby nie bluźnił. Ale nie mam dosyć miłości i gorliwości, żebym przez moje słowa zrobił na nim jaki skutek«. Te spory, grożące zerwaniem stosunków, powtarzały się i potem, ale już niedługo.

W lipcu 1835 Jański tak formułuje cele bractwa które już w drobnym zawiązku istniało: »dążyć do tego abyśmy, emigracya i naród, stali się wzorem życia chrześcijańskiego we wszystkich naszych myślach, słowach i czynach. Stąd poprawa literatury i obyczajów«... »I z powrotem do kraju egzystencya bractwa jest potrzebna, aż do zupełnego odrodzenia religijnego ludu, poprawienia obyczajów i zwyczajów narodowych, rozlania po całej ludności oświaty i dobrego bytu, postawienia narodu silnym i wykształconym do wspólności ludów chrześcijańskich. Dla oparcia się arystokracyi samolubnej, i fałszywej demokracyi, i fałszywej filozofii i bezbożnemu industryalizmowi«[1]). Dodać należy, że pomysły, które snuł w owych czasach Jański, nie ograniczały się tylko do działania na emigracyę i naród, ale obejmowały daleko szerszy zakres a przedewszystkiem wciągały do niego — jak to już wyżej dana była wskazówka[2]) — Słowiańszczyznę. Ale jakkowiek myśl jego pozwalała sobie wybiegać bardzo daleko i bardzo dalekie i trudne stawiać przed sobą zadania, punkt wyjścia w tej o nieograniczonych horyzontach pracy był blizki, łatwy, jedynie zresztą w ówczesnych warunkach możliwy. Jak się wziąć do tej pracy w emigracyi i między przyjaciółmi i w narodzie? pytał on siebie i odpowiadał: »Zacząć od siebie«.

W jesieni 1835 jeden z trzech członków nowego bractwa, których wszystkich gniotła w Paryżu najsroższa bieda, Celiński, puszcza się pieszo do południowej Francyi, do zakładu w Agen, w którym dawniej przebywał aby tam wśród licznie zgromadzonej, obojętnej na hasła religijne, ale zato namiętnie rozpolitykowanej emigracyi uderzyć w nowy ton, zaczerpnięty z duszy Jańskiego

---

[1]) Smolikowski. T. I 69.

[2]) Patrz str. 79—80.

Pociągnąwszy ku sobie dwóch przyjaciół w tem mieście, podczas obchodu rocznicy 29 listopada, w kościele pełnym ludu, razem z nimi spowiada się, klęczy całą mszę i przyjmuje komunię, a potem na zgromadzeniu publicznem ma płomienną przemowę do rodaków, wzywając ich do zaprzestania kłótni i do zgody braterskiej. To wystąpienie Celińskiego wywarło na miejscowych emigrantach bardzo silne wrażenie, na jakiś czas przynajmniej przerwało kłótnie i uszczęśliwiony tem Celiński, w porozumieniu z innymi emigrantami układa odezwę do ogółu emigracyi, wzywającą do wzajemnego odpuszczenia sobie wszelkich win, tak prywatnych, jak publicznych, a nawet marzy o założeniu jakiegoś »zakonu rycerskiego«[1]).

Jański, dowiedziawszy się o powodzeniu Celińskiego, bardzo się z niego cieszył, ale znając swego ucznia, przesyłał mu przestrogi, które lepiej niż co innego określają kierunek, jaki chciał nadać działalności swego bractwa. »Krok wasz na 29 listopada jest dziełem wielkiem, szlachetnem, chrześcijańskiem. Wyraźnie mu Bóg pobłogosławił. Pogodzenie nieprzyjaznych stronnictw, spalenie aktów niezgody i nienawiści, dobitnie o tem świadczą«. Ale lękał się, aby dalszy udział Celińskiego i jego towarzyszy w zbiorowych naradach emigracyjnych nie zatarł charakteru ich pracy. »Strzeżcie się, żeby czasowe powodzenie, jakie koncesyjki, nie pochłonęły was w ruchu niższym i niezgodnym z zasadą waszego żywota. Nie odradzam wam uczęstnictwa w rzeczach ogółu, i owszem, ale *sobrii estote et vigilate quia inimicus vester*... Strzeż się, najdroższy Adamie, żądzy pożywania niedojrzałych owoców — niezawodna stąd choroba. Odezwy i manifesta, uchwalane większością głosów ludzi, dalekich od

[1]) Adam Krechowiecki. Prawdy i bajki. Warszawa 1911, str. 72—86.

prawdy, przesiąkłych jeszcze tylu błędami, nienawiściami, znikomemi drobiazgami, należą właśnie do starej polityki... Używać trzeba całego swego wpływu, aby, ile można, najmniej złego, a najwięcej dobrego i temi sposobami robiło się, ale pamiętać, że nie to główna nasza robota. W emigracyi uprawić naprzód trzeba grunt religijny, rozkrzewić wiarę i miłość chrześcijańską, wskrzesić, rozszerzyć, umocnić, wprowadzić w praktyczne życie pewną masę uczuć i myśli prawdziwie moralnych, religijnych i chrześcijańskich, nim coś ogólniejszego dobrego się dopełni. Dłuższa to droga i ciasna, ale ona tylko prosta i pewna« [1]).

Ale Celiński niedługo mógł pracować dla idei, któremi natchnął go Jański. Rozwinęła się w nim choroba piersiowa i tak szybkie postępy czyniła, że pomimo przeniesienia się dla lepszego klimatu do Montpellier umarł tam pod koniec 1837 r.

Miejsce Adama Celińskiego, zaraz po jego wyjściu z Paryża, zajął przy Jańskim nowy jego uczeń, obok Semenenki przyszły główny filar Zmartwychwstańców, Hieronim Kajsiewicz. Młody Żmudzin (ur. 1812) już na uniwersytecie warszawskim, na który wstąpił na rok przed powstaniem, zapamiętale oddany poezyi, a podczas powstania dźwigający pięcioaktową tragedyę swoją w mantelzaku na plecach, a przytem bitny i śmiały żołnierz, uczestnik bitew pod Stoczkiem i Nową wsią, gdzie był mocno porąbany, znalazłszy się w Paryżu w r. 1832, brał z początku udział w hucznych zgromadzeniach przy ulicy Taranne, dał się wciągnąć w węglarstwo, omal że nie do awanturniczej wyprawy Zaliwskiego, ale pod wpływem znajomości z Mickiewiczem, któremu przypadł do serca i który pobłażliwie sądził jego chropawe utwory, ceniąc w nich »kruszec rodzimy, własny, choć niewy-

---

[1]) Smolikowski. I 53—55.

krzesany«, chciał się »wyrejterować« z polityki emigranckiej i wyjechał o parę mil za Paryż. Tam odwiedzany niekiedy przez Mickiewicza, dysputując z różnymi przyjaciółmi o katolicyzmie, (z Rettlem, z Koźmianem Janem i Worcellem) powoli »katoliczał«. Ścisła zażyłość z Worcellem, który wtedy, według słów Kajsiewicza, »chciał męczeństwa«, »łaził po republikanach i dyskursa wściekłe publicznie gadał«, była przyczyną, że Kajsiewiczowi wzbroniono pobytu w Paryżu i wyprawiono go do Angers, skąd dopiero po dwu latach mógł powrócić na stały pobyt do Paryża.

Było to około połowy 1835 roku, w tym czasie, gdy Jański zaczynał gromadzić przy sobie tych, których natchnął swoimi poglądami, a między którymi byli dawni znajomi Kajsiewicza. Ten zaledwie mógł ich teraz poznać. »Znalazłem kilka konwersyi dziwnych i znakomitych, pisał w rok potem do Leonarda Niedźwieckiego, jak naprzykład sławnego demagoga Semenenki, który dziś, jak jaki św. Jan ewangelista wygląda: miłość go w szpikach przejęła; wyraz twarzy, głos, giesta, wszystko w nim zmieniła. Przecławski, Karski (Duński) etc. w takiem samem położeniu«[1]). W Kajsiewiczu niedługo po przybyciu do Paryża, pod wpływem tego otoczenia, pod wpływem odnowionego stosunku osobistego z Mickiewiczem, obudziła się chęć wstąpienia do stanu duchownego. Powołanie to uczuł — jak sam opowiada — w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny i tegoż samego dnia jeszcze zwierzył się z tem Mickiewiczowi, który »posłyszawszy tę dobrą nowinę, rzucił mu się na szyję i zawołał rozrzewniony: »niechże Bogu będą dzięki! I ja miałem powołanie, alem je zmarnował: może ty mnie zastąpisz«. Odnosiło się to — według słów Kajsiewicza — do cza-

[1]) Ksiądz Hieronim Kajsiewicz (wyciągi z listów i notatek zmarłego) przez Bronisława Zaleskiego. Poznań 1878, str. 51.

sów spowiedzi rzymskiej Mickiewicza w r. 1830. Kiedy następnie Kajsiewicz swój zamiar wyjawił Semenence, ten mu »nawzajem wyznał, że ma podobne postanowienie: odtąd stali się jakoby nierozdzielni«[1]).

Ażeby się »duchownie posilić« i sił nabrać do walki »ze światem i ciałem«, do której się gotowali, postanowili odbyć pielgrzymkę do klasztoru Benedyktynów w Solêsmes, znanego już przedtem Kajsiewiczowi, a mającemu w gronie swoich mnichów ludzi młodych i uczonych. Tam się spotkali z Montalembertem, młodym, religijnie nastrojonym parem Francyi, przyjacielem Polaków a w szczególności Mickiewicza i Jańskiego, który mu pomagał przy tłumaczeniu *Ksiąg pielgrzymstwa* na język francuski, i razem z nim odbywali stamtąd pobożną wycieczkę do opactwa Trapistów koło Laval, a krótki pobyt w tym klasztorze takie wrażenie wywarł na nich, że Kajsiewicz pisał w cytowanym już liście do Niedźwieckiego: »Bardziej skruszony, przejęty, zbudowany wyszedłem stamtąd, jak gdybym 1000 tomów najmoralniejszych przeczytał«.

Jednakże nie o wstąpieniu do Trapistów zamyślali oni, tylko do Benedyktynów, bo zakon ten odpowiadał lepiej ich usposobieniu, i Montalembert podtrzymywał ich w tym zamiarze. Kiedy po miesiącu wrócili z Solêsmes do Paryża, zeszli się na powitanie ich do mieszkania, które najął dla nich Jański, prawie wszyscy związani z nimi wspólnością kierunku religijnego; a między innymi Mickiewicz, Witwicki i Bohdan Zaleski, już prawie zupełnie wyplątany z polityki emigracyjnej i gotujący się do opuszczenia Paryża. Ale ich zamiar wstąpienia do Benedyktynów zaniepokoił niektórych Braci Zjednoczonych, w szczególności Mickiewicza i Jańskiego, którzy czując

---

[1]) Pisma X. Hieronima Kajsiewicza. Berlin 1872. T. III, str. 410.

potrzebę zakonu dla Polski, nie myśleli o dawnych zakonach, mających tradycyą uświęcone formy i zadania, ale o czemś nowem, zastosowanem do współczesnych potrzeb narodu polskiego. Więc chodziło im o to, aby co prędzej zawiązać coś, coby mogło skupić Polaków, pragnących zakonnego życia, powstrzymać ich od wstępowania do dawnych zakonów i zachować dla tego, który się jeszcze nie urodził, ale którego przyjścia na świat głęboko pragnęli. Owocem tych pragnień i tego niepokoju był tak zwany »domek Jańskiego«.

Było to już po wyjeździe Zaleskich do Strasburga. Ażeby założyć jakiekolwiek, choćby najmniejsze i najuboższe ognisko dla ludzi, zamyślających o życiu zakonnem, potrzeba było jakiegoś funduszu, bo ci ludzie nic sami dać nie mogli: byli bez grosza. Zajął się tem gorliwie Mickiewicz; sam wprawdzie nie mógł nic ofiarować, ale porozumiał się z Cezarym Platerem i Montalembertem i otrzymał od nich przyrzeczenie, że się o ten fundusz wystarają. Na podstawie tego przyrzeczenia zaraz w następnym miesiącu Jański wynajął domek przy ulicy Notre Dame des Champs Nr. 11 i w Środę Popielcową 15 lutego 1836 kilku Braci Zjednoczonych, w tej liczbie Jański, Antoni Gorecki, Semenenko, Kajsiewicz i Karski (czyli Duński), rozpoczęło wspólne życie zakonne, o którem Kajsiewicz w trzy miesiące potem (w maju 1836) tak pisał do Koźmiana: »Modlemy się, uczymy razem; pomagamy sobie nawzajem, sami z kolei usługujemy; podczas obiadu czytamy żywoty świętych; wszystko wspólne, czas oznaczony, Jański bratem naszym starszym«[1].

Tym, którzy mieli stanowczy zamiar przywdziać habity mnisze, Semenence i Kajsiewiczowi, śpieszno było rozpocząć regularne studya teologiczne, ale w jaki sposób

[1] X. Hier. Kajsiewicz przez Bron. Zaleskiego, str. 54.

mieli to uczynić? »Do seminaryum dyecezyalnego, powiada Kajsiewicz w swoim *Pamiętniku Historycznym o Zgromadzeniu XX. Zmartwychwstańców* [1]), trudno się było dostać dla braku funduszów; ale spowiednik wynalazł sposób. Znał on zacnych kapłanów, prowadzących kolegium Stanisława w Paryżu (tak nazwanego przez Ludwika XVIII na cześć dziada swego Stanisława Leszczyńskiego). Tam ich umieścił w liczbie dozorców (maitres d'étude) uczącej się młodzieży świeckiej, gdzie też był dla nich dodatkowy, upoważniony przez arcybiskupstwo kurs teologii. Radość ich była bez granic. Weszli oni tam 29 czerwca, w dzień św. Piotra i Pawła, a 15 sierpnia w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej przywdziali sukienki duchowne, i jedni z pierwszych pokazywali się w nich na ulicach paryskich, dość jeszcze do owego czasu opróżnionych ze sukien duchownych«.

Z wyjściem Semenenki i Kajsiewicza z domku Jańskiego, ich miejsce zajęli inni, i domek ten w dalszym ciągu odgrywał rolę zakładu, przygotowującego emigrantów do zupełnego poświęcenia się służbie Bożej, rolę, którą pełnił przy ciągłej walce z niedostatkiem. Tymczasem, w r. 1837, stronnictwo grupujące się koło księcia Adama Czartoryskiego, zwane przez ogół emigracyjny arystokracyą, a do którego należał jeden z Braci Zjednoczonych, bardzo religijnie nastrojony Cezary Plater, zwróciło uwagę — może właśnie pod wpływem tego ostatniego — na budzący się w pewnych kołach emigracyi ruch katolicki i zapragnęło roztoczyć nad nim opiekę, nie bez myśli naturalnie, że w tym nowym ruchu znajdzie dla siebie, dla swoich dynastycznych dążności, sprzymierzeńca. Najczynniejszy, najenergiczniejszy członek tego stronnictwa, w późniejszych czasach właściwy jego kierownik, złączony z widomą głową stronnictwa blizkim

---

[1]) Pisma. T. III, str. 414.

węzłem krwi, pułkownik Zamoyski, znalazłszy się w Rzymie na wiosnę 1837 r., uzyskał audyencyę u papieża Grzegorza XVI, aby mu przedstawić smutne położenie kościoła katolickiego pod rządem rosyjskim i wyjawić przykre wrażenie, jakie encyklika papieska do biskupów polskich z r. 1832, potępiająca powstanie, wywarła na emigracyi polskiej [1]).

Przy tej sposobności wspomniał o Polakach, gotujących się do stanu duchownego i pytał, czyby nie mogli odbywać studyów teologicznych w kollegium rzymskiem Propagandy. I papież i sekretarz stanu, kardynał Lambruschini, dobrze tę myśl przyjęli, nie wiedząc, że mowa była o emigrantach, i powiedzieli: »przyszlijcie nam, a my ich przyjmiemy«. Zamoyski, za powrotem do Paryża, oznajmił o tem Braciom Zjednoczonym, i zachęcał do wysyłania tam kandydatów polskich do stanu duchownego, spodziewając się, że tą drogą Stolica Apostolska będzie miała sposobność lepiej się informować o prześladowaniu kościoła polskiego w Rosyi [2]). Bracia Zjednoczeni, w szczególności ci, którzy według wyrażenia Kajsiewicza, »stanowili jakoby izbę wyższą«, mianowicie Mickiewicz, Cezary Plater, Witwicki, wreszcie przełożony domku, Jański, wzięli tę myśl pod rozwagę i zgodnie z ogółem braci postanowili, że trzeba z wezwania korzystać i posłać zaraz do Rzymu Kajsiewicza i Semenenkę, pomimo że w Collège Stanislas było im bardzo dobrze. I już na początku września 1837 r. wybrali się ci ostatni, opatrzeni listem Zamoyskiego do kardynała Lambruschiniego, w drogę do Rzymu.

---

[1]) Ciekawe sprawozdanie Zamoyskiego z tej audyencyi podane w dziele X. Lescoeur: La religion catholique en Pologne sous le gouvernement russe. Paris 1860, str. 55—59.

[2]) Kajsiewicz. Pisma. III, str. 415.

Do izby wyższej, o której mówi X. Kajsiewicz, to jest do ludzi, których głos miał więcej znaczenia wśród Braci Zjednoczonych, należał także i Bohdan Zaleski, ale ten już od dwu lat prawie przebywał daleko od Paryża i w naradach nad wysłaniem przyszłych zakonników do Rzymu nie mógł brać udziału [1]). Jednak, jak o wszystkich rzeczach ważniejszych, które się działy w bractwie, bywał zawiadamiany, tak i o tym wyjeździe zawiadomiony został listownie. I oto wiadomość ta na obu Zaleskich sprawiła bardzo przykre wrażenie. Zdawało się im, że wskutek opieki rozciągniętej przez Zamoyskiego nad Braćmi Zjednoczonymi, ruch katolicki w emigracyi, do którego tak wielkie przywiązywali znaczenie, może utracić swój dotychczasowy, czysto-religijny charakter i stać się narzędziem politycznem w ręku partyi Czartoryskiego. Znali Zamoyskiego, jako człowieka obojętnego w rzeczach wiary, więc podejrzaną się im wydała jego troskliwość o Braci Zjednoczonych i jego stosunek z Rzymem. Pod wpływem tego wrażenia napisali kilka słów do Kajsiewicza i Semenenki, w których się wyraziło ich zdziwienie i smutek, na co otrzymali zaraz od Piotra Semenenki odpowiedź, prostującą ich wyobrażenia i usuwającą obawy.

Ta korespondencya nie dochowała się, ale znamy list Józefa Zaleskiego do młodych zakonników w Rzymie, zaraz potem pisany z Endoume (17 października 1837). »Drodzy nam bracia Piotrze i Hieronimie! — tak się list zaczynał — w przypisku moim do Hieronima nie chciałam was obrazić, nie chciałem nawet zasmucić. Chciałem raczej po bratersku donieść wam, jakie na nas zrobiła wrażenie wiadomość, że wy-

---

[1]) X. Kajsiewicz (Pisma. T. III 415) mylnie wymienił Bohdana Zaleskiego między tymi, którzy uznawali potrzebę tego wyjazdu.

jeżdżacie do Rzymu pod wpływem niewiernego[1]). Z początku byliśmy bardzo smutni i chodziliśmy posępnie z Bohdanem po pustkowiu naszem, a potem poszliśmy na modlitwę prosić Boga, żeby nas, dzieci swoje, od zgubnej polityki i od wpływu a widoków nieczystych ludzi zasłonił, by nam nie zamącili miłości i oczyszczającego się przez łaskę Pańską sumienia naszego. Z pokorą i skruchą, bracia moi kochani, błagaliśmy o łaskę dla was i dla siebie, o pobłogosławienie krokom naszym dla chwały Chrystusa podjętym. W takiem usposobieniu siadłem napisać do was słów kilka i napisane odczytałem Bohdanowi. Jeżeliście tam, bracia, znaleźli jaki wyraz, co was zasmucił, przebaczcie mi; gdybyśmy was nie miłowali całem sercem, gdybyśmy nie składali jednejże i tejże samej rodziny w Chrystusie, anibyśmy się poważali odsłaniać wam obawy duszy naszej«.

»List twój, kochany bracie Piotrze, w którym piszesz: »że Pan Bóg wzywał, że bracia nas wybrali, że tam jedziecie z uniżonością i trwogą, płacząc za grzechy, zaspokoił nas zupełnie. Niechże was Bóg łaską swoją w tej stolicy Piotrowej nawiedzi, a modlitwy nasze wzmoże błogosławieństwem na tej ziemi, bogatej męczeństwem i zasługą chrześcijańską, wymódlcie nam u stóp krzyża odpuszczenie win naszych, zapomnienie wielkich naszych grzechów i zmiłowanie nad nami«.

W liście Semenenki, którego nie znamy, musiało

---

[1]) Bronisław Zaleski w nekrologu jenerała Zamoyskiego powiada, że Z. w r. 1837 (jeszcze przed rzymską podróżą), »wezwany do Florencyi był świadkiem ostatnich dni i zgonu matki, którą całem sercem kochał«, i że »chwila ta była w jego życiu stanowczą; od niej rozpoczyna się w duszy jego szczery zwrot ku Bogu i prawdziwe rozgrzanie uczuć religijnych, które już odtąd tylko róść coraz bardziej miały« (l. c. 33). O tym zwrocie jednak w r. 1837 Bohdan i Józef Zalescy nic jeszcze wiedzieć nie mogli, i dlatego to Józef Zaleski nazywa Z. w liście »niewiernym«.

być coś, co brzmiało jakby wyrzutem dla Zaleskich, że byli członkowie Towarzystwa Demokratycznego nie pozbyli się jeszcze całkowicie stronniczych uprzedzeń, bo major pisał w dalszym ciągu. »I my, bracia najmilsi, nie znamy różnicy osób przed Bogiem, modlimy się tak za przyjaciół, jak za nieprzyjaciół naszych, tak za wiernych, jak za niewiernych; dla pierwszych prosimy o pełność łaski, dla drugich o oświecenie i naprawę serca. Niechże się wam nie zdaje, bracia moi, żem moje zdanie w pierwszym liście ukształtował podług natchnienia partyi« [1]).

Na ten list otrzymali Zalescy od braci rzymskich bardzo prędko odpowiedź, która jeszcze lepiej niż poprzednia mogła uspokoić ich obawy, ponieważ z niej okazywało się, że protekcya Zamoyskiego nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. »Pokazało się, pisał Semenenko, że kiedy tu był Zamoyski, przyrzeczono mu wprawdzie umieszczać Polaków po seminaryach, ale nie rozumiano, żeby to mieli być emigranci. Kardynał Lambruschini zdziwił się i zląkł się, jak się o tem dowiedział; po wielu zachodach na tem stanęło, że nam pozwolono zostać w Rzymie, jako Francuzom, (albowiem z francuskimi przybyliśmy paszportami, bez wymienienia żeśmy Polacy) wynaleźć sposób utrzymania się i uczęszczać na kursa teologiczne, oczekując ...... pomyślniejszej okoliczności. Owoż wszystko, do czego nam posłużyły listy i rekomendacye, Pan Bóg wszystko inaczej urządził i jeżeli zostaniemy w Rzymie, Jemu samemu będziemy winni«.

Jedyny sposób utrzymania się dla przyszłych zakonników, jaki się nastręczał w Rzymie, było wejść w charakterze dozorców do pewnego instytutu sierot, gdzieby dziesięć godzin dziennie musieli poświęcać na dozorowanie dzieci, a tylko sześć mieliby wolnych dla studyowania teologii. Ale Semenenko dodawał, że miejsce to jest przy-

---

[1]) Korr. J. B. Z. I, 102—103.

kre. »Rozerwani między dozorem dzieci, który sam z siebie jest wielkim obowiązkiem, jakeśmy się o tem przeświadczyli przez rok pobytu w kollegium Stanisławowskiem, i który pociąga za sobą wielką odpowiedzialność, a uczeniem się teologii, które też całego człowieka powinno zająć, nie moglibyśmy się ani jednemu ani drugiemu oddać zupełnie. Tego zatem miejsca nie możemy przyjmować, jak tylko w ostatnim razie, kiedy zgoła a zgoła nie byłoby innego ratunku. Tym czasem zdało się wszystkim (przez wszystkich rozumiał tu Semenenko prócz siebie i Kajsiewicza także księży polskich, obecnych w Rzymie, a wciągniętych do narady) rzecz stosowna, zapytać się was, mili bracia, czybyście nie mogli wziąć na utrzymanie jednego z nas, gdy tymczasem drugi możeby skądinąd, a mianowicie od Cezarego, na utrzymanie swoje dostał... Takie położenie dałoby nam wszelką sposobność oddania się naukom i zostawiło umysł spokojny, tyle do tego potrzebny, że już nie wspomnę o zdrowiu, na które Hieronim dzisiaj wcale nie duży... Rozważcie to wszystko, kochani bracia, i odpowiedźcie wedle możności waszej«. I Semenenko wyliczał następnie, ile wynosiłoby utrzymanie jednego z braci w Rzymie: przy wspólnem mieszkaniu 420 franków, do tego trzeba dodać 100 fr. na ubranie. »Gdybyście takiej sumy nie mogli, powiedźcie, co możecie, lubo, dziś przynajmniej, mała nadzieja skądinąd zastąpić; ale w każdym razie odpiszcie co rychlej, bo czekać długo nie możemy«.

Ale trudne położenie bynajmniej nie odejmowało ducha młodym kandydatom do stanu zakonnego. »Radziśmy, pisali w końcu, że wszystko dzieje się nie przez protekcye i bez trudności, ale po cichu, z oporem i na małą stopę. Tak przystało grzesznikom, tak zresztą Pan Bóg z swoimi dziećmi najukochańszemi postępował i z swym synem jedynym, Panem naszym«.

Jeżeli bracia rzymscy tak śmiało zwracali się o po-

moc pieniężną do Zaleskich, to niewątpliwie w ich listach, nam nieznanych, musieli znajdować jakąś zachętę ku temu, i musieli wiedzieć, czy to od nich, czy od kogo innego, że mogą oni rozporządzać jakiemiś funduszami na rzecz publiczną. Bohdan należał, jak wiemy, w r. 1834 do Komisyi funduszów emigracyjnych, ale usunąwszy się z Paryża przestał być jej członkiem, więc nie o pomocy z tej strony mogli myśleć bracia rzymscy. Pomoc, do której się odwoływali, zostawała w najściślejszym związku z odnowionym stosunkiem Bohdana z ukochaną przezeń Ukrainą. Iwanowscy, Poniatowscy byli to ludzie bogaci, mieli na Ukrainie i Podolu wielu krewnych i przyjaciół, równie bogatych. Pod wpływem patryotycznej i religijnej propagandy, której ogień zapalony u pochodni Bohdana, pani Dyonizya i jej matka poniosły z sobą na step ukraiński, nietrudno tam było zbierać fundusze, które, przesyłane tajemnie na ręce Zaleskich, mogły być obracane na potrzeby braci, cierpiących na wychodźtwie, i na różne sprawy, mające na celu dobro narodu. Wiemy z korespondencyi Zaleskich, że Mickiewicz znajdujący się wówczas w bardzo trudnych warunkach finansowych, kilka razy za ich pośrednictwem otrzymywał anonimowo z Ukrainy po kilkaset franków zasiłku pieniężnego[1]) i że

---

[1]) Z Molsheim zaraz po widzeniu się z Poniatowskimi pisze Józef Zaleski do Domejki: »Przed kilkunastu dniami kobieta jedna, moja znajoma, (niewątpliwie pani Dyonizya) posłała Adamowi z Niemiec 600 fr. w złocie. Proszę cię, mój Ignacy, chciej się ostrożnie dowiedzieć, czy rąk jego doszły i jeżeli twoja łaska donieść mi o tem. Korr. J. B. Z. I 93. Z Endoume 6 czerwca 1837 pisze Bohdan do Wodzińskiego: »Uściskaj Adama i obydwie jego szczebiotki. Mają przyjść dla niego z Kijowa cybuch i 150 rubli. (Tamże I 102). A w liście Józefa do Mickiewicza, o rok późniejszym (30 czerwca 1838) czytamy: »Z ostatnim listem mojej żony odebrałem dla ciebie 600 franków z takiem samem godłem, jak pierwej: »Powiedz Adamowi, że to od jego blizkiego«. Pośpieszam z odesłaniem ci tej sumki«. (Tamże I 125).

Zalescy jeszcze za pobytem w Rzymie, widząc z żalem, »że w Stolicy kościoła nie było ani instytutów dla młodzieży polskiej, ani żadnej reprezentacyi duchownej, przypominającej, że i nasz naród katolicki«, zaraz »w pierwszem wzruszeniu« powzięli zamiar zbierania funduszów na ten cel. Tę myśl powiozła pani Iwanowska na Ukrainę i tam w gronie jej majętnych krewnych i przyjaciół postanowiono zbierać składki, a rozrządzanie niemi poruczono jej ukochanemu Bohdanowi. »Jak ciebie, Bogdanie, bracia nasi w Paryżu, pisał do Jańskiego (28 kwietnia 1838) Bohdan Zaleski, tak i mnie kilka osób z kraju zamianowało na starszego, raczej na swego jałmużnika, zamianowało takoż *tacite* i bez wotowania. Rad nie rad przyjąłem urzędowanie, bo czułem, że poczciwe i że nie godzi się wypuszczać z rąk sposobności, jaką Bóg nadarza, ku służeniu braciom«[1]. Jałmużnictwo to naturalnie pełnił wspólnie ze swoim *alter ego*, Józefem.

Na prośbę braci rzymskich odpowiedzieli Zalescy zaraz (8 listopada 1837) i zaraz przesłali 200 franków, obiecując po Nowym Roku nadesłać jeszcze 200, ale ostrzegali ich przytem o niebezpieczeństwach, jakie grozić mogą stosunkom emigrantów z Ukrainą i kazali się liczyć z niemi. »Wy wiecie, bracia, pisał Józef, że nasze fundusze zależą od wielu okoliczności, podlegają wypadkom. Rachujcież tylko wtenczas napewno, jeżeli nic a nic stosunków nie przerwie, a tymczasem może co pewniejszego dla siebie wyszukacie. Posyłka od nas niechaj między wami utonie, nie mówcie nikomu, ani nie piszcie do nikogo, skąd macie pieniądze«[1].

Ale z braćmi rzymskimi tak było krucho, że nie czekali odpowiedzi Zaleskich i przyjęli ofiarowane sobie

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 114.
[2]) Tamże. I 104.

»przykre« miejsce w domie sierot, które okazało się daleko przykrzejszem, niż je sobie wyobrażali [1]), wszystko to jednak znosili z mężnem sercem żołnierzy Chrystusowych, i nic o tych przykrościach, przynajmniej do czasu, nie donosili Zaleskim, tak że Bohdan, dowiedziawszy się o ich wejściu na służbę do domu sierot, a nie wiedząc z jak źle wychowanemi i krnąbrnemi dziećmi mieli do czynienia, cieszył się, że się tak dobrze umieścili. »Zazdroszczę wam, żeście między dziećmi, podobno zawsze, a tem więcej dzisiaj, tam była i jest prawda, niewinność i łaska Boża. Gdybym mógł się dzisiaj przemienić na dziecię, czuję, żebym inaczej żył i przysposobiłbym sobie czystsze, milsze wspomnienia na stare lata«. Poeta, w niewiadomości rzeczywistego stanu rzeczy, tworzył idyllę z tego, co było ciężką pracą i męką. Jaki zaś był stan rzeczywisty, jaka »niewinność i łaska Boża« między temi dziećmi, wśród których się znaleźli bracia rzymscy, jaskrawo to maluje list Semenenki do Jańskiego z 9 marca 1838. »Co do duchownego naszego położenia, to znosimy nędzę naszą, jak możemy. Hieronim ma teraz pod dozorem pierwszą kameratę, to jest największych, a z nimi spory kielich goryczy. Ach, Bogdanie, łzyby ci się puściły, gdybyś ujrzał tutejsze zepsucie. Ile w tych młodych sercach nienawiści, przewrotności, nikczemności, świętokradzkiej bezbożności. Niektórzy co niedziela do stołu Pańskiego przystępują, pełni siedmiu duchów nieczystych, i to właśnie, co boli, i co stan młodzi i w ogóle stan religii we Francyi tak godnym zazdrości czyni« [2]).

Jakże lekkiem było nawpół zakonne życie naszego poety w Endoume, poświęcone poezyi, modlitwie i dumaniom, w porównaniu z ówczesnem życiem jego mło-

---

[1]) Zobacz Smolikowski, l. c. II 54 i 154.
[2]) Smolikowski. II 84—85.

dych przyjaciół rzymskich, gotujących się do prawdziwego życia zakonnego w najcięższych warunkach.

Ale i on nie samą poezyą chciał się zajmować w swojej pustelni. »Żyjemy, pisał w cytowanym liście do Semenenki i Kajsiewicza[1]), za światem, opodal zgiełku i swarów ludzkich. Modlimy się za przeszłość i przygotowujemy się dla przyszłości. Powinniśmy, jako nowi słudzy, jako lepsi, wystąpić za Panem naszym. W tym celu rozmyślam o mnogich pracach. Moi kochani, szukajcie po księgarniach i bukinistach rzymskich *Specimen Ecclesiae Ruthenicae* przez Kulczyńskiego, Roma 1733, tudzież Allemani czy Assemani o Kościele słowiańskim. Ojciec Guéranger bardzo mi to dzieło zachwalał. Wszelkie książki, jakie znajdziecie do historyi kościelnej słowiańskiej lub polskiej, skupujcie po mału. Pieniądze wam zwrócę«. W jednym z nieco późniejszych listów jego (do Duńskiego 20 kwietnia 1838) znajdujemy wiadomość, że zamierzał w owych czasach tłumaczyć *Wyznania św. Augustyna*.

Zamiar ten pozostawał w związku z pewnym pomysłem, jaki powstał wśród Braci Zjednoczonych w Paryżu, mianowicie z projektem osobnego bractwa pod wezwaniem św. Stanisława, któreby się zajęło przekładem na język polski znakomitszych dzieł treści religijnej, zdolnych jak najskuteczniej szerzyć pobożność wśród polskiego społeczeństwa. Naturalnie to bractwo miało być tylko jakby komisyą z łona Braci Zjednoczonych, ponieważ z tego grona przedewszystkiem miano rekrutować tłumaczy, i odpowiednie wezwanie poszło z Paryża i do braci rzymskich i do Endoume. Jednocześnie podobny pomysł powziął pewien Jezuita, Obrempalski, profesor teologii w Modenie, a dobry znajomy pewnej pobożnej Galicyanki, pani Kaboga, i przy jej pomocy pieniężnej, a także innych pobożnych Galicyanek, chciał drukować przekłady polskie

---

[1]) List z 8 grudnia 1837. Korr. I. B. Z., I. 111.

dzieł pobożnych we Lwowie i z tą myślą zwrócił się do braci rzymskich. Więc Semenenko »starszemu bratu« Jańskiemu na wezwanie z Paryża odpowiadał: »I tak projekt O. Obrempalskiego dziwnie się spotkał z waszym projektem bractwa św. Stanisława, tylko czemuście raczej św. Jana Kantego, doktora polskiego nie obrali? Zresztą święci kłócić się nie będą. Piszemy się na to bractwo sercem całem. Co do dzieł, Hieronim uprasza sobie Emmerich, której dawniejszego naszego tłumaczenia posiada do 60 stronnic drukowanych. Ja nie wiem, coby mi wziąć wypadło. Mam na teraz myśl, że dobrzeby było zrobić skrócenie Rodrigueza w jednym tomie, samą treść z niego wyciągnąwszy. Ale może to do gustu przypadnie Edwardowi (Duńskiemu)«. Zalecał także żywot św. Wincentego à Paulo przez Abelly w 5 tomikach. »Dzieło nieoszacowane pod względem pożytku duchownego. Adamowi (Mickiewiczowi) przypominamy Konfessye św. Augustyna i wogóle dobrzeby było Ojców nieprzepomnieć. Hieronim prosi, ażeby Koźmiana zawerbować, i jako umiejącemu hiszpański, św. Teresę dać do tłumaczenia. On we trzy lata mógłby ją całą przetłumaczyć. Donieście też, jakiego rodzaju książki obierzecie. Możeby Hube jął się mistyki Görresa? Dobrzeby też było, zdaje się, przetłumaczyć Herbsta: *Die Kirche und ihre Gegner in den drei letzten Jahrhunderten*. Ale o tem sami sądźcie« [1]).

Zwracając się do Endoume z projektem bractwa św. Stanisława, bracia paryscy wzywali do udziału w przekładach nietylko Bohdana, ale i majora, którego Mickiewicz w owych czasach, czytując obszerne jego listy, pisane do Paryża, uznał za »bardzo dobrego i miłego pisarza« i któremu Witwicki na tej samej podstawie »naznaczał między prozatorami piękne miejsce« [2]). Ma-

---

[1]) Smolikowski II. 83—84.
[2]) Korr. Ad. Mickiewicza I. 175.

jor, który już od trzech lat, pod bezpośrednim wpływem Bohdana, był nastrojony bardzo pobożnie, w bezczynnem życiu emigracyjnem, na jakie był skazany, na długo jeszcze przed owem wezwaniem z Paryża, wziął się do tłumaczenia rzeczy pobożnych. »Dobrze przed waszym projektem co do tłumaczeń, pisał do Duńskiego, przełożyłem 15-arkuszowe dziełko pod tytułem: *Pobożna wieśniaczka* (*La pieuse paysanne*), czyli życie Ludwiki Polowej. Dziełko szczególnie zalecone wiernym chrześcijanom przez wielu biskupów, z dodatkiem życia św. Zyty, służącej, i św. Izydora, rolnika, oraz z krótkiemi przepisami do życia chrześcijańskiego i z modlitwami na każdy dzień w tygodniu«... »Życie św. Zyty i św. Izydora wiernie przetłumaczyłem, całe zaś życie pobożnej wieśniaczki starałem się przepolszczyć, osobom dałem imiona polskie, i rzecz całą zastosowałem, przeniosłem do Polski w Lubelskie«. Tłumaczył życie św. Elżbiety, chciał też tłumaczyć żywot św. Franciszka Salezego, w którym kiedyś jeszcze w domu znajdował upodobanie, ale — rzecz charakterystyczna dla obawy Zaleskich, aby religii nie obniżać przez politykę — w egzemplarzu, który kupił we Francyi *(Esprit de St. François de Sales)* znalazł świętość tak pomieszaną z karlizmem, że się tej roboty tknąć nie śmiał«.

Zabierał się także do tłumaczenia Tomasza à Kempis, ale dowiedziawszy się, że w Paryżu bracia mają tego dokonać, odstąpił od tego zamiaru. »Ucieszyłem się bardzo, kochany Edwardzie, że Adam i Stefan zajęli się tłumaczeniem *Imitation*. Bogaci w skarby prorocze, to jest w słowo i w ducha, jaśniej rozświecą myśl świętą tej książki i z większą chwałą dla Boga i z większym pożytkiem dla czytelników polskich«. O swoich zdolnościach pisarskich trzymał bardzo niewysoko. »Ani się napieram na świat, jako pisarz Józef Zaleski. Mnie Bóg na żołnierza przeznaczył, w drugim roku życia mego wytrzyma-

łem szturm Pragi, a potem niby zgłodniały krwi ludzkiej włóczyłem się za bojaczką po całym świecie, lecz kiedy przyszło na własnej ziemi dobyć oręż za wolność Polski, Bóg mnie podobno uznał niegodnym tych godów, kazał szable schować do pochew i ustąpić precz z pola«. A dziś, »gdyby karzeł urósł raptem na wielkoluda, możeby się nie tyle dziwił, ile ja się dziwię, skąd mi przyszło pisarstwo?« [1]).

Co się tyczy Bohdana Zaleskiego, ten w owych czasach nawiedzany często natchnieniem, oddany dumaniom poetyckim i pragnący studyować dzieje kościoła słowiańskiego, nie był, jak się zdaje, zbyt pochopny do podejmowania tłumaczeń, ale usuwać się od wspólnej pracy w tym kierunku nie chciał, chciał tylko, aby mu powiedziano wyraźnie, jaką mu część wspólnego ciężaru wyznaczają t. j. jaką książkę ma tłumaczyć. »Nie chcecie ładu i porządku w robocie, pisał do Duńskiego w przypisku do listu majora, zostawiacie wybór książki do woli każdemu. Cóż ja tedy biedny mam wytłumaczyć? Zapytaj braci, czy który mię już nie uprzedził z Spowiedziami św. Augustyna? Jeżeli nie, to zasiądę nad nim, mam śliczną edycyę rzymską«.

W parę tygodni po tym liście pisał Mickiewicz do Zaleskich o tej sprawie. Donosząc, że Historya polska, nad którą od paru lat już pracował, idzie mu tępo, dodawał: »Z robót, któreśmy przedsięwzięli na rzecz bractwa, również pochwalić się nie mogę. Witwicki jeden czynnie bardzo bierze się i wiele robi, o drugich tyle nie wiem. Sam spodziewam się z czasem dopędzić innych. Mam zamiar tłumaczyć Dyonizyusza Areopagitę, lub też którego z Ojców Kościoła. Widzicie tedy, że wam w drogę nie włażę. Chciałbym wszakże bardzo, aby kto z nas zajął się tłumaczeniem dzieł nowszych polemicznych. Wybor-

---

[1]) Korr. J. B. Z. I, 117 i nast.

neby było np. *Podróż Irlandczyka w celu odkrycia religii*, przez Moora, *Historya Kabeta* i t. p. Pamiętajmy, że nie pracujemy dla ludzi już pobożnych i doskonałych, ale dla podobnych nam włóczęgów światowych; że teraz na religię rzadko kto bije dowodami filozoficznemi, bo można powiedzieć, że cała artylerya niewiernych, już dawno zdemontowana, ucichła. Więc oni puścili się na partyzantkę; gawędą, konceptami i żartami stąd i zowąd Kościół napastując. Przeciwko takim szarmyclarzom dobrzeby było z dziełami wystąpić lżejszemi i popularniejszemi. Polecam to waszemu rozmyślaniu. Zresztą cokolwiek wybierzecie, zawsze wielką zrobicie przysługę narodowi w tych czasach« [1]. Ale miał słuszność Bohdan, że nie było ładu i porządku w tej robocie wspólnej, to też rezultat jej w porównaniu z zamiarami był bardzo szczupły.

Z inną jeszcze sprawą pobożną zwracał się wówczas Mickiewicz do Zaleskich, a w szczególności do majora. Bardzo go bolał los kilkudziesięciu Polaków, rzuconych do Algieru i zostawionych samym sobie. »Co się tam z nimi dzieje? Azaliby który z was (a szczególniej Józef, jako starszy i doświadczeńszy) nie miał ochoty i sposobności ich tam odwiedzić? Prefekt zapewne nie odmówiłby mu paszportu. My stąd wyprawilibyśmy paki książek na założenie tam gabinetu czytania. Możeby się udało założyć coś lepszego, np. jakie bractwo w celu wzajemnego wsparcia w czasie choroby, odbywania wspólnego obrządków religijnych itd«. I tu skłonny jeszcze zawsze do mierzenia sił na zamiary duch Mickiewicza puszczał cugle rojeniom dalekim od warunków współczesnej rzeczywistości. »Wszakże to i Towarzystwo Kawalerów Szpitalnych powstało z tak małych początków! Jeśliby kiedy przyszło do tego, iżby katolicy, w emigracyi znajdujący

---

[1]) Korr. Ad. Mick. I. 172—173.

się, widzieli potrzebę połączyć się w jaką organizacyę i obrać starszego, w takim razie ów starszy powinienby albo w Irlandyi albo w Afryce założyć stolicę«. A upatrując, że się zadaleko zapędził w szczęśliwych wróżbach, na niczem nie opartych, dodawał: »Są to marzenia, które się może nigdy nigdy nie uskutecznią, ale zawsze po chrześcijańsku ten zrobi, kto braci algierskich odwiedzi. Chociażby jednego tylko na drogę prawdy wrócił, jużby miał podróż zapłaconą. Tu na lądzie słychać przynajmniej o sporach religijnych, krążą gazety i wieści, ale tam nad morzem, śród Arabów i spekulantów francuskich, musi panować wielka nędza moralna« [1]).

Naturalnie Mickiewicz dlatego Zaleskich nakłaniał do tej ofiarnej podróży, że im, jako mieszkającym pod Marsylią, łatwiej było, niż komu innemu z Braci Zjednoczonych, puścić się do Algieru. I major gotów był usłuchać wezwania Mickiewicza, ale rozważniejszy Bohdan, wywiedziawszy się, że Polacy w Algierze zostają pod wpływem ludzi, którzy nie dawali żadnej rękojmi, żeby religijna propaganda trafić do nich mogła, powstrzymał go od tego. Do zaniechania tego zamiaru przyczyniło się może i to, że w owych czasach, tj. na wiosnę 1838 r. mieli Zalescy, w szczególności Bohdan, inne ważne sprawy na głowie, które z Afryki trudniej było załatwiać. W kwietniu czy w marcu tego roku nadeszły zapowiadane dawniej pieniądze z Ukrainy w kwocie kilku tysięcy franków na cele patryotyczno-religijne, z wyraźnem choć tajemnem pełnomocnictwem dla Bohdana, ażeby użył ich według własnego uznania i z nadzieją, że i na przyszłość, jeżeli nie zajdą jakieś przeszkody polityczne, przybywać będzie stamtąd podobny zasiłek. Było więc nad czem pomyśleć, ażeby użyć tych pieniędzy jak najlepiej. Przede-

[1]) Tamże I. 175.

wszystkiem trzeba było zająć się ustaleniem losu Semenenki i Kajsiewicza, do których mieli przybyć z Paryża nowi kandydaci polscy do stanu zakonnego, Duński i Turowski, ażeby razem z tamtymi utworzyć zawiązek polskiego zgromadzenia zakonnego; potrzeba było opatrzeć pilne potrzeby paryskiego zakładu przygotowawczego, owego domku, gdzie starszym był Jański, i wiele innych pokrewnych potrzeb nasuwało się na uwagę.

Oto, co o tej sprawie rozdawnictwa pisał Józef Zaleski do braci rzymskich 1 maja 1838. »Karbonkę naszą zasilono trochę i brat Bohdan został jałmużnikiem. Czyniąc tedy zadość obowiązkom swoim, zaraz napisał do braci paryskich i zażądał wykazu stanu rzeczy, tak w Rzymie, jak u nich, poczem mieliśmy zaraz do was napisać. Listy nasze leżały kilka tygodni bez odpowiedzi w Paryżu; brata starszego, Jańskiego, nie było tam, a bez niego nikt nie mógł odpisać. W tych dniach odebraliśmy żądane objaśnienia, wskutek których nasz kochany jałmużnik rozporządził w ten sposób: przeznaczył roczną bursę po 600 franków na czterech braci w Rzymie, to jest na was dwóch, na Edwarda (Duńskiego) i Turowskiego, opłacił półroczny lokal domku w Paryżu i posłał trochę na spłacenie waszych starych dłużków. Nie czekajcie teraz odemnie, bracia, cząstkowej przesyłki pieniędzy. Jałmużnik nasz prześle wam razem całe dwie bursy przez braci, jadących do Rzymu, są odłożone dla was i czekają tylko przybycia braci. Brat Jański pewnie wam napisze, kiedy to nastąpi« [1]).

W tym samym czasie (28 kw. 1838) Bohdan, donosząc Jańskiemu, że podejmuje się w Rzymie utrzymać czterech braci i że pieniądze dla nich już są odłożone, i wskazując, że najbliższa i najtańsza droga do Rzymu wiedzie na

---

1) Korr. J. B. Z. I, 120.

Marsylię, tak pisał w dalszym ciągu: »Ma się rozumieć, że rok rocznie aż do skończenia nauk, nie zaniecham kołatać, gdzie należy, o chleb powszedni dla naszych kleryków, ale sumiennie ubezpieczać braci nie mogę. W narodowej naszej niedoli lada przygoda, lada denuncyacya zniweczy odrazu moje stosunki i całe nasze dzieło. Chrystus nasz potężniejszy jest od wszystkich wrogów Polski, w nim tedy nadzieja. Pracujmy, nie oglądając się na jutro, na przygody i na denuncyacye. Kłopota lat następnych odłożymy do lat następnych«. A wiedząc już, jak w przykrych stosunkach zostają bracia rzymscy zapytywał: »Czyby nie można przyśpieszyć wyjazdu Edwarda i Turowskiego? A Piotra i Hieronima wyzwolić coprędzej z przykrego położenia?«

Przy liście do Jańskiego były i pieniądze. »Na potrzeby domku waszego — pisał Bohdan — posyłam 1000 franków: 1) na opłatę lokalu półrocznego, 2) na koszule i prześcieradła, 3) na spłacenie dłużków co gwałtowniejszych, tak waszych, jako też Piotra i Hieronima. Za kilka tygodni może będę bogatszy, to wtedy pomyślimy o reszcie. Kwit mi jest potrzebny i co spieszniej chciejcie nadesłać«. Na kwicie pragnął mieć także podpisy Mickiewicza i Witwickiego, a to dlatego, »że mają imiona głośne w kraju i byłoby miło i datkującym i mnie samemu, że dozorują grosz chrześcijański. Jeżeli się wymówią, przestanę na pojedyńczem twojem świadectwie«. Oprócz tego drugie 1000 franków przysłał na rzecz komisyi funduszów emigracyjnych, czy to dlatego, że tak ofiarodawcy żądali, czy też, że sam poczuwał się do wspierania nietylko bliższych sobie stosunkami i nastrojem religijnym, lecz i dalszych, niczem z sobą, prócz niedoli wygnańczej, niezwiązanych, i także prosił o wzięcie kwitu i przesłanie mu. Nie dość tego; w końcu listu stawiał Jańskiemu pytania, które świadczyły, że opiekę pieniężną gotów był jeszcze szerzej rozwinąć nad emigracyą. Mianowicie prosił go o »wy-

wiedzenie się z boku, czy Towarzystwo Naukowej Pomocy sprawia się dobrze i czy ma pieniądze«, i o objaśnienie czyim organem jest *Młoda Polska*, pismo emigracyjne, które z początkiem 1838 roku zaczęło wychodzić w Paryżu, a odznaczało się wybitnie katolicką dążnością z pewnym odcieniem demokratyczności i pewną elegancyą stylu i formy zewnętrznej. »Kto wydaje *Młodą Polskę?* pytał. Jesteśmy ciemni, jak w rogu. Psim węchem wietrzę czasem Adama, to Stefana, to znowu gubię tropy. Mam prawo i obowiązek zapytać o to urzędownie, a o tajemnicę bądźcie spokojni, bo nie żyjemy tu z nikim. Kto wie? Może mi się podoba rozciągnąć moją pieniężną opiekę i nad sztuką drukarską?« [1]).

Domek Jańskiego, na którego potrzeby posłał Bohdan 1000 franków do Paryża, w istocie znajdował się wówczas w bardzo trudnych warunkach finansowych. »W domu jest zdawna deficyt i bezład finansowy«, pisał patron jego, Mickiewicz, do Zaleskich w początkach maja 1838. »I niepodobna, żeby było inaczej. Deficyt wynika ze stanu, że tak powiem, całej emigracyi. Dom przyjmował osoby różne, z żołdem i bez żołdu, prawie zawsze gołe, często zadłużone. Wszystkie długi spadły na korporacyę, i tych nawet, co ją porzucili, trzeba dźwigać ciężary. Jest nadzieja, że zapomocą Cezarego [Platera] załatwią się długi. Tymczasem, w biednym stanie, jak teraz, dom wielką przynosi korzyść przez to samo, że egzystuje, że daje przykład, że stoi solą w oku emigracyi, że o nim gadają, a zatem i o religii gadać muszą. Słowo najrozumniejsze rychło przebrzmiewa, książka przeczytana zapomni się, ale instytucya żyjąca.... wywiera wpływ ciągły i skuteczniejszy. Dobrze tedy robicie, że ten dom wspieracie, o ile można« [2]).

---

[1]) Korr. I. B. Z., I. 115—116.

[2]) Korr. Ad. Mickiewicza, I. 174—175.

W imieniu braci paryskich odpowiedział Bohdanowi zaraz po otrzymaniu pieniędzy, Duński, odpowiedział krótko, zapowiadając dłuższą odpowiedź, wraz z kwitami, »starszego brata« Jańskiego. I w istocie Jański w 10 dni potem (15 maja 1838) zabrał się do odpowiedzi, w której miał dużo poruszyć spraw obchodzących »brata-jałmużnika«. Bo też nasz poeta, stając się rozdawcą funduszów, przesyłanych mu z zupełnem zaufaniem z Ukrainy, odgrywał ważną rolę w ruchu katolickim na emigracyi. Bez materyalnej podstawy, jaką temu ruchowi te fundusze dawały, jakkolwiek była ona szczupłą, grozić mu mogło to, czego się tak Zalescy i inni bracia obawiali, poddanie się pod jakieś wpływy polityczne, mogące zamącić czystość prądu religijnego.

Między innemi rzeczami pisał Jański Bohdanowi o dobrych wieściach z Rzymu, jak bracia rzymscy mają nadzieję uzyskać opiekę kardynała Odeschalchiego, jak wiele dobrego można się stąd spodziewać dla głównej idei Braci Zjednoczonych, którą, jak wiemy, było założenie zakonu polskiego, i z temi wieściami wiązał następującą prośbę. »Dlatego, przez miłość Chrystusa Pana, póki macie wolne drogi, kołatajcie niemi co najśpieszniej, co najczęściej... żeby zebrać można jak najwięcej zasobów dla zakrzewienia się tam [w Rzymie] naszego. Nie potrzebuję was przestrzegać, jak konieczna w tej rzeczy roztropność i pośpiech, bo gdyby Moskale zwąchali, nim się tam coś stalszego zrobi, mogliby wszystko utrudnić, a może i przeszkodzić. Za wyznaczony tedy przez ciebie fundusz 2400 fr. Bogu chwała, tobie dziękczynienie w Chrystusie Panu, najmilszy Bohdanie, wdzięczność przed Bogiem dla nieznajomych dobrodziejów. Ale ze względu na to, że najlepiejby było, gdyby najwięcej już znajdowało się naszych na miejscu, nim powstaną jakie przeszkody, pojedzie za tą zaraz wyprawą [to jest z Duńskim i Turowskim] może i trzeci, Hube. Na podróż ich... fun-

dusze skądinąd są w nadziei, ale mniej pewne. Zlituj się więc, najmilszy, jeżeli jeszcze masz co w ręku, nie rozdawaj na inne użytki, chowaj na ten, bodaj najważniejszy. Co do tego zaś, że nie możesz upewniać na dalszą, dalszą przyszłość, o to dzięki Bogu, żaden się z nas nie troszczy i nie będzie troszczyć; oddawszy Bogu całą swoją przyszłość, sprawiedliwie w nim każdy pokłada nadzieję«.

Drugą sprawą, którą poruszał w liście, a którą uważał także za bardzo ważną, była potrzeba zakupienia książek dla propagandy religijnej wśród emigracyi. »Dotąd, i tu w Paryżu, i na prowincyi, najwięcej się robiło *viva voce*, albo zapomocą pożyczonych książek, pożyczane trzymało się długo, szarzało na pożyczkach, robiło przez to niechętnych, wreszcie... nie zawsze można pożyczać; nasza tu biblioteka, złożona z naszych osobistych wniosków, bardzo niedostateczna, uboga w to, co najważniejsze. Tymczasem wołają o książki z Bordeaux, wołają z Montpellier, z Landów, zdałyby się i gdzieindziej. Nie mówię już o tych, któreby nam były pożyteczne dla nauki rzeczy religijnych, dla poznania literatury religijnej krajowej, ale głównie o apologetycznych, pisanych dla nienawróconych i nawracających się, i o dających początkową instrukcyą«. I tu wymienił cały szereg książek odpowiednich, począwszy od takich, jak *Essai sur l'indifférence* Lamennais'go i *Philosophie du christianisme* Bautain'a, a kończąc na obszerniejszych katechizmach, i uważał, że warto na to poświęcić jakich kilkaset franków, »(choćby paręset, choć cokolwiek na rzeczy najpilniejsze). NB. Książki te nie stawałyby się niczyją własnością prywatną, tylko udzielaneby były przez nas na użytek potrzebujących«.

Trzecią sprawą, w liście poruszoną, była sprawa pobożnego domku. »Dzięki Bogu, trzymamy się w duchu,

i jest wszelka nadzieja wzrostu w Chrystusie Panu. Otrzymałem świeże od Montalemberta przyrzeczenie, że wyrobi u Rządu pozwolenie tutejszego pobytu dla dwóch lub trzech naszych. Ponieważ Paryż jest punktem centralnym emigracyi, najwięcej w nim naszej uczącej się emigracyi etc., ważną jest rzeczą, żeby się i tu najmocniej ufortyfikować. Myślę więc wzmocnić naszą rotę przez nowych a co najmocniejszych«. I tu wymieniał przebywających na prowincyi, a już propagandą religijną skruszonych, Terleckiego, Kranasa i Omiecińskiego, i wiele oczekiwał od ich wejścia do domku. »Pan Miłosierny! Bo też po usunięciu się z pomiędzy nas, społem mieszkających, takich kolumn, jak bracia nasi duchowni (t. j. Semenenko i Kajsiewicz) krucho stał nasz budyneczek; ale stał, ufnością w Bogu i wytrwałą wiarą w świętość i nieomylność myśli Bożej, która nas w jedno związała«...

»Zasiłek tedy wasz i dla domku przybył w samę porę, bo przy tylu potrzebach i kłopotach, które na nas ciążyły i które mi myśl i czas zabierały, nader trudno, prawie niepodobna było rozrastać się, rekrutować, reorganizować, brakowało nawet śmiałości i potrzebnej mocy do wprowadzenia ludzi tak porządnych i w poprzedniem ich życiu i gospodarstwie, jak dopiero wymienieni, w nasze błoto nędzy i frasunku, z którego dzięki wam wydobywamy się. Jednak, żebyśmy na przyszłość, i po przybyciu nowych mogli stać mocno i urządzić się jak najrządniej, trzebaby się, ile można, oczyścić z wszelkich długów, zwłaszcza, że dzięki Bogu, niewiele już na ten cel będzie trzeba (z kilkaset franków). Ze względu tedy na ważność tutejszego stanowiska i stąd naszego związku, upraszam cię, najłaskawszy Bohdanie, abyś, jeżeli będzie sposób, jeszcze nie odmówił i nam tu ratunku. Tylko wybór między tutejszym domem i Rzymem co do rozdziału funduszów nie powinien cię i najmniej kłopotać;

cokolwiek tam dasz, tak nas pocieszy, duchownie pokrzepi, jak gdybyśmy tu nic nie potrzebowali«.

Bohdan Zaleski w liście, którego nie znamy, zapytywał braci paryskich, w jakiem położeniu znajduje się Towarzystwo pomocy naukowej, mające na celu dać możność kształcenia się młodszej generacyi emigracyjnej, a założone już przed kilku laty pod patronatem X. Czartoryskiego i wspierane nietylko przez swoich, ale i obcych, a szczególnie z początku bardzo hojnie przez niektórych Anglików. Z tego pytania można było wnioskować, że Bohdan z pieniędzy sobie już nadesłanych lub z tych, co miały później nadejść, chciał i to Towarzystwo wesprzeć, co świadczyło, że »brat jałmużnik« w rozdzielaniu jałmużny nie chciał ulegać żadnym stronniczym uprzedzeniom. Otoż Jański pisał: »O Towarzystwie naukowej pomocy jeszczem się nie wywiedział żadnych żądanych przez ciebie wiadomości, ale się wywiem i doniosę. Jeżeli jednak myślisz, miły Bohdanie, składać tam jaką ofiarę, zważ, że Towarzystwo to (nie przecząc bynajmniej dobra, które może robić) jest protegowane przez tyle osób, mających tak obszerne stosunki, robiących suskrypcye, bazary i t. d. na dochód jego [1]). Ty więc, zdaje mi się, bez wyrzutów sumienia możesz się uważać za wolnego od krzątania się jego sprawą, a obrócić i skoncentrować twoje usiłowania, wpływy i pomoce na rzecz sprawy naszej, a raczej (co daj Boże) Bożej«.

Otóż ten list, pisany 15 maja, jakkolwiek obszerny, nie wydawał się jeszcze Jańskiemu wyczerpującym wszyst-

---

[1]) Jednakże dochody tego Towarzystwa, o czem Jański może nie wiedział, stale się zmniejszały. W pierwszych dwóch latach jego istnienia (1833—1835) wynosiły 31.584 fr., w r. 1835—1836 tylko 8.589, w r. 1836—1837 — 7.942, wreszcie w r. 1837—1838 zeszły do 5.331 fr. Deuxième... Troisième... Quatrième Compte rendu de la société polonaise des études établie à Paris. Co prawda, z czasem i potrzeby tego Towarzystwa mogły się zmniejszać.

kie sprawy, jakie miał przedstawić »bratu-jałmużnikowi«, więc wstrzymał się z jego wysłaniem, ażeby w pierwszej swobodnej chwili dopisać resztę i wtedy dopiero wysłać, dołączając przytem znany nam już list Mickiewicza do Zaleskich, dany Jańskiemu na kilka dni przedtem dla wysyłki razem z jego listem. Wstrzymał się — i zapomniał o nim, i list, czekający na dokończenie, wraz z listem Mickiewicza przeleżał w biurku jego z górą miesiąc. To zapominanie, ta nieakuratność była słabą stroną tego świętego człowieka. Wytłumaczyć ją można tem, że tyle miał na głowie ważnych spraw i drobnych, materyalnych, odnoszących się do domku, tak zajęty był propagandą swoich idei i niesieniem pomocy biednym i chorym współbraciom, że to wszystko trzymało go od rana do nocy jakby w oblężeniu, i nie pozwalało mu sięgnąć pamięcią wstecz do dawniejszych spraw niezałatwionych. To też z przerażeniem i zgrozą spostrzegł 19 czerwca, że listu, zaczętego 15 maja, dotychczas nie dokończył i nie wysłał, i zaraz się rzucił do dokończenia, w którem dał naprzód szeroki upust swojej zgryzocie sumienia, a następnie bardzo szczegółowo przedstawiał wzrost propagandy katolickiej w emigracyi, wymieniał i charakteryzował ludzi w ostatnich czasach pozyskanych przez siebie dla idei religijnego odrodzenia i taką dodawał uwagę: »Tak tedy wkrótce mieszkania nam zabraknie i od przyszłego kwartału muszę w pobliżu nas wziąć kilka pokoi i rozdzielim się pewnie na rotę *strictioris observantiae* i nieco wolniejszych. Ustanowienie tej filii staje się dziś konieczne i to trzeba się będzie tem zająć zaraz. Jeśli się to zdawać będzie, a środki pozwolą, niech brat-jałmużnik wzgląd na to mieć raczy. Miałem ja zamiar, jak to podobno w liście którymś napomknąłem, ustanowić naprzód taką filię na prowincyi, ale po naradzie z Terleckim, Kranasem, Królikowskim, Koźmianem wypadło, że trzeba, żeby ci, co na prowincyi mają być Towarzyszącemi i sługami jedności,

pomieszkali naprzód z nami dla zlania się w ściślejszą jedność i [dla] tem pewniejszego potem postępowania w oddaleniu«.

Donosił dalej w tem sążnistem dokończeniu, które było przeszło dwa razy większe od właściwego listu, a które pisał w nocy »po lekturze duchownej i medytacyi i pacierzach, kiedy już wszyscy Bracia spoczywali«, że jeżeli na dwóch tylko starczy pieniędzy, do Rzymu zamiast Turowskiego pojedzie zapewne Hube, jeden z przyszłych filarów Zgromadzenia Zmartwychwstańców. »Mickiewicz szczególnie jest za jego wyjazdem i myśli, że on tam w Rzymie może być wielkiej dla naszych pomocy. W istocie, dodawał Jański, prócz Semenenki, nie ma pewnie żadnego z nas, na którymby nawrócenie większą i zupełniejszą zrobiło przemianę, jak na Hubem, a nawet co do ciągłego zebrania w duchu, niezachwianego pokoju, wewnętrznego życia w obecności Bożej, jest on między nami wszystkimi celującym«... O samym Mickiewiczu pisał, że jest »zdrów, zawiesił od pewnego czasu prace nad historyą polską, ale bodaj czy nie kluje poezyi i coś to byłoby Arcy. Bo pełen życia, siły, ducha. Pisałeś raz z zapytaniem o jego położenie materyalne (nb. wszystko, co tu piszę, sekret, uchowaj Boże, żeby miał kiedy wiedzieć, żem ja co o tem pisał). Naprzód nie wiem, czy wiesz, że od roku pobiera pensyjkę od Rządu, ale nie jako emigrant, tylko z funduszu na wsparcie des gens de lettres, 1000 fr. rocznie. W przeszłym roku rozeszły się były wieści, między wielą i obcemi mu, o bardzo złych jego interesach. Ale było w nich wiele exageracyi. Adam nie miał i nie ma żadnych pewnych wpływów, grosz grosza goni, jednak od pewnego czasu zdawało się, że szło mu lepiej, odebrał fundusiki rozmaite z kraju [1]). Wiedzieć ci trzeba, że jestem powiernikiem

[1]) Wyjaśnienie tego można znaleźć w liście Januszkiewicza

jego biedy i faktorem jego do zastawu, w ostatniej potrzebie, precyozów żony (dość kosztownych). Od pewnego czasu było wszystko wykupione. Ale dziś właśnie... zawezwał mnie i zastawiłem mu część brylantów za 700 fr., a zatem to zły znak pewny. Niezawodnie zbliżająca się opłata kwartalnego wymagała tego, a przytem zbliżający się połóg żony, od miesiąca codziennie są w spodziewaniu rozwiązania. Myślę, że gdybyś mu mógł przysłać co, pisząc poprostu, że to z funduszu krajowego, przysłanego do twojej dyspozycyi, albo i specyalnie przy słanego na twoje ręce, przyjąłby«...

W końcu odpowiadał na pytania Bohdana o *Młodą Polskę* i bardzo szczegółowo rozwiązywał zagadkę jej pochodzenia i redakcyi. »Wieleście się omylili, pisał, ani Adam, ani Stefan, ani żaden z nas ani litery w niej nie umieścił. Któż więc ją pisze? Tegobyście nie odgadli nigdy. Dziwna to i misterna entrepryza, a w niej widoma i niewidoma redakcya. Odkryję wam sekret. Uruski, galicyjski hrabia, dał pieniądze; Januszkiewicz, entrepreneur; Ropelewski main d'oeuvre, a redaktor główny Francuz, niejaki P. Jourdain. Ale sekret to największy, bo wyjawienie go urobiłoby największe kłopoty Uruskiemu, a Francuzowi zagrodziło powrót z nim do Galicyi. Z tego wniesiecie, że wielką mamy biedę z tym niespodziewanym sprzymierzeńcem. Talent w niektórych artykułach jest widoczny, skoroście w nich to Adama, to Stefana czytali. Ale Francuz wystąpił z pretensyą instruktora Polaków, bez znajomości naturalnie pozycyi, kwestyi i partyi politycznych naszych, cała klika z zamiarem nie potrzebowania nas, a z chęcią zrobienia się organem Partyi

---

z d. 15 lipca 1837 do narzeczonej, gdzie pisze, że Mickiewicz otrzymał z Wiednia, zdaje się kupnem manuskryptu Tadeusza« około 3000 franków. Kallenbach. Z epoki emigracyjnej (wyjątki z listów E. Januszkiewicza). Lamus 1909, str. 460.

katolickiej(?) w Polsce i w Emigracyi. Francuz nie może kontrolować tego, co się drukuje, ani wiedzieć, co trzeba pisać. Januszkiewicz chce zysków, Ropelewski, dandy, z opiniami tylko katolickiemi, nie praktykujący, próżny, chwiejący się, najniepewniejszy jeszcze człowiek. Wielkie może być złe, ale może się to wszystko da naprawić przez zastąpienie czem innem i pewniejszem. NB. z Uruskim i Jourdainem znam się, ale zrobili wszystko w czasie mojej nieobecności i ani się widząc z Adamem. Ze względu na Rzym, na kraj, i tu na nasze stosunki, bardzo to poplątało nasze stosunki, naruszając naszą neutralność w kwestyach politycznych, którą zdaje się na pewien jeszcze czas najściślej strzedz powinniśmy. Przedewszystkiem grunt, grunt położyć w sercach i głowach, wiarę, miłość i spólną nadzieję przez Chrystusa Pana i w jedności kościoła świętego. Ale módlmy się a czuwajmy i trwajmy w duchu poświęcenia, a wszelkie zło wyjdzie na dobre«.

Tak, *Młoda Polska,* mimo łudzących pozorów, nie miała nic wspólnego z duchem, który ożywiał Braci Zjednoczonych. Była to »antrepryza«, jak ją słusznie nazywał Jański, antrepryza literacka, a w jakim stosunku główny przedsiębiorca, Januszkiewicz, zostawał do idei odrodzenia religijnego, wiążącej w jedną rodzinę duchową Braci Zjednoczonych, najlepiej to okazuje wyjątek ze współczesnego listu jego do długoletniej narzeczonej, a późniejszej żony jego, panny Eugenii Lariss w Osieku. List nosi datę 27 czerwca 1838, to jest pisany był w chwili, kiedy pan Eustachy już od pół roku był wydawcą *Młodej Polski.* Mówił on tam naprzód o manii żenienia się na emigracyi, a potem dodawał: »Drugą manią emigracyjną jest jeszcze katolicyzm. Już to nie sekret, że ja bardzo złym jego jestem kapłanem, kiedy ten szał religijny ultramontański manią nazywam... Znacie, Panie, Walerego

Wielogłowskiego — był to także filozof podług dykcyonarza Bayla i Woltera, a dziś pobożny pielgrzym, gotów nieść włosienicę na barkach i iść pieszo, o żebranym chlebie, do jakiego Jacka w Kompostelli. Żona nieboraczka, chcąc niechcąc, musi się trzy razy spowiadać na miesiąc. Ordęga idzie tąż koleją. Żeby był czas i miejsce po temu, możnaby na żart założyć jaką sektę mahometańską i założyć się razem, że P. Walery i Ordęga porzucą katolicyzm i zostaną mahometanami. Są dusze tak niespokojne, tak chciwe nowości, że je zdrowy rozsądek kontentować nie potrafi«[1]). Ani przeczuwał ten wielbiciel zdrowego rozsądku, pisząc te słowa, że tak niedługo potem, trzymając się poły Mickiewicza, którego wielbił przedewszystkiem jako autora *Pana Tadeusza,* znajdzie się w kole Towiańczyków.

Jednakże mógł być pewien związek genetyczny, między ruchem religijnym w gronie Braci Zjednoczonych a założeniem *Młodej Polski.* Można przypuszczać, że już ten ruch był jedną z pobudek, które skłoniły Zamoyskiego do szukania audyencyi u Grzegorza XVI; objawiała się nowa siła w emigracyi, którą obóz konserwatywny chciał dla siebie pozyskać. Może dlatego i mowa X. Czartoryskiego na posiedzeniu Towarzystwa literackiego d. 3 maja 1838 była »bardzo katolicką«. Myśl założenia *Młodej Polski* i fundusze na to wyszły skądinąd, ale pobudka mogła być ta sama: zużytkowanie nowego ruchu w emigracyi dla przeciwdziałania propagandzie demokratycznej, która była zarazem anty-kościelną, przeciwdziałanie w kraju, szczególnie w Galicyi.

Co o tem wszystkiem sądził Mickiewicz, ten, od którego cały ten ruch wyszedł, dowiadujemy się z dwóch listów jego do Zaleskich. W pierwszym liście, z maja 1838, tym, który kilka tygodni przeleżał w biurku u Jańskiego,

---

[1]) Lamus 1909, str. 464.

pisał on o emigrantach polskich, że »zaczynają oczy przecierać i dziwić się bardzo, że świat jeszcze o religii myśli. Niedawno książę Czartoryski wyrzekł na Towarzystwie Literackiem mowę bardzo katolicką, i widziałem kilku filozofów wzdychających. Jeślibym powiedział, którzy to i jak wzdychali, rozśmieszyłbym was, a tu nie czas i miejsce żartom. Dobrze i to, że nakoniec nasi dowiadują się o egzystencyi religii katolickiej. Z drugiej strony azaż nie czytacie *Polski młodej?* Skąd ta *Polska* wychodzi, ja o tem tyle wiem, co i wy. Słyszę, że ją pisze Ropelewski i że pomaga mu czasem jakiś Francuz, który daje artykuły do tłumaczenia. Januszkiewicz słyszę, że mnie jako redaktora po cichu ogłasza. Ale dajmy im pokój. Napisano w Ewangelii, że kto uczy w imię Chrystusa, nie może być długo Jego nieprzyjacielem. Cieszmy się tedy, że Ropelewski i Januszkiewicz już się ogłosili obrońcami katolicyzmu, chociaż ich ortodoksya wam podejrzana. Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że oni sami dobrze nie wiedzą, w co wierzą i czego chcą; może pisząc dowiedzą się« [1]).

Jeszcze mniej korzystnie charakteryzował *Młodą Polskę* w liście o trzy miesiące późniejszym (z sierpnia 1838), mówiąc o niej, że »papieską tyarą, zdaje się, że nakrywa różne, świeckie dosyć cele«, co było alluzyą do winiety tytułowej z potrójną koroną u góry. »Redaktorowie zakładali, czy zakładają jakąś *Agence catholique,* pisali do różnych zakładów, wzywając do jakowegoś łączenia się, ale katolicy tam będący odpisali, że nie wiedzą, o co rzecz idzie, i kto ją prowadzi. Podobno rozgłaszają, że ja i Witwicki piszemy ich dziennik. Jeśli te wieści od nich rzeczywiście pochodzą, to mi bardzo podejrzana ich *Proselitenmacherei,* jak mówią Niemcy. Ale co chcesz? Skoro ludu trochę na odpust zjeżdża się, to

---

[1]) Korr. Ad. Mick. I 174.

wnet sąsiedzi karczemkę przy kaplicy wystawią. Słychać także, że agencya w imieniu katolików myśli zgłaszać się do kraju. Nie wiem, co tam krajowi będzie komunikować, i dlatego, że nie wiem, trzeba będzie ostrzedz, że my w tych ruchach żadnego nie mamy udziału. Wszakże czekajmy, aż się pokaże, co ta agencya zamierza. Jeśliby im tylko szło o prenumeratorów, to nie miałbym za wielki grzech, że się starają przy kościele coś utargować, byleby się nie podawali za apostołów« [1]).

Naturalnie po takich rekomendacyach »brat-jałmużnik« nie myślał roztaczać opieki nad *Młodą Polską*. Z niewyczerpanych funduszów, które jeszcze miał do rozporządzenia, posłał on wtedy, stosownie do wskazówek Jańskiego, 600 franków Mickiewiczowi, jako niby nadesłane majorowi z kraju z poleceniem wręczenia ich autorowi *Dziadów*, i 200 franków na książki dla propagandy religijnej. W liście, przy którym przesyłał weksel, opowiadał niepokoje, jakich doznawał z powodu milczenia Jańskiego. »Kochany nasz Adamie, pisał 29 czerwca, czy uwierzysz temu, że aż teraz dopiero dostaliśmy twój list, taki miły i ciekawy dla nas pustelników? Biskup Jański, leniwiec nad leniwcami, niemal przez całe dwa miesiące ciemiężył mię najokrutniej; nie pisał ani słówka o pieniądzach, które mu wszakże na żądanie posłałem. Ma się rozumieć, że w głowie mojej poetyckiej skleciłem był Bóg wie, jak straszną historyę, a co najgorszego, że w takim niepokoju nie mogłem ani pióra wziąć do ręki. Najnieznośniejszy dojutrek! ale nie łaj go, Adamie, bo obiecał poprawę, a przytem się przyznał, że się ciebie boi. Na przyszłość jednak pozwól, abym na twoje ręce wyprawiał fundusze dla katolickiego domu. Chodzi mi głównie o kwity, a ty łatwiej napędzisz tam Jańskiego do tak wielkiej roboty. Tą razą wypłać mu 200 franków

---

[1]) Tamże. I 179.

na książki religijne, aby mieli co czytać nasi nowonawróceni po zakładach«[1]).

Ale już pośrednictwo Mickiewicza w odbieraniu nadal pieniędzy było niepotrzebnem. Zalescy w trzy miesiące potem opuszczali na zawsze Endoume i wracali w stronę Paryża, a przytem kończyła się rola brata-jałmużnika, kończyła się z powodu wypadków, o których w następnej części tej pracy będzie mowa.

---

[1]) Korr. J. B. Z. I 223.

DODATKI.

I.

Adam Mickiewicz o pamiętniku Karola Różyckiego.

(Do str. 46).

Powstanie na Wołyniu czyli Pamiętnik pułku Jazdy Wołyńskiej, pisany przez dowódcę jej Karola Różyckiego. Bourges 1832, in 8⁰, str. 33.

»Wczora czytałem pamiętnik Karola Różyckiego, a dziś jeszcze pełen jestem tego pamiętnika, myśli moje nie wróciły jeszcze z podróży na Wołyń, ciągle jeszcze krążą koło obozowych ognisk pułku Wołyńskiego, błąkają się po krętych drogach między Cudnowem i Zamościem. W uszach jeszcze mnie brzmi jego hasło: *sława bogu*. Bo opisy Różyckiego są tak żyjące, tak malownicze, tak prawdziwe, że czytającemu zdaje się, iż nie na książkę patrzy, ale na kraj Wołyński, że z kart wychodzą konie i ludzie a wypadki toczą się przed oczyma. Zapominamy wtenczas o książce, o pisarzu; czekamy z biciem serca i bez oddechu, kto wygra bitwę? jak się skończy wyprawa? po przeczytaniu nikt nie wątpi o prawdzie opisów. Jest to doskonały portret, na który spojrzawszy mówią wszyscy, że musi bydź podobny, choć niewidzieli nigdy człowieka, którego cień tylko spotykają. Wielki malarz nie może kłamać,

»Ażeby dzieło zrobiło takie wrażenie, potrzeba ażeby w to dzieło wcieliła się cała dusza piszącego. Wtenczas książkę pokochamy, jak żywego człowieka, jak przy-

jaciela, zalety coraz bliżej oceniamy, wad niewidziemy; widzieć niechcemy, gniewamy się na tych, którzy je wytykać zechcą.

»Pamiętnik Różyckiego ważny jest nawet krytycznie sądząc pod względem historycznym i literackim. Lepiej on daje poznać rewolucyą, niż grube xięgi, bo nam pozwala zajrzeć w duszę rewolucyi, a uczeni strategowie, gadają nam ustawicznie o jej ciele, o jej ruchach, o jej stroju. Z pamiętnika Różyckiego dowiadujemy się sercem naszem, jakie to były uczucia, które pobudziły do powstania narodowego i ożywiły powstanie; a nie przejąwszy się tem uczuciem, jakże pisać, jakże zrozumieć historyą wojny narodowej? Niezapomina Różycki o szczegółach swoich marszów, obozowania, szyku bojowego, ale nie robi z nich głównej rzeczy. U niego duszą wyprawy jest wiara w dobrą sprawę, reszta jest przypadkiem. Inni pisarze tyle nam prawią o drogach, mostach, lasach i raportach, że zdaje się, jakoby tylko lasy, drogi i mosty wojowały z sobą, a ludzie przypadkiem tylko się tam zaplątali, wszyscy naturalnie uzbrojeni w patryotyzm, jak w karabiny dane od rządu, a męstwo znaleźli jakoś przypadkiem, jak ładunki wsadzone w kieszenie od nieznajomej osoby; jeśli wygrali, to dlatego tylko, że albo wpadli niespodziani, albo mieli lepszą pozycyą, przegrali znów, bo mieli mniej harmat, cofniono ich z boju, bo nierozsądkiem byłoby za ojczyznę ginąć. Tego rodzaju pamiętnik jest historyą arytmetyczną dodawania, mnożenia i dzielenia korpusu, historyą drożną poruszeń wojsk, historyą harmat i koni z dodatkiem kilku słów o ludziach, z zamilczeniem wszakże o ich uczuciach, jako o rzeczy mniej interesującej w wojnie rewolucyjnej.

Pamiętnik Różyckiego, jako utwór literacki, ma formę nową i oryginalną. Dowódca przypomina towarzyszom broni wspólnie odniesione zwycięstwa i wyjawia im swoich działań wojennych cele i przyczyny, których odkryć

dawniej nie mógł lub nie miał czasu. Opowiada tylko, nie pisze; nie używa on pióra jak narzędzia, którym wyrabiają się książki, ale tylko jako pomoc dla ust swoich, jako trąbkę, przez którą oficerowie komenderują na okrętach; nie rysuje piórem na papierze floresów stylowych, ale wylewa przez nie swoją duszę. Dusza jego jest ognista, męska i prosta; i styl jego ognisty, męski, prosty. U niego wojna rewolucyjna nie jest wojną uczonych na ten cel żołnierzy, ale obywateli bijących się za wolność.

Czytaliśmy pamiętnik w kilku: słuchaczami byli rodacy, poświęcający się naukom, pisarze, jak to mówią, z profesyi. Wszyscy słuchali ze łzami w oczach, wszyscy uznali, iż to dzieło jest nowym dowodem prawdy dawnej, ale mało cenionej: że sztuka cała pisania leży nie w książkach, ale w duszy, że dosyć być niepospolitym człowiekiem, aby zostać niepospolitym pisarzem.

Należałoby prosić pułkownika Różyckiego, aby pozwolił Pamiętnik swój w Paryżu przedrukować. Szanowalibyśmy święcie styl, poprawilibyśmy tylko pisownię bardzo błędną i często kaleczącą wyrazy; jest to drobną wprawdzie rzeczą w porównaniu do stylu, błędy te, są jak na dobrym mundurze powstańskim guziki nieregularnie osadzone i szwy potrzebujące naprawy. Są ludzie, którym to oczy razi. Szanowny pułkownik, mając teraz dosyć czasu, niech odda literatom swój mundur do tej reperacyi.

(Pielgrzym wydawany przez Januszkiewicza, nr. p. t. *Kopernik* z d. 5 listopada 1832).

II.

Powołanie Bohdana Zaleskiego na członka Centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

(Do str. 83).

Poitiers 7 Grudnia 1835.

Sekcya Centralna Towarzystwa Demokratycznego Polskiego do Obywatela Bohdana Zaleskiego.

Zawiadamiamy Cię niniejszem, Obywatelu, iż na mocy prawa przez Tow. Dem. uchwalonego z d. 6 Października r. b. w przedmiocie zawezwania do Centralizacyi Wyborowej członków, mających z kolei bewzględną na komplet prawny większość głosujących, jesteś jako następnie, po członkach do Centralizacyi już wybranych, najwięcej posiadający głosów, powołanym na miejsce ś. p. Ob. Cyprysińskiego W. do sprawowania obowiązków członka Centralizacyi Wyborowej Tow. Dem. Polskiego.

Zechciej więc, Obywatelu, przybydź w jak najkrótszym czasie do Poitiers, celem zajęcia wskazanego Ci wolą Ogółu Tow. miejsca we wspomnionej wyżej Instytucyi.

Pozdrowienie i braterstwo
Członkowie Kommissii Korresponden.
J. E. Piotrowski
Biernacki Karol
sekretarz
Jasieński Piotr.

III.

Wyjątek z nekrologu Józefa Poniatowskiego, ojca Daryusza.

(Do str. 136).

...»Od młodych lat jeszcze ś. p. J. Poniatowski całą swą uwagę, siły życia i energię obrócił dla stania się

prawdziwie użytecznym krajowi, przez urządzenie i zagospodarowanie majątku, kupionego przez niego od Xięcia Stanisława Poniatowskiego. Trzeba się myślą przenieść w te czasy, czem było wówczas gospodarstwo krajowe, a bardziej jeszcze prowincyi, że tak rzekę, w końcu świata leżącej od ogniska światła i znajomości. Przesąd, ciemnota, niedbałość i nierząd wydzierały sobie pole wzajemnie, a w takim składzie rzeczy przemysł, ta dusza wszelakich czynności umysłowo-politycznych, miejsca mieć nie mógł. Mieszkańcy, świeżo mając w pamięci czasy Szwaczki i Gonty, oddani próżniactwu i nałogowi pijaństwa, brzydzili się pracą, uboższa szlachta uważała każdą fizyczną robotę za rzecz niegodną zatrudnieniom szlacheckim, do umysłowych czuli się być niezdolnemi. Pola, te piękne niwy Ukrainy, leżały odłogiem. Kto chciał znaleść jakiegokolwiek rzemieślnika, udawał się do miasta odleglejszego, i najmniejsze zdarzające się szkody, były [to] wypadki do nieszczęsnych dni w życiu człowieka policzone«... Osiadając »w takiej pustyni, trzeba się było przygotować do wielkiej walki z przeciwnościami, trzeba było mieć duszę mocno zahartowaną, twardą wolę i charakter nieugięty. Te wszystkie przymioty w wysokim stopniu były udziałem ś. p. J. Poniatowskiego. Dziwić się trzeba, co może człowiek z temi rzadkiemi zaletami. Dość jest powiedzieć, że pół wieku takiej niezmordowanej pracy zdziałało to, czem jest dziś majętność Tahańcza, gdzie przemysł porównał to miejsce z okolicą najwięcej przemysłową krajów zagranicznych. Nigdzie rolnictwo, złączone z fabrykami, nie jest w większej zgodzie i zobopólnej pomocy, i jeśli ruch przemysłowo-gospodarski jest to krew ożywiająca krainę, Tahańcza stała się główną aortą dającą życie wielu innym przemysłom; a stąd dobry stan włościan, ukształcenie ich obyczajów, łagodność charakteru, przedtem barbarzyńskiego, ruch pieniężny w przyległych prowincyach i sposób dla biedniejszych

wydobycia się z prawdziwej niewoli ciemnoty i niedołężności«. To wszystko było zasługą Poniatowskiego. »Ileż to z czytelników korzystających z jego pomocy będą mojemi świadkami. Umysł praktyczno-obserwacyjny, w ciągłem działaniu będący, prowadził go do ulepszeń we wszystkich gałęziach gospodarstwa krajowego; stał się on niejako wyrocznią tych krain, każdy go rad słuchał... Charakter prawy, otwarty, prawdomówny, robił go stróżem obyczajów i sumienności człowieka, chciał widzieć ludzi takiemi, jakim sam żył na świecie; otwarcie gromił postępki, które, ukryte częstokroć pod płaszczem milczenia i delikatności mniemanej, wiele szkodzą światu i t. d.«.

Tyg. Pet. 1845, str. 286—287.

INDEKS OSOBOWY.

(Liczby, umieszczone przy nazwiskach, oznaczają stronice).

TREŚĆ.

Spis portretów.

CORRIGENDA

Str.	28	wiersz	10 z dołu	zamiast	3 lipca	czyt.	3 listopada
„	32	„	2 z góry	„	natchnienie	„	natchnione
„	41	„	3 „	„	Platera, Cezarego	„	Platera Cezarego
„	59	„	5 „	„	wyborców	„	wyborów
„	60	„	12 z dołu	„	działały	„	działało
„	61	„	17 „	„	1838	„	1833
„	106	„	17 „	„	hojnej	„	bujnej
„	107	„	14 „	„	poczuwa i śpiewa,	„	poczuwa, i śpiewa
„	240	„	4 z góry	„	Dyaryusza	„	Daryusza
„	278	„	5 z dołu	„	nie chciałam	„	nie chciałem
„	287	„	12 „	„	nie śmiał".	„	nie śmiał.